



*Sophie Kinsella*

---

**ZAKUPOHOLICZKA  
ZA GRANICĄ**



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

*Sophie Kinsella*

---

ZAKUPOHOLICZKA  
ZA GRANICĄ

Z języka angielskiego przełożyła  
Katarzyna Różycka



Tytuł oryginału:  
SHOPAHOLIC ABROAD

Copyright © Sophie Kinsella 2001  
Copyright © 2016 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga  
Copyright © 2016 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Ilona Gostyńska-Rymkiewicz

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska

Korekta: Aneta Iwan, Iwona Wyrwisz

ISBN: 978-83-7999-565-3

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.  
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice  
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28  
e-mail: [info@soniadraga.pl](mailto:info@soniadraga.pl)

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

**virtualo**  
[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# *Spis treści*

Dedykacja

Podziękowania

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Przypisy

*Dla Gemmy, która zawsze wiedziała,  
jak ważny dla dziewczyny jest szal  
od Denny'ego i George'a*

## *Podziękowania*

Największe podziękowania należą się Lindzie Evans, Patrickowi Plonkington-Smythe i całej cudownej ekipie Transworld oraz, jak zawsze, Aramincie Whitley, Celi Hayley, Markowi Lucasowi, Nicki Kennedy, Kim Witherspoon i Davidowi Forrerowi.

Jestem szczególnie wdzięczna Susan Kamil, Nicie Taublib i wszystkim pracownikom The Dial Press, którzy niezwykle gościnnie przyjęli mnie w Nowym Jorku. Dziękuję zwłaszcza Zoe Rice za wspaniały wieczór researchowy (spędzony na zakupach i jedzeniu czekolady). Wdzięczna jestem również Davidowi Stefanou za koktajle z ginem i sokiem z cytryny oraz Sharyn Soleimani z Barneys za jej życzliwość, jak również wszystkim osobom, które służyły mi swoim pomysłami, radami i inspiracją podczas tworzenia książki, w szczególności Athenie Malpas, Loli Bubbosh, Markowi Malleyowi, Anie-Marii Mosley, Harrie Evans i całej mojej rodzinie. I oczywiście Henry'emu, który ma najlepsze pomysły.

**Bank Endwich  
Oddział Fulham  
Fulham Road 3  
Londyn SW6 9JH**

Sz.P.  
Rebecca Bloomwood  
Burney Road 4 m. 2  
Londyn SW6 8FD

18 lipca 2001 roku

Szanowna Pani Bloomwood!

Dziękujemy za Pani list z piętnastego lipca. Cieszy mnie fakt, iż jest Pani klientką Banku Endwich już od blisko pięciu lat.

Niestety, nie przyznajemy sugerowanej przez Panią „premiu pięcioletniej” ani nie umarzamy zadłużenia w imię zasady „Czyste konto – zacznij od nowa”. Rzeczywiście oba pomysły są świetne.

Jesteśmy jednak gotowi podwyższyć limit na Pani karcie kredytowej o kolejne pięćset funtów, do kwoty czterech tysięcy funtów. Proponuję również, byśmy spotkali się w najbliższym czasie i omówili Pani bieżące potrzeby finansowe.

Z poważaniem,  
Derek Smeath  
Prezes Banku

**ENDWICH TROSKLIWYM BANKIEM**

**Bank Endwich  
Oddział Fulham  
Fulham Road 3  
Londyn SW6 9JH**

Sz.P.

Rebecca Bloomwood  
Burney Road 4 m. 2  
Londyn SW6 8FD

23 lipca 2001 roku

Szanowna Pani Bloomwood!

Cieszę się, iż nasze propozycje zawarte w liście z osiemnastego lipca okazały się dla Pani pomocne.

Jednocześnie byłbym wdzięczny, gdyby powstrzymała się Pani od określania mnie w programie telewizyjnym mianem „słodkiego” i „najlepszego prezesa banku na świecie”.

Chociaż jest mi niezmiernie miło, iż myśli Pani o mnie w ten sposób, moi przełożeni uważają, że te określenia niepokojąco wpływają na wizerunek Banku Endwich, i prosili, bym napisał do Pani w tej sprawie.

Łącząc serdeczne pozdrowienia,  
Derek Smeath  
Prezes Banku

**ENDWICH TROSKLIWYM BANKIEM**



**Bank Endwich  
Oddział Fulham  
Fulham Road 3  
Londyn SW6 9JH**

Sz.P.  
Rebecca Bloomwood  
Burney Road 4 m. 2  
Londyn SW6 8FD

20 sierpnia 2001 roku

Szanowna Pani Bloomwood!  
Dziękuję za Pani list z 18 sierpnia.

Przykro mi słyszeć, iż utrzymanie wydatków w granicach nowego limitu nastęcza Pani tak wiele trudności. Rozumiem, iż letnia wyprzedaż w Pied à Terre nie zdarza się co tydzień. Oczywiście, mogę zwiększyć Pani limit o sześćdziesiąt trzy funty i pięćdziesiąt pensów, skoro jak się Pani wyraziła, „to wszystko zmieni”.

Jednocześnie sugeruję, by odwiedziła Pani nasz oddział w celu dogłębnego przeanalizowania Pani sytuacji finansowej. Moja asystentka Erica Parnell z przyjemnością ustali z Panią dogodny termin.

Z poważaniem,  
Derek Smeath  
Prezes Banku

**ENDWICH TROSKLIWYM BANKIEM**

## Rozdział 1

Dobrze, bez paniki. Tylko bez paniki. Muszę się jedynie zorganizować, zachować spokój i zdecydować, co dokładnie powinnam ze sobą zabrać. Potem wystarczy spakować wszystko starannie do walizki. Czy to takie trudne?

Cofam się o krok od pokrytego garderobą łóżka i zamykam oczy. W głębi duszy mam nadzieję, że jeśli wystarczająco żarliwie poproszę, ubrania w magiczny sposób same ułożą się w równe stosy. Jak w artykułach na temat pakowania przekonujących czytelniczki, iż można zabrać na wakacje jeden tani sarong i sprytnie zmienić go w sześć różnych strojów. (Uważam, że to jawny przekręt. W porządku, sarong kosztuje dziesięć funtów, ale wydawnictwu się wydaje, że czytelniczki nie zauważą masy innych ubrań, które kosztowały setki funtów).

Niestety, kiedy otwieram oczy, na łóżku nadal panuje bałagan. Właściwie mam wrażenie, że stał się nawet większy, jakby ubrania po cichu wyskoczyły z szuflad, gdy nie patrzyłam, i biegały po łóżku. Jak okiem sięgnąć, w całym pokoju piętrzą się ogromne stosy splątanych... no... rzeczy po prostu. Buty, kozaki, koszulki z krótkim rękawem, czasopisma, kosz prezentowy z wyprzedaży w Body Shop, kurs włoskiego z Linguaphone, który koniecznie muszę zacząć, sauna do twarzy, a do tego dumnie wyeksponowane na toaletce maska i szpada do szermierki, które nabyłam wczoraj. Zapłaciłam za nie w sklepie charytatywnym tylko czterdzieści funtów!

Biorę do ręki szpadę i wykonuję próbny wykrok i pchnięcie w kierunku swojego odbicia w lustrze. Nastąpił prawdziwy zbieg okoliczności, gdyż od dawna chciałam zacząć uczyć się fechtunku, dokładnie od momentu, gdy przeczytałam artykuł o tej dyscyplinie w „Daily World”. Czy wiedzieliście, że szermierze mają najlepsze nogi wśród sportowców? Na dodatek profesjonaliści mogą pracować jako dublerzy w filmach i zarabiać mnóstwo pieniędzy! Dlatego mam zamiar znaleźć szkołę fechtunku w okolicy i opanować ten sport. Powinno mi pójść jak z płatka.

Następnie, jak przewiduje mój sekretny plan, po zdobyciu złotej odznaki, czy jakkolwiek nazywa się mistrzowskie trofeum, napiszę do Catherine Zety-Jones. Na pewno potrzebuje dublerki. Dlaczego nie miałyby zatrudnić do tej roli mnie? Prawdopodobnie wolałaby nawet Brytyjkę. Może zadzwoni do mnie, by powiedzieć, że ogląda na kablówce wszystkie programy z moim udziałem i zawsze chciała mnie poznać. O Boże, tak! Czyż to nie byłoby wspaniałe? Na pewno od razu przypadłybyśmy sobie do gustu, odkryłybyśmy, że mamy podobne poczucie humoru i w ogóle. Potem polecę do jej luksusowego domu, poznam Michaela Douglasa i będę się bawić z ich

dzieckiem. Będziemy czuli się ze sobą swobodnie jak starzy znajomi, a któreś z czasopism opisze naszą znajomość w artykule na temat przyjaciół gwiazd. Może nawet poproszą mnie, bym została...

– Cześć, Bex! – Radosne obrazy, na których śmieję się razem z Michaeliem i Catherine, gwałtownie znikają, a umysł w jednej chwili na powrót się koncentruje. Moja współlokatorka Suze wchodzi do pokoju ubrana w staromodną piżamę w esyflorese. – Co robisz? – pyta zciekawiona.

– Nic! – Pośpiesznie odkładam szpadę. – Po prostu, no wiesz, staram się utrzymać formę.

– Aha. Jak ci idzie pakowanie? – Podchodzi do półki nad kominkiem, bierze do ręki szminkę i zaczyna malować usta. Zawsze to robi, kiedy pojawia się w moim pokoju, rozgląda się, podnosi różne przedmioty, ogląda i odkłada je z powrotem. Twierdzi, że czuje się jak w sklepie ze starzyzną, gdzie nigdy nie wiadomo, co się znajdzie. Jestem pewna, że przywołała to porównanie w pozytywnym znaczeniu.

– Bardzo dobrze – mówię. – Wybieram właśnie odpowiednią walizkę.

– Och – cieszy się Suze i odwraca się z ustami pomalowanymi do połowy na intensywnie różowy kolor. – A może ta mała kremowa albo czerwona torba podręczna?

– Myślałam o tej – informuję ją i wyciągam spod łóżka nową, jaskrawozieloną, twardą walizkę. Kupiłam ją w weekend i jest cudowna.

– Rety! – Suze otwiera szerzej oczy. – Bex! Jest boska! Gdzie ją kupiłaś?

– W Fenwicks – odpowiadam i uśmiecham się szeroko. – Czyż nie jest wspaniała?

– To najfajniejsza walizka, jaką w życiu widziałam! – zachwyca się Suze i z podziwem dotyka zakupu. – W takim razie ile masz teraz walizek? – Zerka na moją szafę, na której ledwie się mieszczą brązowa skórzana walizka, lakierowany kufer i trzy kuferki na kosmetyki.

– No, wiesz... – nieco bezbrinnie wzruszam ramionami. – Normalną ilość.

Rzeczywiście, ostatnio kupiłam sporo bagażu. To dlatego, że przez lata nie miałam porządnej walizki, tylko jedną wysłużoną, płócienną torbę. Kilka miesięcy temu doznałam niezwykłego objawienia podczas wizyty w Harrodsie, jak święty Paweł w czasie podróży do Mandalaj. Bagaż. Od tamtej pory odbijam sobie za wszystkie chude lata.

Poza tym wszyscy wiedzą, że dobry bagaż to inwestycja.

– Robię sobie herbatę – oznajmia Suze. – Chcesz?

– O tak, poproszę! – odpowiadam.

– I kitkata? – Suze uśmiecha się szeroko.

– Zdecydowanie.

Niedawno przenocowałyśmy na kanapie kolegi Suze. Na odchodne zostawił nam ogromne pudło kitkatów. To wspaniały sposób na wyrażenie wdzięczności, oznacza jednak, że całymi dniami jemy wyłącznie batony. Jak Suze zauważyła zeszłego

wieczora, im szybciej je zjemy, tym szybciej znikną, więc właściwie pochłanianie jak największej ich ilości wyjdzie nam na zdrowie.

Suze spokojnym krokiem wychodzi z mojego pokoju, a ja odwracam się w stronę walizki. Dobrze. Skoncentruj się. Pakowanie. To naprawdę nie powinno zająć wiele czasu. Potrzebuję jedynie podstawowej, zredukowanej, mieszczącej się do walizki garderoby na krótki wypad do Somerset. Spisałam nawet listę, która powinna ułatwić mi wybór.

„Dżinsy: dwie pary”. To łatwe. Luźne i trochę mniej luźne.

„Koszulki:”

Właściwie wezmę trzy pary dżinsów. Muszę zabrać nowe diesele. Są super, chociaż trochę ciasne. Włożę je tylko na kilka godzin wieczorem.

„Koszulki:”

Och, i wyszywane, postrzępione krótkie spodenki z Oasis, których jeszcze nie miałam na sobie. Właściwie się nie liczą, bo to niemal szorty. Poza tym dżinsy prawie nie zajmują miejsca, prawda?

Dobrze, wystarczy mi już dżinsów. Zawsze mogę dodać jakieś w razie potrzeby.

„Koszulki: zestaw”. Spójrzmy. Na pewno gładka biała. Gładka szara. Czarne, krótka i bez rękawów (Calvin Klein), kolejna czarna bez rękawów (marki Warehouse, ale wygląda lepiej), różowa bez rękawów, różowa błyszcząca, różowa...

Zatrzymuję się w połowie przenoszenia poskładanych koszulek do walizki. To głupie. Jak mam przewidzieć, które koszulki będę miała ochotę włożyć? Chodzi przecież o to, że wybiera się je rano, w zależności od samopoczucia, jak kryształ albo olejki do aromaterapii. Co by było, gdybym obudziła się w nastroju na koszulkę „Elvis jest w dechę” i nie miała jej ze sobą?

Po prostu wezmę je wszystkie. Kilka koszulek nie zajmie przecież wiele miejsca, prawda? Prawie ich nie zauważę.

Położę je w walizce na wierzchu i dodam kilka krótkich, sportowych koszulek na szczęście.

Świetnie. To minimalistyczne podejście rzeczywiście się sprawdza. Dobrze. Co dalej?

Dziesięć minut później Suze wchodzi z powrotem do pokoju z dwoma kubkami herbaty i trzema batonami kitkat do podziaku. (Doszliśmy do wniosku, że cztery kawałki nie wystarczą).

– Proszę – mówi i przygląda mi się badawczo. – Bex, wszystko w porządku?

– Tak – odpowiadam zarumieniona. – Staram się złożyć ten bezrękawnik, by zajmował jak najmniej miejsca.

Spakowałam już kurtki, dżinsową i skórzaną, ale nie można przecież ręczyć za pogodę we wrześniu. Teraz jest gorąco i słonecznie, ale już jutro może spaść śnieg.

A jeśli wybierzemy się z Lukiem na spacer po okolicy? Poza tym ten cudowny bezrękawnik marki Patagonia mam od wieków, a zdążyłam go ponosić zaledwie dwa razy. Próbuję złożyć go jeszcze raz, ale wyślizguje mi się z rąk na podłogę. Boże, to mi przypomina obozy harcerskie, na których próbowałam włożyć śpiwór do pokrowca.

– Na jak długo wyjeżdżasz, bo zapomniałam? – pyta Suze.

– Trzy dni. – Zaprzestaję prób zredukowania bezrękawnika do rozmiarów pudełka zapalek, a ten żwawo powraca do swego kształtu. Nieco zawstydzona opadam na łóżko i pociągam łyk herbaty. Nie rozumiem, jak innym ludziom udaje się spakować tak niewiele. Ciągłe widzę zadowolonych z siebie biznesmenów wsiadających do samolotu z maleńkimi walizkami na kółkach, wielkości pudełka od butów. Jak oni to robią? Czy mają magicznie kurczące się ubrania? Czy istnieje jakiś tajemniczy sposób na złożenie garderoby tak, by zmieściła się do pudełka od zapalek?

– Może weźmiesz dodatkowo torbę podróżną? – proponuje Suze.

– Tak sądzisz? – Patrząc niepewnie na przeładowaną walizkę. Jeśli się dobrze zastanowić, może nie potrzebuję trzech par kozaków ani futrzanej etoli.

Wtedy przypominam sobie, że Suze wyjeżdża niemal co weekend i zabiera ze sobą tylko maleńką, miękką torbę.

– Suze, jak ty się pakujesz? Masz jakiś system?

– Nie wiem – odpowiada niejasno. – Chyba nadal stosuję zasady, których uczyli nas w szkole Panny Burton. Planujesz strój na każdą okazję i tego się trzymasz. – Zaczyna wyliczać na palcach. – Na przykład podróż w jedną stronę, kolacja, relaks nad basenem, mecz tenisowy... – Podnosi wzrok. – Do tego każda część garderoby powinna zostać użyta przynajmniej trzy razy.

Boże, Suze jest genialna. Zna wszystkie tego typu zasady. Kiedy miała osiemnaście lat, rodzice wysłali ją do Akademii Panny Burton, eleganckiej szkoły w Londynie, gdzie uczą, jak rozmawiać z biskupem i wysiadać ze sportowego samochodu w krótkiej spódniczce. Suze potrafi również zrobić królika z siatki ogrodzeniowej.

Pośpiesznie zaczynam notować na kartce tytuły zestawów. To dużo lepsze niż wrzucanie do walizki przypadkowych rzeczy. W ten sposób nie zabiorę zbędnych ubrań, tylko absolutne minimum.

Strój 1: relaks nad basenem (słonecznie)

Strój 2: relaks nad basenem (pochmurnie)

Strój 3: relaks nad basenem (rano tyłek wygląda na większy)

Strój 4: relaks nad basenem (gdyby ktoś inny miał taki sam kostium kąpielowy jak ja)

Strój 5:

W przedpokoju dzwoni telefon, ale nie podnoszę wzroku. Słyszę, jak Suze rozmawia

podeksycytowana, a chwilę później pojawia się w progu z wypiekami i wyrazem szczęścia na twarzy.

– Zgadnij, co się stało! Tylko zgadnij!

– Co?

– Box Beautiful wyprzedali wszystkie moje ramki! Właśnie dzwoniли, by zamówić kolejne!

– Och, Suze, to fantastycznie!

– Tak! – Podbiega do mnie, padamy sobie w ramiona i wykonujemy coś w rodzaju małego tańca, aż Suze orientuje się, że trzyma papierosa i lada moment podpali mi włosy.

Niesamowite jest to, że Suze zaczęła robić ramki zaledwie kilka miesięcy temu, a już zaopatruje cztery sklepy w Londynie i jej produkty wspaniale się sprzedają! Pojawiła się w wielu czasopismach i w ogóle. Nic dziwnego, gdyż jej ramki są po prostu super. Ostatnia seria powstała z fioletowego tweedu. Do tego pakowane są w przepiękne szare, błyszczące pudełka, owinięte jaskrawoturkusową bibułą. (Tak na marginesie, sama pomogłam jej wybrać ten kolor). Suze tak dobrze się powodzi, że nie musi już robić ramek sama, tylko wysyła projekty do niewielkiego zakładu w Kent, skąd wracają do niej wykończone.

– Skończyłaś spis garderoby? – pyta i zaciąga się papierosem.

– Tak – odpowiadam i wymachuję w jej kierunku kartką. – Wszystko rozpisałam, aż do ostatniej pary skarpetek.

– Brawo!

– Muszę tylko kupić liliowe sandały – dodaję niedbale.

– Liliowe sandały?

– Hmm? – Podnoszę niewinnie wzrok. – Tak, potrzebuję ich. No wiesz, para tanich, ładnych sandałów, które uzupełnią kilka zestawów...

– No dobra – mówi Suze i lekko ściąga brwi. – Bex, czy nie mówiłaś o liliowych sandałach w zeszłym tygodniu? Tych bardzo drogich, od LK Benetta?

– Czyżby? – Czuję, że lekko się rumienię. – Nie... nie pamiętam. Możliwe. Tak czy inaczej...

– Bex. – Rzuca mi podejrzliwe spojrzenie. – Mów prawdę. Czy naprawdę potrzebujesz liliowych sandałów, czy po prostu chcesz je kupić?

– Skąd! – bronię się. – Naprawdę ich potrzebuję! Spójrz!

Biorę do ręki rozpiškę garderoby, rozkładam i pokazuję Suze. Muszę przyznać, że jestem z siebie dumna. To skomplikowany schemat blokowy, pełen okienek, strzałek i czerwonych gwiazdek.

– Rety! – wykrzykuje Suze. – Gdzie się tego nauczyłaś?

– Na studiach – odpowiadam skromnie. Czytałam książki z dziedziny biznesu i księgowości. Zdziwiająca, jak często ta wiedza się przydaje.

– Co to za okienko? – pyta i wskazuje kartkę.

– To... – Mrużę oczy i próbuję sobie przypomnieć. – To chyba strój na wypadek, gdybyśmy poszli do bardzo eleganckiej restauracji, a poprzedniego wieczoru miałabym już na sobie moją sukienkę od Whistles.

– A to?

– To na wypadek, gdybyśmy mieli zamiar wspinać się po górach. A do tego właśnie zestawu – wskazuję puste okienko – potrzebuję liliowych sandałów. – Jeśli nie będę ich miała, cały zestaw nie ma sensu, podobnie jak ten tutaj. Wszystko się rozpadnie. Równie dobrze mogę w ogóle nie jechać.

Suze milczy przez chwilę i studiuje mój plan, podczas gdy ja nerwowo gryzę wargę i krzyżuję palce za plecami.

Wiem, że to może się wydawać trochę nietypowe. Większość ludzi nie konsultuje każdego zakupu ze współlokatorką, jednak jakiś czas temu obiecałam Suze, że pozwolę jej kontrolować moje wydatki. Wiecie, po prostu trzeba mieć je na oku.

Nie chcę, żebyście mnie źle zrozumieli. Nie mam problemu z zakupami. Po prostu kilka miesięcy temu wpadłam w... no, w lekkie tarapaty finansowe. Raptem niewielki kryzys, nic, czym należałoby się martwić. Suze jednak bardzo się zdenerwowała na wieść o tym i oznajmiła, że dla mojego dobra będzie odtąd sprawdzała wszystkie moje wydatki.

Jak dotąd dotrzymuje słowa. Właściwie robi to bardzo skrupulatnie. Czasami naprawdę się obawiam, że może mi się sprzeciwić.

– Rozumiem, o co ci chodzi – mówi wreszcie. – W zasadzie nie masz wyboru, prawda?

– Właśnie – odpowiadam z ulgą. Biorę od niej rozpisę, składam ją i wkładam do torby.

– Hej, Bex, czy to nowe? – pyta nagle Suze. Otworzyła moją szafę, czuję nerwowe spięcie. Gniewnie patrzy na mój nowy miodowy płaszcz, który przemyciłam do mieszkania wczoraj, gdy ona brała kąpiel.

Oczywiście zamierzałam jej o nim powiedzieć, tylko jeszcze się do tego nie zabrałam.

Proszę, nie patrz na metkę z ceną, myślę rozgorączkowana. Proszę, nie patrz na metkę.

– Ekhm... tak – odpowiadam. – Jest nowy, ale po prostu... potrzebuję porządnego płaszcza na wypadek, gdybym musiała poprowadzić odcinek *Porannej Kawy* w plenerze.

– Czy to prawdopodobne? – pyta zdziwiona Suze. – Myślałam, że twoja praca polega na siedzeniu w studio i udzielaniu porad finansowych.

– Cóż, nigdy nic nie wiadomo. Najlepiej być przygotowanym na każdą ewentualność.

- Chyba tak... – przytakuje z powątpiewaniem Suze. – A ta bluzka? – Wyciąga z szafy wieszak. – Też jest nowa!
- To do programu – odpowiadam szybko.
- A ta spódnica?
- Do programu.
- A te nowe spodnie?
- Do...
- Bex... – Suze patrzy na mnie przymrużonymi oczami. – Ilu strojów potrzebujesz podczas programu?
- No wiesz... Muszę mieć kilka zestawów awaryjnych. Suze, mówimy tu przecież o mojej karierze. O mojej karierze!
- Tak – odpowiada wreszcie. – Chyba masz rację. – Sięga po mój nowy czerwony, jedwabny żakiet. – Ten jest ładny.
- Prawda?! – Rozpromieniam się. – Kupiłam go z myślą o specjalnym styczniowym wydaniu programu.
- Planujecie specjalne styczniowe wydanie? – pyta Suze. – Na jaki temat?
- Program będzie nosił tytuł *Podstawowe zasady finansowe Becky* – oznajmiam i sięgam po błyszczyk. – Musi być naprawdę wyjątkowy. Pięć dziesięciominutowych wejść tylko dla mnie!
- Jakie są twoje podstawowe zasady finansowe? – pyta z zainteresowaniem.
- No cóż, jeszcze ich nie sprecyzowałam – przyznaję, malując usta. – Ale opracuję je bliżej programu. – Zakręcam błyszczyk i sięgam po kurtkę. – Do zobaczenia.
- Okej – rzuca Suze. – Pamiętaj, tylko jedna para butów.
- Dobrze! Obiecuję!

To naprawdę miło ze strony Suze, że tak się o mnie martwi, ale niepotrzebnie. Prawdę mówiąc, nie rozumie, jak bardzo się zmieniłam. W porządku, na początku roku przesłam niewielki kryzys finansowy. Właściwie w pewnym momencie miałam długi na sumę.... No, dość pokaźną.

Potem jednak dostałam pracę w *Porannej Kawie* i wszystko się zmieniło. Całkowicie odmieniłam swoje życie, ciężko pracowałam i spłaciłam wszystkie długi. Tak, spłaciłam je wszystkie! Wypisałam czek po czek, zlikwidowałam zadłużenie na wszystkich kartach kredytowych, debetowych i wszelkie długi wobec Suze. (Nie mogła uwierzyć, kiedy wręczyłam jej czek na kilka tysięcy funtów. Najpierw nie chciała go przyjąć, ale potem zmieniła zdanie i kupiła sobie cudowny kożuch z baraniej skóry).

Prawdę mówiąc, spłata długów była najcudowniejszym, najradośniejszym doznaniem w moim życiu. Od tamtego momentu minęło już kilka miesięcy, a na myśl o tym nadal czuję się podekscytowana. Nie ma nic lepszego niż bycie całkowicie wypłacalnym, prawda?



Spójrzcie teraz na mnie. Jestem zupełnie inną osobą niż dawna Becky. Jestem bohaterką, która przeszła przemianę. Nawet nie mam debetu!

## Rozdział 2

No dobrze, mam mały debet. Ale to dlatego, że patrzę ostatnio perspektywicznie i inwestuję w moją karierę. Mój chłopak Luke jest przedsiębiorcą i posiada własną agencję PR. Kilka tygodni temu powiedział coś, co naprawdę do mnie trafiło:

– Ludzie, którzy chcą zarobić milion, najpierw milion pożyczają.

Muszę mieć we krwi przedsiębiorcze myślenie, bo gdy tylko usłyszałam jego słowa, poczułam, że to podejście do mnie przemawia. Zaczęłam je nawet powtarzać pod nosem. Luke ma całkowitą rację. Jak można liczyć na zarobek bez wcześniejszej inwestycji?

Dlatego zainwestowałam w parę nowych strojów do programu, do tego kilka wizyt u fryzjera, manikiurzystki i kosmetyczki. I parę sesji masażu. Wiadomo przecież, że jak człowiek jest cały spięty, na pewno nie wypadnie dobrze, prawda?

Zainwestowałam również w nowy komputer, który kosztował dwa tysiące funtów, ale jest mi niezbędny. Dlaczego? Ponieważ piszę poradnik! Zaraz po tym, jak zaczęłam regularnie pojawiać się w *Porannej Kawie*, poznałam przyjemnych wydawców, którzy zaprosili mnie na lunch i wyznali, że jestem inspiracją dla ludzi z problemami finansowymi na całym świecie. Czyż to nie jest miłe? Zapłacili mi tysiąc funtów, zanim napisałam choćby jedno słowo, i dostanę o wiele więcej, kiedy książka zostanie wydana. Będzie nosiła tytuł *Przewodnik finansowy Becky Bloomwood* albo *Zarządzaj pieniędzmi jak Becky Bloomwood*.

Nie miałam jeszcze czasu, by zacząć pisać, ale myślę, że najważniejszy jest właściwy tytuł, a reszta sama się ułoży. Nie obijałam się, spisałam już masę pomysłów na strój, w którym wystąpię na zdjęciu na okładkę.

Nic dziwnego, że jestem obecnie nieco pod kreską, ale te pieniądze istnieją i pracują na mnie. Na szczęście prezes mojego banku Derek Smeath wykazuje dużo zrozumienia. Prawdziwy z niego słodziak. Przez długi czas zupełnie się między nami nie układało, ale moim zdaniem winne temu były jedynie problemy komunikacyjne. Teraz widzę, że naprawdę mnie rozumie. Oczywiście jestem dzisiaj bardziej rozsądna niż kiedyś.

Na przykład zupełnie inaczej podchodzę do zakupów. Moje nowe motto brzmi: „Kupuj tylko to, czego potrzebujesz”. Wiem, że może się to wydawać zbyt proste, ale naprawdę działa. Przed każdym zakupem zadaję sobie jedno pytanie: „Czy tego potrzebuję?” i dokonuję zakupu tylko wtedy, gdy odpowiedź jest twierdząca. To jedynie kwestia samodyscypliny.

Wchodząc do sklepu LK Bennett, jestem niezwykle skupiona i konkretna. Już od progu mój wzrok przykuwa para czerwonych kozaków na wysokim obcasie, ale szybko odwracam głowę i ruszam w kierunku wystawy z sandałami. Tak teraz robię zakupy, bez zatrzymywania, przeglądania czy zerkania na inne produkty. Nawet na tę przepiękną, nową kolekcję czółenek z cekinami. Zmierzam prosto w kierunku sandałów, które chcę kupić, biorę je z półki i mówię do sprzedawczynie:

– Poproszę te sandały w rozmiarze sześć.

Prosto i konkretnie. Kup to, czego potrzebujesz, i nic więcej. To klucz do kontrolowanych zakupów. Nawet nie zerknę na te fantastyczne różowe szpilki, chociaż idealnie pasowałyby do mojego nowego rozpinanego swetra z Jigsaw.

Ani na te pantofle bez pięty z błyszczącymi obcasami.

Ładne są, prawda? Ciekawe, jak by się prezentowały na nodze.

O Boże, to naprawdę trudne.

Co jest w tych butach? Większość ubrań mi się podoba, ale cudowna para butów potrafi mnie rozłożyć na łopatki. Czasami, kiedy jestem sama w domu, otwieram szafę i wpatruję się w moje buty jak jakiś szalony kolekcjoner. Któregoś dnia ustawiłam je wszystkie w rzędzie na łóżku i sfotografowałam. Może się to wydawać nieco dziwne, ale pomyślałam, że skoro mam masę zdjęć ludzi, których nie lubię, dlaczego nie uwiecznić czegoś, co kocham.

– Proszę bardzo!

Dzięki Bogu ekspedientka wraca z moimi liliowymi sandałami w pudełku. Spoglądam na nie i serce przez chwilę bije mi szybciej. Och, są takie przepiękne. Przepiękne! Delikatne, zrobione z paseczków, z maleńkim owocem jeżyny przy palcu. Zakochałam się w nich od pierwszego wejrzenia. Są dość drogie, ale wszyscy wiedzą, że nie należy oszczędzać na butach, ponieważ można zniszczyć sobie stopy.

Wsuwam stopy w sandały, drżąc z rozkoszy. O Boże, są fantastyczne. Moje stopy wyglądają teraz elegancko, a nogi wydają się dłuższe i... No dobrze, trochę trudno w nich chodzić, ale to pewnie dlatego, że podłoga w sklepie jest śliska.

– Poproszę – mówię i uśmiecham się promiennie do ekspedientki.

To nagroda za rozsądne podejście do zakupów. Kiedy coś kupuję, naprawdę czuję, że na to zasłużyłam.

Idziemy w stronę kasy, a ja staram się nie spoglądać w stronę półek z dodatkami. W zasadzie ledwie zauważam tę fioletową torbę wyszywaną koralikami. Już sięgam do torebki po portmonetkę, kiedy sprzedawczynie rzuca od niechcienia:

– Mamy te sandały również w kolorze pomarańczowym.

– Pomarańczowym?

Nie jestem zainteresowana. Mam to, po co przyszłam, i już. Liliowe sandały, nie pomarańczowe.

– Dopiero je dostaliśmy – dodaje i przeszukuje półki. – Podejrzewam, że będą

nawet bardziej modne niż liliowe.

– Naprawdę? – Staram się okazać jak najmniejsze zainteresowanie. – Wezmę tylko te, raczej...

– O, są! – wykrzykuje ekspedientka. – Wiedziałam, że stoi tu gdzieś jedna para.

Stawia na ladzie najwytworniejsze sandały, jakie kiedykolwiek widziałam, a ja zamieram. To blade pomarańcz, ten sam model z paseczkami co liliowe, tylko zamiast jeżyny mają przy palcach małą mandarynkę.

Natychmiast się w nich zakochuję. Nie mogę oderwać od nich wzroku.

– Chciałaby je pani przymierzyć? – pyta dziewczyna, a ja czuję w żołądku gwałtowną falę pożądania.

Spójrzcie na nie, są takie apetyczne. Najcudowniejsze buty, jakie w życiu widziałam. O Boże.

Nie potrzebuję jednak pomarańczowych butów, prawda? Nie potrzebuję ich.

No dalej, Becky. Po prostu powiedz NIE.

– Właściwie... – Z trudem przełykam ślinę i próbuję odzyskać kontrolę nad własnym głosem. – Właściwie... – Boże, ledwie mogę wypowiedzieć te słowa. – Dzisiaj wezmę tylko te liliowe – udaje mi się w końcu wydukać. – Dziękuję.

– W porządku. – Dziewczyna wstukuje kod na kasie. – Poproszę osiemdziesiąt dziewięć funtów. Jaka forma płatności?

– Hmm, karta Visa – odpowiadam. Podpisuję kwit, biorę torbę i wychodzę ze sklepu nieco otepiała.

Udało mi się! Udało! Opanowałam swoje żądze! Potrzebowałam jednej pary butów i kupiłam tylko jedną. Weszłam do sklepu i wyszłam, wszystko zgodnie z planem. Mogę to zrobić, jeśli zechcę. To jest nowa Becky Bloomwood.

Za dobre sprawowanie należy mi się nagroda, więc idę do kawiarni i siadam w słońcu z filiżanką cappuccino.

„Chcę mieć te pomarańczowe buty” – myślę już przy pierwszym łyku.

Przestań, przestań. Pomyśl o... o czymś innym. O Luke’u, o wyjeździe. To będzie nasz pierwszy wspólny wyjazd. Boże, nie mogę się doczekać.

Chciałam zaproponować wspólną eskapadę, od kiedy zaczęliśmy się z Lukiem spotykać, ale on tak ciężko pracuje, że przypominałoby to poproszenie premiera, by na chwilę zostawił rządzenie krajem. (Chociaż, jeśli się nad tym zastanowić, premier co lato robi sobie przerwę, więc czemu Luke nie miałby odpocząć?)

Jest tak zajęty, że nie poznał jeszcze moich rodziców, co trochę mnie martwi. Zaprosili go na niedzielny lunch kilka tygodni temu, mama całe wieki spędziła na gotowaniu, a w każdym razie kupiła w Sainsbury’s polędwicę wieprzową nadziewaną morelami i bardzo wykwintny pudding bezowo-czekoladowy. W ostatnim momencie Luke odwołał wizytę, ponieważ w niedzielnych gazetach opisano jednego z jego

klientów w skrajnie niekorzystny sposób. Musiałam pójść na lunch sama i szczerze mówiąc, czułam się okropnie. Mama była widocznie zawiedziona, ale powtarzała radośnie: „No cóż, to miała być tylko niezobowiązująca wizyta”, co nie było prawdą. Następnego dnia Luke przysłał jej w ramach przeprosin ogromny bukiet kwiatów (a przynajmniej zrobiła to jego asystentka Mel), ale to nie to samo, prawda?

Najgorzej było, kiedy nasi sąsiedzi Janice i Martin wpadli na kieliszek sherry, by – jak to ujęli – „poznać sławnego Luke’a”. Kiedy się dowiedzieli, że go nie ma, rzucali mi pełne litości spojrzenia podszyte samozadowoleniem, ponieważ w przyszłym tygodniu ich syn Tom żeni się ze swoją dziewczyną Lucy. Mam okropne przeczucie, że ich zdaniem skrycie się w nim kocham. (W rzeczywistości jest wręcz odwrotnie, ale kiedy ludzie ubzdurają sobie coś podobnego, nie sposób ich przekonać, że jest inaczej. O Boże, to potworne).

Kiedy zdenerwowałam się na Luke’a, zauważyłam, że ja też nie poznałam jego rodziców, co jednak nie jest do końca prawdą. Rozmawiałam przelotnie z jego ojcem i macochą w restauracji, chociaż nie był to mój najbardziej błyskotliwy moment. Poza tym mieszkają w Devon, a biologiczna matka Luke’a w Nowym Jorku, więc niełatwo się z nimi spotkać.

Pogodziliśmy się jednak i Luke przynajmniej podjął starania, żebyśmy pojechali na krótki urlop. Właściwie to Mel zasugerowała ten weekendowy wypad. Powiedziała mi, że Luke nie był na porządnym wakacjach od trzech lat, dlatego być może trzeba go delikatnie przekonać do tego pomysłu. Przestałam więc mówić o wakacjach, a zaczęłam wspominać o wyjazdach weekendowych i podziało! Nagle Luke poprosił mnie, bym zaklepała jeden z weekendów, sam zarezerwował hotel i wszystko zorganizował. Już nie mogę się doczekać wyjazdu. Będziemy tylko się relaksować, wypoczywać i dla odmiany spędzać wspólnie czas. Cudownie.

„Chcę mieć te pomarańczowe buty”.

Przestań. Przestań o nich myśleć.

Wypijam kolejny łyk kawy, opadam na oparcie i staram się zająć obserwowaniem tętniącej życiem ulicy. Ludzie przechadzają się, trzymają w dłoniach torby, rozmawiają, przez jezdnię przechodzi dziewczyna w ładnych spodniach, chyba od Nicole Farhi i... O Boże.

Mężczyzna w średnim wieku w ciemnym garniturze zmierza w moim kierunku. Poznaje go, to Derek Smeath, prezes mojego banku.

Chyba mnie zauważył.

Dobrze, tylko spokojnie, mówię sobie stanowczo. Nie ma powodów do paniki. Może kiedyś jego widok by mnie przeraził, może próbowałabym się schować za kartą dań, a nawet uciec. To jednak przeszłość. Dzisiaj Słodki Smeathie i ja pozostajemy w przyjaznych relacjach.

Mimo to odsuwam krzesło nieco dalej od torby z logo LK Bennett, jakbym nie miała

z nią nic wspólnego.

– Dzień dobry, panie Smeath! – witam się radośnie, gdy do mnie podchodzi. – Jak się pan miewa?

– Bardzo dobrze – odpowiada z uśmiechem. – A pani?

– W porządku, dziękuję. Czy chciałby... czy chciałby się pan napić kawy? – dodaję grzecznie i wskazuję wolne krzesło naprzeciw mnie. Nie spodziewam się, że przyjmie zaproszenie, ale ku mojemu zdziwieniu on siada i bierze do ręki kartę.

Prawdziwa kultura! Piję kawę z prezesem mojego banku w kawiarni z ogródkiem. Może zdołam wspomnieć o tym w *Porannej Kawie*. „Osobiście wolę nieformalne podejście do finansów osobistych – powiem i uśmiechnę się ciepło do kamery. – Często omawiam strategie finansowe z prezesem mojego banku przy filiżance cappuccino...”

– Rebecca, tak się składa, że właśnie napisałem do pani list – mówi Derek Smeath, kiedy kelnerka stawia przed nim espresso. Nagle ton jego głosu staje się poważniejszy i czuję ukłucie niepokoju. O Boże, co znowu zrobiłam? – Podobnie jak do innych moich klientów – dodaje. – Chciałem poinformować, że odchodzę.

– Co takiego? – Odstawiam filiżankę z lekkim brzękiem. – Jak to: odchodzi pan?

– Odchodzę z banku Endwich. Postanowiłem przejść na wcześniejszą emeryturę.

– Ale...

Wpatruję się w niego z przerażeniem. Derek Smeath nie może odejść z banku Endwich. Nie może zostawić mnie na lodzie, kiedy wszystko idzie tak dobrze. Wiem, że nie zawsze się zgadzaliśmy, ale ostatnio świetnie się dogadujemy. Derek Smeath mnie rozumie, rozumie mój debet. Co ja zrobię bez niego?

– Czy nie jest pan zbyt młody na emeryturę? – pytam, świadoma niepokoju w moim głosie. – Nie będzie się pan nudził? – On opiera się na krześle i wypija łyk espresso.

– Nie zamierzam całkowicie zrezygnować z pracy. Myślę jednak, że życie to coś więcej niż opiekowanie się kontami bankowymi klientów. Zgodzi się pani ze mną? Chociaż niektóre z nich okazały się fascynujące.

– No cóż... tak. Oczywiście. Naprawdę... cieszę się ze względu na pana. – Lekko zażenowana wzruszam ramionami. – Jednak... będę... za panem tęskniła.

– Może mi pani nie uwierzy – odpowiada z lekkim uśmiechem – ale też będę za panią tęsknił, Rebecca. Pani konto było z pewnością najbardziej fascynującym, z jakim miałem do czynienia.

Posyła mi przenikliwe spojrzenia, a ja czuję, że się lekko czerwienię. Dlaczego musi mi przypominać o przeszłości? Najważniejsze, że mam ją za sobą. Jestem już inną osobą. Ludzie powinni mieć prawo do tego, by się zmienić i zacząć życie od nowa.

– Pani kariera telewizyjna najwyraźniej świetnie się rozwija – stwierdza.

– Właśnie. Czyż to nie wspaniałe? Do tego świetnie mi płacą – dodaję nieco ostentacyjnie.

– W ostatnich miesiącach pani dochód rzeczywiście wzrósł – potwierdza i odstawia filiżankę, a ja tracę swój entuzjazm. – Niemniej jednak...

Wiedziałam. Dlaczego zawsze musi być jakieś „jednak”? Dlaczego nie może po prostu cieszyć się razem ze mną?

– Niemniej jednak – powtarza Derek Smeath – pani wydatki również wzrosły. Znacznie. W zasadzie pani zadłużenie jest obecnie wyższe, niż było w szczytowym momencie pani... powiedzmy... ekscesów.

Ekscesy? Jakie to nieuprzejme określenie.

– Musi się pani bardziej postarać i trzymać się w granicach debetu albo, najlepiej, spłacić zadłużenie.

– Wiem – odpowiadam wymijająco. – Zamierzam tak zrobić.

Zauważyłam właśnie po drugiej stronie ulicy dziewczynę z torbą LK Bennett. Wielka torba z dwoma pudełkami butów.

Skoro jej wolno kupić dwie pary butów, dlaczego ja nie mogę? Jaka zasada nakazuje zakup tylko jednej pary? To takie arbitralne.

– A co z pani innymi finansami? – pyta Derek Smeath. – Czy ma pani na przykład jakieś debety na kartach płatniczych?

– Nie – odpowiadam z nutą samozadowolenia. – Spłaciłam je wszystkie kilka miesięcy temu.

– I od tamtego czasu nie skorzystała z nich pani?

– Wydałam tylko niewielkie kwoty, prawie nic.

Poza tym co w dłuższej perspektywie znaczy dziewięćdziesiąt funtów?

– Zadaję pani te pytania, ponieważ czuję, iż powinienem panią ostrzec – wyznaje Derek Smeath. – Bank przechodzi reorganizację i mój następca John Gavin może nie przejawiać równie swobodnego podejścia do pani rachunku jak ja. Nie jestem pewien, czy zdaje sobie pani sprawę, jak byłem w stosunku do pani pobłażliwy.

– Naprawdę? – dziwię się, chociaż ledwie go słucham.

Gdybym na przykład zaczęła palić, z łatwością, bez zastanowienia wydałabym dziewięćdziesiąt funtów.

W zasadzie oszczędziłam mnóstwo pieniędzy, nie paląc. Wystarczająco, by pozwolić sobie na jedną małą parę butów.

– To bardzo kompetentny specjalista, ale równocześnie bardzo... surowy. Elastyczność nie jest jego główną cechą.

– Rozumiem – przytakuję bezwiednie.

– Sugeruję, by niezwłocznie zajęła się pani uregulowaniem zadłużenia. – Wypija łyk kawy. – Proszę powiedzieć, czy podjęła pani jakieś kroki w kwestii emerytury?

– Hmm... spotkałam się z niezależnym doradcą, którego pan polecił.

– Czy wypełniła pani jakieś formularze?

Niechętnie koncentruję się z powrotem na Dereku Smeacie.

– Rozważam różne opcje – odpowiadam i przyjmuję swój wystudiowany wyraz twarzy ekspertki od finansów. – Nie ma nic gorszego niż pochopne decyzje finansowe, szczególnie jeśli chodzi o tak ważną kwestię jak emerytura.

– To prawda – zgadza się Derek Smeath. – Proszę jednak nie zastanawiać się zbyt długo. Pieniądze same się nie zaoszczędzą.

– Wiem – przytakuję i wypijam łyk cappuccino.

O Boże, teraz czuję się trochę niezręcznie. Może on ma rację, może powinnam odłożyć te dziewięćdziesiąt funtów na fundusz emerytalny, zamiast kupować kolejną parę butów.

Z drugiej strony cóż mi po funduszu z dziewięćdziesięcioma funtami? Nie utrzyma mnie na starość. Marne dziewięćdziesiąt funtów. Poza tym zanim się zestarzeję, świat już pewnie wyleci w powietrze.

Tymczasem para butów jest namacalna, uchwytna...

A niech to. Kupię je.

– Panie Smeath, muszę już iść – mówię nagle i odstawiam filiżankę. – Muszę coś... zrobić.

Postanowiłam, że muszę tam wrócić najszybciej jak się da. Biorę do ręki torbę i kładę na stole pięć funtów.

– Miło było pana zobaczyć. Powodzenia na emeryturze.

– Powodzenia, pani Rebecco – żegna się Derek Smeath i uśmiecha do mnie życzliwie. – Proszę pamiętać, co pani powiedziałem. John Gavin nie będzie pani pobłażał tak jak ja, więc proszę uważać.

– Oczywiście! – odpowiadam radośnie.

Oddalam się jak najszybciej z powrotem w kierunku sklepu LK Bennett.

W porządku, w gruncie rzeczy może nie potrzebowałam pomarańczowych butów. Nie były niezbędne. Kiedy jednak je przymierzałam, zdałam sobie sprawę, że nie zламаłam mojej nowej zasady, ponieważ będę ich potrzebowała.

W którymś momencie będę potrzebowała nowych butów, prawda? Każdy ich potrzebuje. Z pewnością znacznie roztropniej zaopatrzyć się teraz w model, który mi się podoba, niż czekać, aż zużyję ostatnią parę i okaże się, że w sklepach nie ma nic ciekawego. To rozsądne podejście, rodzaj zabezpieczenia swojej pozycji na rynku obuwniczym.

Wychodzę ze sklepu LK Bennett, wesoło trzymając w dłoniach dwie nowe, błyszczące torby, i czuję, że otacza mnie ciepła, radosna łuna. Nie mam ochoty wracać do domu, więc postanawiam zajrzeć do sklepu Prezenty i Drobiazgi po drugiej stronie ulicy. To jeden ze sklepów sprzedających ramki Suze i zwyczajowo zaglądam do niego za każdym razem, gdy przechodzę obok, by zobaczyć, czy któryś z klientów je kupi.

Otwieram drzwi, przy których brzmi dzwonek, i uśmiecham się do ekspedientki, gdy



podnosi wzrok. To taki cudowny sklep, ciepły i pachnący, pełen pięknych rzeczy, jak chromowane wieszaki albo podkładki pod szklanki z wytrawionego szkła. Przechodzę niepostrzeżenie obok półki z fioletoworóżowymi, skórzanymi notatnikami, spoglądam w górę i są! Trzy ramki na zdjęcia z fioletowego tweedu, wykonane przez Suze! Nadal drzę z podniecenia za każdym razem, gdy je widzę.

O mój Boże. Czuję przypływ ekscytacji. Obok półki stoi klientka i trzyma w ręce jedną z ramek. Ogląda ją!

Szczerze mówiąc, nigdy nie widziałam, żeby ktoś kupował ramki Suze. Wiem, że ludzie je kupują, ponieważ sklepy ciągle je wyprzedają, ale nigdy nie widziałam samego momentu zakupu. Boże, to ekscytujące!

Podchodzę po cichu do klientki dokładnie w momencie, gdy odwraca ramkę. Marszczy czoło na widok ceny, a moje serce zaczyna szybciej bić.

– Naprawdę piękna ramka – mówię od niechcienia. – Rzeczywiście nietypowa.

– Tak – przytakuje klientka i odkłada ją z powrotem na półkę.

Nie! – myślę z przerażeniem. Weź ją z powrotem!

– Dzisiaj trudno o ładne ramki – zagaduję. – Nie uważa pani? Kiedy znajdzie się odpowiednią, trzeba ją po prostu kupić. Zanim zrobi to ktoś inny.

– Pewnie tak – mówi klientka. Bierze do ręki obciążnik do papieru i również na niego patrzy z dezaprobatą.

W końcu odchodzi. Co mogę zrobić?

– Myślę, że sama kupię taką – mówię zdecydowanie i biorę ramkę do ręki. – Idealnie nadaje się na prezent dla mężczyzny lub kobiety... Przecież wszyscy potrzebują ramek na zdjęcia, prawda?

Klientka nie zwraca na mnie uwagi. Nic nie szkodzi, kiedy zobaczy, że ja kupuję ramkę, może przemyśli swoją decyzję.

Pędzę do kasy, a ekspedientka uśmiecha się do mnie. To chyba właścicielka sklepu, gdyż widziałam, jak przeprowadzała rozmowy rekrutacyjne i rozmawiała z dostawcami. (Nie zaglądam tu często, to jedynie zbieg okoliczności).

– Witam ponownie – mówi. – Naprawdę podobają się pani te ramki, prawda?

– Tak – mówię głośno. – Do tego są w tak fantastycznej cenie! – Klientka ogląda jednak szklaną karafkę i nawet mnie nie słyszy.

– Ile ich pani już kupiła? Chyba około dwudziestu.

Co? Momentalnie przenoszę uwagę na sprzedawczynię. Co ona mówi?

– Może nawet trzydzieści?

Wpatruję się w nią zszokowana. Obserwuje mnie za każdym razem, gdy przychodzę? Czy to nie jest sprzeczne z prawem?

– Niezła kolekcja! – dodaje życzliwie i pakuje ramkę w bibułkę.

Muszę coś powiedzieć, bo pomyśli sobie, że to ja kupuję wszystkie ramki Suze, a nie ogół społeczeństwa. To niedorzeczne. Trzydzieści? Kupiłam zaledwie cztery,

może pięć.

– Nie mam ich tak wiele – mówię pospiesznie. – Chyba myli mnie pani z... innymi ludźmi. I nie przyszłam tylko po ramkę! – Śmieję się beztrzesko, by pokazać, jak absurdalny jest jej pomysł. – Potrzebuję jeszcze... to. – Chwytam na oślep kilka dużych, drewnianych, rzeźbionych liter z pobliskiego koszyka i podaję sprzedawczyni. Uśmiecha się i rozkłada je na bibułce jedną po drugiej.

– P...T...R...R.

Wpatruje się w litery ze zdziwieniem.

– Czy miała pani na myśli „Petera”?

Na miłość boską, czy każdy zakup musi być uzasadniony?

– Hmm... tak – przytakuję. – To dla mojego... chrześniaka. Ma trzy lata.

– Cudownie! W takim razie dodamy dwa „E” i odłożymy „R”.

Patrzy na mnie łagodnie, jakbym była półgłówkiem. Nie dziwię się jej, skoro nie potrafię przeliterować imienia własnego chrześniaka, które to imię brzmi „Peter”.

– Poproszę czterdzieści osiem funtów – informuje, kiedy sięgam po portmonetkę. – Przy zakupie za pięćdziesiąt funtów otrzyma pani gratis świecę zapachową.

– Naprawdę? – Spoglądam na nią z zainteresowaniem. Przydałaby mi się ładna świeca zapachowa. Za cenę zaledwie dwóch funtów...

– Jestem pewna, że coś znajdę – mówię i rozglądam się po sklepie.

– Może dokupi pani drewniane litery dla chrześniaka – przychodzi mi z pomocą sprzedawczyni. – Jak ma na nazwisko?

– Wilson – mówię bez zastanowienia.

– Wilson. – Ku mojemu przerażeniu kobieta zaczyna grzebać w koszyku. – „W”, „L”, jest i „O”.

– Właściwie lepiej nie – dodaję szybko. – Ponieważ... ponieważ jego rodzice się rozwodzą, możliwe, że będzie musiał zmienić nazwisko.

– Naprawdę? – dziwi się właścicielka sklepu i ze współczującym wyrazem twarzy wrzuca litery z powrotem do kosza. – To straszne. Czy rozstają się we wrogiej atmosferze?

– Tak – przytakuję i rozglądam się w poszukiwaniu innego zakupu. – Bardzo wrogiej. Jego matka uciekła z... ogrodnikiem.

– Mówi pani poważnie? – Właścicielka sklepu przygląda mi się i nagle zauważam, że para obok przysłuchuje się naszej rozmowie. – Uciekła z ogrodnikiem?!

– Był bardzo... przystojny – improwizuję. Biorę do ręki pudełko na biżuterię i dowiaduję się, że kosztuje siedemdziesiąt pięć funtów. – Nie mogła się od niego oderwać. Mąż znalazł ich razem w szopie na narzędzia. Tak czy inaczej...

– Rety! – wykrzykuje właścicielka sklepu. – To brzmi niewiarygodnie.

– To szczerą prawdą – dopowiada głos z głębi sklepu.

Co?

Odwracam głowę i widzę, jak w moim kierunku zmierza kobieta, która oglądała ramki Suze.

– Zakładam, że mówi pani o Jane i Timie – oznajmia. – To taki okropny skandal. Myślałam, że ich synek miał na imię Toby.

Wpatruję się w nią i nie mogę wykrztusić słowa.

– Może „Peter” to imię nadane podczas chrztu – sugeruje właścicielka i wskazuje na mnie. – To matka chrzestna chłopca.

– Och, to pani jest matką chrzestną! – wykrzykuje kobieta. – Wiele o pani słyszałam. To nie dzieje się naprawdę.

– Może pani mi wyjaśni – kobieta podchodzi do mnie i konspiracyjnie ścisza głos – czy Tom przyjął propozycję Maud?

Rozglądam się po sklepie, w którym zaległa kompletna cisza. Wszyscy czekają na moją odpowiedź.

– Tak – mówię ostrożnie. – Przyjął ją.

– Czy wszystko się udało? – pyta dalej kobieta i patrzy na mnie z przejęciem.

– Hmm... nie. Właściwie on i Maud się... pokłócili.

– Naprawdę? – Kobieta unosi dłoń do ust. – Pokłócili? O co?

– No, wie pani – mówię rozpaczliwie. – O takie tam... zmywanie... hmm, właściwie zapłacę gotówką. – Grzebię w portmonetce i ciskam na ladę pięćdziesiąt funtów. – Reszty nie trzeba.

– A świeca zapachowa? – pyta właścicielka. – Ma pani do wyboru zapach wanilii, drzewa sandałowego...

– Dziękuję, nie potrzebuję – rzucam i pędzę w stronę drzwi.

– Proszę poczekać! – woła klientka. – Co się stało z Ivanem?

– On... wyemigrował do Australii – odpowiadam i zatrząskuję za sobą drzwi.

Boże, niewiele brakowało. Lepiej wróć do domu.

Dochodzę do rogu swojej ulicy, zatrzymuję się na chwilę i dokonuję małej reorganizacji toreb, co oznacza, że wkładam wszystkie zakupy do jednej torby LK Bennett i upycham na dnie tak, by nie było ich widać.

Nie chowam ich, tylko... Wolę wrócić do domu z jedną torbą.

Liczę na to, że uda mi się przemknąć do pokoju, zanim Suze mnie zauważy, ale gdy otwieram drzwi, widzę, że siedzi na podłodze w przedpokoju i coś pakuje.

– Cześć – wita mnie. – Kupiłaś buty?

– Tak – odpowiadam radośnie. – Oczywiście. W odpowiednim rozmiarze i w ogóle.

– Obejrzyjmy je!

– Tylko je... rozpakuję – rzucam od niechcienia i ruszam w kierunku swojego pokoju, udając zrelaxowaną. Wiem jednak, że wyglądam na winną, nawet mój sposób chodzenia zdradza winę.

– Bex – mówi nagle Suze. – Co jeszcze masz w torbie? Jest tam coś oprócz jednej pary butów.

– W torbie? – Odwracam się, udając zdziwienie. – A, w tej torbie. Hmm, tylko kilka drobiazgów. No wiesz, takie tam różności.

Zamieram w poczuciu winy, kiedy Suze krzyżuje ręce na piersi i posyła mi swoje najsurowsze spojrzenie.

– Pokaż.

– Dobra, posłuchaj – mówię pospiesznie. – Wiem, że mówiłam tylko o jednej parze, ale zanim się zdenerwujesz, spójrz tylko. – Sięgam do drugiej torby LK Bennett, otwieram pudełko i powoli wyciągam jeden z pomarańczowych sandałów. – Tylko na nie spójrz.

– O mój Boże – szepcze Suze i wpatruje się w buty. – Są absolutnie zachwycające. – Bierze ode mnie jeden z sandałów i delikatnie gładzi miękką skórę, ale po chwili jej surowy wyraz twarzy powraca. – Ale czy ty ich potrzebowałaś?!

– Tak! – bronię się. – A przynajmniej... robiłam zapasy na przyszłość. No wiesz, taki rodzaj... inwestycji.

– Inwestycji?

– Tak. To w pewnym sensie oszczędność, ponieważ mam te buty, nie będę musiała wydawać pieniędzy na inne w przyszłym roku. Ani grosza!

– Czyżby? – pyta Suze podejrzliwie. – Ani grosza?

– Ani jednego! Suze, uwierz mi, mam zamiar żyć w tych butach. Nie będę musiała kupować kolejnych przez przynajmniej rok. A nawet dwa!

Suze milczy, a ja gryzę wargę i czekam, aż rozkaże mi oddać je do sklepu. Ona jednak patrzy ponownie na sandał i dotyka małej mandarynki.

– Załóż je – mówi nagle. – Niech im się przyjrzę.

Z lekkim podnieceniem wydaję drugi but i zakładam oba. Pasują idealnie. Moje idealne pomarańczowe pantofelki. Zupełnie jak Kopciuszek.

– Och, Bex – wzdycha Suze i nie musi mówić nic więcej. Widzę wszystko w jej rozmarzonym wzroku.

Czasami żałuję, że nie mogę wziąć z nią ślubu.

Przechadzam się kilka razy w tę i z powrotem, aż Suze wydaje z siebie pełne zadowolenie westchnienie, a następnie sięga do dużej torby, po torebkę z Prezentów i Drobiazgów.

– A co tam kupiłaś? – pyta z zainteresowaniem. Z torby wypadają drewniane litery, a ona zaczyna układać je na dywanie.

– P-E-T-E-R. Kim jest Peter?

– Nie wiem – odpowiadam wymijająco i chwytam torebkę, zanim Suze zobaczy wewnątrz swoją własną ramkę. (Kiedyś przyłapała mnie, jak kupowałam jej ramkę w sklepie Wolny jak ptak. Zezłościła się na mnie i powiedziała, że jeśli chcę, zawsze

może mi taką zrobić). – Znasz kogoś o tym imieniu?

– Nie – odpowiada. – Nie przypominam sobie. Ale mogłybyśmy sprawić sobie kota i nazwać go Peter!

– Tak – mówię z powątpiewaniem. – Może... Tak czy inaczej lepiej pójde przygotować się na jutro.

– O, właśnie – mówi Suze i sięga po kartkę. – Luke do ciebie dzwonił.

– Naprawdę? – dziwię się, próbując ukryć radość. Zawsze jestem mile zaskoczona jego telefonem, ponieważ, szczerze mówiąc, nie dzwoni zbyt często. Telefonuje po to, by ustalić godziny spotkań i tego typu sprawy, ale rzadko, by pogawędzić. Czasem przysyła mi maile, ale ich stylu też nie można nazwać gawędziarskim. Kiedy przeczytałam pierwszy, wręcz przeżyłam silny wstrząs. (Chociaż teraz na swój sposób na nie czekam).

– Powiedział, że odbierze cię ze studia jutro o dwunastej. Ponieważ musiał odstawić mercedesa do serwisu, pojedziecie MGF.

– Naprawdę? To super! – cieszę się.

– Właśnie – potwierdza Suze i uśmiecha się do mnie promiennie. – Czyż to nie wspaniałe? Aha, poprosił również, żebyś zabrała niewielki bagaż, ponieważ bagażnik jest mały.

Wpatruję się w nią, a uśmiech powoli znika mi z twarzy.

– Co powiedziałaś?

– Zabierz mały bagaż – powtarza Suze. – No wiesz, może jedną małą walizkę albo torbę podróżną...

– Wiem, co oznacza „mały bagaż”! – wykrzykuję, a głos mi drży z przerażenia. – Tyle że ja... nie potrafię!

– Oczywiście, że potrafisz.

– Suze, widziałaś, ile mam rzeczy? – pytam i otwieram drzwi do swojego pokoju. – Spójrz tylko.

Podąża za moim wzrokiem i obie wpatrujemy się w moje łóżko. Duża jaskrawozielona walizka jest pełna, obok niej leży kolejny stos ubrań, a ja nie zabrałam się nawet za pakowanie kosmetyków i innych rzeczy.

– Nie potrafię się spakować – lamentuję. – Co ja zrobię?

– Zadzwoń do Luke’a i poinformuj go o tym – sugeruje Suze. – Powiedz mu, że będzie musiał przyjechać samochodem z większym bagażnikiem.

Milknę na chwilę. Próbuję wyobrazić sobie wyraz twarzy Luke’a, kiedy oznajmiam mu, że musi wynająć większy samochód z powodu ilości moich ubrań.

– Chodzi o to, że nie jestem pewna, czy mnie właściwie zrozumie.

Dzwoni dzwonek u drzwi i Suze wstaje.

– To kurier z firmy Special Express po moją przesyłkę – mówi. – Posłuchaj, Bex, będzie dobrze. Po prostu odrzuć kilka rzeczy. – Idzie otworzyć drzwi i zostawia mnie

wpatrzoną w pokryte kłębowiskiem ubrań łóżko.

Odrzucić? Co dokładnie mam odrzucić? Nie spakowałam przecież masy niepotrzebnych rzeczy. Jeśli zacznę wyrzucać ubrania na chybił trafił, cały mój system się zawali.

No dobrze, myśl lateralnie. Musi istnieć jakieś rozwiązanie.

Może po kryjomu przyczepić do samochodu przyczepkę, kiedy Luke nie będzie patrzył?

Mogłabym też włożyć na siebie wszystkie ubrania, jedno na drugie, i oznajmić, że trochę mi zimno.

Och, to beznadziejna sytuacja. Co ja zrobię?

Nieprzytomnie wychodzę z pokoju na korytarz, gdzie Suze wręcza bąbelkową kopertę mężczyźnie w uniformie.

– Świetnie – mówi kurier. – Proszę tylko podpisać tutaj. Dzień dobry! – rzuca radośnie w moją stronę, a ja kiwam głową i beznamiętnie wpatruję się w jego znaczek, na którym widnieje napis: „Wszystko, wszędzie, na jutro rano”.

– To pani pokwitowanie – zwraca się do Suze i odwraca się do wyjścia. Jest w połowie drogi, gdy słowa z jego znaczka zaczynają kłębić się w mojej głowie.

Wszystko.

Wszędzie.

Na jutro...

– Proszę poczekać! – wołam, zanim drzwi zdążyły zamknąć się z hukiem. – Czy może pan chwilę poczekać?

Wydawnictwo Paradigm Sp. z o.o.  
695 Soho Square  
Londyn W1 5AS

Sz.P.  
Rebecca Bloomwood  
Burney Road 4 m. 2  
Londyn SW6 8FD

Droga Becky!

Dziękuję Ci bardzo za wiadomość głosową. Bardzo się cieszę, że praca nad książką świetnie Ci idzie.

Pamiętasz zapewne, że podczas naszej rozmowy dwa tygodnie temu zapewniłaś mnie, iż w ciągu kilku dni prześlesz mi pierwszą wersję książki. Mam nadzieję, że jest ona w drodze. A może zaginęła na poczcie? Czy możesz mi przesłać kopię?

Co do zdjęcia, włóż cokolwiek, w czym dobrze się czujesz. Bluzka od Agnès B wydaje się świetnym wyborem, podobnie jak kolczyki, które opisałaś.

Z niecierpliwością czekam na maszynopis. Jeszcze raz chciałam zaznaczyć, że jesteśmy zachwyceni i podekscytowani, iż dla nas piszesz.

Z najlepszymi życzeniami,  
Pippa Brady  
Redaktor

KSIĄŻKI WYDAWNICTWA PARADIGM:  
MY POMAGAMY TOBIE, A TY POMÓŻ SOBIE

JUŻ WKRÓTCE! *Jak przetrwać w dżungli* brygadiera Rogera Flintwooda

## Rozdział 3

Następnego dnia za pięć dwunasta nadal siedzę w jasnych światłach planu zdjęciowego *Porannej Kawy* i zastanawiam się, jak długo jeszcze tam zostanę. Moje wejście z poradami finansowymi zwykle kończy się za dwadzieścia jedenasta, ale prowadzący tak zaaferowani są kobietą medium, która twierdzi, że jest wcieleniem Marii, królowej Szkotów, że wszystko się przedłużyło. Luke pojawi się lada moment, a ja muszę się jeszcze przebrać z eleganckiego kostiumu.

– Becky? – zwraca się do mnie Emma, jedna z prezenterek *Porannej Kawy*, siedząca naprzeciw mnie na niebieskiej kanapie. – Ten problem wydaje się poważny.

– Rzeczywiście – potwierdzam, z trudem koncentrując się z powrotem na programie. Zerkam na kartkę leżącą przede mną, a potem uśmiecham się współczująco do kamery.

– Podsumowując, Judy, razem z mężem Billem otrzymaliście w spadku pewną sumę pieniędzy. Ty chciałybyś zainwestować je w akcje, ale twój mążonek jest temu przeciwny.

– To jak rzucanie grochem o ścianę! – Słysząc oburzony głos Judy. – Twierdzi, że stracę całą sumę, a to również jego pieniądze i jeśli chcę uprawiać hazard, to mogę się...

– Tak – wtrąca się umiejętnie Emma. – Cóż, to trudna sytuacja, kiedy partnerzy nie zgadzają się w kwestii finansów, prawda, Becky?

– Po prostu go nie rozumiem! – wykrzykuje Judy. – To nasza szansa na poważną inwestycję. Nadarza się wspaniała okazja! Dlaczego on tego nie widzi?

Kobieta milknie i zalega pełna napięcia cisza. Wszyscy czekają na moją odpowiedź.

– Judy... – mówię i zamyślam się. – Czy mogę zadać ci pytanie? W co ubrany jest dzisiaj Bill?

– W garnitur – odpowiada słuchaczka, a w jej głosie słychać zdziwienie. – Szary garnitur do pracy.

– A jaki ma krawat? Gładki czy wzorzysty?

– Gładki – odpowiada natychmiast Judy. – Wszystkie jego krawaty są gładkie.

– Czy założyłyby kiedykolwiek krawat, powiedzmy, z wizerunkami postaci z kreskówek?

– Nigdy!

– Rozumiem. – Unoszę brwi. – Judy, czy można uczciwie stwierdzić, że Bill jest osobą o zachowawczym podejściu do życia, że nie lubi podejmować ryzyka?

– No... no tak – potwierdza Judy. – Rzeczywiście, to chyba trafne określenie.



– Ach! – wzdycha nagle Rory po przeciwnej stronie kanapy. To drugi prezenter *Porannej Kawy*. Bardzo stylowo się prezentuje i potrafi wspaniale flirtować z gwiazdami filmowymi, ale nie jest Einsteinem. – Chyba rozumiem, do czego zmierzasz, Becky.

– Dziękuję, Rory – mówi Emma i przewraca oczami w moim kierunku. – Chyba wszyscy rozumiemy. Becky, czy sugerujesz, że skoro Bill nie lubi ryzyka, ma prawo unikać inwestowania w akcje?

– Nie – odpowiadam. – Wcale tak nie twierdzę. Być może Bill nie uświadamia sobie, iż istnieją inne rodzaje ryzyka. Rzeczywiście, inwestując w akcje, ryzykujemy utratę pieniędzy w krótkim czasie. Jeśli jednak zdeponujemy je w banku na lata, istnieje jeszcze większe zagrożenie, że kapitał straci na wartości pod wpływem inflacji.

– Aha – wtrąca się mądrze Rory. – Inflacja.

– Za dwadzieścia lat spadek może być niewiele wart w porównaniu do tego, co mógłby zarobić na rynku akcji. Skoro Bill ma koło trzydziestki i chce zainwestować długoterminowo, chociaż wydaje się to ryzykownym posunięciem, pod wieloma względami bezpieczniejszym wyborem będzie dla niego zrównoważony portfel akcji.

– Rozumiem – stwierdza Emma i posyła mi pełne podziwu spojrzenie. – W życiu nie spojrziałabym na to w ten sposób.

– Trafna inwestycja polega często jedynie na zmianie myślenia na lateralne – dodaję i uśmiecham się skromnie.

Boże, uwielbiam to uczucie, gdy podam trafną odpowiedź i wszyscy są pod wrażeniem.

– Czy to ci pomoże, Judy? – pyta Emma.

– Tak – odpowiada dzwoniąca. – Bardzo! Nagrałam naszą rozmowę, żeby odtworzyć ją Billowi wieczorem.

– Świetnie – mówię. – Sprawdź najpierw, jaki ma na sobie krawat.

Wszyscy się śmieją, a ja po chwili dołączam do nich, chociaż właściwie nie żartowałam.

– Czas na jeszcze jeden krótki telefon – oznajmia Emma. – Jest z nami Enid z Northampton, która chce się dowiedzieć, czy ma wystarczającą sumę pieniędzy, by przejść na emeryturę. Czy mam rację, Enid?

– Tak – słychać głos dzwoniącej. – Mój mąż Tony przeszedł ostatnio na emeryturę. W zeszłym tygodniu wzięłam urlop i spędziłam go razem z nim w domu, gotując i wykonując inne prace domowe. Tony... to znaczy my razem zastanawialiśmy się nad moją wcześniejszą emeryturą. Nie jestem jednak pewna, czy mam wystarczającą sumę oszczędności, dlatego postanowiłam zadzwonić.

– Jakiego rodzaju zabezpieczenie finansowe posiadasz, Enid?

– Mam emeryturę, na którą składki odprowadzałam całe życie – odpowiada niepewnie kobieta. – Do tego kilka planów oszczędnościowych, a poza tym niedawno

otrzymałam spadek, dzięki któremu powinnam spłacić kredyt hipoteczny.

– Proszę – podsumowuje radośnie Emma. – Nawet ja widzę, że świetnie zabezpieczyłaś się na przyszłość. Mogę ci jedynie życzyć szczęśliwej emerytury.

– No tak – mówi dzwoniąca. – Rozumiem. Czyli nie ma powodu, bym nie przechodziła na emeryturę? Tak jak mówił Tony. – Po drugiej stronie zapada cisza i słychać jedynie głośny oddech kobiety. Emma rzuca mi przelotne spojrzenie. Wiem, że w tym momencie producent Barry zapewne krzyczy jej do słuchawki, by jakoś wypełnić tę przerwę w rozmowie.

– W takim razie powodzenia, Enid! – rzuca radośnie Emma. – Becky, na temat odkładania pieniędzy na emeryturę...

– Chwileczkę... – przerywam jej i lekko marszczę czoło. – Enid, nie ma finansowych przeszkód, byś przeszła na emeryturę. Zastanówmy się jednak nad najważniejszym powodem. Czy rzeczywiście chcesz to zrobić?

– Cóż... – Głos Enid lekko się łamie. – Mam ponad pięćdziesiąt lat. Trzeba patrzeć w przyszłość, prawda? Tony twierdzi, że dzięki emeryturze będziemy mogli spędzać więcej czasu razem.

– Lubisz swoją pracę?

Kobieta znowu chwilę milczy.

– Tak, lubię. Pracuję w świetnej ekipie. Jestem starsza od większości pracowników, ale kiedy dobrze się razem bawimy, nie ma to znaczenia...

– Obawiam się, że nasz czas dobiega końca – przerywa Emma, która uważnie słucha instrukcji w słuchawce. Uśmiecha się do kamery. – Powodzenia na emeryturze, Enid...

– Chwileczkę! – mówię szybko. – Enid, nie rozłączaj się, jeśli chcesz jeszcze porozmawiać. Dobrze?

– Dobrze. Bardzo chętnie.

– Spójrzmy teraz na prognozę pogody – zapowiada Rory, który zawsze się ożywia, gdy segment finansowy dobiega końca. – Jeszcze ostatnie słowo od ciebie, Becky.

– Jak zwykle – mówię i uśmiecham się do kamery. Troszcz się o swoje pieniądze...

– ...a one zatroszczą się o ciebie! – dopowiadają Rory i Emma. Po chwili napięcia wszyscy się rozluźniają, a na plan wkracza Zelda, asystentka producenta.

– Dobra robota! – oznajmia. – Świetny materiał. Becky, na linii czwartej czeka Enid, ale możemy ją spławić, jeśli chcesz.

– Nie – protestuję zaskoczona. – Chcę z nią porozmawiać. Wydaje mi się, że ona wcale nie chce przechodzić na emeryturę.

– Jak uważasz – odpowiada Zelda i odhacza coś na kartce. – Poza tym Luke czeka na ciebie w recepcji.

– Już? – Spoglądam na zegarek. – O Boże... W porządku. Czy możesz mu przekazać, że zaraz przyjdę?

Naprawdę nie zamierzałam rozmawiać przez telefon tak długo. Kiedy jednak zaczęłam, wszystko wyszło na jaw: że Enid boi się przejścia na emeryturę, a jej mąż chce jedynie, by była w domu i gotowała dla niego. Okazało się, że kobieta naprawdę lubi swoją pracę i zamierzała pójść na kurs komputerowy, ale jej mąż stwierdził, że to strata pieniędzy. Pod koniec rozmowy jestem poważnie rozwścieczona. Kilka razy powtórzyłam, co o tym sędzę, i właśnie pytam Enid, czy uważa się za feministkę, kiedy Zelda stuka mnie w ramię, a ja przypominam sobie, gdzie jestem.

Kolejne pięć minut zajmuje mi przeproszanie Enid i wyjaśnienie, że muszę kończyć, następnie ona przeprosza mnie, wreszcie obie powtarzamy „do usłyszenia”, „dziękuję” i „nie ma za co” jakieś dwadzieścia razy. Zaraz jak najszybciej udaję się do garderoby i przebieram ze stroju do *Porannej Kawy* w strój na podróż.

Spoglądam na siebie w lustrze i podoba mi się to, co widzę. Mam na sobie kolorową bluzkę w stylu Pucciego, postrzępione džinsowe szorty, nowe sandały, okulary przeciwsłoneczne od Gucciego (kupione na wyprzedaży w Harvey Nichols za pół ceny!) i mój ukochany błękitny szal od Denny’ego i George’a.

Luke ma słabość do mojego szala. Kiedy ludzie pytają, jak się poznaliśmy, zawsze powtarza:

– Nasze spojrzenia spotkały się nad szalem od Denny’ego i George’a. – To w zasadzie prawda. Pożyczył mi część pieniędzy, których potrzebowałam, by go kupić, i nadal utrzymuje, że mu ich nie oddałam, więc szal częściowo należy do niego. (Co jest całkowitą nieprawdą. Od razu oddałam mu pieniądze).

Tak czy inaczej często go zakładam, gdy razem wychodzimy. Również wtedy, gdy zostajemy razem w domu. Powiem wam w sekrecie, że czasem nawet...

W zasadzie nie. Nie musicie o tym wiedzieć. Zapomnijcie, że o tym wspomniałam.

Pędzę wreszcie do recepcji i po drodze zerkam na zegarek. O Boże, jestem spóźniona o czterdzieści minut. Widzę Luke’a siedzącego na miękkim krześle, wysokiego i eleganckiego w koszulce polo, którą kupiłam mu na wyprzedaży u Ralpha Laurena.

– Bardzo cię przeproszam – zaczynam. – Ja tylko...

– Wiem – mówi Luke, a potem zamyka gazetę i wstaje. – Rozmawiałaś z Enid. – Całuje mnie i ściska za ramię. – Oglądałem ostatnie kilka telefonów. Brawo!

– Nie uwierzysz, jakiego ma męża – opowiadam, kiedy przechodzimy przez drzwi wahadłowe i idziemy na parking. – Nic dziwnego, że kobieta chce nadal pracować.

– Wyobrażam sobie.

– Wydaje mu się, że jedynym jej zadaniem jest ułatwianie mu życia. – Potrząsam gwałtownie głową. – Boże, ja nigdy nie będę siedziała w kuchni tylko po to, by gotować dla ciebie kolację. Nigdy, przenigdy.

Zapada krótka cisza i kiedy podnoszę wzrok, widzę na twarzy Luke’a delikatny uśmiech.

– To znaczy, no wiesz – dodaję pośpiesznie. – Dla nikogo.

– Miło mi to słyszeć – oznajmia łagodnie Luke. – Szczególnie cieszy mnie fakt, że nigdy nie przygotujesz dla mnie marokańskiej niespodzianki z kuskusem.

– Wiesz, co mam na myśli... – Lekko się czerwienię. – Obiecałeś, że nigdy więcej o tym nie wspomnisz.

Moja słynna marokańska kolacja miała miejsce niedługo po tym, jak zaczęliśmy się spotykać. Naprawdę chciałam pokazać Luke'owi, że potrafię gotować. Obejrzałam wcześniej program o potrawach kuchni marokańskiej, które wydawały się proste i efektowne. Na dodatek na wyprzedazy w Debenhams można było kupić piękną marokańską zastawę stołową, więc wszystko zapowiadało się idealnie.

Ale ten rozmoczony kuskus... Boże, to była najbardziej odrażająca rzecz, jaką w życiu widziałam. Nawet po tym, jak za radą Suze podsmażyłam go z mango i sosem chutney. Na dobitkę było go całe mnóstwo, pęczniał w rozstawionych po kuchni miskach.

Tak czy inaczej nieważne. W rezultacie zjedliśmy smaczną pizzę.

Podchodzimy do kabrioletu w rogu parkingu i Luke otwiera go pilotem.

– Dostałaś moją wiadomość na temat bagażu? – pyta.

– Tak, dostałam. Proszę.

Zadowolona z siebie podaję mu przeuroczą, maleńką walizeczkę, którą kupiłam w sklepie z prezentami dla dzieci w Guildford. Zrobiona jest z białego płótna w czerwone serduszka i używam jej jako neseseru.

– To wszystko? – pyta zdumiony Luke, a ja tłumię chichot. Ha! To jest właśnie mały bagaż.

Jestem z siebie taka zadowolona. W walizeczce mam jedynie kosmetyki do makijażu i szampon, ale Luke nie musi o tym wiedzieć, prawda?

– Tak, to wszystko – potwierdzam i unoszę lekko brwi. – Powiedziałeś „mały bagaż”.

– Rzeczywiście, ale to... – Wskazuje walizeczkę. – Jestem pod wrażeniem.

Otwiera bagażnik, a ja siadam na siedzeniu kierowcy i przysuwam fotel, by sięgnąć pedałów. Zawsze chciałam poprowadzić kabriolet!

Słysząc trzask zamykanego bagażnika i Luke podchodzi do mnie z pytającym wyrazem twarzy.

– Będiesz prowadzić?

– Pomyślałam, że poprowadzę przez część drogi – mówię beztrosko. – Żeby cię trochę odciążyć. Wiesz, jazda przez zbyt długi czas może być niebezpieczna.

– Potrafisz prowadzić w tych butach? – Patrzy na moje pomarańczowe sandałki. Muszę przyznać, że obcas jest nieco zbyt wysoki, by wciskać pedały. Nie przyznam się jednak do tego. – Nowe, prawda? – dodaje i przygląda się im bliżej.

Już mam odpowiedzieć „tak”, ale przypominam sobie, że ostatnim razem, gdy się

widzieliśmy, też miałam na nogach nowe buty, podobnie jak na wcześniejszym spotkaniu. To rzeczywiście dziwne i musi mieć coś wspólnego z randomizacją klastrów.

– Nie! – odpowiadam więc. – Mam je od wieków. Właściwie... – Odchrząkuję. – To moje buty samochodowe.

– Buty samochodowe? – powtarza sceptycznie Luke.

– Tak – potwierdzam i zapalam silnik, zanim zdąży powiedzieć coś więcej. Boże, ten samochód jest zdumiewający! Wydaje fantastyczny warkot i lekki zgrzyt, gdy wrzucam bieg.

– Becky...

– Wszystko w porządku! – uspokajam go i powoli przejeżdżam przez parking w kierunku ulicy. Och, to taki wspaniały moment. Zastanawiam się, czy ktoś mnie widzi, czy Emma i Rory wyglądają przez okno. I ten dźwiękowiec, któremu się wydaje, że jest super, bo jeździ na motorze. Ha! Ale kabrioletu nie ma. Celowo przez przypadek naciskam klakson i kiedy dźwięk rozlega się po parkingu, widzę, że przynajmniej trzy osoby obejrzały się za nami. Ha! Spójrzcie na mnie. Ha, ha, ha...

– Kwiatuzku – mówi siedzący obok Luke. – Blokujesz ruch.

Zerkam w tylne lusterko i widzę trzy samochody pełnące za mną. To idiotyczne, przecież nie jadę aż tak wolno.

– Przyspiesz odrobinę – sugeruje Luke. – Chociaż do piętnastu kilometrów na godzinę.

– Tak właśnie jadę – odpowiadam rozzłoszczona. – Nie oczekujesz chyba, że wystrzelę jak z procy milion kilometrów na godzinę. Obowiązuje przecież ograniczenie prędkości.

Podjeżdżam do bramy wyjazdowej, uśmiecham się nonszalancko do strażnika, który patrzy na mnie zdziwiony, i wyjeżdżam na ulicę. Włączam lewy kierunkowskaz i ostatni raz odwracam się, by sprawdzić, czy ktoś znajomy nie wyszedł właśnie z budynku i nie patrzy na mnie z podziwem. Kiedy słyszę trąbienie samochodu za mną, ostrożnie zjeżdżam na chodnik.

– Jesteśmy na miejscu – mówię. – Teraz twoja kolej.

– Moja kolej? – Luke wpatruje się we mnie. – Już?

– Muszę zrobić paznokcie – wyjaśniam. – Poza tym wiem, że twoim zdaniem nie umiem prowadzić. Nie mam zamiaru oglądać twojej skwaszonej miny przez całą drogę do Somerset.

– Wcale nie mam takiego zdania – protestuje z lekkim uśmiechem. – Kiedy tak powiedziałem?

– Nie musisz nic mówić. Twoje myśli pojawiają się nad twoją głową w komiksowym dymku: „Becky Bloomwood nie umie prowadzić”.

– I tutaj się mylisz – odparowuje Luke. – W komiksowym dymku widnieje napis:

„Becky Bloomwood nie jest w stanie prowadzić samochodu w swoich nowych pomarańczowych butach, ponieważ mają zbyt wysokie i cienkie obcasy”.

Unosi brwi, a ja czuję, że lekko się czerwienię.

– To moje buty samochodowe – mamroczę i przesiadam się na fotel pasażera. – I mam je od dawna.

Sięgam do torby po pilniczek do paznokci, a Luke siada za kierownicą, pochyła się i całuje mnie.

– Tak czy inaczej dziękuję ci za poprowadzenie przez chwilę – mówi. – Jestem pewien, że zmniejszy to ryzyko mojego zmęczenia podczas jazdy autostradą.

– Bardzo dobrze! – przytakuję i zabieram się za paznokcie. – Musisz zachować energię na wszystkie długie spacery po okolicy, na które wybierzemy się jutro.

Zapada cisza. Po chwili podnoszę wzrok.

– Tak – mówi Luke, ale już się nie uśmiecha. – Becky, miałem zamiar porozmawiać z tobą o jutrzejszym dniu. – Milknie, a ja wpatruję się w niego i czuję, że uśmiech powoli znika również z mojej twarzy.

– Chodzi o to, że pojawiła się pewna okazja biznesowa, którą bardzo chciałbym... wykorzystać. Przyjechała delegacja ze Stanów i muszę z nimi porozmawiać. Pilnie.

– Och – mówię niepewnie. – Cóż... w porządku. Jeśli masz przy sobie telefon...

– To nie będzie rozmowa telefoniczna. Zaplanowałem spotkanie na jutro.

– Jutro? – powtarzam i śmieję się lekko. – Nie możesz wziąć udziału w spotkaniu. Będziemy przecież w hotelu.

– Podobnie jak osoby, z którymi muszę porozmawiać – wyjaśnia Luke. – Zaprosiłem je tam.

Wpatruję się w niego zszokowana.

– Zaprosiłeś biznesmenów na nasz wyjazd?

– Tylko na spotkanie – wyjaśnia. – Przez resztę czasu będziemy tylko we dwoje.

– A jak długo będzie trwało spotkanie?! – wykrzykuję. – Nie odpowiadaj! Cały dzień.

Nie mogę w to uwierzyć. Tak czekałam na ten wyjazd, tak się cieszyłam, tak się pakowałam...

– Becky, nie będzie tak źle, jak...

– Obiecałeś, że weźmiesz urlop! Mówiłeś, że to będzie cudowny, romantyczny wyjazd.

– I tak właśnie będzie.

– Ze wszystkimi twoimi kolegami z pracy. Z tymi okropnymi biznesmenami, którzy ciągle krążą wokół ciebie jak jakieś... larwy!

– Nie będą krążyć wokół nas – zaprzecza z szerokim uśmiechem Luke. – Becky... – Sięga po moją dłoń, ale cofam ją.

– Szczerze mówiąc, nie widzę, po co miałabym jechać, skoro chodzi jedynie

o twoje interesy – mówię zasmucona. – Równie dobrze mogłabym zostać w domu. Właściwie... – Otwieram drzwi samochodu. – Właściwie myślę, że od razu wrócę do domu. Zamówię taksówkę ze studia.

Zatraskuję drzwi i ruszam ulicą, a moje pomarańczowe sandały stukają o rozgrzany chodnik. Dopiero przy bramie studia słyszę jego głos, tak donośny, że parę osób odwróciło się na jego dźwięk.

– Becky! Zaczekaj!

Zatrzymuję się i powoli odwracam w miejscu. Widzę, jak Luke wstaje i wybiera numer w telefonie.

– Co robisz? – pytam podejrzliwie.

– Dzwonię do mojego okropnego partnera biznesowego, żeby przełożyć spotkanie. Odwołać je.

Krzyżuję ręce na piersiach i wpatruję się w niego zmrużonymi oczami.

– Halo, poproszę z pokojem trzysta jeden. Michael Ellis. Dziękuję. Będę chyba musiał polecieć do Waszyngtonu, by się z nim spotkać – dodaje grobowym tonem. – Albo poczekam do następnego razu, kiedy wszyscy razem przylecą do Wielkiej Brytanii, co nieprędko się zdarzy, zważywszy na ich napięte grafiki. Tak czy inaczej to przecież tylko biznes. Tylko umowa, na której podpisanie czekałem całe...

– Och, przestań! – rzucam z furją. – Przestań. Idź sobie na to głupie spotkanie.

– Jesteś pewna? – pyta Luke, zakrywając telefon dłonią. – Całkowicie pewna?

– Raczej – mówię i wzruszam posępnie ramionami. – Jeśli to aż takie ważne.

– Dość ważne – potwierdza Luke i patrzy mi prosto w oczy z poważnym wyrazem twarzy. – Uwierz mi, że w przeciwnym razie nie robiłbym tego.

Wracam powoli do samochodu, a Luke odkłada telefon.

– Dziękuję, Becky – mówi. Wsiadam do środka. – Naprawdę. – Delikatnie dotyka mojego policzka, potem sięga po kluczyki i zapala silnik.

Gdy zmierzamy w kierunku świateł, zerkam na niego, a następnie na jego telefon, wystający nadal z kieszeni.

– Czy naprawdę dzwoniłeś do swojego partnera? – pytam.

– A ty naprawdę szłaś do domu? – pyta w odpowiedzi, nie odwracając głowy.

To właśnie jest najbardziej irytujące w związku z Lukiem. Nic się przed nim nie ukryje.

Jedziemy przez mniej więcej godzinę po wiejskiej okolicy, zatrzymujemy się na lunch w miejscowym pubie, a potem kolejne półtorej godziny zajmuje nam droga do Somerset. Gdy wreszcie docieramy do Blakeley Hall, czuję się jak inna osoba. Wspaniale wyjechać z Londynu. To cudowne wiejskie powietrze z miejsca dodało mi energii i odświeżyło mnie. Wsiadam z samochodu, przeciągam się kilka razy i od razu czuję się bardziej sprawna fizycznie i zgrabniejsza. Myślę, że gdybym co tydzień wyjeżdżała na wieś, zrzuciłabym przynajmniej sześć kilogramów.

– Zjesz resztę? – pyta Luke i wyciąga niemal opróżniona torebkę Maltesers, które pojadałam w drodze. (Muszę jeść w samochodzie, inaczej cierpię na chorobę lokomocyjną). – A co z tymi czasopismami? – Podnosi stertę kolorowych magazynów spod mojego siedzenia i po chwili chwyta je mocniej, gdy zaczynają wyslizgiwać mu się z dłoni.

– Nie będę tu przecież czytać czasopism – stwierdzam zaskoczona. – Jesteśmy na wsi!

Czyżby Luke nie wiedział nic o wiejskim życiu?

Wymuje torby z bagażnika, a ja podchodzę do płotu i patrzę spokojnie na pole pełne brązowożółtego czegoś. Mam chyba naturalny związek ze wsią. Czuję bliski kontakt z pielęgnacją, hodowlą, Matką Ziemią i nawet nie zauważyłam, kiedy ta strona mojej osobowości tak bardzo się rozwinęła. Na przykład wczoraj przyłapałam się na kupnie koszulki we wzorek *fair isle* z French Connection i niedawno zaczęłam uprawiać ogródek! A przynajmniej nabyłam w The Pier kilka uroczych ceramicznych doniczek z napisami „bazylią”, „kolendra” oraz parę innych i na pewno kupię kilka tych małych roślinek z supermarketu i ustawię je w rządku na parapecie. (Kosztują jedynie pięćdziesiąt pensów, więc jeśli zwiędną, kupię następne).

– Gotowa? – pyta Luke.

– Jak najbardziej! – Ruszam w jego stronę, zataczając się lekko i przeklinając błoto.

Zmierzamy zwirową ścieżką do hotelu i muszę powiedzieć, że jestem pod wrażeniem. Przed nami pojawia się okazały wiejski dom w starym stylu, z pięknymi ogrodami, w których ustawiono nowoczesne rzeźby, i własnym kinem, jak informuje folder. Luke odwiedził to miejsce już kilka razy wcześniej, mówi, że to jego ulubiony hotel. Zatrzymuje się tu wiele gwiazd, na przykład Madonna. (A może to była Mel C? W każdym razie ktoś znany). Podobno zachowują się zawsze bardzo dyskretnie i nocują w oddzielnym budynku przerobionym z wozowni, a obsługa trzyma wszystko w tajemnicy.

Na wszelki wypadek jednak uważnie rozglądam się wkoło, gdy podchodzimy do recepcji. Widzę wiele swobodnie wyglądających osób w modnych okularach i dzinsowych strojach. Dostrzegam też blondynkę, która sprawia wrażenie znanej osobistości, a dalej...

O mój Boże! Zamieram z podniecenia. To musi być on. To Elton John! Sam Elton John stoi zaledwie kilka...

Wtedy się odwraca i mam przed sobą jedynie krępego faceta w kurtce z kapturem i okularach. Cholera. To prawie Elton John.

Docieramy do recepcji, gdzie uśmiecha się do nas recepcjonista w modnej marynarce nehru.

– Dzień dobry, panie Brandon i panno Bloomwood. Witamy w Blakeley Hall – mówi.



Zna nasze nazwiska! Nie musieliśmy ich nawet podawać! Nic dziwnego, że przyjeżdżają tu celebryci.

– Zameldowałem państwa w pokoju numer dziewięć – informuje, a Luke zaczyna wypełniać formularz. – Z widokiem na ogród różany.

– Świetnie – mówi Luke. – Becky, jaką gazetę chciałabyś dostać rano?

– „The Financial Times” – odpowiadam bez zająknięcia.

– Oczywiście – zgadza się Luke i pisze dalej. – W takim razie jeden egzemplarz „Financial Times”, a dla mnie „Daily World”.

Posyłam mu podejrzliwe spojrzenie, ale jego twarz pozbawiona jest jakiegokolwiek wyrazu.

– Życzą sobie państwo herbatę rano? – pyta recepcjonista, wklepując dane na komputerze. – Albo kawę?

– Poproszę kawę – odpowiada Luke. – Dla nas obojga, jak sadzę. – Patrzy na mnie pytająco, ja zaś przytakuję.

– W pokoju znajdą państwo dodatkowo butelkę szampana, a obsługa jest do państwa dyspozycji dwadzieścia cztery godziny na dobę – dodaje recepcjonista.

To naprawdę elegancki hotel. Obsługa natychmiast cię rozpoznaje, podaje szampana, a nie wspomnieli jeszcze o mojej przesyłce Special Express. Najwyraźniej zdają sobie sprawę, że to dyskretna kwestia. Rozumieją, że dziewczyna niekoniecznie chce, by jej chłopak wiedział o każdej paczce dostarczonej na jej nazwisko. Poczekają, aż Luke znajdzie się poza zasięgiem słuchu, i poinformują mnie o dostawie. To się nazywa indywidualne podejście do klienta! Dlatego właśnie warto zatrzymać się w dobrym hotelu.

– Jeśli będzie pani jeszcze czegoś potrzebowała, panno Bloomwood, proszę bez wahania dać znać – informuje recepcjonista i patrzy na mnie znacząco.

Widzicie? Zaszzyfrowana wiadomość.

– Proszę się nie martwić, dam panu znać – odpowiadam i uśmiecham się porozumiewawczo.

Mrugnięciem wskazuję Luke’a, a recepcjonista patrzy na mnie skonsternowany, jakby zupełnie nie miał pojęcia, o czym mówię. Rety, nieźli są!

W końcu Luke kończy wypełniać formularze i oddaje je. Recepcjonista podaje mi duży, staromodny klucz do pokoju i wzywa bagażowego.

– Chyba nie potrzebujemy pomocy – oznajmia Luke z uśmiechem i unosi moją małą walizeczkę. – Nie jestem szczególnie obciążony.

– Idź na górę – mówię. – Ja tylko... coś sprawdzę. Na jutro. – Uśmiecham się do niego i po chwili z ulgą widzę, jak idzie w stronę schodów.

Jak tylko znika z zasięgu słuchu, odwracam się z powrotem do recepcjonisty.

– Wezmę ją – szepczę do obsługującego mężczyzny, który stoi odwrócony i szuka czegoś w szufladzie. Podnosi głowę i patrzy na mnie zdziwiony.

– Przepraszam, panno Bloomwood?  
– Już w porządku – mówię bardziej dosadnie. – Może pan mi ją teraz dać, póki nie ma Luke’a.

Cień obawy przebiega po twarzy recepcjonisty.

– Co konkretnie...

– Może mi pan dać moją paczkę. – Ściszam głos. – Dziękuję, że utrzymał pan to w tajemnicy.

– Pani... paczkę?

– Doręczoną przez Special Express.

– Special Express?

Wpatruję się w niego i mam złe przeczucia.

– Paczkę ze wszystkimi moimi ubraniami! Tę, o której pan nie wspomniał. Tę...

Na widok jego wyrazu twarzy moja pewność siebie maleje. Facet nie ma pojęcia, o czym mówię. Dobra, bez paniki. Ktoś inny będzie wiedział, gdzie jest.

– Powinna na mnie czekać przesyłka – wyjaśniam. – Mniej więcej tej wielkości. Miała zostać dostarczona dziś rano.

Recepcjonista potrząsa głową.

– Przykro mi, panno Bloomwood. Nie ma dla pani żadnej paczki.

Nagle robi mi się słabo.

– Ale... musi czekać na mnie paczka. Wczoraj wysłałam ją Special Express do Blakeley Hall.

Recepcjonista ściąga brwi.

– Charlotte? – woła w kierunku zaplecza. – Czy przyszła paczka na nazwisko Rebecca Bloomwood?

– Nie – odpowiada Charlotte, wychodząc z pomieszczenia. – Kiedy miała zostać dostarczona?

– Dziś rano – mówię i staram się ukryć poruszenie. – Wszystko, wszędzie, na jutro rano! To przecież jest wszędzie, prawda?

– Przykro mi, ale nic nie przyszło – mówi Charlotte. – Czy to ważna przesyłka?

– Rebecca? – Słyszę swoje imię, odwracam się i widzę Luke’a przyglądającego mi się ze schodów. – Czy coś się stało?

O Boże.

– Nie! – odpowiadam pogodnie. – Zupełnie nic! Co takiego miałoby się stać? – Szybko odwracam się od recepcji i zanim Charlotte czy recepcjonista zdążą cokolwiek powiedzieć, pędzę w stronę schodów.

– Wszystko w porządku? – pyta Luke i uśmiecha się do mnie.

– W jak najlepszym! – odpowiadam głosem o dwa tony wyższym niż zwykle. – Wszystko jest w idealnym porządku!

To nie dzieje się naprawdę. Nie mam żadnych ubrań.

Jestem na wyjeździe z Lukiem w eleganckim hotelu i nie mam ubrań. Co robić?

Nie mogę powiedzieć mu prawdy. Zwyczajnie nie mogę się przyznać, że moja urocza walizeczka jest tylko wierzchołkiem góry ubraniowej. Nie po tym, jak chełpiłam się przed nim umiejętnością spakowania małego bagażu. Kiedy skręcamy i idziemy kolejnym luksusowym korytarzem, wpadam na szalony pomysł: będę musiała improwizować. Włożę jego ubrania jak Annie Hall albo zerwę zasłony, poszukam jakiegoś zestawu do szycia i... szybko nauczę się szyć.

– W porządku? – pyta Luke, a ja uśmiecham się słabo.

Uspokój się, instruuję się stanowczo. Uspokój się. Paczka na pewno dotrze jutro rano, więc muszę przetrwać tylko jedną noc. Przynajmniej mam ze sobą kosmetyki do makijażu.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmia Luke. Zatrzymuje się przed drzwiami i otwiera je.

– Jak ci się podoba?

O rety! Rozglądam się po ogromnym, przestronnym pomieszczeniu i na chwilę zapominam o swoich zmartwieniach. Teraz rozumiem, dlaczego Luke tak lubi ten hotel. Pokój jest cudowny, zupełnie jak jego mieszkanie, wyposażony w ogromne, białe łoża przykryte wielką, miękką kołdrą, najwyższej klasy sprzęt grający i dwie zamszowe kanapy.

– Obejrzyj łazienkę – proponuje Luke. Idę za nim i padam z zachwytu. Jest tam wbudowane wielkie, mozaikowe jacuzzi, nad nim znajduje się największy prysznic, jaki kiedykolwiek widziałam, i cała półka cudownie wyglądających olejków do aromaterapii.

Może po prostu spędzę cały weekend w łazience?

– Nie wiem, co chciałabyś teraz robić – zastanawia się Luke, wracając do pokoju. Podchodzi do walizki, otwiera ją i moim oczom ukazują się rzędy koszul wyprasowanych przez jego gosposię. – Chyba powinniśmy się najpierw rozpakować.

– Rozpakować, oczywiście! – przytakuję radośnie. Podchodzę do mojej małej walizeczki, dotykam zamka, ale jej nie otwieram. – Albo – zaczynam, jakby ów pomysł właśnie przyszedł mi do głowy. – Może zejdziemy na dół na drinka, a rozpakujemy się później?

Genialna myśl. Zejdziemy na dół, porządnie się wstawimy, a następnego ranka udam bardzo zmęczoną i zostanę w łóżku, aż przyjdzie moja paczka. Dzięki Bogu. Już zaczynałam się...

– Wspaniały pomysł – przytakuje Luke. – Tylko się przebiorę. – Sięga do walizki i wyjmuję spodnie i wyprasowaną niebieską koszulę.

– Przebierać się? – pytam po chwili milczenia. – Czy obowiązują tu jakieś restrykcyjne zasady ubioru?

– Nie, nie są restrykcyjne – odpowiada Luke. – Dobrze byłoby tylko, gdybyś

przebrała się z tego stroju. – Z szerokim uśmiechem wskazuje moje postrzępione dżinsowe szorty.

– To oczywiście! – mówię i śmieję się, jakby ten pomysł był dla mnie równie oczywisty. – Dobrze, w takim razie... coś sobie wybiorę.

Ponownie odwracam się do walizeczki, otwieram ją, podnoszę wieko i spoglądam na kosmetyczkę.

Co mam robić? Luke rozpiną koszulę i spokojnie sięga po niebieską. Za chwilę spojrzy na mnie i zapyta: „Gotowa?”.

W porządku, potrzebuję radykalnego planu działania.

– Luke, zmieniłam zdanie – mówię i zamykam walizkę. – Nie idźmy do baru. – Spogląda na mnie zdziwiony, a ja posyłam mu najbardziej uwodzicielski uśmiech, na jaki mnie stać. – Zostańmy w pokoju, zamówmy coś i... – Robię kilka kroków w jego kierunku, rozwiązując po drodze koszulkę – ...zobaczmy, gdzie zaprowadzi nas noc.

Luke wpatruje się w mnie, zatrzymawszy się w połowie zapinania koszuli.

– Zdejmij to – mówię gardłowym głosem. – Jaki jest sens w ubieraniu się, skoro chcemy jedynie rozebrać się nawzajem?

Na twarzy Luke'a powoli pojawia się uśmiech, a jego oczy zaczynają błyszczeć.

– Masz rację – mówi i podchodzi do mnie, rozpinając koszulę i upuszczając ją na podłogę. – Co ja sobie myślałem.

Dzięki Bogu! – wzdycham z ulgą, gdy Luke powoli zaczyna rozwiązywać troczki mojej koszulki. Jest dobrze. Właśnie o tym...

Och, mhm...

W zasadzie jest cholernie dobrze.

## Rozdział 4

Jest ósma trzydzieści następnego ranka, a ja jeszcze nie wstałam. Nie chcę się ruszyć choćby o milimetr. Mam ochotę zostać w tym cudownym, wygodnym łóżku, owinięta wspaniałą, białą pikowaną kołdrą.

– Zostaniesz tutaj cały dzień? – pyta Luke i uśmiecha się do mnie z góry, a ja wtulam się w poduszki i udaję, że go nie słyszę. Po prostu nie chcę wstawać, tak mi tu przytulnie ciepło i radośnie.

Poza tym, choć to tylko drobny szczegół, nadal nie mam żadnych ubrań.

Zdążyłam już ukradkiem trzy razy zadzwonić do recepcji w sprawie przesyłki Special Express (raz, kiedy Luke brał prysznic, drugi raz, kiedy ja się kąpałam – zadzwoniłam wtedy z eleganckiego telefonu w łazience – a trzeci raz bardzo szybko, kiedy wysłałam Luke’a na korytarz pod pretekstem, iż słyszałam miauczącego kota).

Przesyłki nadal nie dostarczono. Wciąż nie mam żadnych ubrań. Zero.

Do tej pory nie miało to znaczenia, ponieważ wylegiwałam się w łóżku. Nie mogę jednak zjeść więcej croissantów, wypić kolejnej filiżanki kawy ani ponownie wziąć prysznic, a Luke jest już w połowie ubrany.

O Boże, nie ma rady, będę musiała włożyć wczorajsze ciuchy. To obrzydliwe, ale co innego mogę zrobić? Udam, że mam do nich sentyment albo włożę je z nadzieją, że Luke nie zauważy, iż miałam je na sobie poprzedniego dnia. Czy mężczyźni rzeczywiście zwracają uwagę na...

Chwileczkę.

Zaraz, zaraz. Gdzie są moje wczorajsze ubrania? Jestem pewna, że rzuciłam je tutaj na podłogę...

– Luke – zaczynam tak niefrasobliwie, jak potrafię. – Widziałeś ubrania, które miałam na sobie wczoraj?

– Tak – odpowiada, zerkając znad walizki. – Oddałem je dziś rano do prania razem z moimi rzeczami.

Wpatruję się w niego i ledwie mogę oddychać.

Moje jedyne ubranie oddano do pralni?

– Kiedy... kiedy wrócą? – pytam w końcu.

– Jutro rano. – Luke odwraca się i patrzy na mnie. – Przepraszam, powinienem był ci powiedzieć. Ale to nie problem, prawda? Nie musisz się martwić, tutejsza pralnia działa wyśmienicie.

– Och, nie! – odpowiadam wysokim, łamiącym się głosem. – Nie, wcale się nie

martwię.

– To dobrze – odpowiada i uśmiecha się.

– Dobrze – powtarzam i uśmiecham się do niego.

O Boże. Co ja teraz zrobię?

– A, jest dużo miejsca w szafie – informuje mnie Luke. – Chcesz, żebym coś ci powiesił? – Sięga ręką w stronę mojej walizeczki i w tym momencie, zanim jestem w stanie się powstrzymać, słyszę swój paniczny krzyk:

– Neeee! W porządku – dodaję, a on patrzy na mnie zdziwiony. – Większość moich ubrań jest z... dzianiny.

O Boże, o Boże. Teraz Luke zakłada buty. Co ja mam zrobić?

No dalej, Becky, myślę w popłochu. Ciuchy. Coś do ubrania. Nieważne co.

Może jeden z garniturów Luke'a?

Nie. Pomyśli, że to dziwaczne, a poza tym każdy z nich kosztował około tysiąca funtów, więc nie będę mogła podwinąć rękawów.

Szlafrok hotelowy? Mogę udawać, że szlafroki i miękkie bawełniane kapcie to ostatni krzyk mody. Ale nie mogę przecież paradować w szlafroku, jakbym była w spa. Wszyscy będą się ze mnie śmiali.

No dalej, w hotelu muszą przecież być jakieś ubrania. A może... stroje pokojówek?! Już lepiej! Na pewno trzymają gdzieś wieszak z uniformami, schludnymi, krótkimi sukieneczkami i kapelusikami w tym samym kolorze. Mogłabym powiedzieć Luke'owi, że to najnowsza kreacja od Prady i mieć nadzieję, że żaden z gości nie poprosi mnie, bym posprzątała jego pokój.

– Przy okazji – mówi Luke i sięga do swojej walizki. – Zostawiłaś to w moim mieszkaniu.

Zdumiona podnoszę wzrok, a on rzuca coś w moim kierunku. Coś miękkiego, z materiału... Chwytam to w ręce i mam ochotę płakać z radości. To ubranie! A dokładnie jedna za duża koszulka od Calvina Kleina. Nigdy w życiu tak się nie cieszyłam na widok gładkiej, spranej koszulki z krótkim rękawem.

– Dzięki! – rzucam i z trudem liczę do dziesięciu, nim dodam od niechcenia: – W zasadzie może włożę ją dzisiaj.

– Tę koszulkę? – pyta Luke i patrzy na mnie dziwnie. – Myślałem, że to koszula nocna.

– Tak, to koszula nocna i sukienka w jednym – wyjaśniam i wkładam ją przez głowę. Dzięki Bogu, sięga mi do połowy uda. Spokojnie może udawać sukienkę. Ha! Do tego mam w kosmetyczce elastyczną czarną opaskę na włosy, która powinna sprawdzić się w roli paska.

– Bardzo ładnie – komentuje Luke z zagadkowym uśmiechem, patrząc, jak wciskam na siebie opaskę. – Nieco kusa...

– To sukienka mini – stwierdzam stanowczo i odwracam się do lustra. O Boże,

rzeczywiście jest krótka. Już jednak za późno, by cokolwiek na to poradzić. Zakładam swoje pomarańczowe sandały, odrzucam w tył włosy i nie pozwalam sobie myśleć o wszystkich wspaniałych strojach, które zaplanowałam na ten poranek.

– Proszę. – Luke sięga po mój szal od Denny’ego i George’a i oplata go powoli wokół mojej szyi. – Szal od Denny’ego i George’a i zero majtek. To lubię.

– Włożę majtki! – protestuję z oburzeniem.

To prawda. Poczekam, aż Luke wyjdzie, a potem zwinę mu parę bokserek.

– A czego będzie dotyczył twój najnowszy biznes? – pytam szybko, by zmienić temat. – Czegoś ekscytującego?

– Tak, to duża sprawa – oznajmia Luke po chwili milczenia. Podnosi do góry dwa jedwabne krawaty. – Który przyniesie mi szczęście?

– Czerwony – stwierdzam po chwili zastanowienia. Patrzę, jak zawiązuje go na szyi szybkimi, sprawnymi ruchami. – No dalej, powiedz mi. Czy to nowy, ważny klient?

Luke się uśmiecha i potrząsa głową.

– Czy to NatWest? Już wiem, Bank Lloyds!

– Powiedzmy, że to coś, na czym bardzo mi zależy – mówi w końcu Luke. – Coś, czego zawsze pragnąłem. A co ty będziesz dzisiaj robiła? – pyta już innym tonem. – Poradzisz sobie?

Teraz to on zmienia temat. Dlaczego musi być taki tajemniczy w kwestii pracy? Czyżby mi nie ufał?

– Słyszałaś, że dzisiaj rano basen jest zamknięty? – pyta.

– Tak, wiem – przytakuję i sięgam po róż do policzków. – Nie szkodzi, znajdę sobie jakieś zajęcie.

Zapada cisza, a kiedy podnoszę wzrok, widzę, że Luke przygląda mi się niepewnie.

– Chcesz, żebym zamówił taksówkę, byś mogła pojechać na zakupy? Bath jest niedaleko stąd.

– Nie – odpowiadam z oburzeniem. – Nie chcę iść na zakupy!

Co jest prawdą. Kiedy Suze się dowiedziała, ile kosztowały pomarańczowe sandały, zmartwiła się, że zbyt mi pobłażała, i kazała przyrzec, że nie kupię niczego podczas tego weekendu. Musiałam się przeżegnać i przysiąc na, cóż, właściwie na moje pomarańczowe sandały. Zamierzam bardzo się postarać i dotrzymać obietnicy.

Suze ma całkowitą rację. Skoro ona może wytrzymać cały tydzień bez odwiedzania sklepów, ja powinnam obejść się bez zakupów przez czterdzieści osiem godzin.

– Mam zamiar spróbować wspaniałych wiejskich atrakcji – oznajmiam, zamykając róż.

– Na przykład?

– Na przykład będę podziwiała krajobrazy, może pójdę do gospodarstwa i popatrzę, jak rolnicy doją krowy lub coś w tym rodzaju.

– Rozumiem. – W kącikach ust Luke’a pojawia się delikatny uśmiech.

- Co? – pytam podejrzliwie. – Co to ma znaczyć?
- Masz zamiar pojawić się na farmie i zapytać, czy możesz wydoić krowy?
- Nie powiedziałam, że ja chcę wydoić krowy – mówię poważnie. – Powiedziałam, że mam zamiar popatrzeć na krowy. Poza tym może wcale nie pójde do żadnego gospodarstwa, może obejrzę jakieś miejscowe atrakcje. – Sięgam po plik ulotek leżący na toalecie. – Na przykład... obejrzę wystawę traktorów albo... odwiedzę klasztor Świętej Wenefrydy z jego sławnym tryptykiem bevingtońskim.
- Klasztor – powtarza Luke po chwili milczenia.
- Tak, klasztor! – Patrzę na niego z oburzeniem. – Dlaczego nie miałabym odwiedzić klasztoru? Prawdę mówiąc, jestem bardzo uduchowioną osobą.
- Z pewnością, kochanie – przytakuje Luke i posyła mi kpiące spojrzenie. – Dobrze byłoby, gdybyś włożyła na siebie coś więcej, zanim się tam wybierzesz.
- To sukienka – tłumaczę i obciążam koszulkę na pupie. – Poza tym duchowość nie ma nic wspólnego z ubraniami. Pomyśl o liliach na polu. – Patrzę na niego z satysfakcją.
- W porządku – uśmiecha się szeroko. – W takim razie baw się dobrze. – Całuje mnie. – Naprawdę przykro mi z powodu spotkania.
- Cóż. – Daję mu lekkiego kuksańca w klatkę piersiową. – Oby ten tajemniczy biznes był czegoś wart.
- Spodziewałam się, że Luke się zaśmieje, a przynajmniej uśmiechnie, ale on ledwie przytakuje, bierze teczkę i rusza do drzwi. Boże, czasem traktuje sprawy zawodowe bardzo poważnie.

Tak czy inaczej cieszę się, że mam ten poranek dla siebie, ponieważ zawsze skrycie marzyłam o tym, by zobaczyć, jak jest w klasztorze. Co prawda ciężko powiedzieć, że chodzę co tydzień do kościoła, ale to dla mnie oczywiste, że światem rządzi wyższa siła, silniejsza od nas, śmiertelników. Dlatego zawsze czytam swój horoskop w „Daily World”. Poza tym lubię śpiewy chóralne, które puszczają podczas zajęć z jogi, i te wszystkie cudowne świeczki i kadzidełka. Do tego Audrey Hepburn w *Historii zakonnicy*.

Prawdę mówiąc, zawsze skrycie pociągała mnie prostota zakonnego życia. Żadnych zmartwień, decyzji, obowiązku pracy, przez cały dzień tylko śpiewanie i spacer. Czyż to nie byłoby wspaniałe?

Zrobiłam makijaż, obejrzałam fragment talk show *Trisha*, a potem zesłam do recepcji. Najpierw bezskutecznie kolejny raz pytam o moją przesyłkę (naprawdę, pozwę ich), a potem zamawiam taksówkę do Świętej Wenefrydy. Przemierzamy wiejskie drogi, a ja podziwiam cudowne krajobrazy i zastanawiam się, czego dotyczy spotkanie Luke'a. Czego zawsze pragnął? Czy to nowy klient, nowe biuro? Może poszerzenie działalności?



Ściągam brwi, próbując sobie przypomnieć, czy nie słyszałam przypadkiem ostatnio czegoś na ten temat, i podskakuję nagle na wspomnienie pewnej rozmowy telefonicznej, którą Luke odbył kilka tygodni temu. Rozmawiał o agencji reklamowej i nawet wówczas zastanawiałam się dlaczego.

Reklama. Może o to chodzi. Może skrycie zawsze marzył, aby zostać dyrektorem reklamowym?

No tak. Wszystko jasne. Ma zamiar poszerzyć działalność PR i zająć się robieniem reklam.

A ja mogłabym w nich występować! Tak!

Na tę myśl z ekscytacji niemal połykam gumę do żucia. Wystąpię w reklamie! To będzie super! Może zagram w jednej z reklam Bacardi, w której bohaterowie płyną motorówką, jeżdżą na nartach wodnych, śmieją się i świetnie bawią. Wiem, że zwykle występują w nich modelki, ale mogę przecież pokazać się gdzieś w tle, prawda? Mogłabym też prowadzić motorówkę. Boże, to będzie fantastyczne! Polecimy na Barbados albo w inne gorące, słoneczne i luksusowe miejsce, gdzie strumieniami leje się darmowe Bacardi, będziemy mieszkać w cudownym hotelu. Oczywiście będę musiała kupić nowy strój plażowy, może nawet dwa, i nowe klapki...

– Klasztor Świętej Wenefrydy – informuje taksówkarz, a ja gwałtownie wracam do rzeczywistości. Nie jestem na Barbadosie. Jestem na cholernym końcu świata, w Somerset.

Zatrzymujemy się przed starym budynkiem pomalowanym na miodowo. Z zaciekawieniem wyglądam przez okno. A więc to jest klasztor. Nie wygląda szczególnie, przypomina szkołę albo duży wiejski dom. Zastanawiam się, czy w ogóle wysiadać, i wtedy dostrzegam coś, co lekko mnie paraliżuje – prawdziwą, żywą zakonnice. Przechodzi obok w czarnym habicie i kornecie. Prawdziwa zakonnica w swoim naturalnym środowisku! Zachowuje się zupełnie swobodnie, nawet nie zerka w stronę taksówki. Czuję się jak na safari!

Wysiadam, płacę taksówkarzowi i kiedy zmierzam w stronę ciężkich drzwi frontowych, czuję dreszcz emocji. W tym samym momencie do środka wchodzi starsza kobieta, która najwyraźniej zna teren, więc podążam za nią korytarzem w kierunku kaplicy. Wchodzę do środka i od razu zalewa mnie niezwykle, święte, niemal euforyczne uczucie. Może sprawił to cudowny zapach unoszący się w powietrzu albo muzyka organowa, ale zdecydowanie coś wyczuwam.

– Dziękuję, sostro – mówi do zakonnicy starsza kobieta i kieruje się ku przodowi kaplicy. Ja natomiast stoję w miejscu, lekko sparaliżowana.

O rety, siostra.

Siostra Rebecca.

Piękny, powłóczysty czarny habit i fantastyczna, zawsze czysta, zakonna cera.

Siostra Rebecca od świętej...

– Wyglądasz na nieco zagubioną, moja droga – słyszę za plecami głos zakonnicy i podskakuję. – Czy chciałabyś obejrzyć tryptyk bevingtoński?

– Och, hmm... tak, oczywiście – odpowiadam.

– Spójrz w górę. – Wskazuje dzieło, a ja idę niepewnie w stronę frontu kaplicy z nadzieją, że z łatwością się zorientuję, czym jest rzeczony tryptyk. Może to posąg albo... gobelin?

Podchodzę do starszej kobiety i widzę, że wpatruje się w rząd witraży pokrywający całą ścianę. Muszę przyznać, że są imponujące. Ten wielki środkowy jest fantastyczny!

– Tryptyk bevingtoński – mówi kobieta. – Nie ma sobie równych, nieprawdaż?

– Rety – szepczę pełna szacunku i wpatruję się w dzieło. – Jest piękny.

Rzeczywiście, zapiera dech w piersiach. Boże, prawdziwe dzieło sztuki od razu da się rozpoznać. Genialna twórczość sama rzuca się w oczy. Potrafię to dostrzec, choć nie jestem znawczynią.

– Wspaniałe kolory – szepczę.

– Ta dbałość o szczegóły – mówi kobieta i składa ręce. – To niepowtarzalne.

– Niepowtarzalne – powtarzam jak echo.

Już mam wskazać tęczę, która moim zdaniem świetnie wpisuje się w całość witrażu, kiedy nagle zauważam, że nie parzę na to samo, co kobieta obok. Ona przygląda się jakiemuś drewnianemu przedmiotowi, którego nawet nie zauważyłam.

Najdyskretniej jak potrafię przenoszę wzrok i natychmiast czuję ukłucie zawodu. To ma być tryptyk bevingtoński? Nawet nie jest ładny!

– Natomiast ta wiktoriańska tandeta to jawna zbrodnia! – nagle agresywnie dodaje kobieta. – Ta tęcza! Nie mdli pani na jej widok? – Wskazuje mój wielki niebieski witraż, a ja głośno przełykam ślinę.

– Właśnie – przytakuję. – Szokujące, prawda? Głęboko szokujące... Wie pani, przejdę się trochę...

Oddalam się szybko, zanim kobieta zdąży odpowiedzieć. Przesuwam się ukradkiem wzdłuż ławek, zastanawiając się, co robić, i wtedy zauważam niewielką boczną kapliczkę.

„Duchowa samotnia. Miejsce, gdzie można usiąść w ciszy, oddać się modlitwie i dowiedzieć się więcej o wierze katolickiej” – głosi napis przed wejściem.

Ostrożnie wysuwam głowę i zaglądam do kaplicy. Widzę starą zakonnice, która siedzi na krześle i haftuje. Uśmiecha się do mnie, a ja nerwowo odwzajemniam uśmiech i wchodzę do środka.

Siadam na ławce z ciemnego drewna, starając się, by nie zaskrzypiała, i przez chwilę czuję się zupełnie oniemiała. To niesamowite. Atmosfera tego miejsca jest fantastyczna, taka cisza i spokój. Samo przebywanie tutaj daje mi poczucie oczyszczenia i uduchowienia. Ponownie nieśmiało uśmiecham się do zakonnicy, a ona odkłada robótkę i patrzy na mnie tak, jakby czekała, aż się odezwę.

- Podobają mi się tutejsze świece – szepczę nabożnie. – Kupione w sklepie Habitat?
- Nie – odpowiada lekko zdziwiona. – Raczej nie.
- Ach, rozumiem.

Ziewam lekko, ponieważ nadal czuję się senna od wdychania wiejskiego powietrza, i w tym momencie zauważam odprysk lakieru na jednym z paznokci. Cichutko otwieram torebkę, wydaję pilniczek i zaczynam piłować paznokcie. Zakonnica podnosi wzrok, a ja posyłam jej smutne spojrzenie i wskazuję paznokieć (bezglębnie, ponieważ nie chcę zburzyć duchowej atmosfery). Po opiłowaniu końcówka wygląda nierówno, więc wydaję mój szybko schnący lakier Maybelline i szybko uzupełniam ubytek.

Przez cały czas siostra przygląda mi się skonsternowana, a kiedy kończę, odzywa się:

- Moja droga, czy jesteś katoliczką?
- Nie, właściwie nie – odpowiadam.
- Czy chcesz o czymś porozmawiać?

– Hmm... raczej nie. – Z czułością gładzę ławkę, na której siedzę, i przyjaźnie uśmiecham się do zakonnicy. – Piękne rzeźbienia. Czy wszystkie meble w kościele są równie efektowne?

– To jest kaplica – oznajmia i obrzuca mnie pełnym zdziwienia spojrzeniem.

– Och, wiem! Tyle że w dzisiejszych czasach wiele osób ma ławy w domach. Stały się ostatnio dość modne. Czytałam artykuł w „Harpers”...

– Moje dziecko... – Siostra unosi dłoń, by mi przerwać. – To miejsce duchowego odosobnienia, ciszy.

– Właśnie! – rzucam zaskoczona. – Właśnie po to tu przyszedłam. Po ciszę.

– To dobrze – mówi zakonnica i ponownie zapada milczenie.

W oddali słyszę dzwony i zauważam, że siostra zaczyna szeptać coś pod nosem. Ciekawe, co mówi. Przypomina mi babcię, która robiła na drutach i powtarzała sobie szeptem wzór. Może pogubiła się w robótce.

– Dobrze siostrze idzie wyszywanie – stwierdzam zachęcająco. – Co to będzie? – Zakonnica podskakuje lekko i odkłada robótkę.

– Moja droga... – mówi i wykonuje zdecydowany wydech. Następnie uśmiecha się do mnie ciepło. – W okolicy znajdują się słynne pola lawendowe. Chciałabyś je zobaczyć?

– Nie, dziękuję – uśmiecham się promiennie. – Cieszę się, że mogę tu z siostrą posiedzieć. – Mina zakonnicy staje się nieco mniej radosna.

– A może krypta? Chciałabyś zobaczyć kryptę?

– Nie bardzo, ale proszę się nie martwić. Nie nudzę się, tutaj jest tak przyjemnie. Tak... spokojnie. Zupełnie jak w musicalu *Dźwięki muzyki*.

Zakonnica patrzy na mnie, jakbym bredziła, i zdaję sobie sprawę, że prawdopodobnie od tak dawna jest w zakonie, że nie ma pojęcia, o czym mówię.

– Był taki film... – zaczynam jej wyjaśniać, ale wtedy dociera do mnie, że kobieta może nie wiedzieć nawet, czym jest film. – To takie ruchome obrazy – mówię ostrożnie. – Ogląda się je na ekranie. Film opowiada historię zakonnicy Marii...

– Mamy tu sklep – przerywa zniecierpliwiona siostra. – Może to panią zainteresuje?

Sklep! Przez chwilę czuję podekscytowanie i chcę zapytać, co w nim sprzedają, ale przypominam sobie obietnicę złożoną Suze.

– Nie mogę – oznajmiam z żalem. – Przynależałam współlokatorce, że dzisiaj nie pójdę na zakupy.

– Współlokatorce? A cóż ona ma z tym wspólnego?

– Bardzo się martwi moimi wydatkami...

– Czy pani współlokatorka decyduje o pani życiu?

– Złożyłam jej jakiś czas temu poważną obietnicę. Wie siostra, coś jak śluby...

– Nigdy się o tym nie dowie! – oznajmia zakonnica. – Jeśli jej pani o tym nie powie.

– Będę się jednak źle czuła, łamiąc obietnicę! Nie, zostanę tutaj z siostrą jeszcze chwilę, jeśli mogę. – Biorę do ręki figurkę Maryi, która zwróciła moją uwagę. – Ładna figurka. Gdzie ją siostra kupiła?

Zakonnica wpatruje się w mnie, mrużąc oczy.

– Proszę nie myśleć o tym jak o zakupach, ale potraktować to jak datek – mówi w końcu i nachyla się w moją stronę. – Pani daje pieniądze, a my w zamian jakiś drobiazg. Nie można tego w żadnej mierze traktować jak zakupy, raczej... jak darowiznę.

Przez chwilę milczę, oswajając się z tą myślą. Szczerze mówiąc, od zawsze planowałam zrobić więcej dla dobroczynności i może teraz nadarzyła się ku temu okazja.

– Więc to będzie coś w rodzaju dobrego uczynku? – pytam dla pewności.

– Dokładnie, a Jezus i jego zastępy aniołów pobłogosławią panią za to. – Dość stanowczo chwyta mnie za rękę. – Proszę się rozejrzeć po sklepie. Pokażę pani drogę.

Po wyjściu z kaplicy zakonnica zamyka drzwi i zdejmuje tabliczkę z napisem „Duchowa samotnia”.

– Nie wraca siostra?

– Nie dzisiaj – odpowiada i patrzy na mnie dziwnie. – Na dzisiaj mi wystarczy.

Wiecie, jest tak, jak głosi przysłowie – cnota jest wartością samą w sobie. Gdy po południu wracam do hotelu, promienieję radością na myśl o tym, jak wiele dobrego zrobiłam tego dnia. Moja darowizna przekazana w klasztorным sklepie wyniosła przynajmniej pięćdziesiąt funtów, jeśli nie więcej! Najwyraźniej, chociaż nie chcę się przechwalać, z natury jestem altruistką. Jak tylko zaczęłam dawać, nie mogłam przestać! Za każdym razem gdy rozstawałam się z kolejną sumą pieniędzy, czułam falę ekscytacji. Chociaż to nieistotny szczegół, w zamian otrzymałam całkiem ładne rzeczy,

mnóstwo miodu lawendowego i olejków lawendowych, herbatę lawendową, która na pewno okaże się przepyszna, a do tego poduszkę lawendową, która pomoże mi zasnąć.

Co ciekawe, nigdy wcześniej nie interesowałam się lawendą. Była dla mnie jedynie rośliną ogrodową, ale młoda zakonnica obsługująca w sklepie miała rację – lawenda ma tak wiele właściwości, które poprawiają jakość życia, że każdy powinien ją stosować. Wyjaśniła mi również, że roślina z klasztoru Świętej Wenefrydy jest całkowicie naturalna i tym samym jeszcze skuteczniejsza od innych jej rodzajów, za to znacznie tańsza niż ta oferowana w katalogach wysyłkowych. To ona przekonała mnie do zakupu poduszki i wpisania się na listę mailingową. Jak na zakonnice była dość nieustraszona.

Po powrocie do Blakeley Hall taksówkarz proponuje, że pomoże mi wnieść zakupy na górę, ponieważ pudełko z miodem jest dość ciężkie. Stoję przy recepcji i daję kierowcy pokąźny napiwek, rozważając kąpiel z dodatkiem olejku lawendowego, kiedy otwierają się drzwi frontowe i do holu wkracza blondynka z torebką od Louisa Vuittona i długimi, opalonymi nogami.

Wpatruję się w nią z niedowierzaniem. To Alicja Billington albo, jak sama ją nazywam, Alicja Długonoga Zdzira. Co ona tu robi?

Alicja jest jedną z opiekunek klienta w Brandon Communications, firmie PR Luke'a. Nigdy za sobą nie przepadałyśmy. Tak między nami, niezła z niej krowa i marzę o tym, żeby Luke ją zwolnił. Kilka miesięcy temu niemal do tego doszło i miało to niewielki związek ze mną. (Pracowałam wówczas jako dziennikarka do spraw finansowych i napisałam artykuł... Och, to długa historia). W rezultacie dostała jedynie oficjalne upomnienie i od tamtego czasu naprawdę wzięła się w garść.

Wiem o tym, ponieważ od czasu do czasu ucinam sobie pogawędkę z asystentką Luke'a Mel, która jest kochana i przekazuje mi na bieżąco wszystkie plotki. Powiedziała mi niedawno, że Alicja rzeczywiście się zmieniła. Nie stała się wcale miłsza, ale ciężiej pracuje. Wierci dziennikarzom dziurę w brzuchu, aż napiszą o jej klientach, często też zostaje w biurze do późnych godzin i stuka na klawiaturze komputera. Kilka dni temu poprosiła Mel o pełną listę klientów firmy wraz z nazwiskami osób odpowiedzialnych za kontakty z firmą, ponieważ chciała się z nimi zapoznać. Asystentka Luke'a dodała ponuro, że jej zdaniem Alicja liczy na awans i moim zdaniem ma rację. Kłopot w tym, że dla Luke'a liczy się tylko to, jak ciężko ktoś pracuje i jakie osiąga rezultaty, a nie fakt, że jest kompletnym dupkiem. Prawdopodobnie Alicja awansuje i stanie się jeszcze bardziej nieznośna.

Patrzę, jak wchodzi do hotelu, i po części chciałabym uciec, po części jednak chciałabym się dowiedzieć, co ona tu robi. Zanim zdążę się zdecydować, Alicja zauważa mnie i unosi lekko brwi. W tym momencie zdaję sobie sprawę z tego, jak wyglądam. Mam na sobie okropną, starą, szarą koszulkę, która, spójrzmy prawdzie w oczy, za grosz nie przypomina sukienki, potargane włosy i czerwoną twarz od

wnoszenia reklamówek z miodem lawendowym. Alicja natomiast ubrana jest w nieskazitelnie biały kostium.

– Rebecca! – wita mnie i zakrywa usta dłonią w udawanym przerażeniu. – Nie powinnaś wiedzieć, że tu jestem! Udawaj, że mnie nie widziałaś.

– Co? Co masz na myśli? – pytam, starając się, by ton mojego głosu nie zdradził zakłopotania. – Co ty tutaj robisz?

– Przyjechałam na krótkie wstępne spotkanie z nowymi partnerami – wyjaśnia. – Wiesz, że moi rodzice mieszkają zaledwie osiem kilometrów stąd? Świetnie się złożyło.

– Aha, nie wiedziałam – odpowiadam.

– Luke wydał wszystkim rygorystyczne instrukcje – mówi Alicja. – Nie możemy ci przeszkadzać. Przecież to twoje wakacje!

Sposób, w jaki wypowiada te słowa, sprawia, że przez chwilę czuję się jak dziecko.

– Och, nie mam nic przeciwko temu – odpowiadam zdecydowanie. – Kiedy dzieje się coś tak... tak ważnego. W zasadzie rozmawialiśmy o tym z Luke'em przy śniadaniu.

No dobrze, napomknęłam o śniadaniu, żeby przypomnieć jej, że Luke i ja jesteśmy parą. Wiem, że to żalosne, ale za każdym razem gdy rozmawiam z Alicją, czuję, że bierzemy udział w jakiejś niejawnej rywalizacji i jeśli nie odeprę ataku, ona pomyśli, że wygrała.

– Naprawdę? – dziwi się Alicja. – Jak miło. – Mruży lekko oczy. – Co w takim razie myślisz o tym całym przedsięwzięciu? Musisz mieć na ten temat swoje zdanie.

– Myślę, że to wspaniałe – odpowiadam. – Naprawdę wspaniałe.

– Nie masz nic przeciwko? – Świdruje mnie wzrokiem.

– Cóż... raczej nie. – Wzruszam ramionami. – To miały być wakacje, ale skoro to tak ważna kwestia...

– Nie chodzi mi o spotkania – wyjaśnia Alicja, śmiejąc się lekko. – Raczej o całą sprawę z Nowym Jorkiem.

Otwieram usta, by odpowiedzieć, i po chwili anemicznie zamykam je z powrotem. Jaka sprawa z Nowym Jorkiem?

Niczym myszołów, który wyczuł słabość ofiary, Alicja nachyla się w moją stronę z delikatnym, złośliwym uśmieszkiem na ustach.

– Rebecca, wiesz chyba, że Luke przenosi się do Nowego Jorku?

Jestem tak zszokowana, że nie mogę się ruszyć. Luke przeprowadza się do Nowego Jorku. Z tego powodu jest tak podekscytowany. Przenosi się do Nowego Jorku, ale dlaczego mnie o tym nie powiedział?

– Rebecca?

Unoszę gwałtownie głowę i szybko zmuszam się do uśmiechu. Nie mogę pozwolić,

by uznała, że to dla mnie nowina. Nie mogę na to pozwolić.

– Oczywiście, że o tym wiem – odpowiadam żywo i odchrząkuję. – Wiem o wszystkim, ale... nigdy nie omawiam interesów publicznie. Lepiej być dyskretnym, nie sądzisz?

– Bez wątpienia. – Wyraz jej twarzy mówi mi, że ani przez chwilę nie uwierzyła w moje słowa. – Czy ty też jedziesz do Nowego Jorku?

Wpatruję się w nią z drżącymi ustami. Nie jestem w stanie wymyślić odpowiedzi, a moja twarz czerwienieje coraz bardziej. I wtedy, dzięki Bogu, słyszę za plecami głos:

– Rebecca Bloomwood. Przesyłka dla Rebeki Bloomwood.

Unoszę gwałtownie głowę ze zdziwienia i nie mogę uwierzyć własnym oczom. Mężczyzna w stroju kuriera podchodzi do recepcji, trzymając w rękach moją ogromną, sponiewieraną paczkę Special Express, którą szczerze mówiąc, uznałam już za zaginioną. Wszystkie moje ubrania nareszcie dotarły. Wszystkie pieczołowicie dobierane stroje. Dzisiejszego wieczora mogę się ubrać, w co tylko zechcę!

To dziwne, ale nie cieszę się już tak bardzo. Chcę jedynie pójść gdzieś, gdzie będę mogła pomyśleć w samotności.

– To ja – mówię i silę się na uśmiech. – Ja jestem Rebecca Bloomwood.

– Aha – odpowiada kurier. – Więc sprawa jest prosta. Proszę tutaj podpisać.

– Nie będę cię zatrzymywać! – rzuca Alicja i z rozbawieniem patrzy na moją paczkę. – Przyjemnego pobytu!

– Dziękuję – odpowiadam i lekko oszołomiona odchodzę, ściskając mocno swoje ubrania.

**Bank Endwich  
Oddział Fulham  
Fulham Road 3  
Londyn SW6 9JH**

Sz.P.

Rebecca Bloomwood  
Burney Road 4 m. 2  
Londyn SW6 8FD

8 września 2001 roku

Szanowna Pani Bloomwood!

Dziękuję za Pani list z dnia 4 września, zaadresowany do Słodkiego Smeathiego, w którym prosi go Pani, by szybko zwiększył limit na Pani karcie kredytowej, „zanim pojawi się ten nowy”.

To ja jestem tym nowym.

Właśnie przeglądam dokumenty wszystkich klientów i skontaktuję się z Panią w kwestii Jej prośby.

Z poważaniem,  
John Gavin  
Dyrektor do spraw kredytów

**ENDWICH TROSKLIWYM BANKIEM**



## Rozdział 5

Następnego dnia wracamy do Londynu, a Luke nadal nie wspominał o nowym biznesie ani o Nowym Jorku. Wiem, że powinnam zapytać go wprost, od niechcienia zagaić: „Luke, słyszałam coś o Nowym Jorku. O co chodzi?” i poczekać, co odpowie. Ale jakoś... nie mogę się przemóc.

Po pierwsze, wystarczająco jasno zaznaczyłam, że nie chce rozmawiać o nowym biznesie. Jeśli zapytam o Nowy Jork, może uznać, że usiłowałam dowiedzieć się czegoś za jego plecami. A po drugie pierwsze, Alicji mogło się coś pomylić, a może nawet wszystko zmyśliła. (Wierzcie mi, że jest do tego zdolna. Kiedy pracowałam jako dziennikarka do spraw finansowych, wysłała mnie kiedyś na konferencję prasową do nieodpowiedniej sali i jestem pewna, że zrobiła to z premedytacją). Dlatego dopóki nie upewnię się w kwestii faktów, nie ma sensu, bym się odzywała.

Przynajmniej tak sobie powtarzam. Jeśli jednak mam być szczerą, nie mogę po prostu znieść myśli, że Luke mógłby odwrócić się do mnie, spojrzeć łagodnie i powiedzieć: „Rebecca, dobrze się bawiliśmy, ale...”.

W rezultacie nie mówię nic i często się uśmiecham, chociaż w środku czuję coraz większe napięcie i rozpacz. Kiedy zatrzymujemy się pod moim domem, mam ochotę odwrócić się do niego i zapytać płaczliwie: „Jedziesz do Nowego Jorku? Naprawdę?”.

Całuję go jednak tylko na pożegnanie i rzucam od niechcienia:

– Zdążysz w sobotę, prawda?

Okazuje się, że Luke musi jutro lecieć do Zurychu i odbyć mnóstwo spotkań z ludźmi od finansów. To oczywiście bardzo ważne i całkowicie to rozumiem, ale w sobotę ma się odbyć ślub Toma i Lucy, a to jeszcze ważniejsze. Musi na nim być, po prostu musi.

– Zdążę – odpowiada. – Obiecuję. – Ścisną mnie za rękę, wysiadam z samochodu, a on mówi, że musi lecieć. I już go nie ma.

Zrozpaczona otwieram drzwi mieszkania, a po chwili Suze wychodzi z pokoju, ciągnąc za sobą po podłodze pełny czarny worek na śmieci.

– Cześć! – wita mnie. – Wróciłaś.

– Tak – odpowiadam, siląc się na radosny ton. – Wróciłam!

Suze znika za drzwiami i słyszę, jak ciągnie worek po schodach, wynosi go przed budynek, a potem wraca do mieszkania.

– Jak było? – pyta zdyszana i zamyka za sobą drzwi.

– W porządku. – Ruszam do swojego pokoju. – Było... miło.

– Miło? – Suze mruży oczy i idzie za mną. – Tylko „miło”?

– Było... dobrze.

– Dobrze? Bex, co się dzieje? Nie spędziłaś cudownego weekendu?

Nie zamierzałam opowiadać o niczym Suze, bo nie znam przecież wszystkich faktów. Poza tym czytałam ostatnio w czasopiśmie, że pary powinny próbować same rozwiązywać swoje problemy, zanim zwrócą się o pomoc do innych. Ale spoglądam na jej ciepłą, przyjazną twarz i po prostu nie mogę się powstrzymać. Słyszę swój głos:

– Luke przeprowadza się do Nowego Jorku.

– Naprawdę? – pyta Suze, jakby nie rozumiała, o co mi chodzi. – To fantastycznie! Boże, uwielbiam Nowy Jork. Byłam tam trzy lata temu i...

– Suze, Luke przeprowadza się do Nowego Jorku i nie powiedział mi o tym.

– Och – wygląda na zaskoczoną. – Rozumiem.

– Nie chcę poruszać tego tematu, ponieważ nie powinnam o tym wiedzieć, ale zastanawiam się, dlaczego mi nie powiedział. Czy po prostu... wyjedzie? – Ze zdenerwowania podnoszę głos. – Może dostanę tylko pocztówkę z Empire State Building o treści: „Cześć. Mieszkam teraz w Nowym Jorku. Całuję, Luke”.

– Nie! – protestuje natychmiast Suze. – Na pewno nie! Nie zrobiłby tego!

– Nie?

– Na pewno nie. – Suze krzyżuje ręce na piersi, zamyśla się na moment. Potem podnosi wzrok. – Jesteś zupełnie pewna, że ci nie powiedział? Może zrobił to, gdy byłaś na wpół śpiąca albo zamyślona?

Patrzy na mnie wyczekująco i przez chwilę myślę intensywnie, czy tak właśnie mogło być. Może powiedział mi o tym w samochodzie, a ja go po prostu nie słuchałam, albo wczoraj wieczorem, kiedy przyglądałam się torebce od Lulu Guinness tej dziewczyny w barze. W końcu kręcę głową.

– Nie, jestem pewna, że pamiętałabym, gdyby wspomniał o Nowym Jorku. – Opadam smętnie na łóżko. – Nie mówi mi, bo ma zamiar mnie rzucić.

– Nie! Skądże! – odparowuje Suze. – Bex, uwierz mi, faceci nieustannie zapominają napomknąć o różnych sprawach. Tacy już są. – Omija stertę płyt kompaktowych i siada po turecku obok mnie. – Mój brat nigdy nie wspomniał o tym, że policja zapuszkowała go za narkotyki, i musieliśmy dowiedzieć się z gazet! A mój ojciec kupił kiedyś całą wyspę i nie powiedział o tym mamie.

– Naprawdę?

– Tak, a potem sam o tym zapomniał. Przypomniał sobie dopiero, kiedy ni z tego, ni z owego dostał zaproszenie na toczenie świni w beczce.

– Co takiego?

– A, taka dawna tradycja – odpowiada Suze wymijająco. – Jako właściciel wyspy tata toczył świnię jako pierwszy. – Oczy zaczynają jej błyszczeć. – W zasadzie zawsze szuka kogoś, kto zechciałby zrobić to za niego. Może ty chciałabyś zrobić to w tym roku? Zakładasz śmieszny kapelusz, musisz nauczyć się wiersza w gaelickim, ale jest

dość łatwy...

– Suze...

– Może jednak nie – dodaje pośpiesznie. – Przepraszam. – Opiera się na poduszce i zaczyna w zamyśleniu obgryzać paznokcie. Nagle podnosi głowę. – Chwileczkę, kto powiedział ci o Nowym Jorku, skoro nie zrobił tego Luke?

– Alicja – odpowiadam ponuro. – Wiedziała wszystko o wyjeździe.

– Alicja? – Suze wpatruje się w mnie. – Alicja Długonoga Zdzira? Na Boga, pewnie wszystko zmyśliła. Naprawdę, Bex, dziwię się, że jej w ogóle słuchałaś!

Mówi tak przekonująco, że serce podskakuje mi z radości. Oczywiście. To jest odpowiedź. Czyż sama tego nie podejrzewałam? Czyż nie mówiłam, jaka jest Alicja?

Pozostaje jedna maleńka wątpliwość. Nie jestem pewna, czy Suze jest w tej sytuacji całkowicie bezstronna. Miało między nimi miejsce pewne zajście. Obie zaczęły pracę w Brandon Communications w tym samym momencie, ale Suze po trzech tygodniach została zwolniona, a Alicja zrobiła zawrotną karierę. Nie żeby Suze marzyła o pracy w PR, ale jednak.

– Nie wiem – stwierdzam z powątpiewaniem. – Zrobiłaby coś takiego?

– No pewnie! Próbuje cię tylko wkręcić. No dalej, Bex, komu bardziej ufasz, Alicji czy Luke'owi?

– Luke'owi. Oczywiście, że jemu.

– I wszystko jasne!

– Masz rację – odpowiadam i czuję przypływ radości. – Masz rację! Powinam zaufać Luke'owi, prawda? Nie powinnam słuchać plotek i pogłosek.

– Właśnie.

Suze sięga po stos kopert.

– Przy okazji, tu są listy do ciebie i wiadomości z sekretarki.

– Och, dzięki! – Biorę od niej stertę z ukłuciem nadziei w sercu. Nie wiadomo, co mogło się wydarzyć, gdy mnie nie było. Może jedna z tych kopert zawiera list od dawno zapomnianego przyjaciela, wspaniałą propozycję pracy albo informację, iż wygrałam wakacyjny wyjazd!

Oczywiście zawierają co innego. Same nudne rachunki. Przeglądam koperty z niechęcią, a następnie rzucam wszystkie na podłogę, nawet ich nie otwierając.

Wiecie, zawsze tak jest. Kiedy wyjeżdżam, mam nadzieję, że po powrocie czekać będzie na mnie fura ekscytujących paczek, telegramów i listów pełnych emocjonujących wiadomości, ale zawsze się zawodzę. Uważam, że ktoś powinien założyć firmę o nazwie wakacyjnapocztka.com, która za opłatą pisałaby do ludzi mnóstwo radosnych listów tylko po to, by mieli na co czekać po powrocie do domu.

Przechodzę do wiadomości na sekretarce. Suze zapisała je naprawdę skrupulatnie.

Twoja mama – W co się ubierzesz na ślub Toma i Lucy?

Twoja mama – Nie ubieraj się na fioletowo, bo ten kolor będzie się gryzł z odcieniem jej kapelusza.

Twoja mama – Czy Luke wie, że ma przyjść w zakiecie, sztuczkowych spodniach i cylindrze?

Twoja mama – Czy Luke na pewno przyjdzie?

David Barrow – prosi o telefon.

Twoja mama –

Chwileczkę. David Barrow? Kto to taki?

– Hej, Suze! – krzyczę. – Czy David Barrow powiedział, kim jest?

– Nie – odpowiada Suze, pojawiwszy się w przedpokoju. – Poprosił tylko, byś do niego oddzwoniła.

– Aha. – Spoglądam ponownie na wiadomość. – Jakie sprawiał wrażenie?

Suze marszczy nos.

– No wiesz, faceta z wyższych sfer, dość uprzejmego.

Zaintrygowana wykręcam numer. David Barrow. Brzmi niemal znajomo. Może to producent filmowy!

– David Barrow – odzywa się głos i rzeczywiście, brzmi elegancko.

– Dzień dobry – mówię. – Tu Rebecca Bloomwood. Otrzymałam wiadomość, by do pana zadzwonić.

– A, pani Bloomwood. Jestem kierownikiem do spraw specjalnych klientów w La Rosa.

– Och. – Krzywię twarz zaskoczona. La Rosa? Co to, u licha, jest...

Ach, tak. To modny butik w Hampstead. Byłam w nim zaledwie raz, i to wieki temu. Dlaczego więc do mnie dzwoni?

– Niech wolno mi będzie najpierw powiedzieć, że to dla nas wielki zaszczyt mieć wśród klientów osobowość telewizyjną pani kalibru.

– Och! Cóż, dziękuję – odpowiadam i uśmiecham się promiennie do słuchawki. – Cała przyjemność po mojej stronie.

Wspaniale, wiem dokładnie, po co dzwoni. Chcą podarować mi kilka darmowych ubrań! Albo... tak! Chcą, bym zaprojektowała dla nich nową kolekcję! Tak. Będę projektantką. Nazwą ją kolekcją Becky Bloomwood. Proste, stylowe, wygodne stroje, do tego jedna lub dwie suknie wieczorowe...

– To jedynie telefon grzecznościowy – mówi David Barrow, przerywając moje rozmyślenia. – Chcę się upewnić, że jest pani całkowicie zadowolona z naszych usług i zapytać, czy ma pani jakieś życzenia, które moglibyśmy spełnić.

– Dziękuję! – odpowiadam. – Jestem bardzo zadowolona. Nie jestem w zasadzie stałą klientką państwa sklepu, ale...

– Chciałbym również wspomnieć o drobnej kwestii pani zadłużenia na karcie La Rosa – dodaje David Barrow, jak gdybym w ogóle się nie odezwała. – Jeśli płatność nie zostanie uregulowana w ciągu siedmiu dni, będziemy zmuszeni podjąć kolejne kroki.

Wpatruję się w telefon i czuję, że uśmiech znika mi z twarzy. To nie jest wcale telefon grzecznościowy. David Barrow nie chce, żebym zaprojektowała dla sklepu kolekcję ubrań. Dzwoni w sprawie pieniędzy!

Czuję się delikatnie rozwścieczona. Nie wolno bez zapowiedzi dzwonić do ludzi w ich własnym domu i żądać pieniędzy. Oczywiście, że im zapłacę. Tylko dlatego, że nie wysłałam czeku zaraz po tym, jak rachunek przyszedł pocztą, nie znaczy, że...

– Od momentu wystawienia pani pierwszego rachunku upłynęły trzy miesiące. Muszę panią poinformować, że po upływie trzech miesięcy nasza polityka przewiduje przekazanie wszystkich zaległych płatności do...

– Cóż, tak – przerywam mu chłodno. – W tej chwili moimi rachunkami zajmują się moi... księgowi. Porozmawiam z nimi.

– Miło mi to słyszeć. Oczywiście, mamy nadzieję, że niedługo odwiedzi pani znowu La Rosę!

– No cóż, może – odpowiadam ponuro.

Odkładam słuchawkę i widzę, jak Suze przechodzi korytarzem, taszcząc kolejny czarny worek.

– Suze, co robisz? – pytam, gapiąc się na nią.

– Odgruzowuję! – mówi. – To wspaniałe! Takie oczyszczające! Powinnaś spróbować. I kim jest David Barrow?

– Dzwonił w kwestii jakiegoś głupiego rachunku, którego nie zapłaciłam – wyjaśniam. – Naprawdę! Żeby dzwonić do mnie do domu!

– A, przy okazji. Poczekaj chwilę...

Znika na moment i pojawia się ze stertą kopert w ręce.

– Znalazłam je pod łóżkiem, kiedy sprzątałam, a kolejny stos na mojej toalecie. Chyba zostawiłaś je u mnie. – Krzywi się. – To chyba też rachunki.

– Dzięki – odpowiadam i rzucam listy na łóżko.

– Może... – sugeruje niepewnie Suze. – Może powinnaś zapłacić część z nich. No wiesz, przynajmniej jeden lub dwa.

– Ależ zapłaciłam! – mówię zaskoczona. – Zapłaciłam je wszystkie w czerwcu. Nie pamiętasz?

– Tak, oczywiście, że pamiętam! – mówi Suze i przygryza wargę. – Bex, chodzi o to, że...

– Co?

– To było już jakiś czas temu, prawda? Może od tego czasu nzbierało ci się parę nowych długów?

– Od czerwca?! – Śmieję się. – To było jakieś pięć minut temu! Naprawdę nie musisz się martwić. Weźmy na przykład ten. – Sięgam po pierwszą z brzegu kopertę. – Co kupiłam ostatnio w Marksie i Spencerze? Nic!

– Och, to dobrze – mówi z ulgą w głosie Suze. – Więc rachunek będzie opiewał na zero funtów, tak?

– Właśnie! – przytakuję i rozrywam kopertę. – Zero albo może dziesięć funtów. No wiesz, za jakieś majtki.

Wyciągam rachunek i wpatruję się w niego przez moment, nie mogąc wydusić słowa.

– Ile? – pyta zaniepokojona Suze.

– To jest... jakiś błąd – odpowiadam i próbuję wcisnąć kartkę z powrotem do koperty. – To na pewno pomyłka. Napiszę do nich w tej sprawie...

– Pokaż. – Suze chwyta rachunek i otwiera szeroko oczy. – Trzysta sześćdziesiąt pięć funtów? Bex...

– To musi być pomyłka – powtarzam, ale z mniejszym przekonaniem. Nagle przypominam sobie skórzane spodnie, które kupiłam na wyprzedaży w sklepie na Marble Arch. I szlafrok. A do tego fazę na codzienne jedzenie sushi w Marksie i Spencerze.

Suze wpatruje się we mnie przez kilka chwil, a na jej twarzy maluje się zaniepokojenie.

– Bex, myślisz, że pozostałe rachunki są równie wysokie?

Bez słowa sięgam po kopertę z Selfridges i rozrywam ją. Już w trakcie tej czynności przypominam sobie chromowaną sokowirówkę, którą zobaczyłam w sklepie i koniecznie musiałam kupić. Nigdy jej nawet nie użyłam. I sukienkę wykończoną futerkiem. Gdzież ona się podziała?

– Ile?

– Wystarczająco – odpowiadam szybko i wpycham rachunek z powrotem do koperty, zanim Suze zdąży zobaczyć, że opiewa na sporo ponad czterysta funtów.

Odwracam się, próbując zachować spokój, ale czuję się przerażona i lekko rozłoszczona. Nie tak miało być. Spłaciłam wszystkie karty. Spłaciłam je. Jaki w tym sens, skoro po chwili pojawiają się na nich kolejne zadłużenia? Po co to wszystko? Równie dobrze możemy się teraz wszyscy poddać.

– Bex, nie martw się – pociesza mnie Suze. – Wszystko będzie w porządku. Po prostu nie zrealizuję twojego czeku na poczet czynszu.

– Nie! – protestuję. – Nie wygłupiaj się. Wystarczająco wiele dla mnie zrobiłaś. Nie chcę być ci dłużna. Wolę mieć dług u Marksa i Spencera. – Rozglądam się i widzę jej zatroskaną twarz. – Suze, wyluzuj! Spokojnie dam radę odroczyć spłaty na jakiś czas. – Stukam w list. – Tymczasem poproszę o zwiększenie debetu na karcie kredytowej. W zasadzie już poprosiłam bank o większy limit, więc mogę poprosić

o jeszcze odrobinę większy. Od razu do nich zadzwonię!

– Co? W tym momencie?

– Dlaczego nie?

Podnoszę słuchawkę, sięgam po stary wyciąg bankowy i zreżnię wystukuję numer banku Endwich.

– Widzisz, nie ma żadnego problemu – pocieszam Suze. – Wystarczy jeden krótki telefon.

– Za chwilę nastąpi połączenie z centralnym biurem obsługi klienta banku Endwich – informuje cieniutki głosik po drugiej stronie linii. – Proszę zapamiętać następujący numer i posługiwać się nim przy kolejnych połączeniach: 0800...

– Co się dzieje? – pyta Suze.

– Łączą mnie z jakimś centralnym systemem – wyjaśniam, a w tle słyszę *Cztery pory roku*. – Na pewno szybko i skutecznie załatwią moją sprawę. To świetne, że wszystko można załatwić przez telefon.

– Witamy w banku Endwich – słyszę głos kolejnej kobiety. – Proszę wpisać na klawiaturze numer swojego konta.

Jaki jest mój numer konta? Cholera! Nie mam pojęcia...

A, tak, mam go na wyciągu bankowym.

– Dziękuję! – odzywa się głos, gdy kończę wklepywać cyfry. – Proszę teraz wpisać osobisty numer identyfikacyjny.

Co?

Osobisty numer identyfikacyjny? Nie miałam pojęcia, że takowy posiadam. Naprawdę! Nikt mi nigdy nie powiedział...

Chociaż... Zaczynam sobie coś przypominać.

O Boże. Jak to szło? 73, coś tam? 37, coś tam?

– Proszę wpisać osobisty numer identyfikacyjny – powtarza łagodnie głos.

– Ale ja, do cholery, nie znam żadnego osobistego numeru identyfikacyjnego! – rzucam. – Szybko, Suze, gdybyś była mną, jaki numer byś wybrała?

– Och! – zamyśla się Suze. – Hmm... wybrałabym... no... 1234?

– Proszę wpisać osobisty numer identyfikacyjny – powtarza głos, teraz z wyraźną irytacją.

Boże, to naprawdę stresujące.

– Spróbuj wstukać mój numer do zapinki rowerowej – proponuje Suze. – To 435.

– Suze, potrzebuję mojego numeru, nie twojego.

– Może wybrałaś ten sam. Nigdy nic nie wiadomo.

– Proszę wpisać...

– Dobrze, już dobrze! – krzyczę i wstukuję 435.

– Przykro mi – oznajmia głos. – Numer jest nieprawidłowy.

– Wiedziałam, że nie zadziała.

– Warto było spróbować – odpowiada ze skrucą Suze.

– Poza tym powinny być cztery cyfry, a nie trzy. – Przypominam sobie nagle. – Musiałam zadzwonić do banku i podać ten numer... stałam wtedy w kuchni... i... tak! Mam! Właśnie kupiłam nowe buty od Karen Millen, patrzyłam na metkę i tego numeru właśnie użyłam!

– Ile kosztowały?

– Chyba... sto dwadzieścia, a po obniżce osiemdziesiąt cztery funty i dziewięćdziesiąt dziewięć pensów!

– Wstukaj! 8499!

Podeksycytowana wklepuje 8499 i ku mojemu niedowierzaniu głos mówi:

– Dziękuję! Połączyłeś się z Przedsiębiorstwem usług bankowych Endwich. Endwich troskliwym bankiem. Aby połączyć się z działem pożyczek, wybierz jeden. Dział kredytów hipotecznych, wybierz dwa. Dział debetów i opłat bankowych, wybierz trzy. Dział...

– Dobra, udało się! – Robię intensywny wydech i czuję się trochę jak James Bond, który złamał kod, by ocalić świat. – Mam wybrać dział zadłużeń czy debetów i opłat bankowych?

– Debetów i opłat bankowych – orzeka ze znanstwem Suze.

– Okej. – Wybieram trzy i już po chwili wita mnie radosny, śpiewny głos.

– Dzień dobry! Witam w centralnym biurze obsługi klienta banku Endwich. Mam na imię Dawna. W czym mogę pani pomóc, pani Bloomwood?

– Och, witam! – mówię zaskoczona. – Czy pani jest prawdziwa?

– Tak! – odpowiada Dawna i śmieje się. – Jestem prawdziwa. W czym mogę pani pomóc?

– Hmm... dzwonię, ponieważ potrzebuję zwiększenia limitu na karcie kredytowej o kilkaset funtów, jeśli to możliwe. Albo więcej, jeśli macie...

– Rozumiem – oznajmia uprzejmie Dawna. – Czy jest jakiś szczególny powód pani prośby, czy to ogólna potrzeba?

Jej głos brzmi tak i miło i przyjaźnie, że zaczynam się rozluźniać.

– Chodzi o to, że musiałam ostatnio zainwestować pokaźną sumę w moją karierę, do tego kilka rachunków mnie, że tak powiem, zaskoczyło.

– Ach, tak – mówi współczująco Dawna.

– Nie mam poważnych kłopotów, to tylko przejściowe trudności.

– Przejściowe trudności – powtarza za mną jak echo i słyszę, jak pisze na klawiaturze.

– Chyba pozwoliłam, by spiętrzyło mi się kilka opłat. Ale wcześniej wszystko spłaciłam i myślałam, że przez jakiś czas będę mogła się zrelaksować!

– Aha.

– Więc rozumie pani? – Z ulgą posyłam Suze promienny uśmiech, a ona



w odpowiedzi unosi w górę kciuki. Tak właśnie powinno być, jeden szybki, łatwy telefon, zupełnie jak w reklamach. Żadnych przykrych listów ani podchwytliwych pytań.

– Całkowicie panią rozumiem – odpowiada Dawna. – Wszystkim nam się to przydarza, prawda?

– Czy w takim razie otrzymam większy limit na karcie?

– Och, osobiście mam prawo poszerzyć pani debet jedynie o pięćdziesiąt funtów – wyjaśnia. – Będzie się pani musiała skontaktować z dyrektorem do spraw kredytów. Mieszka pani w Fulham, więc zajmuje się panią... już sprawdzam... pan John Gavin.

Wpatruję się w telefon z przerażeniem.

– Ale już do niego napisałam!

– Tym lepiej, prawda? Czy mogę pani pomóc w czymś jeszcze?

– Nie, raczej nie. Dziękuję.

Z rozpaczą odkładam słuchawkę.

– Głupi bank, głupie centrum obsługi.

– I co, dadzą ci pieniądze? – pyta Suze.

– Nie wiem. Wszystko zależy od tego gościa, Johna Gavina. – Podnoszę wzrok i widzę zaniepokojony wyraz twarzy przyjaciółki. – Ale jestem pewna, że się zgodzi – dodaję szybko. – Musi jedynie przejrzeć moje akta. Wszystko będzie w porządku.

– Jeśli przez chwilę powstrzymasz się od wydatków, bez problemu wrócisz na prostą? – pyta z nadzieją w głosie. – Świetnie zarabiasz w telewizji, prawda?

– Tak – odpowiadam po chwili milczenia. Nie chcę jej mówić, że po odjęciu wydatków na czynsz, taksówki, posiłki na mieście i stroje do programu właściwie niewiele mi zostaje.

– I masz jeszcze książkę...

– Książkę?

Przez chwilę wpatruję się w nią, a w głowie mam kompletną pustkę. Nagle przypominam sobie, o czym mówi, i z radości serce zaczyna mi szybciej bić. Oczywiście! Mój poradnik! Zamierzałam się za niego zabrać.

Dzięki Bogu, to jest odpowiedź na moje problemy. Muszę tylko bardzo szybko napisać tę książkę i dostać czek na pokazną sumę. Wtedy spłacę zadłużenia na wszystkich kartach kredytowych i znowu będzie pięknie. Ha! Nie potrzebuję żadnego głupiego debetu. Zacznę od razu. Jeszcze dziś!

Prawdę mówiąc, nie mogę się doczekać, kiedy zasiądę do książki. Jest wiele ważnych wątków, które chcę w niej poruszyć, takich jak bieda i bogactwo, fenomenologia religii, może filozofia. Wiem, że wydawcy prosili o zwykły poradnik, ale nic nie stoi na przeszkodzie, bym odwołała się w nim do głębszych kwestii.

W zasadzie, jeśli dobrze mi pójdzie, może zacznę wykładać. Czyż to nie byłoby

wspaniale? Mogłabym zostać życiowym guru, podróżować po świecie, a ludzie przybywaliby tłumnie na spotkania ze mną i zadawali pytania na wiele tematów...

– Jak ci idzie? – pyta Suze, stając w drzwiach w ręczniku, a ja podskakuję na krześle z poczuciem winy. Już od dłuższej chwili siedzę przed komputerem, ale właściwie jeszcze go nie włączyłam.

– Myślę – odpowiadam, pośpiesznie znajduję przycisk z tyłu komputera i włączam go. – No wiesz, zbieram myśli i czekam, aż twórcze pomysły połączą się w spójną całość.

– Rety! – zachwyca się Suze i patrzy na mnie z podziwem. – Wspaniale. Czy to trudne?

– Niespecjalnie – odpowiadam po chwili namysłu. – Właściwie dość łatwe.

Komputer ożywa feerią barw i mnogością dźwięków. Obie wpatrujemy się w ekran jak zahipnotyzowane.

– Rety! – powtarza Suze. – Ty to zrobiłaś?

– Hmm... tak – odpowiadam. To prawda, przecież go włączyłam.

– A niech to, Bex, jesteś taka kumata – szepcze Suze. – Kiedy skończysz pisać?

– Och, myślę, że niedługo – mówię pogodnie. – No wiesz, jak się rozkręcę.

– W takim razie zostawiam cię. Chciałam tylko pożyczyć sukienkę na dzisiejszy wieczór.

– Aha – odpowiadam zaciekawiona. – Dokąd się wybierasz?

– Na imprezę Venetii – odpowiada. – Chcesz iść? Chodź! Wszyscy tam będą!

Przez chwilę mam ochotę się skusić. Spotkałam Venetię kilka razy i wiem, że organizuje świetne przyjęcia w domu swoich rodziców w Kensington.

– Nie, lepiej nie – odpowiadam w końcu. – Muszę popracować.

– Och – Suze smutnieje na moment. – Ale pożyczysz mi sukienkę, prawda?

– Jasne. – Marszczę czoło, myśląc intensywnie. – Co powiesz na moją nową sukienkę Tocca, do twoich czerwonych butów, a do tego mój szal z English Eccentrics?

– Cudownie! – cieszy się Suze i podchodzi do mojej szafy. – Dzięki, Bex. Czy mogłabym też pożyczyć jakieś majtki? – dodaje od niechcienia. – Rajstopy i kosmetyki do makijażu?

Odwracam się na krześle i patrzę na nią uważnie.

– Suze, czy podczas odgruzowywania pokoju zostawiłaś cokolwiek?

– Oczywiście – odpowiada cicho. – No wiesz, kilka drobiazgów. – Nasze spojrzenia się spotykają. – No dobra, może trochę przesadziłam.

– Zostawiłaś sobie jakąkolwiek bieliznę?

– Hmm... nie. Ale czuję się wspaniale i bardziej pozytywnie patrzę na życie. Reszta nie ma znaczenia! To właśnie jest feng shui. Powinnaś spróbować.

Patrzę, jak Suze wyjmuje z szafy sukienkę i bieliznę, a potem szpera w mojej kosmetyczce. Wychodzi z pokoju, a ja wyciągam przed sobą ręce i wyginam palce.

Dobra, książka. Zabieram się do pracy.

Otwieram plik, wpisuję „Rozdział pierwszy” i z dumą wpatruję się w tytuł. Rozdział pierwszy! Ale super! Zaczęłam! Teraz muszę tylko wymyślić zapadające w pamięć, efektowne pierwsze zdanie.

Przez chwilę siedzę bez ruchu, koncentrując się na pustym ekranie, a potem wystukuję energicznie:

„Finanse to...”

Robię przerwę i pociągam łyk dietetycznej coli. Stworzenie idealnego zdania wymaga zastanowienia. Nie można oczekiwać, że samo pojawi się w głowie.

„Finanse to najbardziej...”

Boże, wolałabym pisać książkę o ubraniach. Albo o makijażu. *Podręcznik makijażu Becky Bloomwood*.

Ale nie takie mam zadanie, więc muszę się skoncentrować.

„Finanse to coś, co...”

Wicie, mam dość niewygodne krzesło. Siedzenie bez końca na tak miękkim krześle na pewno nie wyjdzie mi na zdrowie. Nabawię się choroby komputerowej czy czegoś tam. Skoro mam być pisarką, powinnam zainwestować w ergonomiczne, obrotowe krzesło z regulacją wysokości.

„Finanse są bardzo...”

Może sprzedają takie krzesła w Internecie? Zerknę szybciotko, skoro komputer jest włączony.

W zasadzie postąpiłabym nieodpowiedzialnie, gdybym tego nie zrobiła. Przecież trzeba o siebie dbać, prawda? Zdrowie w ciele, zdrowie w duszy, czy jakoś tak.

Sięgam po myszkę, szybko klikam na ikonkę połączenia z Internetem, wpisuję hasło „krzesła biurowe” i już po chwili radośnie płynę przez listę propozycji. Zdążyłam zapisać kilka interesujących ofert, kiedy nagle znajduję niesamowitą stronę pełną akcesoriów biurowych, której nigdy wcześniej nie widziałam. Najnowocześniejszy sprzęt, a nie jakieś tam nudne białe koperty. Są tam eleganckie chromowane szafki, oryginalne stojaki na długopisy i fantastyczne tabliczki imienne do zawieszenia na drzwiach.

Przeoglądam kolejne zdjęcia, całkowicie zauroczona. Wiem, że nie powinnam teraz wydawać pieniędzy, ale to co innego. To inwestycja w karierę. Przecież to moje biuro, prawda? Powinno być należycie wyposażone. Wręcz musi być dobrze wyposażone. W zasadzie nie rozumiem, jak mogłam być tak krótkowzroczna. Jak, u licha, miałabym napisać książkę bez odpowiedniego sprzętu? To jak wyprawa na Mount Everest bez namiotu.

Jestem tak oszołomiona mnogością propozycji, że ledwie mogę się zdecydować, jednak kilka przedmiotów koniecznie muszę mieć.

Klikam na ergonomiczne, obrotowe krzesło obite fioletowym materiałem pasującym

do mojego iMaca, a do tego dorzucam dyktafon, który zapisuje nagrania bezpośrednio na komputerze. Następnie dodaję naprawdę oryginalny stalowy spinacz, który przytrzymuje notatki podczas pisania, zestaw laminowanych teczek, które na pewno mi się przydadzą, oraz mininiszczarkę do papieru. To absolutnie niezbędny sprzęt. Nie chcę, by cały świat mógł przeczytać szkic mojej książki. Rozważam zakup modułowego zestawu mebli do recepcji, chociaż w zasadzie nie mam w pokoju miejsca na recepcję, kiedy Suze ponownie wchodzi do pokoju.

– Cześć, jak ci idzie?

Podskakuję z poczuciem winy, szybko klikam „Wyślij”, nie sprawdzając nawet całkowitej sumy zakupu, zamykam Internet i podnoszę wzrok dokładnie w momencie, gdy na monitorze pojawia się napis „Rozdział pierwszy”.

– Naprawdę ciężko pracujesz – mówi Suze i potrząsa głową. – Powinnaś zrobić sobie przerwę. Ile napisałaś?

– No... dość sporo.

– Mogę przeczytać? – Ku mojemu przerażeniu zaczyna się do mnie zbliżać.

– Nie! – wykrzykuję. – Praca jest w toku. To... delikatny materiał. – Pośpiesznie zamykam plik i wstaję. – Cudownie wyglądasz, Suze. Fantastycznie!

– Dzięki! – Uśmiecha się do mnie promiennie i kiedy obraca się wkoło w mojej sukience, rozlega się dzwonek do drzwi. – Och! To na pewno Fenny.

Fenella jest jedną z dziwnych, wytwornych kuzynek Suze ze Szkocji. Chociaż w zasadzie przestała już być dziwna. Kiedyś przypominała swojego brata Tarquina i spędzała całe dni, jeżdżąc konno i strzelając do ryb, czy co tam robią Szkoci. Niedawno jednak przeprowadziła się do Londynu, dostała pracę w galerii i chodzi teraz na imprezy. Suze otwiera drzwi, a ja słyszę wysoki głos Fenelli i wtórujący jej chór dziewczęcych głosów. Fenny nie robi ani kroku bez rozwrzeszczanego tłumu wokół. Jest kimś w rodzaju towarzyskiej bogini deszczu.

– Cześć! – wita się, wpadając do mojego pokoju. Ma na sobie bardzo ładną różową aksamitną spódnicę marki Whistles – sama posiadam identyczną – ale włożyła do niej okropny brązowy golf. – Jak się masz, Becky? Wychodzisz z nami?

– Nie dzisiaj. Muszę popracować.

– Aha. – Fenella smutnieje, podobnie jak przed chwilą Suze, ale po chwili ponownie się rozpromienia. – W takim razie czy mogę pożyczyć twoje szpilki Jimmy Choo? Nosimy ten sam rozmiar, prawda?

– Dobrze – odpowiadam. – Są w szafie. – Waham się, próbując być taktowna. – Może chcesz pożyczyć bluzkę? Tak się składa, że mam jedną, która pasowałaby ci do spódnicy, różową, kaszmirową, z małymi koralikami. Bardzo ładna.

– Naprawdę? – pyta Fenny. – Tak! Włożyłam ten golf bez zastanowienia. – Podczas gdy Fenny się rozbiera, do pokoju wchodzi blondynka w luźnej czarnej sukience i uśmiecha się do mnie szeroko.

– Cześć, hmm... Milla. – W samą porę przypominam sobie jej imię. – Jak się masz?

– W porządku – odpowiada i patrzy na mnie z nadzieją. – Fenny powiedziała, że mogłabym pożyczyć twój szal English Eccentrics.

– Pożyczyłam go Suze – odpowiadam i robię smutną minę. – A co powiesz na fioletowy szal z cekinami?

– Och, poproszę! Binky pyta, czy nadal masz tę czarną kopertową spódnicę.

– Mam – odpowiadam w zamyśleniu. – Ale właściwie mam inną spódnicę, w której Binky wyglądałaby jeszcze lepiej.

Mija prawie pół godziny, zanim wszystkie pożyczyły to, co chciały. W końcu tłumnie wychodzą z mojego pokoju, krzycząc, że oddadzą wszystko rano, a w drzwiach pojawia się Suze. Wygląda oszałamiająco z upiętymi włosami i kilkoma blond kosmykami spływającymi po bokach.

– Bex, jesteś pewna, że nie chcesz iść z nami? – pyta. – Przyjdzie Tarquin, a wiem, że chciałby cię zobaczyć.

– Ach, tak? – pytam, starając się nie okazać przerażenia. – Jest w Londynie?

– Tylko na kilka dni. – Suze patrzy na mnie lekko zasmucona. – Bex, wiesz, że gdyby nie Luke... Myślę, że nadal podobasz się Tarkiemu.

– Na pewno nie – odpowiadam szybko. – To było wieki temu! Całe wieki!

Moja jedyna randka z Tarquinem to wydarzenie, o którym usilnie staram się zapomnieć. Na zawsze.

– No cóż – mówi Suze i wzrusza ramionami. – Do zobaczenia. Nie przepracuj się!

– Bez obaw – odpowiadam i wydaję z siebie pełne cierpienia westchnienie. – A przynajmniej się postaram.

Czekam, aż zamkną się za nią frontowe drzwi, a spod okna odjadą czekające taksówki, wypijam łyk herbaty i wracam do pierwszego rozdziału książki.

„Rozdział pierwszy

Finanse są bardzo...”

Właściwie przeszedł mi nastrój na pisanie. Suze ma rację, powinnam zrobić sobie przerwę. Jeśli będę tak siedziała godzina po godzinie, zacznę mnie to nużyć i stracę weny. Najważniejsze, że dobrze zaczęłam.

Wstaję, przeciągam się, a potem idę do salonu i biorę do ręki egzemplarz „Tatlera”. Za chwilę zacznę się kolejny odcinek *EastEnders*, po nim może *Changing Rooms* albo inny serial, może ten dokumentalny o weterynarzach. Obejrzę tylko to i wrócę do pracy. Mam przed sobą przecież cały wieczór. Muszę wyznaczyć sobie rytm pracy.

Leniwie otwieram magazyn, przeglądam spis treści w poszukiwaniu interesującego artykułu, kiedy nagle mój wzrok się zatrzymuje. Zaskoczona patrzę na małą fotografię Luke’a podpisaną „To, co najlepsze o Brandonie, strona 74”! Dlaczego, u licha, nie powiedział mi, że napiszą o nim w „Tatlerze”?

Opublikowano jego najnowsze oficjalne zdjęcie, do którego pomogłam mu wybrać

strój (niebieską koszulę i granatowy krawat Fendi). Patrzy wprost z poważnym wyrazem twarzy i wygląda bardzo profesjonalnie, ale jeśli przyjrzeć się bliżej jego oczom, widać w nich maleńki błysk uśmiechu. Gdy wpatruję się w jego twarz, którą tak dobrze znam, czuję nagły przypływ uczuć i zdaję sobie sprawę, że Suze ma rację. Powinnam po prostu mu zaufać. Do licha z Alicją Długonogą Zdzirą. Co ona może wiedzieć?

Zaglądam na stronę 74 i znajduję tam artykuł zatytułowany *Grube ryby brytyjskiego biznesu*. Przebiegam wzrokiem tekst i nie mogę nie zauważyć, iż niektóre grube ryby prezentują się na zdjęciach ze swoimi partnerami. Może będzie też moje zdjęcie z Lukiem! Przecież ktoś mógł nas sfotografować na przyjęciu czy na innej imprezie. Kiedyś dziennikarz z „Evening Standard” zrobił nam wspólne zdjęcie, ale ostatecznie nie trafiło ono na łamy.

Och, jest! Miejsce 34! Sam jeden, na tym samym oficjalnym zdjęciu, bez śladu mnie. Pomimo to czuję ukłucie dumy, gdy patrzę na fotografię (o wiele większą niż niektóre z pozostałych. Ha!) i podpis: „Bezwzględna pogoń za sukcesem Brandona wybiła słabszych konkurentów z bloków startowych”. Artykuł zaczyna się słowami: „Luke Brandon, dynamiczny właściciel i założyciel firmy Brandon Communications, bla, bla, bla...”.

Przebiegam wzrokiem tekst i czuję przyjemny dreszczyk emocji, gdy dochodzę do części: Dane osobiste. Tutaj wspomną o mnie! „Obecnie spotyka się z osobowością telewizyjną Rebeccą Bloomwood” albo „Partner znanej ekspert do spraw finansów Rebekki Bloomwood” albo...

Luke James Brandon

Wiek: 34 lata

Wykształcenie: Cambridge

Sytuacja osobista: wolny

Wolny?

Luke powiedział im, że jest wolny?

Zalewa mnie fala bólu i złości, gdy patrzę na jego pewne, aroganckie spojrzenie. Nagle uświadamiam sobie, że mam tego wszystkiego dość. Mam dość sytuacji, w których czuję się niepewnie, wpadam w paranoję i nie wiem, co się dzieje. Drżącymi dłońmi podnoszę słuchawkę i wystukuję numer Luke’a.

– Tak – mówię, jak tylko kończy się powitanie na poczcie głosowej. – W takim razie, Luke, skoro ty jesteś wolny, to ja też jestem wolna. W porządku? A skoro ty przeprowadzasz się do Nowego Jorku, to ja wyjeżdżam do Mongolii Zewnętrznej, i skoro ty...

Nagle czuję pustkę w głowie. Cholera, a tak dobrze mi szło.

– ...skoro nie masz odwagi, by powiedzieć mi o tym osobiście, może będzie lepiej dla nas obojga, jeśli...

Znów brakuje mi pomysłu. Powinnam była to wszystko spisać, zanim zaczęłam.

– ...damy sobie spokój. A może uważasz, że już się to stało? – kończę i wzdycham ciężko.

– Becky? – słyszę nagle w uchu niski głos Luke'a i podskakuję przerażona.

– Słucham? – pytam, przybierając dystyngowany ton głosu.

– Co to za bzdury, którymi zalewasz moją pocztę? – pyta łagodnie.

– To nie bzdury! – protestuję z oburzeniem. – To prawda!

– Skoro ty jesteś wolny, to ja też jestem wolna? Czy to słowa piosenki?

– Mówiłam o tobie! O tym, że obwieściłeś całemu światu, iż jesteś wolny.

– Naprawdę? – pyta Luke rozbawionym tonem. – Kiedy?

– Wszystko jest w „Tatlerze”! – rzucam z wściekłością. – Z tego miesiąca! – Chwytam czasopismo i otwieram na artykule. – *Grube ryby brytyjskiego biznesu*. Miejsce 34, Luke Brandon.

– Och, na miłość boską – wzdycha Luke. – O to chodzi.

– Tak, właśnie o to! – wykrzykuję. – O ten artykuł! Piszą w nim, że jesteś wolny. Jak twoim zdaniem się czułam, kiedy przeczytałam, że stwierdziłeś, iż jesteś wolny?

– Cytują mnie?

– Cóż... nie – mówię po chwili milczenia. – Nie cytują cię wprost, ale musieli przecież do ciebie zadzwonić i zapytać?

– Rzeczywiście, zadzwonili do mnie i zapytali, a ja odpowiedziałem „bez komentarza”.

– Och. – Na chwilę odbiera mi mowę i próbuję pozbierać myśli. W porządku, może nie powiedział, że jest wolny, ale nie jestem pewna, czy podoba mi się stwierdzenie „bez komentarza”. Czy nie to właśnie mówią ludzie, kiedy bardzo źle im się układa?

– Dlaczego powiedziałaś „bez komentarza”? – pytam wreszcie. – Dlaczego nie powiedziałaś, że spotykasz się ze mną?

– Kochanie – zaczyna Luke, a w jego głosie słyszę lekkie znużenie. – Pomyśl tylko. Czy chcesz, żeby o naszym życiu prywatnym rozprawiali we wszystkich mediach?

– Skądże. – Zaplątuję ręce w skomplikowany supeł. – Skądże znowu, ale ty...

– Co?

– Powiedziałaś mediom, że spotykasz się z Sachą – mówię cicho.

Sacha to była dziewczyna Luke'a.

Nie mogę uwierzyć, że to z siebie wyrzuciłam.

Luke wzdycha.

– Becky, to Sacha powiedziała o nas mediom. Pozwoliłaby „Hello!” sfotografować nas w kąpieli, gdyby redakcja była zainteresowana. Taką właśnie była dziewczyną.

– Och. – Owijam palec kablem telefonicznym.

– Mnie takie rzeczy nie interesują. Moi klienci mogą robić, na co mają ochotę, ale dla mnie nie ma nic gorszego. Stąd „bez komentarza”. – Milknie na chwilę. – Ale masz rację, powinienem był to przemyśleć i uprzedzić cię. Przepraszam.

– W porządku – odpowiadam z zakłopotaniem. – Nie powinnam była wyciągać pochopnych wniosków.

– W takim razie między nami wszystko w porządku? – pyta Luke, a w jego głosie słyszę ciepłą, lekko flirciarską nutę. – Wróciliśmy na prostą?

– A co z Nowym Jorkiem? – pytam i już się za to nienawidzę. – Czy to też pomyłka? Zapada długa, potworna cisza.

– Co słyszałaś o Nowym Jorku? – pyta w końcu i ku mojemu przerażeniu przybiera biznesowy, zdystansowany ton.

O Boże. Dlaczego nie trzymałam języka za zębami?

– Właściwie... nic... – jąkam się. – Ja... sama nie wiem. Ja tylko...

Milknę wreszcie i przez moment, który dla mnie trwa godzinami, żadne z nas nic nie mówi. Serce mi łomocze i tak mocno przyciskam słuchawkę, że ucho zaczyna mnie boleć.

– Becky, muszę porozmawiać z tobą o kilku sprawach – odzywa się w końcu Luke. – Ale teraz nie jest na to pora.

– Rozumiem – odpowiadam i czuję ukłucie przerażenia. – O jakich sprawach?

– Nie teraz. Porozmawiamy po moim powrocie, dobrze? W sobotę, na weselu.

– Rozumiem – powtarzam beztrzesko, by ukryć zdenerwowanie. – W porządku! W takim razie... do zobaczenia na...

Ale zanim zdążę dokończyć zdanie, Luke się rozłącza.



# ZARZĄDZANIE PIENIĘDZMI

## KOMPLEKSOWY PRZEWODNIK PO FINANSACH OSOBISTYCH

REBECCA BLOOMWOOD

Copyright © REBECCA BLOOMWOOD

**Ważne: żaden fragment niniejszego maszynopisu nie może  
być powielany bez wyraźnej zgody autorki.**

WYDANIE PIERWSZE (Wielka Brytania)

**(WERSJA PIERWSZA)**

***CZĘŚĆ PIERWSZA***

**ROZDZIAŁ PIERWSZY**

Finanse są bardzo...

**Bank Endwich  
Oddział Fulham  
Fulham Road 3  
Londyn SW6 9JH**

Sz.P.  
Rebecca Bloomwood  
Burney Road 4 m. 2  
Londyn SW6 8FD

11 września 2001 roku

Szanowna Pani Bloomwood!

W nawiązaniu do mojego listu z dnia 8 września, przeprowadziłem dogłębną analizę Pani konta. Obecny limit na Pani karcie znacznie przekracza normy dopuszczane przez bank. Nie widzę potrzeby istnienia tak nadmiernie wygórowanego limitu, nie zauważyłem również żadnych konkretnych prób zmierzających do zmniejszenia zadłużenia. Ta sytuacja jest zgoła haniebna.

Specjalne traktowanie, jakim cieszyła się pani w przeszłości, nie będzie już miało miejsca. Zdecydowanie nie podniosę Pani limitu na karcie, jak Pani prosiła. W trybie pilnym proszę umówić się ze mną na spotkanie w celu omówienia obecnej Pani sytuacji.

Z poważaniem,  
John Gavin  
Dyrektor do spraw kredytów

**ENDWICH TROSKLIWYM BANKIEM**

## Rozdział 6

W sobotę o dziesiątej przyjeżdżam do domu rodziców i zastaję wszystko przygotowane do uroczystości. Na każdym drzewie wiszą balony, podjazd zastawiony jest samochodami, a w ogrodzie sąsiadów widać wielki namiot. Wsiadam z samochodu, sięgam po torbę podróżną, a potem przez chwilę stoję bez ruchu i wpatruję się w dom Websterów. Rety, jakie to dziwne. Tom Webster się żeni. Ledwie mogę w to uwierzyć. Szczerze mówiąc, choć może to zabrzmieć nieco złośliwie, trudno mi uwierzyć, że ktokolwiek chciałby wyjść za Toma Webstera. Trzeba przyznać, że ostatnio zadbał nieco o siebie, kupił kilka nowych ubrań i zmienił fryzurę, ale nadal ma wielkie, lepkie ręce i co tu dużo gadać, po prostu nie jest Bradem Pittem.

Na tym jednak polega miłość, myślę, zatraskując drzwi samochodu. Kocha się ludzi pomimo ich wad. Lucy najwyraźniej nie przeszkadza, że Tom ma lepkie ręce, a on widocznie nie ma nic przeciwko jej przyklepanej, nudnej fryzurze. To nawet dość romantyczne.

Stoję tak, wpatrując się w dom, kiedy w jego progu pojawia się dziewczyna w dzinsach i opasce z kwiatami na głowie. Posyła mi dziwne, niemal agresywne spojrzenie i znika za drzwiami. To na pewno jedna z drухen Lucy. Pewnie się zdenerwowała, że ktoś zobaczył ją w dzinsach.

Zdaję sobie sprawę, że Lucy też pewnie jest w środku, i instynktownie zawracam. Wiem, że jest panną młodą, że to jej dzień, ale nie palę się do spotkania z nią. Spotkałam ją tylko kilka razy i nie przypadłyśmy sobie do gustu, prawdopodobnie dlatego, że uważała, że kocham się w Tomie. O Boże. Przynajmniej, gdy przyjedzie Luke, będę mogła im wszystkim udowodnić, że się mylą.

Na myśl o Luke'u zaczynam się denerwować, więc powoli biorę głęboki oddech, by się uspokoić. Zrobię wszystko, by tym razem nie uprzedzać faktów. Zachowam otwarty umysł i poczekam, co Luke dzisiaj powie. A jeśli oznajmi, że przeprowadza się do Nowego Jorku, to po prostu... sobie z tym poradzę. Jakoś.

Tak czy inaczej lepiej o tym nie myśleć. Żwawym krokiem zmierzam w kierunku drzwi frontowych i wchodzę do środka. W kuchni tata ubrany w kamizelkę pije kawę, podczas gdy mama w nylonowym czepku przykrywającym nawinięte na wałki włosy smaruje masłem porcję kanapek.

– Po prostu uważam, że to nie w porządku – mówi w momencie, gdy wchodzę. – To nie w porządku. Powinni kierować naszym krajem, a spójrz na nich. Wyglądają

koszmarnie! Marynarki dobrane bez gustu, okropne krawaty...

– Naprawdę myślisz, że sposób ubierania wpływa na umiejętność rządzenia państwem?

– Cześć, mamó – witam się i stawiam torbę na podłodze. – Cześć, tato.

– Tu chodzi o zasady! – stwierdza mama. – Skoro nie mogą włożyć wysiłku w dobór stroju, dlaczego mieliby starać się w kwestii gospodarki?

– To przecież zupełnie co innego!

– To dokładnie to samo! Becky, sama uważasz, że Gordon Brown powinien ubierać się bardziej elegancko, prawda? Te jego beznadziejne garnitury...

– Nie wiem – odpowiadam wymijająco. – Może.

– Widzisz? Becky się ze mną zgadza. Kochanie, niech ci się przyjrę. – Odkłada nóż i patrzy na mnie uważnie, a ja czuję, że promienieję, gdyż mam świadomość, że dobrze wyglądam. Mam na sobie jaskraworóżową sukienkę i żakiet, przybrany piórami kapelusz od Philipa Treacy’ego i precudowne czarne satynowe buty, każdy zdobiony cienkim jak pajęczyna motylkiem.

– Och, Becky! – wykrzykuje w końcu mama. – Wyglądasz przepięknie. Przyćmisz pannę młodą! – Sięga po mój kapelusz i ogląda go. – Bardzo nietypowy. Ile kosztował?

– Hmm... Nie pamiętam – odpowiadam wymijająco. – Około pięćdziesięciu funtów.

Nie powiedziałam prawdy. Kosztował raczej... Tak czy inaczej, sporo. Ale był wart swojej ceny.

– A gdzie Luke? – pyta mama, wkładając mi z powrotem kapelusz na głowę. – Parkuje samochód?

– Właśnie, gdzie jest Luke? – wtóruje jej tata, podnosząc wzrok i śmiejąc się żartobliwie. – Nie możemy się doczekać, kiedy w końcu poznamy tego młodego człowieka.

– Luke przyjedzie oddzielnie – wyjaśniam i spinam się lekko na widok ich zawiedzionych min.

– Oddzielnie? – pyta mama. – Dlaczego?

– Dziś rano przylatuje z Zurychu – tłumaczę. – Był tam służbowo, ale przyjedzie na ślub, obiecuję.

– Wie, że msza zaczyna się o dwunastej? – pyta zaniepokojona mama. – I wyjaśniłaś mi, gdzie jest kościół?

– Tak! – potwierdzam. – Mówię wam, że dotrze na ślub.

Mam świadomość, że odpowiadam nieco opryskliwie, ale nic na to nie poradzę. Szczerze mówiąc, sama się nieco denerwuję, gdzie się podziewa Luke. Miał do mnie zadzwonić z lotniska, po wylądowaniu, a to było już pół godziny temu. Do tej pory się nie odezwał.

Powiedział jednak, że przyjedzie.

– Czy mogę wam w czymś pomóc? – pytam, by zmienić temat.  
– Bądź tak dobra i zanieś to na górę – mówi mama i sprawnie przekrawa kanapki na trójkąty. – Muszę spakować poduszki z patio.  
– Kto jest na górze? – pytam i biorę od niej talerz.  
– Maureen przyszła, by wysuszyć Janice włosy. Nie chciały wchodzić w drogę Lucy. No wiesz, kiedy się przygotowuje.  
– Widziałas ją już? – pytam z zainteresowaniem. – Ma ładną sukienkę?  
– Jeszcze nie widziałam – odpowiada mama i ścisza głos. – Ale podobno kosztowała trzy tysiące funtów! I to bez welonu!  
– Rety! – Jestem pod wrażeniem. Przez chwilę czuję lekkie ukłucie zazdrości. Oczywiście nie wyobrażam sobie nic gorszego niż poślubienie Toma Webstera, ale jednak. Suknia za trzy tysiące funtów. Do tego przyjęcie i mnóstwo prezentów. Ludzie, którzy się pobierają, mają wszystko, prawda?

Na górze słyszę odgłos suszarki dochodzący z sypialni rodziców, a po wejściu do środka widzę Janice ubraną w szlafrok, siedzącą na stołku od toaletki. Trzyma w ręce kieliszek sherry i przykłada do oczu chusteczkę. Maureen, która od lat zajmuje się włosami mamy i Janice, wymachuje wokół niej suszarką, a nieznajoma, opalona na mahoń blondynka z kręconymi włosami, w jedwabnym liliowym kostiumie siedzi na parapecie i pali papierosa.

– Cześć, Janice – witam się, podchodzę do niej i ściskam. – Jak się czujesz?  
– W porządku, kochana – odpowiada i pociąga nosem. – Trochę rozchwiana. No wiesz, na myśl o tym, że Tom się żeni!  
– Wiem – przytakuję ze współczuciem. – Wydaje się, że zaledwie wczoraj byliśmy dziećmi i jeździliśmy razem na rowerach!  
– Napij się jeszcze sherry, Janice – proponuje pocieszająco Maureen i wlewa ciemnobrązowy trunek do jej kieliszka. – Pomoże ci się odprężyć.  
– Och, Becky – mówi Janice i ściska mnie za rękę. – Dla ciebie to też musi być ciężki dzień.

Wiedziałałam. Ona nadal uważa, że czuję do Toma miętę. Dlaczego wszystkie matki myślą, że ich synom nie można się oprzeć?

– Nie, niespecjalnie! – odpowiadam jak najpogodniej. – Cieszę się ze względu na Toma. I Lucy, oczywiście...

– Becky? – Kobieta na parapecie odwraca się w moją stronę i patrzy na mnie przymrużonymi oczami. – To jest Becky?

Jej twarz nie zdradza choćby odrobiny życzliwości. O Boże, nie mówcie mi, że ona także uważa, że poluję na Toma.

– Hmm, tak. – Uśmiecham się do niej. – Nazywam się Rebecca Bloomwood. Pani zapewne jest matką Lucy.

– Tak – przytakuje, nadal wpatrując się we mnie. – Angela Harrison, matka panny młodej – dodaje, podkreślając słowa „panna młoda”, jakbym nie znała angielskiego.

– Z pewnością jest pani podekscytowana – zauważam uprzejmie. – Pani córka wychodzi za mąż.

– Cóż, tak, oczywiście, Tom jest oddany Lucy – mówi agresywnie. – Całkowicie oddany. Świata poza nią nie widzi. – Posyła mi przenikliwe spojrzenie, a ja słabo się uśmiecham.

I co ja mam zrobić? Zwymiotować na Toma czy co? Powiedzieć mu, że jest najbrzydszym facetem, jakiego znam? I tak wszyscy uznaliby to za wyraz zazdrości. Stwierdziliby, że jestem w fazie zaprzeczenia.

– Czy... Luke tu jest, Becky? – pyta Janice i posyła mi pełen nadziei uśmiech. Nagle, co wydaje mi się dość dziwne, wszyscy w pokoju zamierają w oczekiwaniu na moją odpowiedź.

– Obawiam się, że jeszcze nie – odpowiadam. – Coś go zatrzymało.

Zapada cisza, a ja czuję wymieniane wokół mnie spojrzenia.

– Zatrzymało – powtarza jak echo Angela, a w jej głosie słyszę nutę, która nie bardzo mi się podoba. – Czyżby? A to niespodzianka.

Co to ma znaczyć?

– Wraca z Zurychu – wyjaśniam. – Myślę, że jego lot się opóźnił. – Patrzą na Janice, która ku mojemu zdziwieniu się rumieni.

– Zurych – mówi i kiwa głową z nadmierną ekspresją. – Rozumiem, oczywiście, Zurych. – Posyła mi pełne zażenowania, niemal współczujące spojrzenie.

Co się z nią dzieje?

– Mówimy o Luke’u Brandonie? – pyta Angela i zaciąga się papierosem. – O tym słynnym przedsiębiorcy?

– No tak – potwierdzam nieco zaskoczona. Nie znam innych Luke’ów.

– I jest twoim chłopakiem?

– Tak.

Zapada dość niezręczna cisza i nawet Maureen spogląda na mnie podejrzliwie. Nagle dostrzegam na podłodze obok krzesła Janice ostatni egzemplarz „Tatlera”. O Boże.

– Przy okazji, informacje podane w „Tatlerze” są zupełnie nieprawdziwe – dodaje pośpiesznie. – Luke nie powiedział, że jest wolny, tylko „bez komentarza”.

– Artykuł? – mówi Janice nieprzekonująco. – Nie wiem, o czym mówisz, moja droga.

– Ja... ja nie czytam czasopism – stwierdza Maureen, pąsowieje i odwraca wzrok.

– Po prostu nie możemy się doczekać, kiedy go poznamy – wyjaśnia Angela i wypuszcza chmurę dymu. – Nieprawdaż, Janice?

Wpatruję się w nią zdezorientowana, potem patrzę na Janice, która unika mojego

wzroku, i Maureen, która udaje, że szpera w kosmetyczce.

Chwileczkę.

Chyba nie myślą, że...

– Janice – mówię, starając się opanować ton głosu. – Wiesz, że Luke przyjedzie. Odpowiedział ci nawet pisemnie!

– Oczywiście, Becky! – potwierdza Janice, wpatrzona w podłogę. – Jak powiedziała Angela, wszystkie czekamy, kiedy będziemy mogły go poznać.

O mój Boże. Ona mi nie wierzy.

Czuję, jak moje policzki zalewa fala upokorzenia w postaci czerwieni. Co ona sobie myśli? Że wymyśliłam sobie, że spotykam się z Lukiem?

– Cóż, smacznego – mówię, starając się nie pokazać zdenerwowania. – Zobaczę, czy... mama mnie nie potrzebuje.

Znajduję mamę na podeście ostatniego piętra. Pakuje poduszki z patio do plastikowych toreb, a potem wysysa z nich powietrze odkurzaczem.

– Przy okazji, zamówiłam dla ciebie kilka takich toreb – przekrzykuje hałas. – Z „Country Ways”. Do tego rękaw foliowy do pieczenia indyka, naczynie żaroodporne, pojemnik do gotowania jajek w mikrofalówce...

– Nie chcę folii na indyka! – krzyczę.

– Nie jest dla ciebie! – odpowiada mama i wyłącza odkurzacza. – W sklepie była promocja: przyprowadź znajomego, a dostaniesz zestaw garnków fajansowych, więc podałam twoje dane. Mają świetne katalogi, dam ci jeden, żebyś mogła przejrzeć.

– Mamo...

– Piękne poszwy na kołdry. Na pewno przydałyby ci się nowe...

– Mamo, posłuchaj! – powtarzam ze wzburzeniem. – Posłuchaj. Wierzysz, że spotykam się z Lukiem, prawda?

Zapada nieco zbyt długa cisza.

– Oczywiście – mówi w końcu.

Wpatruję się w nią z przerażeniem.

– Nie wierzysz mi, tak? Wszyscy sądzą, że sobie to wymyśliłam!

– Nie! – zaprzecza stanowczo mama. Odkłada rurę od odkurzacza i patrzy mi prosto w oczy. – Becky, powiedziałaś nam, że spotykasz się z Lukiem Brandonem i mnie i ojcu to wystarcza.

– Ale Janice i Martin uważają, że to zmyśliłam, prawda?

Mama wpatruje się we mnie, potem wzdycha i sięga po kolejną poduszkę.

– Och, Becky. Kochanie, musisz pamiętać, że kiedyś uwierzyli, że ktoś cię śledzi i okazało się, że... To nie była do końca prawda. Czyż nie?

Czuję, jak ogarnia mnie przerażenie. No dobrze, może kiedyś udawałam, że ktoś mnie śledzi, czego nie powinnam była robić. Ale to, że wymyśliłam jednego małego

stalkera, nie oznacza przecież, że jestem kompletnie stuknięta.

– Problem w tym, kochanie, że nigdy faktycznie, no wiesz... nie widzieliśmy cię z nim – mama kontynuuje, jednocześnie wkładając poduszkę do torby. – Osobiście. A potem ten artykuł w gazecie, w którym napisano, że jest wolny...

– Nie powiedział, że jest wolny! – Z powodu frustracji zaczynam mówić piskliwym głosem. – Powiedział „bez komentarza”! Mamo, czy Janice i Martin powiedzieli ci, że mi nie wierzą?

– Nie. – Mama unosi wyzywająco głowę. – Nie odważyłyby się powiedzieć mi czegoś podobnego.

– Ale wiesz, że mówią to za twoimi plecami.

Patrzemy na siebie i widzę napięcie w twarzy mamy ukryte za jej radosną fasadą. Nagle zdaję sobie sprawę, że na pewno bardzo liczyła na to, że pojedziemy razem pod dom szpanerskim samochodem Luke’a. Na pewno bardzo chciała udowodnić Janice, że się myli. A tymczasem pojawiłam się sama.

– Przyjedzie – mówię, niemal pocieszając samą siebie. – Lada chwila.

– Oczywiście! – wykrzykuje radośnie mama. – Jak tylko się pojawi, wszyscy będą musieli odwołać swoje słowa.

Słysząc dźwięk dzwonka u drzwi i obie zamieramy, wpatrzone w siebie.

– Otworzę, dobrze? – mówię, siląc się na lekki ton.

– Dobrze – przytakuje mama, a ja dostrzegam w jej oczach iskierkę nadziei.

Próbując nie biec, schodzę szybko po schodach, pełna nadziei otwieram frontowe drzwi i... nie znajduję za nimi Luke’a.

To mężczyzna obładowany kwiatami. Koszami kwiatów, bukietami kwiatów, z kilkoma płaskimi pudłami u stóp.

– Wiązanki ślubne – informuje. – Gdzie mam je zanieść?

– Och – odpowiadam, starając się ukryć zawód. – Obawiam się, że się pan pomylił. Proszę iść do sąsiadów pod czterdzieści jeden.

– Naprawdę? – Mężczyzna marszczy brwi. – Niech spojrzę na listę. Czy może je pani potrzymać?

Wciska mi bukiet panny młodej i zaczyna grzebać w kieszeni.

– Proszę mi wierzyć, to kwiaty dla sąsiadów. Tylko wezmę swoją...

Odwracam się z bukietem Lucy w dłoniach, ponieważ jest dość ciężki, i ku mojemu przerażeniu u stóp schodów pojawia się Angela Harrison. Wpatruje się we mnie i przez chwilę obawiam się, że mnie zabije.

– Co robisz? – rzuca. – Oddaj mi to! – Wrywa mi bukiet z rąk i zbliża twarz do mojej tak bardzo, że czuję zapach ginu z jej ust. – Posłuchaj, młoda damo – syczy. – Nie dam się zwieść miłym minkom. Wiem, co knujesz, i możesz o tym zapomnieć. Zrozumiałaś? Nie pozwolę, żeby jakaś obłąkana psychopatka zepsuła ślub mojej córki.

– Nie jestem obłąkana! – wykrzykuję z furją. – I niczego nie zepsuję! Nie poluję na



Toma, ponieważ mam chłopaka!

– Ach, tak. – Krzyżuje ręce na piersi. – Sławny chłopak. Przyjechał już?

– Nie, jeszcze nie – opowiadam i wzdrygam się na widok wyrazu jej twarzy. – Ale... właśnie dzwonił.

– Właśnie dzwonił – powtarza Angela i uśmiecha się szyderczo. – Żeby powiedzieć, że nie dotrze?

Czemu oni wszyscy nie mogą po prostu uwierzyć, że Luke przyjedzie?

– W zasadzie jest o pół godziny drogi stąd – słyszę swój prowokujący ton.

– To dobrze – oznajmia Angela Harrison i posyła mi złośliwy uśmiezek. – W takim razie już niedługo go zobaczymy, tak?

O cholera.

O dwunastej Luke'a nadal nie ma, a ja wychodzę z siebie. To jakiś koszmar. Gdzie on się podziewa? Do ostatniej chwili przechadzam się przed kościołem, desperacko wykręcając jego numer, i mimo wszystko nie tracę nadziei, że zobaczę go biegnącego ulicą. Jednak drużny już przyjechały, kolejny rolls-royce zaparkował, a jego nadal nie ma. Gdy widzę, jak otwierają się drzwi samochodu i dostrzegam fragment sukni ślubnej, pośpiesznie wycofuję się do kościoła, zanim ktokolwiek zdąży pomyśleć, że czekam na zewnątrz, by zepsuć ślubny orszak.

Zakradam się do środka, starając się nie zakłócać muzyki organowej. Angela Harrison rzuca mi zabójcze spojrzenie, a po stronie Lucy słyszę szmer i szepty. Siadam z tyłu, starając się zachować spokój i opanowanie, ale mam świadomość, że wszystkie koleżanki Lucy rzucają mi ukradkowe spojrzenia. Co ona, do diabła, wszystkim opowiada?

Przez chwilę mam ochotę wstać i wyjść. Od początku nie chciałam przychodzić na ten głupi ślub. Zgodziłam się tylko dlatego, żeby nie zrobić przykrości Janice i Martinowi. Jest jednak za późno, orszak ślubny ruszył i Lucy wchodzi do kościoła. Muszę przyznać, że ma na sobie najcudowniejszą suknię, jaką w życiu widziałam. Wpatruję się w nią tęsknie, próbując nie wyobrazić sobie, jak sama bym w niej wyglądała.

Muzyka cichnie, a pastor zaczyna przemowę. Mam świadomość, że goście siedzący po stronie Lucy nadal zerkają w moją stronę, ale poprawiam jedynie kapelusz, unoszę brodę i ignoruję ich.

– ...by połączyć tego mężczyznę i tę kobietę świętym węzłem małżeńskim – intonuje pastor – który jest szacownym stanem...

Zauważam, że drużny mają bardzo ładne buty. Ciekawe, gdzie je kupiły.

Niestety, sukienki są kiepskie.

– Jeśli ktokolwiek zna powód, dla którego tych dwoje nie może zawrzeć związku małżeńskiego, niech przemówi teraz albo zamilknie na zawsze.

Lubię ten moment ceremonii ślubnej. Wszyscy przysiadają na dłoniach, jakby się obawiali, że przez przypadek mogą je unieść, jakby chcieli wylicytować obraz van Gogha. Podnoszę wzrok, by sprawdzić, czy ktoś coś powie, i ku mojemu przerażeniu Angela Harrison odwróciła się w ławce i posyła mi diabelskie spojrzenie. O co jej chodzi?

Teraz już całe grono gości z przeciwnej strony patrzy na mnie i nawet kobieta z pierwszego rzędu w wielkim niebieskim kapeluszu odwraca się, by dobrze mi się przyjrzeć!

– Co? – szepczę do niej ze złością. – Co?

– Co? – pyta pastor, nadstawiając ucha. – Czy ktoś coś mówił?

– Tak! – odpowiada kobieta w niebieskim kapeluszu i wskazuje na mnie. – Ona!

Co?!

O mój Boże. Nie, tylko nie to. Cały kościół odwraca się, by spojrzeć na mnie. Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę. Tom też patrzy na mnie i kręci głową z okropnym wyrazem współczucia na twarzy.

– Ja nie... ja nie... – jąkam się. – Ja tylko...

– Czy może pani wstać? – prosi pastor. – Słabo słyszę, więc jeśli ma pani coś do powiedzenia...

– Naprawdę, ja...

– Wstań! – rzuca siedząca obok mnie kobieta i dźga mnie boleśnie książeczką do nabożeństwa.

Bardzo powoli wstaję i czuję na sobie dwieście par oczu, świecących w moim kierunku niczym latarki. Nie mogę spojrzeć w stronę Toma i Lucy ani na mamę i tatę. Nigdy w życiu nie czułam się tak zażenowana.

– Nie mam nic do powiedzenia! Naprawdę! Ja tylko... – Bezradnie unoszę telefon. – To mój... telefon. Myślałam, że... Przepraszam. Proszę kontynuować.

Siadam z powrotem, a nogi mi drżą. W kościele panuje cisza. Stopniowo zgromadzenie zaczyna odwracać się i uspokajać, a pastor odchrząkuje i rozpoczyna odczytywanie przysięgi.

Resztę mszy pamiętam jak przez mgłę. Wreszcie Lucy i Tom wychodzą z kościoła, ostentacyjnie mnie ignorując, a potem wszyscy zbierają się wokół nich na dziedzińcu, by obrzucić ich confetti i zrobić zdjęcia. Wymykam się niepostrzeżenie i pędzę gorączkowo do domu Websterów. Luke musi już tam być. Musi. Na pewno się spóźnił i postanowił nie wchodzić do kościoła, ale udać się prosto na wesele. To oczywiste, każdy rozsądny człowiek zrobiłby to samo.

Przebiegam przez dom Websterów pełen kelnerów i kelnerek i pędzę prosto pod namiot weselny. Uśmiecham się już na samą myśl o tym, że zobaczę Luke'a i opowiem mu o okropnej sytuacji w kościele, na co on roześmieje się głośno...

Ale namiot jest pusty. Zupełnie pusty.

Stoję pod nim kilka chwil w zdumieniu, a potem szybko się odwracam i biegnę w stronę domu rodziców. Przecież mógł pójść do nich. Może pomylił godzinę albo musiał się przebrać w elegancki strój albo...

Jednak tam również go nie ma. Ani w kuchni, ani na górze. Kiedy wykręcam jego numer, od razu włącza się poczta głosowa.

Powoli wchodzę do swojego pokoju i padam na łóżko, starając się nie dopuszczać do siebie wszystkich złych myśli, które pojawiają mi się w głowie.

Przyjedzie, powtarzam sobie. Jest... w drodze.

Przez okno widzę, jak Tom i Lucy oraz wszyscy goście schodzą się w ogrodzie sąsiadów. Roi się tam od kapeluszy, garniturów i kelnerek serwujących szampana. W zasadzie atmosfera wydaje się radosna. Wiem, że powinnam być tam z nimi, ale po prostu nie jestem w stanie stawić im czoła. Nie bez Luke'a, całkiem sama.

Po jakimś czasie dociera do mnie, że siedząc w domu, podsycam jedynie intrygę. Wszyscy pomyślą, że nie jestem w stanie spojrzeć w oczy szczęśliwym nowożeńcom i gdzieś w kącie podcinam sobie żyły. W ten sposób na zawsze utwierdzą ich w podejrzeniach. Muszę zejść i pokazać im swoją twarz, choćby przez pół godziny.

Wstaję z oporem, biorę głęboki oddech i poprawiam usta. Potem wychodzę z domu i ruszam do Websterów. Dyskretnie wślizguję się pod namiot weselny przez boczną połą i przez chwilę stoję, przyglądając się gościom. Ludzie kłębią się wkoło, panuje ogromny rwetes i nikt mnie nawet nie zauważa. Przy wejściu stoi kolejka do Toma, Lucy i ich rodziców, ale nie ma mowy, bym tam podeszła. Niepostrzeżenie przesuвам się tylko w stronę pustego stolika i siadam, a po chwili kelnerka przynosi mi kieliszek szampana.

Przez jakiś czas siedzę, sącę napój, obserwuję ludzi i czuję, że zaczynam się rozluźniać. Wtedy zauważam poruszenie. Podnoszę wzrok i zamieram. Wprost przede mną stoi Lucy w swojej przepięknej sukni ślubnej, a obok niej postawna drużna w bardzo nietwarzowym odcieniu zieleni (co moim zdaniem wiele mówi o pannie młodej).

– Cześć, Rebecca – mówi przyjaźnie Lucy i czuję, że właśnie gratuluje sobie, iż tak uprzejmie zwraca się do obłąkanej dziewczyny, która niemal popsowała jej ślub.

– Cześć – odpowiadam. – Posłuchaj, bardzo cię przepraszam za tę sytuację na mszy. Ja naprawdę nie chciałam...

– To nie ma znaczenia – odpowiada i uśmiecha się zaciśniętymi ustami. – W końcu się z Tomem pobraliśmy, a to najważniejsze. – Z zadowoleniem spogląda na dłoni z obrączką.

– Właśnie! – przytakuję. – Gratulacje! Czy jedziecie na...

– Zastanawialiśmy się – wtrąca się życzliwie Lucy – czy Luke już przyjechał? Zamieram na chwilę.

– Och. – Próbuję grać na czas. – Cóż...

– Powiedziałaś mamie, że jest o pół godziny drogi stąd, ale nigdzie go nie widać! To dość dziwne, nie sądzisz? – Unosi niewinnie brwi, a druhna wydaje z siebie stłumione prychnięcie. Patrę przez ramię Lucy i widzę Angelę Harrison stojącą z Tomem kilka metrów dalej i obserwującą całą scenę świdrującym, pełnym triumfu wzrokiem. Boże, dobrze się bawią.

– To było przecież dobre dwie godziny temu – zauważa Lucy. – Co najmniej! Więc jeśli go tu nie ma, sprawa robi się troszeczkę dziwna. – Posyła mi fałszywie zatroskane spojrzenie. – A może miał wypadek? Może zatrzymano go w... Zurychu, tak?

Patrę na jej przepełniony samozadowoleniem i drwiną wyraz twarzy i nagle w głowie świta mi myśl.

– Jest tutaj – mówię, zanim jestem w stanie się powstrzymać.

Zalega pełna zdumienia cisza. Lucy i jej druhna patrzą na siebie, podczas gdy ja pociągam pokaźny łyk szampana.

– Jest tutaj? Tutaj?! Tutaj, na weselu?

– W rzeczy samej! – potwierdzam. – Już od jakiegoś czasu.

– Ale gdzie? Gdzie on jest?

– Cóż, był tu chwilę temu... – Wskazuję krzesło obok mnie. – Nie widziałyście go?

– Nie! – zaprzecza Lucy i otwiera szeroko oczy. – Gdzie jest teraz? – pyta i zaczyna rozglądać się wokół.

– O, tam – mówię i wskazuję dłonią nieokreślony kierunek. – Ma na sobie żakiet...

– I co jeszcze?

– I... Trzyma w dłoni kieliszek szampana...

Dzięki Bogu, na weselach wszyscy mężczyźni wyglądają tak samo.

– Który to? – pyta zniecierpliwiona Lucy.

– Ten ciemny – wyjaśniam i wypijam kolejny łyk szampana. – Patrz, macha do mnie.

– Unoszę rękę i macham delikatnie. – Hej, Luke!

– Gdzie?! – wykrzykuje Lucy, wpatrując się w tłum. – Kate, widzisz go?

– Nie – stwierdza bezradnie druhna. – Jak on wygląda?

– On... właśnie zniknął – mówię. – Musiał pójść po drinka dla mnie.

Lucy odwraca się do mnie i patrzy zmrużonymi oczami.

– Dlaczego więc nie było go na ślubie?

– Nie chciał przeszkadzać we mszy – wyjaśniam po chwili i zmuszam się do naturalnego uśmiechu. – Cóż, nie będę was zatrzymywać. Na pewno chcecie porozmawiać z gośćmi.

– Tak – odpowiada po chwili Lucy. – Rzeczywiście.

Posyła mi kolejne podejrzliwe spojrzenie i z szelestem rusza w kierunku matki. Cała grupka zaczyna szemrać i co chwila posyłają mi przeszywające spojrzenia. Jedna z druhen pędzi w stronę innej grupki gości i oni również zaczynają zerkać w moją

stronę. Potem kolejna osoba biegnie do jeszcze innej grupki. Wygląda to tak, jakby pożar buszu zajmował kolejne krzewy.

Kilka chwil później podchodzi do mnie Janice, zaczerwieniona, bliska płaczu, z kwiecistym kapeluszem zatkniętym krzywo na głowie.

– Becky! Właśnie słyszeliśmy, że Luke tu jest!

Serce na chwilę mi staje. O Boże. Unieszkodliwienie panny młodej z piekła rodem to jedno, ale nie mogę się zmusić, by powiedzieć Janice, że Luke tu jest. Po prostu nie mogę tego zrobić. Szybko upijam łyk szampana i macham w jej kierunku kieliszkiem, który to gest mógłby oznaczać cokolwiek.

– Och, Becky... – Janice klaszcze w dłonie. – Becky, czuję się całkowicie... Czy twoi rodzice już go poznali? Wiem, że twoja mama będzie wniebowzięta!

O kurwa.

Nagle robi mi się niedobrze. Rodzice. O nich nie pomyślałam.

– Janice, muszę pójść i... przypudrować nos – mówię i wstaję szybko. – Zobaczmy się później.

– I z Lukiem! – mówi.

– Oczywiście, i z Lukiem! – potwierdzam i wydaję z siebie piskliwy śmiech.

Pędzę do przenośnej toalety, nie patrząc na nikogo, zamykam się w kabinie, siadam i wypijam ciepłe resztki szampana. Dobra, tylko bez paniki. Muszę pomyśleć jasno i rozważyć wszystkie opcje.

Opcja pierwsza: Powiedzieć wszystkim, że Luke'a nie ma na przyjęciu, że się pomyliłam.

Kiepskie rozwiązanie, chyba że chcę zostać ukamienowana kieliszkami do szampana i nigdy więcej nie móc pokazać swojej twarzy w Oxshott.

Opcja druga: Powiedzieć w sekrecie mamie i tacie, że tak naprawdę Luke'a nie ma na przyjęciu.

Poczują się jednak bardzo zawiedzeni, upokorzeni, nie będą cieszyć się uroczystością, a wszystkiemu winna będę ja.

Opcja trzecia: blefować dalej, a pod koniec dnia powiedzieć prawdę mamie i tacie. Tak, to mogłoby się udać. To musi się udać. Przez jakąś godzinę z łatwością uda mi się przekonać wszystkich, że Luke tu jest, a potem powiem, że ma migrenę i poszedł położyć się w ciszy.

Tak. Tak właśnie zrobię. Dobra, do dzieła.

I wiecie co, to łatwiejsze, niż myślałam. Po niedługim czasie wszyscy zdają się przyjąć za pewnik, że Luke jest gdzieś na przyjęciu. Babcia Toma informuje mnie nawet, że go widziała, twierdzi, że jest przystojny, i pyta, czy teraz ja wezmę ślub. Niezliczonej ilości osób powiedziałam, że był tu minutę temu, zabrałam z bufetu dwa talerze

z jedzeniem, jeden dla siebie, a drugi dla Luke'a (wrzuciłam zawartość jednego w rabatki), a nawet pożyczyłam sobie żakiet jednego z gości i powiesiłam na krześle obok siebie, jakby należał do Luke'a. Wspaniałe jest to, że nikt nie jest w stanie udowodnić, że go tu nie ma! Wokół kręci się tak wielu ludzi, że nie sposób śledzić, kto jest obecny, a kogo nie ma. Boże, powinnam zrobić to wieki temu.

– Za minutę zdjęcie grupowe – oznajmia zaaferowana Lucy. – Musimy się wszyscy ustawić. Gdzie jest Luke?

– Rozmawia z jakimś facetem o cenach nieruchomości – odpowiadam bez wahania.

– Stali przy stole z napojami.

– Pamiętaj, żeby mu mnie przedstawić – prosi Lucy. – Wciąż go nie poznałam.

– Dobrze – przytakuję i posyłam jej radosny uśmiech. – Jak tylko go znajdę! – Wypijam łyk szampana, podnoszę wzrok i widzę mamę zmierzającą w moją stronę w weselnym stroju w odcieniu limonki.

O Boże. Do tej pory udawało mi się całkowicie unikać jej i taty, głównie uciekając, kiedy się zbliżali. To okropne z mojej strony, ale wiem po prostu, że nie będę w stanie skłamać mamie. Szybko wymykam się z namiotu do ogrodu i ruszam w kierunku kępy krzaków, unikając asystentki fotografa, która zbiera wszystkie dzieci. Siadam za drzewem i kończę szampana, wpatrując się beznamiętnie w niebieskie, popołudniowe niebo.

Zostaję tam przez, jak mi się wydaje, kilka godzin, aż zaczynają mnie boleć nogi, a wiatr przyprawia mnie o dreszcze. Wreszcie powoli wracam i wślizguję się niepostrzeżenie do namiotu. Nie zostanę tam dłużej. Tylko tak długo, by zjeść kawałek tortu weselnego i może wypić jeszcze trochę szampana...

– Tutaj jest! – słyszę głos za plecami.

Zamieram na moment, a potem wolno się odwracam. Ku mojemu przerażeniu wszyscy goście stoją w równych rzędach na środku namiotu, podczas gdy fotograf ustawia statyw.

– Becky, gdzie jest Luke? – pyta ostro Lucy. – Chcemy mieć wszystkich na zdjęciu.

Cholera. Cholera.

– Hmm... – Przełykam ślinę, próbując zachować nonszalancki styl. – Może jest w domu.

– Nie, nie ma go tam – odpowiada drużna Kate. – Przed chwilą go tam szukałam.

– W takim razie musi być... w ogrodzie.

– Ale przecież ty tam byłaś – zauważa Lucy i mruży oczy. – Nie widziałas go?

– Hmm... nie jestem pewna. – Rozglądam się po namiocie, zastanawiając się, czy mogłabym udąć, że dostrzegłam go w oddali, ale sytuacja jest inna, gdy wokół nie kłębi się tłum. Dlaczego musieli przestać się kłębić?

– Musi gdzieś być! – stwierdza radosna kobieta. – Kto widział go ostatni?

Zapada grobowa cisza. Dwieście osób wpatruje się we mnie. Przechwytyję

zaniepokojone spojrzenie mamy i szybko odwracam wzrok.

– W zasadzie... – Odchrząkuję. – Właśnie sobie przypomniałam, że mówił, iż boli go głowa, więc może poszedł do...

– Czy ktokolwiek w ogóle go widział? – wtrąca się Lucy, ignorując mnie.

Patrzy na zebranych gości.

– Kto z tu obecnych może stwierdzić, że osobiście widział Luke'a Brandona? Ktokolwiek?

– Ja go widziałam! – odzywa się drżący głos z tyłu grupy. – To taki przystojny młody człowiek...

– Ktokolwiek poza babcią Toma? – pyta Lucy i przewraca oczami.

Ponownie zapada przerażająca cisza.

– Ja widziałam jego żakiet – ryzykuje nieśmiało Janice. – Ale jego... ciało to nie – szepce.

– Wiedziałam, wiedziałam! – Głos Lucy jest głośny i pełen triumfu. – W ogóle go tutaj nie było, prawda?

– Oczywiście, że był – zaprzeczam, starając się zachować pewność siebie. – Pewnie jest w...

– Wcale nie spotykasz się z Lukiem Brandonem, prawda? – Przelatuje przez namiot jej głos. – Wszystko zmyśliłaś! Żyjesz w swoim własnym, małym, smutnym świecie fantazji!

– Wcale nie! – Ku mojemu przerażeniu, głos zaczyna mi się łamać i czuję napływające do oczu łzy. – To nieprawda! Luke i ja jesteśmy parą!

Kiedy jednak spoglądam na wszystkie wpatrzone we mnie twarze, niektóre wrogie, inne zdumione, a jeszcze inne rozbawione, sama nie jestem tego już taka pewna. Gdybyśmy byli parą, Luke byłby tutaj, prawda? Byłby tutaj ze mną.

– Ja tylko... – mówię drżącym głosem. – Sprawdzę tylko, czy nie ma go...

I nie patrząc nikomu w oczy, wychodzę spod namiotu.

– To cholerna wariatka! – Słyszę głos Lucy. – Naprawdę, Tom, ona może być niebezpieczna!

– To ty jesteś niebezpieczna, młoda damo! – dobiega mnie odpowiedź mamy, wypowiedziana nieco drżącym głosem. – Janice, nie wiem, jak możesz pozwolić swojej synowej na taki brak uprzejmości! Przez lata Becky była twoją dobrą koleżanką i twoją, Tom. Stoisz i udajesz, że to cię nie dotyczy. Jak możecie tak ją traktować? Chodź, Graham, wychodzimy.

Chwilę później patrzę, jak mama wraz z tatą wychodzi stanowczym krokiem spod namiotu, a kapelusz w odcieniu limonki drga lekko na jej głowie. Idą w kierunku podjazdu i wiem, że zmierzają do domu na filiżankę uspokajającej herbaty.

Jednak nie idę za nimi. Nie jestem w stanie spojrzeć na nich ani na nikogo innego. Teraz muszę być sama.

Idę szybko, chwiejąc się lekko, w kierunku drugiego końca ogrodu. Kiedy jestem wystarczająco daleko, opadam na trawę. Ukrywam twarz w dłoniach i po raz pierwszy tego dnia czuję, jak z oczu płyną mi łzy.

To miał być taki dobry dzień. To miało być takie wspaniałe, szczęśliwe wydarzenie. Ślub Toma, przedstawianie Luke'a rodzicom, przetańczenie razem całej nocy... Tymczasem wszyscy mają zepsuty dzień: mama, tata, Janice, Martin. Szkoda mi nawet Lucy i Toma. Nie planowali przecież całego tego zamieszania na ślubie, prawda?

Siedzę bez ruchu i wpatruję się w ziemię. Słyszę, jak pod namiotem zespół zaczyna grać, i słyszę głos Lucy, która kimś zarządza. W ogrodzie dzieci bawią się poduszką wypełnioną kulkami, która co jakiś czas ląduje koło mnie. Ja jednak ani drgnę. Mogłabym tak siedzieć w nieskończoność i nie oglądać nikogo z nich.

Wtedy słyszę swoje imię, niosące się nisko po trawie.

Najpierw myślę, że Lucy ma rację i słyszę nierzeczywiste głosy. Gdy jednak podnoszę głowę, serce podskakuje mi gwałtownie i czuję, że coś twardego grzęźnie mi w gardle. Nie wierzę.

To on.

Luke zmierza w moją stronę przez ogród, jak we śnie. Ma na sobie żakiet i trzyma dwa kieliszki szampana. Nigdy nie wyglądał tak atrakcyjnie.

– Przepraszam – mówi, dołączając do mnie. – Jest mi bardziej niż przykro. Cztery godziny spóźnienia to... cóż, niewybaczalne. – Potrząsa głową.

Wpatruję się w niego oszołomiona. Niemal uwierzyłam, że Lucy ma rację i Luke istnieje tylko w mojej wyobraźni.

– Coś cię... zatrzymało? – pytam w końcu.

– Pasażer miał zawał serca i samolot musiał zawrócić. – Ściąga brwi. – Ale zostawiłem ci wiadomość na poczcie głosowej, jak tylko się dowiedziałem. Nie dostałaś jej?

Sięgam po telefon i z przyprawiającym o mdłości biciem serca uświadamiam sobie, że nie zaglądałam do niego od dłuższego czasu. Oczywiście, ikonka sygnalizująca przychodzącą wiadomość błyska radośnie.

– Nie, nie dostałam – odpowiadam, wpatrując się w nią w osłupieniu. – Nie dostałam. Myślałam...

Milknę i potrząsam głową. Już sama nie wiem, co myślałam. Czyżbym rzeczywiście uwierzyła, że on w ogóle nie przyjedzie?

– Wszystko w porządku? – pyta Luke. Siada obok mnie i podaje mi kieliszek szampana. Muska moją twarz palcem, a ja się wzdrygam.

– Nie – odpowiadam, pocierając policzek. – Skoro pytasz, nie jest w porządku. Obiecałeś, że przyjedziesz. Obiecałeś, Luke.

– Jestem.

– Wiesz, o co mi chodzi. – Żałośnie obejmuję kolana ramionami. – Chciałam, żebyś



przyjechał na ślub, a nie wtedy, gdy przyjęcie niemal się kończy. Chciałam, żeby wszyscy cię poznali i zobaczyli nas razem... – Głos zaczyna mi drżeć. – Było okropnie! Wszyscy myśleli, że poluję na pana młodego...

– Pana młodego? – pyta z niedowierzaniem Luke. – Masz na myśli tę bladą mizerotę o imieniu Tom?

– Tak, jego. – Podnoszę wzrok i na widok wyrazu twarzy Luke'a, chichoczę niechętnie. – Poznałeś go?

– Przed chwilą. Jak również jego niemiłą żonę. Niezła z nich para. – Pociąga łyk szampana i opiera się na łokciach. – Przy okazji, wyglądała na bardzo zaskoczoną, gdy do niej podszedłem, niemal... zaszokowaną. Podobnie jak reszta gości. – Posyła mi pytające spojrzenie. – Czy powinienem o czymś wiedzieć, Becky?

– Hmm... – Odchrząkuję. – Hmm... raczej nie. To nic ważnego.

– Tak pomyślałem – odpowiada. – W takim razie druhna, która wykrzyknęła „O mój Boże, on istnieje!”, kiedy wszedłem, prawdopodobnie jest...

– Szurnięta – mówię, nie poruszając głową.

– Tak – odpowiada. – Chciałem się tylko upewnić.

Sięga po moją dłoń, a ja pozwalam mu ją ująć. Przez chwilę siedzimy w milczeniu. Nad naszymi głowami krąży ptak, a w oddali zespół gra *Lady in Red*.

– Becky, przepraszam, że się spóźniłem. – Nagle jego głos przybiera poważny ton. – Naprawdę nic nie mogłem zrobić.

– Wiem. – Głośno wypuszczam powietrze. – Wiem. To jedna z tych sytuacji, kiedy nic nie mogłeś zrobić.

Jeszcze przez chwilę oboje milczymy.

– Dobry szampan – stwierdza w końcu Luke i upija łyk.

– Tak – przytakuję. – Bardzo... smaczny. Smaczny i... wytrawny... – Milknę i pocieram twarz, próbując ukryć zdenerwowanie.

Po części chciałabym siedzieć tutaj i rozmawiać o niczym tak długo, jak tylko się da. Po części jednak zastanawiam się, jaki sens ma dalsze odkładanie tematu. Chcę wiedzieć tylko jedno. Czuję nerwowy skurcz w żołądku, ale udaje mi się wziąć głęboki oddech i odwrócić w stronę Luke'a.

– Jak poszły spotkania w Zurychu? Jak nowy biznes?

Próbuję zachować spokój i opanowanie, ale czuję, że wargi zaczynają mi drżeć, a ręce zawijają się w węzeł.

– Becky... – zaczyna Luke. Przez chwilę wpatruje się w kieliszek, a potem odstawia go i patrzy na mnie. – Muszę ci o czymś powiedzieć. Przenoszę się do Nowego Jorku.

Robi mi się zimno i ciężko. Tak kończy się ten katastrofalny dzień. Luke mnie zostawia. To koniec. Wszystko skończone.

– Ach, tak – mówię z trudem i wzruszam niedbale ramionami. – Rozumiem. Cóż, w porządku.

– Mam ogromną, ogromną nadzieję... – bierze mnie za ręce i ściska je mocno – ...że pojedziesz tam ze mną.

**Linie lotnicze Regal  
Centrala  
Preston House  
Kingsway 354  
Londyn WC2 4TH**

Sz.P.  
Rebecca Bloomwood  
Burney Road 4 m. 2  
Londyn SW6 8FD

17 września 2001 roku

Szanowna Pani Bloomwood!  
Dziękuję za Pani list z 15 września.

Miło mi słyszeć, że cieszy się Pani na myśl o przelocie naszymi liniami i poleciała nas już Pani wszystkim swoim znajomym. Zgadzam się, iż osobista rekomendacja jest nieoceniona w branży, w której działa nasza firma.

Niestety, nie kwalifikuje to Pani do, jak to Pani określiła, „specjalnych podziękowań” w kwestii bagażu. Linie lotnicze Regal nie mogą podwyższyć limitu dopuszczalnego bagażu ponad standardowe dwadzieścia kilogramów. Każda nadwyżka podlega dodatkowej opłacie. Załączam ulotkę ze szczegółami.

Z życzeniami udanego lotu,  
Mary Stevens  
Manager do spraw obsługi klientów

**PGNI First Bank Visa  
Camel Square 3  
Liverpool L1 5NP**

Sz.P.  
Rebecca Bloomwood  
Burney Road 4 m. 2  
Londyn SW6 8FD

19 września 2001 roku

**WSPANIAŁA WIADOMOŚĆ! TWÓJ NOWY LIMIT  
DEBETOWY WYNOŚI 10 000 FUNTÓW**

Szanowna Pani Bloomwood!

Mamy ogromną przyjemność poinformować, iż przyznano Pani wyższy limit na karcie kredytowej. Nowy limit wynosi 10 000 funtów, co zostanie odnotowane na kolejnym wyciągu bankowym, i jest do Pani dyspozycji już teraz.

Może Pani wykorzystać dodatkowe środki na wiele sposobów, opłacić wyjazd wakacyjny, kupić samochód, a nawet przelewać fundusze z innych kart!

Zdajemy sobie sprawę, iż niektórzy klienci nie chcą wykorzystywać podwyższonego limitu kredytowego. Jeśli chciałaby Pani, by pozostał on na dotychczasowym poziomie, proszę zadzwonić do jednego z naszych Przedstawicieli do spraw Obsługi Klienta lub odesłać poniższy formularz.

Z poważaniem,  
Michael Hunt  
Manager ds. Satysfakcji Klienta

---

Imię i nazwisko: REBECCA BLOOMWOOD Numer rachunku: 0003 4572 0990 2765

\* Akceptuję/Odrzucam propozycję podniesienia limitu kredytowego do 10 000 funtów.

\* Niepotrzebne skreślić.

## Rozdział 7

**N**owory Jork! Lecę do Nowego Jorku! Do Nowego Jorku!

Wszystko się zmieniło i zaczęło układać. Dlatego właśnie Luke zachowywał się tak tajemniczo. Cudownie i długo rozmawialiśmy na weselu, Luke wszystko mi wyjaśnił i nagle cała sytuacja nabrała sensu. Okazuje się, że otwiera nowy oddział Brandon Communications w Nowym Jorku do spółki ze specjalistą od reklamy mieszkającym w Waszyngtonie. Pojedzie do Stanów, by zarządzać nowym biurem. Powiedział, że od początku chciał mnie prosić, bym z nim poleciała, ale wiedział, że nie będę chciała zrezygnować z kariery tylko po to, by mu towarzyszyć. Dlatego – to najlepsza część – rozmawiał ze znajomymi z telewizji i uważa, że dostanę pracę jako ekspert do spraw finansowych w jednym z amerykańskich programów telewizyjnych! W zasadzie stwierdził, że „rzucą się na mnie”, ponieważ Amerykanie uwielbiają brytyjski akcent. Podobno jednemu z producentów wystarczyło obejrzenie filmu z moim udziałem, który Luke mu pokazał, by praktycznie zaproponować mi posadę. Czyż to nie wspaniałe?

Nie chciał wspominać o wyjeździe wcześniej, by nie rozbudzić moich nadziei, zanim plany nabiorą konkretnych kształtów. Teraz wygląda na to, że wszyscy inwestorzy są zdecydowani na współpracę, pozytywnie nastawieni i mają nadzieję na sfinalizowanie umowy jak najszybciej. Luke mówi, że już czekają na niego tłumy potencjalnych klientów, zanim nawet zaczął działalność.

I wiecie co? Jedziemy tam za trzy dni! Hura! Luke planuje rozmowy z kilkoma sponsorami, ja natomiast spotkam się w sprawie pracy z ludźmi z telewizji, a potem będę zwiedzać miasto. Boże, jakie to ekscytujące. Będę tam już za siedemdziesiąt dwie godziny. W Big Apple, mieście, które nigdy nie zasypia, mieście...

– Becky?

O cholera. Natychmiast wraca mi koncentracja, a na twarzy pojawia się pogodny uśmiech. Siedzę na planie *Porannej Kawy* i jak zwykle wysłuchuję telefonów od widzów. Jane z Lincoln wyjaśniła właśnie, że chciałaby kupić nieruchomość, ale nie wie, jaki rodzaj kredytu hipotecznego wybrać.

Na miłość boską, tyle razy tłumaczyłam różnicę pomiędzy spłatą rat według harmonogramu i ubezpieczeniem na życie z rentą kapitałową. Czasami moja praca jest niezmiernie interesująca, kiedy słucham opowieści ludzi o ich problemach i próbuję im pomóc, ale czasem jest tak nudna jak pisanie do „Skutecznego oszczędzania”. Znowu kredyty hipoteczne? Mam ochotę krzyknąć: „Nie oglądała pani programu w zeszłym tygodniu?”.

– Cóż, Jane – zaczynam, tłumiąc ziewanie. – Kredyty hipoteczne to skomplikowany temat.

Myślami ponownie uciekam w stronę Nowego Jorku. Pomyślcie tylko, będziemy mieli mieszkanie na Manhattanie, w jakimś przepięknym bloku na Upper East Side albo w supermodnym budynku w Greenwich Village. Boże, będzie idealnie!

Prawdę mówiąc, nie myślałam o mieszkaniu z Lukiem... chyba nigdy. Gdybyśmy zostali w Londynie, prawdopodobnie nie zdecydowalibyśmy się na to. To przecież poważny krok, prawda? Ale teraz sytuacja jest inna. Jak powiedział Luke, to życiowa szansa dla nas obojga. Zupełnie nowy początek. Żółte taksówki, drapacze chmur, Woody Allen i *Śniadanie u Tiffany'ego*.

O dziwo, chociaż nigdy nie byłam w Nowym Jorku, już czuję świetny kontakt z tym miastem. Na przykład uwielbiam sushi, a tę potrawę wymyślono w Nowym Jorku, prawda? Zawsze oglądam *Przyjaciół*, chyba że akurat wychodzę gdzieś wieczorem. I *Zdrówko* (choć teraz przypominam sobie, że akcja toczy się w Bostonie. Ale to przecież to samo).

– Jane, cokolwiek kupisz – mówię z rozmarzeniem. – Czy mieszkanie dwupoziomowe na Piątej Alei, czy lokum w budynku bez windy w East Village, musisz zmaksymalizować potencjał swojego dolara. To oznacza...

Przerywam na widok zdziwionych spojrzeń Emmy i Rory'ego.

– Becky, Jane planuje kupić bliźniak w Skegness – wyjaśnia Emma.

– I na pewno walutą będą funty – dodaje Rory i rozgląda się wokół, jakby szukał potwierdzenia. – Czyż nie?

– No tak – odpowiadam szybko. – Oczywiście, podałam jedynie przykłady. Te same zasady obowiązują przy zakupie nieruchomości w Londynie, Nowym Jorku, Skegness...

– Obawiam się, że tym międzynarodowym akcentem będziemy musieli zakończyć – odzywa się Emma. – Mam nadzieję, że te wyjaśnienia ci pomogły, Jane. Jeszcze raz dziękujemy naszej ekspert do spraw finansowych Rebecce Bloomwood. Masz chwilę na ostatnie słowo, Becky?

– To samo przesłanie, co zawsze – mówię i uśmiecham się ciepło do kamery. – Troszcz się o swoje pieniądze...

– ...a one zatroszczą się o ciebie! – wszyscy posłusznie odpowiadają.

– Tak dotarliśmy do końca programu – oznajmia Emma. – Oglądajcie nas jutro. Dokonamy metamorfozy trójki nauczycieli z Teddington...

– Porozmawiamy z mężczyzną, który został artystą cyrkowym w wieku sześćdziesięciu pięciu lat – dodaje Rory.

– I rozdamy pięć tysięcy funtów w konkursie „Dalej, zgadnij!”. Do widzenia!

Na moment wszyscy zamierają, by za chwilę się odprężyć, kiedy z głośników zaczyna dobiegać puszczonej na cały regulator dżingiel.

- Becky, wybierasz się do Nowego Jorku? – pyta Rory.
- Tak – odpowiadam z promiennym uśmiechem. – Na dwa tygodnie!
- Jak miło! – cieszy się Emma. – Jak to się stało?

– Och, nie wiem – wzruszam beztrzesko ramionami. – Po prostu nagła zachcianka.

Nie mówię jeszcze nikomu z *Porannej Kawy* o przeprowadzce do Nowego Jorku. Tak poradził mi Luke. Na wszelki wypadek.

– Becky, chciałam zamienić z tobą słówko – rzuca Zelda, asystentka producenta, wpadając na plan z plikiem papierów w ręce. – Twoja nowa umowa jest już gotowa i czeka na podpis, ale będę musiała przejrzeć ją razem z tobą. Zawiera nową klauzulę na temat reprezentowania wizerunku stacji. – Zniża głos. – To rezultat afery z profesorem Jamiem.

– Ach, rozumiem – mówię i przyjmuję współczujący wyraz twarzy. Profesor Jamie jest ekspertem do spraw edukacji w *Porannej Kawie*, a przynajmniej był, zanim „Daily World” opublikowała demaskatorski artykuł na jego temat w serii *Czy są tym, kim się wydają?*. Gazeta ujawniła, że faktycznie nie posiada tytułu profesora. W zasadzie nie posiada żadnego stopnia naukowego poza fałszywym dyplomem, który kupił od „Uniwersytetu w Oxbridge”. Wszystkie brukowce podchwyciły tę historię i ciągle zamieszczały jego zdjęcia w czapce z oślimi uszami, którą miał na głowie podczas zeszłorocznego maratonu telewizyjnego mającego na celu charytatywną zbiórkę pieniędzy. Było mi go szczerze szkoda, ponieważ dawał bardzo pomocne rady.

Zaskoczyła mnie również bezwzględność „Daily World”. Sama napisałam dla tej redakcji jeden czy dwa artykuły i zawsze uważałam, że jak na brukowiec jest dość porządna.

– To zajmie jedynie pięć minut – wyjaśnia Zelda. – Możemy pójść do mojego gabinetu.

– Cóż – mówię i zaczynam się wahać. Nie chcę w tej chwili podpisywać żadnej umowy, skoro planuję zmianę pracy. – Właściwie trochę się spieszę. – To prawda, ponieważ o dwunastej muszę być w biurze Luke’a, a potem zacznę się pakować do Nowego Jorku! (Ha, ha!) – Czy to nie może poczekać do mojego powrotu?

– Dobrze – zgadza się Zelda. – Nie ma problemu. – Wkłada umowę z powrotem do brązowej koperty i uśmiecha się do mnie szeroko. – Baw się dobrze. Słuchaj, musisz tam pójść na zakupy.

– Zakupy? – pytam, jakbym zupełnie o tym nie pomyślała. – Rzeczywiście, mogłabym.

– Och, tak! – potwierdza Emma. – Nie możesz pojechać do Nowego Jorku i nie pójść na zakupy! Chociaż Becky powiedziałyby nam raczej, że powinniśmy odłożyć pieniądze na koncie oszczędnościowym.

Śmieje się radośnie, a Zelda jej wtóruje. Uśmiecham się do nich, choć czuję się dość niezręcznie. Najwyraźniej wszyscy pracownicy *Porannej Kawy* mają wrażenie,

że świetnie zarządzam swoimi pieniędzmi, a ja, właściwie nieświadomie, utrzymywałam ich w tym przekonaniu. Ale pewnie nie ma to znaczenia.

– Oczywiście, plan oszczędnościowy to dobry pomysł. – Słyszę swój głos. – Ale, jak stale powtarzam, nie ma nic złego w zakupach od czasu do czasu, jeśli trzymamy się limitu budżetowego.

– Tak zamierzasz zrobić? – pyta z zainteresowaniem Emma. – Wyznaczyć sobie limit?

– Och, tak, zdecydowanie – odpowiadam mądrze. – To jedyny sposób.

Co jest absolutną prawdą. Oczywiście, mam zamiar określić budżet na zakupy w Nowym Jorku. Wyznaczę sobie realistyczny limit i będę się go trzymać. To naprawdę proste.

Chociaż prawdopodobnie ramy mojego limitu będą dość szerokie i elastyczne, ponieważ zawsze dobrze dać sobie trochę swobody na wypadek nagłych potrzeb lub jednorazowych wydatków.

– Jesteś niesamowita! I taka niezłomna! – wykrzykuje Emma, kręcąc głową. – Dlatego pracujesz jako ekspert od finansów, a ja nie. – Podnosi wzrok, kiedy dostawca kanapek podchodzi do nas z tacą. – Och, cudownie, umieram z głodu. Wezmę... z bekonem i awokado.

– A ja z tuńczykiem i kukurydzą – oznajmia Zelda. – A ty co byś chciała, Becky?

– Pastrami na chlebie żytnim – mówię od niechcienia – Bez majonezu.

– Chyba takich nie mają – wyjaśnia Zelda i marszczy brwi. – Mają sałatkę z szynką...

– W takim razie niech będzie kanapka Reuben, a do tego soda.

– Masz na myśli wodę sodową? – pyta Zelda.

– Co to jest „kanapka Reuben”? – dopytuje zdziwiona Emma, a ja udaję, że jej nie słyszałam. Właściwie nie jestem pewna, jak wygląda taka kanapka, ale jedzą ją w Nowym Jorku, więc musi być pyszna, prawda?

– Cokolwiek to jest, nie mam tego. Mogę zaproponować kanapkę z serem i pomidorem oraz paczkę chrupek Hula Hoops.

– W porządku – zgadzam się niechętnie, sięgam po portmonetkę i w tym momencie plik listów, które wyjęłam ze skrzynki tego ranka, wypada na podłogę. Cholera. Szybko je zbieram i wciskam do torby z logo sklepu Conran z nadzieją, że nikt ich nie zauważył. Jednak cholerny Rory patrzył akurat wprost na mnie.

– Hej, Becky – mówi i śmieje się głośno. – Czy ja tam widziałem nadruk „wezwanie do zapłaty”?

– Nie! – odpowiadam natychmiast. – Oczywiście, że nie. – To... kartka urodzinowa. Żartobliwa kartka urodzinowa dla księgowego. Tak czy inaczej muszę lecieć. Pa!

Dobra, to nie była do końca prawda. Dostałam wezwanie do zapłaty. Szczerze mówiąc,



w ostatnich dniach dostałam ich kilka. Poważnie zamierzam spłacić zaległe należności, kiedy będę miała gotówkę. Nie mogę się jednak nimi przejmować. Pojawiły się teraz w moim życiu ważniejsze sprawy niż parę zasmarkanych ostatecznych wezwań do zapłaty. Za kilka miesięcy będę mieszkała po drugiej stronie Atlantyku! Będę gwiazdą amerykańskiej telewizji!

Luke twierdzi, że w Stanach zarobię prawdopodobnie dwa razy tyle co tutaj. Jeśli nie więcej! Wówczas kilka marnych rachunków nie będzie miało znaczenia. Parę zaległych funtów nie zakłóci mi snu, kiedy będę powszechnie znaną osobistością mieszkającą w apartamencie na Park Avenue, prawda?

Boże, wtedy raz na zawsze załatwię sprawę tego okropnego Johna Gavina. To go kompletnie zbije z tropu. Wyobraźcie sobie jego minę, kiedy wkroczę do jego gabinetu i oznajmię, że będę następną prezenterką w CNN z pensją sześciokrotnie przewyższającą jego własną. To go nauczy nie być takim wrednym. Tego ranka w końcu otworzyłam list od niego i trochę się zmartwiłam. Co ma na myśli, pisząc „nadmiernie wygórowany debet”? Co oznacza „specjalne traktowanie”? Derek Smeath za żadne skarby nie zachowałby się wobec mnie tak nieuprzejmie.

Kiedy przyjeżdżam do Luke'a, jest w trakcie spotkania, ale nie przeszkadza mi to. Lubię odwiedzać biura Brandon Communications, w zasadzie dość często tam zaglądam, tylko ze względu na atmosferę. To takie fajne miejsce: podłogi wyłożone jasnym parkietem, punktowe oświetlenie i modne kanapy. Do tego pracownicy biegają wkoło, sprawiając wrażenie bardzo zajętych i aktywnych. Wszyscy pracują do późna, nawet jeśli nie muszą, a o siódmej wieczorem ktoś zawsze otwiera butelkę wina i puszcza w obieg.

Mam dla asystentki Luke'a Mel prezent z okazji jej wczorajszych urodzin. Jestem z niego bardzo zadowolona – to dwie cudowne poduszki ze sklepu Conran. Kiedy podaję jej torbę z logo, słyszę westchnięcie.

– Och, Becky! Nie musiałaś!

– Ale chciałam! – mówię, uśmiecham się promiennie i przysiadam po przyjacielsku na brzegu jej biurka, gdy ona podziwia prezent. – Co słychać?

Nie ma to jak dobre plotki. Mel odkłada torbę, wyjmuję pudełko toffi i ucinamy sobie cudowną pogawędkę. Opowiada mi ze szczegółami o okropnej randce z potwornym facetem, z którym jej matka próbowała ją zeswatać, a ja odwzajemniam się historią o ślubie Toma. Potem ścisza głos i przekazuje najnowsze biurowe ploteczki.

Opowiada mi o dwóch recepcjonistkach, które nie rozmawiają ze sobą od momentu, gdy obie przyszły do pracy w takich samych żakietach Next i żadna z nich nie chciała zdjąć swojego, oraz o dziewczynie z księgowości, która właśnie wróciła po urlopie macierzyńskim i codziennie wymiotuje, ale do niczego się nie przyznaje.

– A teraz coś specjalnego! – zapowiada Mel i podaje mi torebkę toffi. – Podejrzewam, że Alicja ma romans z kimś z biura.

– Nie! – Wpatruję się w nią zdumiona. – Naprawdę? Z kim?

– Z Benem Bridgesem.

Marszczę czoło, próbując skojarzyć nazwisko z twarzą.

– To ten nowy, który pracował w Coupland Foster Bright.

– On?! – wpatruję się w Mel. – Naprawdę?

Muszę przyznać, że jestem zaskoczona. Jest przemiły, ale dość niski, chorobliwie ambitny i ma zapędy do kombinatorstwa. Nie podejrzewałabym, że jest w typie Alicji.

– Ciągłe widzę ich razem, jak szepczą do siebie. Wczoraj Alicja powiedziała, że idzie do dentysty, ale zobaczyłam ich razem w Ratchetts, jak jedli potajemny lunch...

Przerywa, kiedy Luke pojawia się w drzwiach swojego gabinetu, wypuszczając mężczyznę w fioletowej koszuli.

– Mel, zamów, proszę, taksówkę dla pana Mallory’ego.

– Oczywiście, Luke – odpowiada Mel, zmieniając ton głosu na oficjalny, sekretarski. Podnosi słuchawkę telefonu i uśmiechamy się do siebie szeroko, a potem wchodzę do biura Luke’a.

Rety, ale ma elegancki gabinet. Ciągłe zapominam, jaki jest wielki. Stoi w nim okazałe biurko z drewna klonowego, zaprojektowane przez wielokrotnie nagradzanego duńskiego projektanta, a za nim na półkach we wnęce pyszni się mnóstwo trofeów, które Luke otrzymał w czasie wielu lat swojej kariery.

– Proszę – mówi i podaje mi plik papierów. Na wierzchu znajduje się list, którego nadawcą jest „Kancelaria prawna ds. imigracyjnych, Howski i Forlano”. Kiedy mój wzrok pada na słowa „pańska wnioskowana przeprowadzka do Stanów Zjednoczonych”, czuję ukłucie podniecenia.

– To się dzieje naprawdę – mówię. Podchodzę do sięgającego podłogi okna i spoglądam w dół na ruchliwą ulicę. – Naprawdę lecimy do Nowego Jorku.

– Bilety są zarezerwowane – oznajmia Luke i uśmiecha się do mnie szeroko.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Wiem doskonale – przytakuje i bierze mnie w ramiona. – I to jest bardzo ekscytujące.

Przez chwilę stoimy tak we dwoje, patrząc na ruchliwą londyńską ulicę pod nami. Ledwie mogę uwierzyć, że zamierzam zostawić to wszystko, by zamieszkać w obcym kraju. To wspaniałe i ekscytujące, ale jednocześnie nieco przerażające.

– Naprawdę uważasz, że dostanę tam pracę? – pytam, jak przez ostatni tydzień przy każdym naszym spotkaniu. – Rzeczywiście tak sądzisz?

– Oczywiście, że dostaniesz. – W jego głosie słyszę tyle pewności i zdecydowania, że czuję, jak rozluźniam się w jego ramionach. – Pokochają cię, bez dwóch zdań. – Całuje mnie i przez chwilę tuli do siebie. Potem odchodzi w stronę biurka,

w zamyśleniu marszczy czoło i otwiera wielki segregator zatytułowany NOWY JORK. Nic dziwnego, że jest taki gruby. Niedawno powiedział mi, że planował rozpoczęcie działalności w Stanach od trzech lat. Trzech lat!

– Nie mogę uwierzyć, że planowałeś to tak długo i nic mi nie powiedziałaś – mówię, patrząc jak notuje coś na samoprzylepnej karteczce.

– Mhm – mruży Luke. Ściskam papiery w ręce nieco mocniej i biorę głęboki wdech. Od jakiegoś czasu chcę mu coś powiedzieć i równie dobrze mogę zrobić to teraz.

– Luke, co byś zrobił, gdybym nie chciała jechać do Nowego Jorku?

Zapada cisza i słychać jedynie szum komputera.

– Wiedziałem, że będziesz chciała pojechać – odpowiada w końcu. – To kolejny oczywisty krok dla ciebie.

– Ale... gdybym nie chciała? – Przygryzam wargę. – Czy mimo to byś pojechał?

Luke wzdycha.

– Becky, przecież chcesz jechać do Nowego Jorku.

– Tak! Wiesz, że chcę!

– Więc po co te pytania „co by było, gdyby”? Najważniejsze, że ty chcesz jechać i ja chcę jechać. Wszystko się układa. – Uśmiecha się do mnie i odkłada długopis. – Jak się mają twoi rodzice?

– W porządku – odpowiadam z wahaniem. – Powoli przyzwyczajają się do myśli, że wyjadę.

Co poniekąd jest prawdą. Muszę przyznać, że ta informacja bardzo nimi wstrząsnęła. Teraz wydaje mi się, że chyba powinnam przekazać im ją w łagodniejszy sposób. Na przykład przedstawić im Luke'a, zanim obwieściłam wyjazd. Faktycznie było tak, że wbiegłam do domu, gdzie oboje siedzieli nadal w weselnych strojach i pili herbatę, oglądając program *Countdown*. Wyłączyłam telewizor i oznajmiłam radośnie:

– Mamo, tato, przeprowadzam się z Lukiem do Nowego Jorku!

Wtedy mama spojrzała na tatę i powiedziała:

– Och, Grahamie. Przepadła.

Później przyznała, że miała na myśli co innego, ale nie jestem tego pewna.

Potem rzeczywiście poznali Luke'a, a on opowiedział im o swoich planach i szansach na pracę dla mnie w amerykańskiej telewizji. Widziałam, jak uśmiech znika z twarzy mamy. Stawała się coraz mniejsza i jakby zamknięta. Wyszła, żeby zaparzyć w kuchni herbatę, a ja poszłam za nią i widziałam, że jest smutna. Nie chciała tego jednak pokazać. Lekko drżącymi rękami przygotowała herbatę i wyłożyła na talerzyk ciasteczka. Potem odwróciła się do mnie, uśmiechnęła radośnie i powiedziała:

– Zawsze uważałam, że Nowy Jork będzie ci pasował. To idealne miejsce dla ciebie.

Wpatrywałam się w nią i nagle zdałam sobie sprawę, o czym mówię. O wyjeździe

i mieszkaniu setki kilometrów od domu, rodziców i... całego życia, z wyjątkiem Luke'a.

– Będziecie... będziecie często przyjeżdżać? – zapytałam nieco drżącym głosem.

– Oczywiście, kochanie. Cały czas!

Uścisnęła moją dłoń i odwróciła wzrok. Potem wróciliśmy do salonu i więcej o tym nie rozmawialiśmy.

Jednak następnego ranka, kiedy zeszliśmy na śniadanie, razem z tatą studiowali w „Sunday Times” ogłoszenia dotyczące wakacyjnych domów na Florydzie i twierdzili, że od dawna o tym myśleli. Kiedy wyjeżdżaliśmy po południu, kłócili się zaciekle na temat tego, czy Disneyland na Florydzie jest lepszy od Disneylandu w Kalifornii, chociaż przypadkiem wiem, że ani jedno, ani drugie nie zbliżyło się nawet do żadnego z tych miejsc.

– Becky, muszę wracać do pracy – mówi Luke, przerywając moje myśli. Podnosi słuchawkę telefonu i wykręca numer. – Zobaczmy się wieczorem, dobrze?

– Dobrze – odpowiadam, nadal stojąc przed oknem. Nagle przypominam sobie o czymś i odwracam się. – Hej, słyszałeś o Alicji?

– Co takiego? – Luke marszczy czoło i odkłada słuchawkę.

– Mel uważa, że Alicja ma romans. Z Benem Bridgesem! Możesz w to uwierzyć?

– Szczerze mówiąc, nie – odpowiada, pisząc na klawiaturze. – Nie mogę.

– A twoim zdaniem o co w tym chodzi? – Przysiadam na jego biurku i patrzę na niego podekscytowana.

– Skarbie – mówi cierpliwie. – Naprawdę muszę wracać do pracy.

– Nie interesuje cię to?

– Nie, o ile wykonują swoją pracę.

– Ludzie to nie tylko ich praca – stwierdzam z dezaprobatą, ale Luke nawet mnie nie słucha. Ma ten niedostępny, pełen dystansu wyraz twarzy, który przybiera, gdy się koncentruje.

– No cóż – mówię i przewracam oczami. — Do zobaczenia.

Kiedy wychodzę, Mel nie ma przy biurku, za to stoi przy nim Alicja w czarnym, eleganckim kostiumie i wpatruje się w jakieś dokumenty. Wydaje się bardziej zarumieniona na twarzy i chichocząc w duchu, zastanawiam się, czy właśnie migdałką się z Benem.

– Cześć, Alicjo – witam ją uprzejmie. – Jak się masz?

Podskakuje i szybko zbiera papiery, które czytała. Potem patrzy na mnie z dziwnym wyrazem twarzy, jakby mnie nigdy wcześniej nie widziała.

– Becky – mówi powoli. – Proszę, proszę, pani ekspert od finansów we własnej osobie. Finansowa guru!

Co jest z tą Alicją? Dlaczego wszystko, co mówi, brzmi tak, jakby grała w jakąś

głupią grę?

– Tak, to ja – potwierdzam. – Gdzie poszła Mel?

Podchodząc do biurka, jestem pewna, że coś na nim zostawiłam, ale nie wiem co. Może szalik? Czy miałam ze sobą parasolkę?

– Poszła na lunch – informuje mnie Alicja. – Pokazała mi prezent od ciebie. Bardzo stylowy.

– Dzięki – odpowiadam krótko.

– A więc... – Uśmiecha się niemrawo. – Rozumiem, że wleciesz się za Lukiem do Nowego Jorku. Na pewno miło mieć bogatego chłopaka.

Boże, ale z niej krowa. Nigdy nie powiedziałyby tego w obecności Luke'a.

– Nie „wlokę się” za nim – ripostuję uprzejmie. – Mam wiele spotkań z szefami stacji telewizyjnych. Wybieram się do Nowego Jorku zupełnie niezależnie.

– Ale... – Alicja marszczy czoło w zamyśleniu – twój lot opłaciła firma?

– Nie! Zapłaciłam za niego sama!

– Tak tylko pytam. – Podnosi dłoń w przeproszającym geście. – W takim razie baw się dobrze. – Zbiera kilka folderów, wkłada je do teczki i zapina ją. – Pa!

– Do zobaczenia – odpowiadam i patrzę, jak idzie szybko w kierunku wind.

Jeszcze przez kilka sekund stoję przy biurku Mel, nadal się zastanawiając, co, u licha, na nim zostawiłam. Cokolwiek to było, nie mogę sobie przypomnieć. Och, to na pewno nic ważnego.

W domu zastaję Suze w przedpokoju, rozmawiającą przez telefon. Ma zaróżowioną, błyszczącą twarz i drżący głos i przez chwilę ogarnia mnie przerażenie, iż stało się coś strasznego. Złęknioma patrzę na nią i unoszę brwi, a ona oszołomiona kiwa głową, mówiąc „tak”, „rozumiem” oraz „kiedy to będzie?”.

Opadam na krzesło, osłabiona i zaniepokojona. O czym ona rozmawia? O pogrzebie? Operacji mózgu? O Boże. Jak tylko postanowiłam wyjechać, dzieją się takie rzeczy.

– Zgadnij, co się stało? – pyta roztrzęsiona, odłożywszy słuchawkę, a ja podskakuję.

– Suze, nie pojedę do Nowego Jorku – oznajmiam i spontanicznie chwytam ją za rękę. – Zostanę i pomogę ci przez to przejść, cokolwiek się stało. Czy ktoś... umarł?

– Nie – zaprzecza Suze w osłupieniu.

– Jesteś chora?

– Nie, nie, Bex. Mam dobre wieści! Sama nie mogę w to uwierzyć.

– Co w takim razie? O co chodzi?

– Sklep Hadleys zaproponował mi stworzenie własnej linii akcesoriów do domu. Pamiętasz ten dom towarowy? – Potrząsa głową z niedowierzaniem. – Chcą, bym zaprojektowała całą serię! Ramki, wazon, papeterię, właściwie wszystko, co chcę!

– O mój Boże! – Zakrywam usta dłonią. – To fantastyczne!

– Facet ze sklepu zadzwonił do mnie właśnie, całkiem znieca, i powiedział, że jego pracownicy monitorowali sprzedaż moich ramek i najwyraźniej nigdy wcześniej nie widzieli czegoś podobnego.

– Och, Suze!

– Nie miałam pojęcia, że tak wspaniale się sprzedają. – Nadal wygląda na kompletnie zaskoczoną. – Powiedział, że to fenomen! Wszyscy w branży o tym mówią. Okazuje się, że jedyny sklep, który nie sprzedał tak wielu ramek, to taki jeden położony daleko od miasta, w Finchley czy podobnych okolicach.

– Ach, tak – bąkam pod nosem. – Nigdy tam chyba nie byłam.

– Facet powiedział, że to musiał być wyjątek, ponieważ w pozostałych sklepach, w Fulham, Notting Hill i Chelsea sprzedaż gwałtownie idzie w górę. – Uśmiecha się zażenowana. – Podobno w sklepie Prezenty i Drobiazgi za rogiem zajmują pierwsze miejsce na liście bestsellerów!

– Nie dziwię się! – wykrzykuję. – Twoje ramki są bez wątpienia najlepszym produktem w tym sklepie. Zdecydowanie. – Obejmuję ją. – Jestem z ciebie taka dumna, Suze. Zawsze wiedziałam, że będziesz gwiazdą.

– W życiu bym tego nie osiągnęła, gdyby nie ty! To dzięki tobie zaczęłam robić ramki... – Nagle twarz Suze się zmienia, jakby zbierało jej się na płacz. – Och, Bex, naprawdę będzie mi ciebie brakowało.

– Wiem – mówię i przygryzam wargę. – Mnie ciebie też.

Przez chwilę obie milczymy i mam wrażenie, że zaraz się rozpłaczę. Biorę jednak tylko głęboki oddech i podnoszę wzrok.

– Cóż, nie widzę innego wyjścia: będziesz musiała otworzyć oddział w Nowym Jorku.

– Tak! – wykrzykuje Suze i pogodnieje. – Mogłabym, prawda?

– Oczywiście. Już niedługo będziesz sprzedawać swoje produkty na całym świecie. – Ściskam ją. – Hej, pójdźmy gdzieś dzisiaj, żeby to uczcić.

– Och, Bex, bardzo bym chciała, ale nie mogę – mówi. – Jadę do Szkocji. – Właściwie... – patrzy na zegarek i marszczy czoło. – O Boże, nie zdawałam sobie sprawy, jak jest późno. Tarquin zaraz tu będzie.

– Tarquin przychodzi? – pytam zdumiona. – Teraz?

Jakimś cudem udawało mi się unikać kuzyna Suze od czasu owego okropnego wieczora, który spędziliśmy razem. Na samo wspomnienie o nim czuję się niekomfortowo. W zasadzie randka przebiegała gładko (biorąc pod uwagę fakt, że Tarquin mi się nie podobał i nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego) do momentu, gdy przyłapał mnie na przeglądaniu jego książeczki czekowej. A przynajmniej wydawało mi się, że mnie przyłapał. Nadal nie jestem pewna, co zobaczył i szczerze mówiąc, nie palę się, by tę wiedzę zdobyć.

– Jedzie ze mną do domu ciotki na nudne spotkanie rodzinne – wyjaśnia Suze. –

Będziemy tam jedynymi osobami poniżej dziewięćdziesiątki.

Wybiega do pokoju, a wtedy rozbrzmiewa dzwonek do drzwi i Suze krzyczy przez ramię:

– Możesz otworzyć, Bex? To pewnie on.

O Boże. O Boże. Naprawdę nie jestem na to gotowa.

Starając się sprawiać wrażenie zdystansowanej i pewnej siebie, otwieram drzwi i oznajmiam radośnie:

– Tarquin!

– Becky – odpowiada i wpatruje się we mnie, jakbym była zaginionym skarbem Tutenchamona.

O Boże, nigdy wcześniej nie wyglądał tak chudo i dziwnie. Ma na sobie dziwaczny, robiony na drutach zielony sweter wciśnięty pod tweedową kamizelkę, a z kieszeni zwisa mu wielki, staromodny zegarek z dewizką. Przepraszam, ale facet, który zajmuje piętnaste miejsce w rankingu najbogatszych ludzi w Anglii, powinien chyba sprostać zadaniu zakupu ładnego, nowego timexa?

– Wejdz, proszę – mówię z nadmiernym entuzjazmem i wyciągam rękę jak właściciel włoskiej restauracji.

– Świetnie – odpowiada Tarquin i idzie za mną do salonu. Zapada niezręczna cisza, kiedy czekam, aż usiądzie; w zasadzie zaczynam się niecierpliwić, gdy on stoi niepewnie pośrodku pokoju. Nagle zdaję sobie sprawę, że czeka, aż ja usiądę, i szybko opadam na sofę.

– Chcesz malucha? – pytam uprzejmie.

– Trochę za wcześnie – odpowiada, śmiejąc się nerwowo.

(Przy okazji, „maluch” to w języku Tarquina określenie drinka. Spodnie to „spody”, a... no, wiecie, o co chodzi).

Zapada kolejna potworna cisza. Nie mogę przestać myśleć o okropnych momentach naszej randki, na przykład kiedy próbował mnie pocałować, a ja gwałtownie się od niego odsunęłam. O Boże, zapomnieć, zapomnieć.

– Słyszałem, że... przeprowadzasz się do Nowego Jorku – mówi Tarquin wpatrzony w podłogę. – Czy to prawda?

– Tak – odpowiadam i nie mogę się nie uśmiechnąć. – Taki mam plan.

– Sam byłem kiedyś w Nowym Jorku, ale nie odnalazłem się tam.

– Wyobrażam sobie – komentuję rozważnie. – Różni się bardzo od Szkocji. Jest znacznie bardziej... szalony.

– Właśnie! – wykrzykuje, jakby moja uwaga należała do niezmiernie wnikliwych. – Dokładnie tak. Miasto było zbyt szalone, a ludzie całkowicie nadzwyczajni. W moim odczuciu dość zwariowani.

W porównaniu do czego? mam ochotę zapytać. Przynajmniej nie mówią na wodę „H<sub>2</sub>O” i nie śpiewają publicznie Wagnera.

To jednak byłoby nieuprzejme, więc milczę, podobnie jak on, a kiedy drzwi się otwierają, oboje podnosimy z wdzięcznością wzrok.

– Cześć! – wita się Suze. – Tarkie, jesteś! Posłuchaj, muszę pójść po samochód, bo wczoraj wieczorem zaparkowałam kilka ulic dalej. Zatrąbię, jak podjadę, i możemy ruszać, okej?

– Okej – przytakuje Tarquin. – Poczekam tutaj z Becky.

– Cudownie! – odpowiadam, starając się uśmiechnąć pogodnie.

Suze znikła, ja z zakłopotaniem wiercę się na sofie. Tarquin wyciąga przed siebie nogi i wpatruje się w nie. Sam jego widok męczy mnie coraz bardziej i nagle zdaję sobie sprawę, że muszę teraz coś powiedzieć, inaczej wyjadę do Nowego Jorku i szansa przepadnie.

– Tarquin – zaczynam i robię głośny wydech. – Jest coś, o czym bardzo chcę ci powiedzieć. Myślę o tym właściwie już od pewnego czasu.

– Tak? – pyta, unosząc gwałtownie głowę. – O co... o co chodzi? – Patrzy mi z niepokojem w oczy, a ja czuję, że zaczynam się denerwować. Ale skoro zaczęłam, muszę kontynuować. Muszę powiedzieć mu prawdę. Odrzucam włosy do tyłu i biorę głęboki wdech.

– Ten sweter... bardzo nie pasuje do tej kamizelki.

– Och – mówi zaskoczony Tarquin. – Czyżby?

– Tak! – przytakuję, czując ogromną ulgę, że wyrzuciłam to z siebie. – W zasadzie jest... koszmarny.

– Powinienem go zdjąć?

– Tak. W zasadzie... zdejmij też kamizelkę.

Posłusznie zdejmuję kamizelkę i sweter i ze zdumieniem zauważam, o ile lepiej wygląda w gładkiej, niebieskiej koszuli. Prawie... normalnie! Nagle czuję przyływ inspiracji.

– Poczekaj!

Wybiegam do pokoju i chwytam jedną z reklamówek stojących na krześle. Jest w niej sweter, który kilka dni temu kupiłam z myślą o urodzinach Luke'a, ale odkryłam, że ma już dokładnie taki sam, więc zamierzałam go zwrócić.

– Proszę! – mówię po powrocie do salonu. – Włóż ten, od Paula Smitha.

Tarquin wkłada przez głowę czarny sweter i... cóż za różnica! Wygląda niemal wytwornie.

– Twoje włosy – nie ustępuję, patrząc na niego krytycznie. – Musimy coś z nimi zrobić.

Dziesięć minut zajmuje mi zmoczenie ich, wysuszenie, zaczesanie do tyłu i przyglądanie za pomocą odrobiny serum. Powiem wam, że nastąpiła transformacja.

– Tarquin, wyglądasz wspaniale! – oznajmiam i naprawdę tak uważam. Nadal wygląda chudo i kościsto, ale już nie jak dziwak, właściwie dość... interesująco.



– Naprawdę? – pyta Tarquin i ogląda się. Wydaje się nieco przerażony. Być może zmusiłam go nieco do tej zmiany, ale kiedyś mi za to podziękuje.

Za oknem rozlega się dźwięk klaksonu i oboje podskakujemy.

– Baw się dobrze – mówię i brzmi to jak słowa matki. – Jutro rano po prostu zmocz ponownie włosy, przeczesz palcami i powinny wyglądać dobrze.

– Dobrze. – Tarquin patrzy na mnie tak, jakbym właśnie podyktowała mu do zapamiętania długi wzór matematyczny. – Postaram się zapamiętać. A sweter? Mam ci go odesłać pocztą?

– Nie oddawaj mi go! – zastrzegam z przerażeniem. – Zatrzymaj go i noś. To prezent.

– Dziękuję. Jestem ci... bardzo wdzięczny, Becky. – Podchodzi i cmoka mnie w policzek, a ja poklepuję go niezręcznie po ręce. Znika za drzwiami, ja zaś mam nadzieję, że poszczęści mu się na tym przyjęciu i znajdzie sobie kogoś. Zasługuje na to.

Idę powoli do kuchni, by zaparzyć sobie herbaty, i zastanawiam się, co robić przez resztę popołudnia. Poniekąd zamierzałam popracować nad poradnikiem, ale mogę też obejrzeć *Manhattan*, który Suze nagrała poprzedniego wieczora, a to byłoby bardzo przydatne przed moim wyjazdem. Muszę przecież być dobrze przygotowana, prawda?

Nad książką mogę popracować po powrocie z Nowego Jorku. Właśnie.

Radośnie wkładam kasetę do odtwarzacza, kiedy dzwoni telefon.

– Dzień dobry – odzywa się dziewczęcy głos. – Przepraszam, że przeszkadzam. Czy rozmawiam może z Becky Bloomwood?

– Tak – przytakuję i sięgam po pilota.

– Jestem... pracownicą pani biura podróży – oznajmia dziewczyna i odchrząkuje. – Chcielibyśmy jeszcze raz potwierdzić, w którym hotelu zatrzyma się pani w Nowym Jorku.

– Hmm... The Four Seasons.

– Razem z panem... Lukiem Brandonem?

– Zgadza się.

– Ile dni?

– Hmm... trzynaście? Czternaście? Nie jestem pewna. – Mrużę oczy, patrząc na ekran, i zastanawiam się, czy nie przewinęłam kasety zbyt daleko. Nie pokazują już przecież tej reklamy chipsów Walker's.

– Czy zatrzymają się państwo w pokoju, czy w apartamencie?

– Wydaje mi się, że w apartamencie.

– Ile kosztuje jedna noc?

– W zasadzie... nie wiem – opowiadam. – Mogę się dowiedzieć...

– Nie, proszę się nie martwić – mówi uprzejmie dziewczyna. – Cóż, nie będę pani więcej kłopotać. Udanej podróży!

– Dziękuję! – odpowiadam w momencie, gdy znajduję początek filmu. – Na pewno będzie nam się podobało.

W słuchawce zapada cisza, a ja podchodzę do kanapy i lekko ściągam brwi. Agent z biura podróży wiedziałby, ile kosztuje noc w hotelu. Przecież to część jego pracy.

Siadam, upijam łyk herbaty i czekam, aż rozpocznie się film. Im dłużej się zastanawiam, tym dziwniejsza wydaje mi się ta rozmowa. Po co ktoś miałby dzwonić i zadawać serię podstawowych pytań? Chyba że to nowa pracownica. Może tylko się upewnia albo...

W tym momencie zapominam o wszystkim. Rozbrzmiewa *Błękitna rapsodia* Gershwina, a ekran wypełniają zdjęcia Manhattanu. Wpatruję się w telewizor całkowicie pochłonięta i czuję rosnącą ekscytację. Tam właśnie jedziemy! Będziemy tam za trzy dni! Po prostu nie mogę się doczekać!

**Bank Endwich  
Oddział Fulham  
Fulham Road 3  
Londyn SW6 9JH**

Sz.P.  
Rebecca Bloomwood  
Burney Road 4 m. 2  
Londyn SW6 8FD

21 września 2001 roku

Szanowna Pani Bloomwood!  
Dziękuję za Pani list z 19 września.

Nie złamała Pani nogi. Uprzejmie proszę o niezwłoczny kontakt z moim biurem w celu ustalenia terminu spotkania, by omówić kwestię zadłużenia na Pani karcie kredytowej.

Została Pani obciążona opłatą w wysokości dwudziestu funtów za wystosowanie niniejszego pisma.

Z poważaniem,  
John Gavin  
Dyrektor do spraw kredytów

**ENDWICH TROSKLIWYM BANKIEM**

**Linie lotnicze Regal  
Centrala  
Preston House  
Kingsway 354  
Londyn WC2 4TH**

Sz.P.  
Rebecca Bloomwood  
Burney Road 4 m. 2  
Londyn SW6 8FD

Szanowna Pani!

Dziękuję za Pani list z 18 września. Przykro mi słyszeć, że nasza polityka dotycząca bagażu powoduje u Pani bezsenność i ataki paniki.

Zgadzam się, iż może Pani ważyć znacznie mniej niż – jak Pani to ujęła – „gruby biznesmen z Antwerpii opychający się donutami”. Niestety, linie lotnicze Regal nadal nie są w stanie podwyższyć Pani limitu bagażu powyżej obowiązujących dwudziestu kilogramów.

Oczywiście, może Pani złożyć skargę i napisać w tej sprawie do Cherie Blair, jednak nasza polityka pozostanie niezmienną.

Z życzeniami udanego lotu,  
Mary Stevens  
Manager do spraw obsługi klientów

## Rozdział 8

To jest to. To moje miejsce. Zostałam stworzona do mieszkania w Ameryce.

Przyjechaliśmy raptem wczoraj wieczorem, a ja już bez reszty zakochałam się w tym mieście. Po pierwsze, nasz hotel jest fantastyczny, wykładany wapieniem i marmurem, z niezwykle wysokimi sufitami. Zatrzymaliśmy się w ogromnym pokoju z widokiem na Central Park, garderobą wyłożoną boazerią i niewiarygodną wanną, która napełnia się w pięć sekund. Wszystko jest ogromne, luksusowe i jakby... większe. Na przykład wieczorem po przyjeździe Luke zaproponował szybkiego drinka na dole i martini, a w efekcie podano mi największe martini, jakie w życiu kiedykolwiek widziałam. Ledwie je skończyłam. (W końcu jednak mi się udało. Potem wypiałam jeszcze jedno, po prostu dlatego, że niegrzecznie byłoby odmówić).

Do tego wszyscy są cały czas bardzo mili. Obsługa hotelowa uśmiecha się za każdym razem, gdy mnie widzi, a kiedy mówię „dziękuję”, odpowiadają „proszę bardzo”. W Anglii nigdy tego nie robią, tylko odburkują. Ku mojemu zdumieniu dostałam już cudowny bukiet kwiatów i zaproszenie na lunch od mieszkającej w Nowym Jorku matki Luke’a Elinor, kolejny bukiet od pracowników stacji telewizyjnej, z którymi spotykam się w środę, oraz kosz owoców od kogoś, o kim nie słyszałam, ale kto najwyraźniej za wszelką cenę chce mnie poznać!

Kiedy Zelda z *Porannej Kawy* ostatnio przysłała mi kosz owoców? No właśnie.

Wypijam łyk kawy i uśmiecham się błogo do Luke’a. Siedzimy w restauracji i kończymy śniadanie, zanim on popędzi na spotkanie, a ja zastanawiam się, co dzisiaj robić. Przez kilka dni nie będę miała żadnych rozmów o pracę, więc mogę zdecydować, czy zajrzeć do kilku muzeów, pójść na spacer po Central Parku, czy wstąpić do sklepu... albo dwóch...

– Dolać państwu kawy? – Podnoszę wzrok i widzę uśmiechniętego kelnera z dzbankiem kawy. Widzicie, o co mi chodzi? Od kiedy usiedliśmy, proponują nam bezustannie dolewkę kawy, a kiedy poprosiłam o sok pomarańczowy, dostałam ogromną szklanę udekorowaną maczaną w cukrze skórka pomarańczową. A co do pysznych naleśników, które właśnie skończyłam... Naleśniki na śniadanie? Czysty geniusz!

– Pewnie będziesz chodzić na siłownię – stwierdza Luke i składa egzemplarz „Daily Telegraph”. Codziennie czyta wszystkie gazety, brytyjskie i amerykańskie. To dobrze, bo nadal mogę przeczytać swój horoskop w „Daily World”.

– Na siłownię? – pytam zdziwiona.

– Myślałem, że taki masz plan – odpowiada, sięgając po „Financial Times”. – Codzienne ćwiczenia.

Już mam zamiar powiedzieć „Nie bądź śmieszny!”, kiedy sobie przypominam, że mogłam nierozważnie oznajmić coś podobnego. Po drugim martini.

W porządku, mogę pójść na siłownię. W zasadzie dobrze byłoby to zrobić. Potem mogłabym trochę pozwiedzać. Może obejrzałabym kilka znanych budynków.

Jestem pewna, że czytałam gdzieś, iż Bloomingdale’s odznacza się godną podziwu architekturą.

– A co będziesz robiła później?

– Nie wiem – rzuca wymijająco, patrząc, jak kelner stawia na stoliku obok talerz z francuskimi tostami. Boże, wyglądają przepysznie. Dlaczego nie mamy takich dań w Europie? – Myślę, że pozwiedzam Nowy Jork.

– Pytałem w recepcji i dowiedziałem się, że o jedenastej wyrusza z hotelu wycieczka z przewodnikiem. Recepcjonista bardzo ją polecał.

– Aha – odpowiadam i wypijam łyk kawy. – Mogłabym się przyłączyć...

– Chyba że chciałabyś załatwić sprawę zakupów? – dodaje i sięga po „The Times”, a ja wpatruję się w niego z niedowierzaniem. Zakupów się nie „załatwia”, to inne rzeczy trzeba „załatwić”.

W zasadzie daje mi to do myślenia. Może powinnam pójść na tę wycieczkę, wtedy zwiedzanie będę miała z głowy.

– Wycieczka z przewodnikiem brzmi ciekawie – przyznaję. – Właściwie to będzie wspaniały sposób na poznanie miasta, w którym mam zamieszkać. – Rozglądam się po jadalni, patrząc na wszystkich eleganckich biznesmenów, zadbane kobiety i kelnerów, którzy krzątają się dyskretnie wokół. – Boże, pomyśl tylko, już za kilka tygodni będziemy tu mieszkać. Będziemy prawdziwymi nowojorkczykami!

– Becky – mówi Luke. Odkłada gazetę i nagle przybiera poważny wyraz twarzy. – Chciałem ci o czymś powiedzieć. Wszystko działo się tak szybko, że nie miałem wcześniej okazji tego zrobić, ale uważam, że musisz to usłyszeć.

– OK – odpowiadam z niepokojem. – O co chodzi?

– Przeprowadzka do nowego miasta to duży krok, zwłaszcza jeśli chodzi o tak szczególne miasto jak Nowy Jork. Byłem tu wiele razy, ale nawet mnie czasem przyłacza.

– Rozumiem. Co chcesz przez to powiedzieć?

– Mówię, że nie powinnaś się spieszyć, nie oczekuj, że od razu się przyzwyczaisz. Sama presja i tempo życia są, szczerze mówiąc, na innym poziomie niż w Londynie.

Wpatruję się w niego zmieszana.

– Sądzisz, że nie wytrzymam takiego tempa?

– Tego nie powiedziałem. Sugeruję tylko, byś poznawała miasto stopniowo. Poczuj jego atmosferę i zastanów się, czy rzeczywiście wyobrażasz sobie mieszkanie tutaj.

Może ci się całkowicie nie spodobać! Możesz uznać, że nie jesteś w stanie się tu przeprowadzić. Oczywiście mam nadzieję, że tak nie będzie, ale warto dać sobie czas do namysłu.

– Aha – mówię powoli. – Rozumiem.

– Zobacz, jak minie ci dzisiejszy dzień, i porozmawiamy jeszcze wieczorem, dobrze?

– Dobrze – przytakuję i w zamyśleniu wypijam kawę.

Pokażę Luke'owi, że potrafię odnaleźć się w tym mieście. Udowodnię mu, że mogę być prawdziwą nowojorczką. Pójdę na siłownię, wypiję jakiś zdrowy napój z młodej pszenicy, a potem może... kogoś zastrzelę?

Może się okaże, że wystarczy mi siłownia.

Właściwie nie mogę się doczekać, kiedy poćwiczę. Kupiłam w zeszłym roku na wyprzedaży wspaniałą strój sportowy i po raz pierwszy będę miała okazję go włożyć! Miałam zamiar zapisać się do klubu sportowego, byłam nawet w Holmes Place w Fulham i wzięłam pakiet wpisowy. Potem jednak przeczytałam wspaniały artykuł o tym, że można rzucić wiele kilogramów tylko dzięki bawieniu się drobnymi przedmiotami lub na przykład przez wyginanie palców. Postanowiłam zastosować tę metodę, a za zaoszczędzone pieniądze kupić nową sukienkę.

Nie chodzi o to, że nie lubię ćwiczyć. Lubię, a nawet uwielbiam. A jeśli zamieszkałam w Nowym Jorku, będę musiała chodzić na siłownię codziennie, prawda? To chyba jakieś miejscowe prawo czy coś w tym rodzaju, a więc będzie to doskonały sposób na zaaklimatyzowanie się.

Przed wejściem do klubu spoglądałam na swoje odbicie w szybie i w duchu przyznaję, że jestem pod wrażeniem. Mówi się, że mieszkańcy Nowego Jorku są chudzi jak szczapy i wysportowani, ale wydaje mi się, że wyglądam lepiej niż wielu z nich. Spójrzcie tylko na tego łysiejącego faceta w szarej koszulce. Wygląda tak, jakby w życiu nawet nie zbliżył się do siłowni.

– Dzień dobry – słyszę. Podnoszę wzrok i widzę zmierzającego w moją stronę umięśnionego mężczyznę w modnym stroju z czarnej lycry. – Mam na imię Tony. Jak się pani dzisiaj miewa?

– W porządku, dziękuję – odpowiadam i od niechcienia naciągam lekko mięśnie tylnej grupy uda (przynajmniej wydaje mi się, że to te mięśnie. Te w nodze). – Przyszłam poćwiczyć.

Nonszalancko przestępuję z nogi na nogę, łączę dłonie i wyciągam ręce przed siebie. Widzę swoje odbicie w lustrze po drugiej stronie sali i chociaż to moja opinia, wyglądam cholernie stylowo.

– Ćwiczy pani regularnie? – pyta Tony.

– Nie w siłowni – odpowiadam i próbuję dotknąć palców u stóp, chociaż

w połowie drogi zmieniam zdanie i opieram dłonie na kolanach. – Ale dużo chodzę.

– Świetnie! – cieszy się Tony. – Na bieżni czy w terenie?

– Głównie po sklepach.

– Aha – odpowiada z wahaniem.

– Zwykle mam w rękach duże ciężary – wyjaśniam. – Wie pan, torby z zakupami i podobne rzeczy.

– Rozumiem – odpowiada, choć nie wygląda na przekonanego. – Czy chciałaby pani, żebym pokazał jej, jak działają przyrządy?

– Nie trzeba – odpowiadam pewnie. – Dam sobie radę.

Szczerze mówiąc, nie chce mi się wysłuchiwać, jak wyjaśnia działanie każdego przyrządu i jego ustawień. Przecież nie jestem przygłupem. Biorę ręcznik ze stosu, układam go wokół szyi i ruszam w kierunku bieżni, która wygląda na łatwą w obsłudze. Wchodzę na nią i przyglądam się przyciskom przed sobą. Na panelu świeci się hasło „Czas” i po namyśle wprowadzam czterdzieści minut, co wydaje mi się odpowiednim okresem. To przecież oznacza czas spaceru, prawda? Podświetla się hasło „Program” i tu z podanych opcji wybieram „Everest”, co brzmi bardziej interesująco niż „Spacer po wzgórzach”. Następnie uwidacznia się kryterium „Poziom”. Hmm, poziom. Rozglądam się wokół w poszukiwaniu pomocy, ale nigdzie nie widzę Tony’ego.

Łysiejący facet podchodzi do bieżni obok mojej i nachylam się do niego.

– Przepraszam – pytam grzecznie. – Który poziom, pańskim zdaniem, powinnam wybrać?

– To zależy, na ile jest pani wysportowana – odpowiada.

– Cóż... – Uśmiecham się skromnie. – No, wie pan...

– Ja wybieram poziom piąty, jeśli to pani pomoże – oznajmia mężczyzna i sprawnie stuka w przyciski na swoim urządzeniu.

– Dobrze – odpowiadam. – Dziękuję!

Skoro on wybiera poziom piąty, ja muszę wybrać przynajmniej siódmy. Spójrzcie tylko na niego i porównajcie go ze mną.

Sięgam do panelu, wciskam 7, a potem przycisk START. Bieżnia rusza, ja też. To naprawdę przyjemne! Boże, powinnam częściej chodzić na siłownię, a w zasadzie zapisać się na stałe.

Najwyraźniej pomimo braku ćwiczeń można utrzymywać naturalny poziom sprawności. Ten trening zupełnie mnie nie męczy, a właściwie wydaje się zbyt łatwy. Powinnam wybrać poziom...

Chwileczkę, bieżnia zaczyna podnosić się po skosie w górę. Zaczyna też przyspieszać. Żeby nadążyć, muszę zacząć biec.

W porządku, o to przecież chodzi, prawda? Przyjemny jogging dla zdrowia. Biegnę sobie, lekko posapuję, ale to tylko oznacza, że moje serce pracuje. Idealnie, o ile trening nie zacznie...



Znów się podnosi. O mój Boże. I znowu przyspiesza, coraz bardziej.

Nie dam rady, mam czerwoną twarz, czuję ból w klatce piersiowej. Dyszę jak szalona i chwytam się boków maszyny. Nie mogę biec tak szybko, muszę trochę zwolnić.

Gorączkowo stukam w przyciski na panelu, ale bieżnia dalej się przesuwają i nagle pochyła jeszcze bardziej. O nie, proszę!

„Pozostało: 38 minut”, informuje podświetlony komunikat przede mną. Pozostało 38 minut? Pozostało?!

Zerkam na prawo, gdzie łysiejący mężczyzna z łatwością biegnie, jakby zbiegał z górki. Chcę z nim porozmawiać, ale nie mogę otworzyć ust. Jedyne, co mogę zrobić, to poruszać nogami najlepiej, jak potrafię.

Nagle on patrzy w moją stronę i wyraz jego twarzy się zmienia.

– Proszę pani, wszystko w porządku?

Szybko stuka w panel na swojej maszynie, która ze zgrzytem się zatrzymuje, a potem zeskakuje i wciska przycisk na mojej bieżni.

Bieżnia zwalnia, następnie dość gwałtownie staje, a ja opadam na jedną z bocznych poręczy i próbuję złapać oddech.

– Proszę napić się wody – proponuje mężczyzna i podaje mi kubek.

– Dzięki-ku-je – dyszę. Schodzę z bieżni, chwiejąc się i nadal rozpaczliwie łapiąc oddech. Czuję, że płuca zaraz mi eksplodują, a w szybie naprzeciw dostrzegam odbicie swojej czerwonej jak burak twarzy.

– Może powinna pani zrobić sobie dzisiaj przerwę – proponuje mężczyzna i patrzy na mnie z niepokojem.

– Tak – przytakuję. – Może tak zrobię. – Wypijam łyk wody i próbuję oddychać normalnie. – Myślę, że problem polega na tym, że nie jestem przyzwyczajona do amerykańskich bieżni.

– To możliwe – przyznaje mężczyzna i kiwa głową. – Potrafią być skomplikowane. Oczywiście tę – dodaje i poklepuje ją żartobliwie – wyprodukowano w Niemczech.

– No tak – mówię po chwili milczenia. – Cóż, tak czy inaczej dziękuję za pomoc.

– Do usług – odpowiada, po czym wraca na swoją bieżnię z uśmiechem na twarzy.

O Boże, to było naprawdę żenujące. Kiedy wykąpana i przebrana zmierzam do hotelowego foyer na wycieczkę z przewodnikiem, czuję się już mniej pewna siebie. Może Luke ma rację? Może nie nadążę za nowojorskim tempem? Może moja przeprowadzka tutaj razem z nim to głupi pomysł?

W holu zebrała się już grupka turystów. Większość starsza ode mnie i słucha młodego, entuzjastycznego mężczyzny, który opowiada o Statui Wolności.

– Dzień dobry! – przerywa opowieść, by mnie powitać. – Pani na wycieczkę?

– Tak – odpowiadam.

– Pani nazwisko?

– Rebecca Bloomwood – mówię i czerwienię się lekko, ponieważ reszta osób odwraca się, by spojrzeć na mnie. – Zapłaciłam wcześniej w recepcji.

– W takim razie, cześć, Rebecco! – oznajmia mężczyzna i odznacza mnie na liście. – Mam na imię Christoph. Witaj w grupie. Masz na sobie wygodne buty? – Patrzy na moje kozaczki (intensywnie fioletowe, na małym obcasie w kształcie kieliszka, nabyte w zeszłym roku na wyprzedazy w sklepie Bertie) i z twarzy znika mu radosny uśmiech. – Zdajesz sobie sprawę, że to trzygodzinna wycieczka? Piesza.

– Oczywiście – odpowiadam zdziwiona. – Dlatego właśnie założyłam te buty.

– Rozumiem – odpowiada po chwili Christoph. – Dobrze. – Rozgląda się wokół. – Myślę, że jesteśmy w komplecie. Zaczniemy naszą wycieczkę!

Prowadzi nas do wyjścia z hotelu, potem na ulicę i kiedy reszta dziarsko podąża za nim, ja idę powoli, patrząc w górę. Powietrze tego dnia jest niezwykle przejrzyste i świeże, a niemal oślepiające światło słoneczne odbija się od chodnika i budynków. Rozglądam się, całkowicie przepelniona podziwem. Boże, to miasto jest niesamowite. Oczywiście wiedziałam, że Nowy Jork pełen jest wysokich drapaczy chmur, ale dopiero kiedy stanie się na ulicy i popatrzy na nie, można zdać sobie sprawę, jak... jak są wielkie. Obserwuję szczyty budynków na tle nieba, aż zaczyna mnie boleć szyja i czuję, że kręci mi się w głowie. Powoli opuszczam wzrok, piętro po piętrze do poziomu witryn sklepowych. W tym momencie widzę przed sobą dwa słowa: „Prada” i „Buty”.

Och.

Buty od Prady, tuż przed moim nosem.

Zerknę na nie szybciotko.

Kiedy reszta grupy podąża dalej, ja podbiegam do wystawy i wpatruję się w parę ciemnobrązowych czółenek. Są boskie. Ciekawe, ile kosztują. Może produkty Prady są tutaj naprawdę tanie. Może powinnam tylko zajrzeć i...

– Rebecco?

Nagle przytomnieję i odwracam się. Cała wycieczka stoi dwadzieścia metrów dalej i patrzy na mnie.

– Przepraszam. – Niechętnie odsuwam się od wystawy. – Już idę.

– Później będzie czas na zakupy – informuje radośnie Christoph.

– Wiem. – Śmieję się z ulgą. – Przepraszam.

– Nie ma sprawy!

Oczywiście, ma rację. Będzie mnóstwo czasu na zakupy. Mnóstwo.

Dobrze, skoncentruję się na wycieczce.

– Rebecco – zaczyna wesoło Christoph, kiedy dołączam do grupy. – Właśnie mówiłem pozostałym, że zmierzamy Pięćdziesiątą Siódmą Wschodnią do Piątej Alei, najśłynniejszej alei w Nowym Jorku.

– Świetnie! – odpowiadam. – To naprawdę wspaniale.

– Piąta Aleja symbolicznie rozdziela East Side od West Side – kontynuuje przewodnik. – Miłośników historii zainteresuje fakt, iż...

Kiwam inteligentnie głową i staram się sprawiać wrażenie zainteresowanej, ale podczas spaceru moja głowa obraca się ciągle z prawej na lewą, jak u kogoś oglądającego mecz tenisowy. Christian Dior, Hermès, Chanel... Ta ulica jest niesamowita. Gdybyśmy mogli nieco zwolnić i dobrze się przyjrzeć... Christoph maszeruje jednak dalej jak przewodnik górski, a reszta grupy radośnie podąża za nim, nie patrząc nawet na niezwykle widoki wokół. Czyżby nie mieli oczu?

– ...gdzie przyjrzymy się dwóm znanym budynkom: Rockefeller Center, które wielu z was może kojarzyć się z lodowiskiem...

Skrećmy za róg i moje serce podskakuje z wrażenia. Tiffany's. Dokładnie przede mną sklep Tiffany'ego. Muszę tam zerknąć na chwilę. Przecież to właśnie jest symbol Nowego Jorku, prawda? Niebieskie pudełeczka z białymi kokardami i te cudowne srebrne koraliki. Niepostrzeżenie podchodzę do wystawy i wpatruję się tęsknie w przepiękną ekspozycję. Rety, ten naszyjnik jest oszałamiający. O Boże, spójrzcie na ten zegarek. Zastanawiam się, ile coś takiego mogłoby...

– Hej, poczekajcie! – rozbrzmiewa głos Christopha. Podnoszę wzrok i widzę, że grupa znów jest całe kilometry dalej. Jak im się udaje tak szybko chodzić? – Wszystko w porządku, Rebecca? – woła z lekko wymuszoną radością. – Musimy się postarać utrzymać tempo. Mamy wiele do obejrzenia!

– Przepraszam – mówię i truchtam w kierunku grupy. – Zerknęłam tylko na wystawę Tiffany'ego. – Uśmiecham się szeroko do kobiety obok z nadzieją, że odwzajemni mój uśmiech, ale ona patrzy na mnie zdumiona i naciąga kaptur mocniej na głowę.

– Jak mówiłem – kontynuuje przewodnik, gdy znów ruszamy – plan Nowego Jorku przypomina siatkę, dlatego...

Przez chwilę usilnie próbuję się skoncentrować, ale nic z tego. Nie mogę słuchać. No co wy? Przecież to Piąta Aleja! Gdziekolwiek spojrzę, widzę cudowne sklepy, Gucci, największy sklep Gap, jaki w życiu widziałam i... O rety, spójrzcie na tę witrynę! Przechodzimy tuż obok sklepu Armani Exchange i nikt się nawet nie zatrzymuje...

Co jest z tymi ludźmi? Czy to kompletni ignoranci?

Idziemy kawałek dalej i próbuję zerknąć do sklepu pełnego cudownych kapeluszy, kiedy... O Boże! Spójrzcie! To Saks Fifth Avenue. Saks na Piątej Alei. Zaledwie kilka metrów ode mnie. Jeden z najświetniejszych domów towarowych na świecie. Piętra pełne ubrań, butów, torebek... Nareszcie, Christoph się opamiętał i zatrzymał.

– To jeden z najświetniejszych zabytków Nowego Jorku – oznajmia i wskazuje budynek. – Wielu nowojorczyków regularnie odwiedza to wspaniałe miejsce kultu, raz w tygodniu, a nawet częściej. Niektórzy przychodzą tu nawet codziennie! Mamy

niewiele czasu, więc zajrzemy tam tylko na chwilę, ale zainteresowani zawsze mogą tu wrócić.

– Czy budynek jest bardzo stary? – pyta mężczyzna ze skandynawskim akcentem.

– Pochodzi z roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego dziewiątego – wyjaśnia przewodnik. – Zaprojektował go James Renwick.

No, dalej, myślę, kiedy reszta zadaje pytania o architekturę. No, już. Kogo obchodzi nazwisko architekta albo kamienne elementy elewacji? Najważniejsze jest wnętrze.

– Wejdziemy? – proponuje wreszcie Christoph.

– Oczywiście! – odpowiadam radośnie i biegnę w kierunku wejścia.

Dopiero w momencie, gdy dotykam dłonią drzwi, zdaję sobie sprawę, że nikt nie idzie ze mną. Gdzie oni wszyscy poszli? Zdumiona odwracam się i widzę, jak reszta grupy znika w wejściu do dużego, kamiennego kościoła, obok którego widnieje tablica z napisem „Katedra św. Patryka”.

Och.

Och, rozumiem. Kiedy powiedział „wspaniałe miejsce kultu”, miał na myśli...

No tak, oczywiście.

Waham się z ręką na drzwiach. Czuję się rozdarta. O Boże, może powinnam pójść do katedry. Może powinnam poznać nieco kultury i wrócić do Saksa później.

Z drugiej strony czy oglądanie jakiejś starej, nudnej katedry pomoże mi się zorientować, czy chcę mieszkać w Nowym Jorku, czy nie?

Spójrzmy na to w ten sposób: ile milionów katedr mamy w Anglii? A ile filii Saksa Fifth Avenue?

– Wchodzi pani? – pyta zniecierpliwiony głos za mną.

– Tak! – odpowiadam, podjąwszy decyzję. – Oczywiście, wchodzę.

Otwieram ciężkie, drewniane drzwi i wchodzę do środka. Niemal mdli mnie z podniecenia. Nie czułam się tak od momentu, gdy Octagon ponownie otworzył piętro z markowymi produktami i zostałam zaproszona na przyjęcie z szampanem dla posiadaczy kart dla klientów.

Każda pierwsza wizyta w sklepie jest ekscytująca. W momencie otwarcia drzwi zawsze pojawia się podniecenie, nadzieja, wiara, że to właśnie będzie król wszystkich sklepów, który zaoferuje ci wszystko, o czym kiedykolwiek marzyłaś, w magicznie niskich cenach. Ale tutaj jest tysiąc razy lepiej. Milion razy. To nie jest przecież jakiś tam sklep. Jestem u Saksa na Piątej Alei w Nowym Jorku. Kiedy wchodzę powoli do tych wnętrz, hamując swój zapał, czuję się jak przed randką z hollywoodzkim gwiazdorem.

Chodzę po dziale perfumeryjnym, podziwiając eleganckie boazerie w stylu art déco, wysokie sufity, rozstawione wszędzie rośliny. Boże, to jeden z najpiękniejszych sklepów, jakie w życiu odwiedziłam. Z tyłu znajdują się starodawne windy, dzięki którym można się poczuć jak w filmie z Carym Grantem, a na małym stoliku leży sterta

katalogów. Biorę jeden do ręki, by się zorientować, gdzie jestem, i nie wierzę własnym oczom – sklep ma dziesięć pięter.

Dziesięć pięter. Dziesięć!

Oczarowana wpatruję się w listę. Czuję się jak dziecko, które stara się wybrać cukierek w fabryce czekolady. Od czego mam zacząć? Jak mam to zrobić? Zacząć od góry, a może od dołu? O Boże, wszystkie nazwy marek rzucają mi się w oczy i wołają, Anna Sui, Calvin Klein, Kate Spade, Kiehl's. Chyba grozi mi hiperwentylacja.

– Przepraszam? – Czyjś głos przerywa moje myśli. Odwracam się i widzę uśmiechającą się do mnie dziewczynę z plakietką Saksa. – Czy mogę pani pomóc?

– Hmm... tak – odpowiadam, wpatrując się nadal w katalog. – Próbuję się zdecydować, gdzie zacząć.

– Interesują panią ubrania, dodatki czy buty?

– Tak – odpowiadam w osłupieniu. – I to, i to, wszystko. Hmm... torba – odpowiadam na chybił trafił. – Potrzebuję nowej torby!

Co jest prawdą. Przywiozłam ze sobą torby, ale nowa zawsze się przyda, prawda? Na dodatek zauważyłam, że wszystkie kobiety na Manhattanie noszą bardzo eleganckie, markowe torby, więc taki zakup to wspaniały sposób na aklimatyzację.

Dziewczyna uśmiecha się do mnie przyjaźnie.

– Torby i dodatki znajdzie pani w tamtym dziale – odpowiada i wskazuje kierunek.

– Może zacznij pani tam, a potem zwiedzi wyższe piętra?

– Tak! – przytakuję. – Tak zrobię. Dziękuję.

Boże, uwielbiam robić zakupy za granicą. Kupowanie gdziekolwiek zawsze jest wspaniałe, ale zagraniczne zakupy mają następujące zalety:

1. Można kupić rzeczy, które są niedostępne w Wielkiej Brytanii.

2. Po powrocie można rzucać w rozmowie znaczącymi nazwami („Właściwie znalazłam to w Nowym Jorku”).

3. Zagraniczna waluta się nie liczy, więc można wydawać, ile się chce.

No dobra, wiem, że ostatni punkt nie jest do końca prawdą. W głębi duszy mam świadomość, że dolary to prawdziwe pieniądze, o prawdziwej wartości, ale spójrzcie tylko na nie. Po prostu nie jestem w stanie traktować ich poważnie. Mam ich w portmonetce całe mnóstwo, a czuję się tak, jakbym nosiła pieniądze z gry Monopol. Wczoraj kupiłam w kiosku kilka czasopism i kiedy podawałam sprzedawcy banknot dwudziestodolarowy, miałam wrażenie, że to zabawa w sklep. Przypomina to dziwny rodzaj dolegliwości spowodowanych zmianą stref czasowych, przenosisz się w obszar innej waluty i wydaje ci się, że nic nie wydajesz.

Przechadzam się po dziale z torebkami i oglądam jedną za drugą, wszystkie cudowne, ale nie zwracam szczególnej uwagi na ceny. Od czasu do czasu zerkam na metkę i próbuję obliczyć, ile kosztuje w przeliczeniu na prawdziwe pieniądze, ale

muszę się przyznać, że nie pamiętam aktualnego kursu wymiany, a nawet gdybym pamiętała, to nigdy nie byłam dobra w rachunkach.

Najważniejsze, że nie ma to znaczenia. Nie muszę się martwić, ponieważ to jest Ameryka, a powszechnie wiadomo, że tutaj ceny są naprawdę niskie. Wszyscy to wiedzą, prawda? Wychodzę więc z założenia, że każdy zakup to prawdziwa okazja. Spójrzcie tylko na te wszystkie cudowne markowe torebki. Prawdopodobnie kosztują połowę angielskiej ceny, jeśli nie mniej!

W końcu wybieram piękną torebkę Kate Spade z garbowanej skóry i zanoszę ją do kasy. Kosztuje pięćset dolarów, co wydaje się dużą sumą, ale przecież „milion lirów” też brzmi imponująco, a to w przeliczeniu jedynie około pięćdziesięciu pensów.

Sprzedawczyni wręcza mi paragon i wtrąca nawet słowo „prezent”, a ja przytakuję promiennie.

– Prezent, zupełnie za darmo! W Londynie kosztowałyby prawdopodobnie...

– Gina, idziesz na górę? – przerywa mi kobieta i zwraca się do koleżanki: – Gina zaprowadzi panią na siódme piętro – informuje i uśmiecha się do mnie.

– OK – mówię lekko zdezorientowana. – W porządku.

Gina rusza energicznie. Po chwili wahania podążam za nią i zastanawiam się, co znajduje się na siódmym piętrze. Może dodatkowy dział dla klientów Kate Spade, gdzie serwują darmowego szampana?!

Dopiero gdy zbliżamy się do działu Pakowanie prezentów, orientuję się, o co chodzi. Kiedy powiedziałam „prezent”, ekspedientka musiała uznać, że chodzi mi dosłownie o...

– Jesteśmy na miejscu – informuje radośnie Gina. – Za darmo dostanie pani pudełko firmowe Saksa, ale może pani też wybrać jeden ze świetnej jakości papierów do pakowania.

– Rozumiem – odpowiadam. – Cóż... dziękuję bardzo! Nie miałam właściwie zamiaru...

Ale Gina już zniknęła, a dwie kobiety za ladą uśmiechają się do mnie zachęcająco.

O Boże, to niezręczna sytuacja. Co mam zrobić?

– Wybrała już pani papier? – pyta starsza z kobiet i obdarza mnie promiennym uśmiechem. – Mamy również wiele wstążek i dodatków.

A, co tam, zapakuję ją. To zaledwie siedem dolarów i pięćdziesiąt centów, a miło będzie coś otworzyć po powrocie do domu, prawda?

– Tak! – odpowiadam i odwzajemniam uśmiech. – Poproszę srebrny papier i fioletową wstążkę, a do tego srebrną gałązkę jagód.

Kobieta sięga po papier i zręcznie zaczyna pakować moją torbę, starannie, niż ja kiedykolwiek coś pakowałam. To niezła frajda! Może powinnam zawsze pakować zakupy.

– Dla kogo jest prezent? – pyta kobieta, otwierając bilecik i wyjmując srebrny

długopis.

– Hmm... dla Becky – odpowiadam z roztargnieniem. Kilka dziewczyn weszło do pomieszczenia i zaintrygowała mnie nieco ich rozmowa.

– ...pięćdziesiąt procent zniżki...

– ...przedsprzedaż...

– ...dzinsy Earl...

– Od kogo jest prezent? – pyta uprzejmie ekspedientka.

– Hmm... od Becky – odpowiadam bez namysłu. Ekspedientka posyła mi dziwne spojrzenie i nagle zdaję sobie sprawę, co powiedziałam. – Innej Becky – dodaję niezręcznie.

– ...*sample sale*...

– ...Alexander McQueen, błękitny, osiemdziesiąt procent zniżki...

– ...*sample sale*...

– ...*sample sale*...

Och, dłużej nie wytrzymam.

– Przepraszam – mówię, odwracając się. – Nie chciałam podsłuchiwać, ale muszę zadać paniom jedno pytanie. Co to jest ta *sample sale*?

Cały dział milknie. Wszyscy patrzą się na mnie, nawet kobieta ze srebrnym długopisem.

– Nie wie pani, co to jest *sample sale*? – pyta w końcu dziewczyna w skórzanej kurtce, jakbym właśnie oznajmiła, że nie znam alfabetu.

– Hmm... nie – odpowiadam i czuję, że lekko się czerwienię. – Nie wiem. – Dziewczyna unosi brwi, sięga do torebki, szpera w niej i wyciąga ulotkę. – Kochana, to jest *sample sale*.

Biorę od niej kartkę, czytam i z podniecenia dostaję gęsiej skórki.

### SAMPLE SALE

Markowe ubrania 50-70% taniej

Ralph Lauren, Comme de Garçons, Gucci

Torebki, buty, bielizna 40-60% taniej

Prada, Fendi, Lagerfeld

– To prawdziwe? – szepczę w końcu i podnoszę wzrok. – Czy ja też mogę tam pójść?

– No... tak, prawdziwe – odpowiada dziewczyna. – Ale obowiązuje tylko jeden dzień.

– Jeden dzień? – W panice moje serce zaczyna mocniej bić. – Tylko jeden?

– Jeden dzień – potwierdza z powagą dziewczyna. Patrzę na pozostałe dziewczyny, a one kiwają głowami.

- *Sample sale* pojawiają się znienacka – wyjaśnia jedna z nich.
- Mogą się zdarzyć gdziekolwiek, ni z tego, ni z owego.
- A potem się kończą, znikają.

Patrzę na ich twarze kompletnie zauroczona. Czuję się jak badacz, który właśnie dowiedział się o tajemniczym, koczowniczym plemienu.

– Jeśli chcesz zdążyć – mówi dziewczyna w skórzanej kurtce, stukając w ulotkę i tym samym przywracając mnie do życia – lepiej się pospiesz.

Nigdy tak szybko nie wychodziłam ze sklepu. Ściskając w ręku torbę z logo Saks Fifth Avenue, zatrzymuję taksówkę, bez tchu odczytuję adres na ulotce i opadam na tylne siedzenie.

Nie mam pojęcia, dokąd jedziemy i jakie słynne budowle mijamy, ale nie dbam o to. Wystarczy, że wiem, iż wyprzedają markowe ciuchy.

Zatrzymujemy się, płacę kierowcy, pamiętając o tym, by dać mu pięćdziesiąt procent napiwku, żeby sobie nie pomyślał, że jestem jakąś sknerowaną angielską turystką, i z bijącym sercem wysiadam z taksówki. Muszę przyznać, że na pierwszy rzut oka okolica nie wygląda obiecująco. Stoję na ulicy pełnej nieatrakcyjnych witryn sklepowych i biurowców. Na ulotce napisano, że wyprzedaż odbywa się pod numerem 405, ale odkrywam, że stoi tam jedynie kolejny biurowiec. Czy przyjechałam w złe miejsce? Idę chwilę chodnikiem, obserwując budynki, ale nic nie sugeruje wyprzedaży. Nie wiem nawet, w jakiej jestem dzielnicy.

Nagle nachodzi mnie fala przygnębienia i czuję się głupio. Miałam dzisiaj pójść na miłą, zorganizowaną, pieszą wycieczkę, a co zrobiłam? Popędziłam do nieznanej części miasta, gdzie prawdopodobnie w każdej chwili mogę zostać napadnięta. To pewnie od początku był przekręt, myślę ponuro. Pomyślcie tylko. Markowe ubrania siedemdziesiąt procent taniej? Powinnam się zorientować, że to zbyt piękne, by...

Chwileczkę. Jedną chwileczkę.

Zatrzymuje się kolejna taksówka i wysiada w niej dziewczyna w sukience Miu Miu. Patrzy na ulotkę, idzie szybko wzdłuż ulicy i znika w drzwiach budynku numer 405. Chwilę później pojawiają się kolejne dwie dziewczyny i również wchodzą do środka.

Może jestem w odpowiednim miejscu?

Otwieram szklane drzwi, wchodzę do obskurnego holu z plastikowymi krzesłami i nerwowo kiwam głową recepcjoniście.

– Hmm, przepraszam – zagajam uprzejmie. – Szukam...

– Dwunaste piętro – oznajmia znudzonym głosem. – Windy w głębi korytarza.

Pędzę we wskazanym kierunku, przywołuję dość wysłużoną windę i wciskam dwanaście. Skrzypiąc, winda rusza powoli, a do moich uszu dobiega cichy szmer, który przybiera na sile, w miarę jak zbliżam się do celu. Winda staje, drzwi się otwierają i... O Boże, czy to kolejka?



Sznur kobiet ciągnie się od drzwi na końcu korytarza. Pchają się do przodu i wszystkie mają w oczach to samo nagłące spojrzenie. Co jakiś czas z wnętrza wychodzi klientka z torbą zakupów, a trzy inne dziewczyny wchodzą pośpiesznie do środka. Dokładnie w momencie, gdy stoję na końcu kolejki, słyszę grzechoczący odgłos i kilka metrów za mną kobieta otwiera kolejne drzwi.

– Zapraszam do drugiego wejścia – informuje. – Drugie wejście!

Cały rząd głów przede mną się odwraca. Następuje grupowy wdech, a następnie fala dziewczyn rusza w moją stronę. Sama pędzę ku drzwiom tylko po to, by uniknąć stratowania. Nagle, lekko oszołomiona, znajduję się pośrodku sali, podczas gdy reszta klientek oddala się w kierunku wieszaków.

Rozglądam się wokół i próbuję zorientować, gdzie jestem. Pomieszczenie pełne jest wieszaków z ubraniami, stołów, na których piętrzą się torebki, buty, apaszki, oraz buszujących w nich dziewczyn. Widzę dzianiny od Ralph Lauren, stojak z przepięknymi płaszczami, stos torebek Prady. To spełnienie moich marzeń!

Rozmowy prowadzone są pełnym ekscytacji, przenikliwym tonem. Rozglądam się i słyszę fragmenty wymiany zdań.

– Muszę go mieć – oznajmia dziewczyna i przykłada do siebie płaszcz. – Po prostu muszę!

– Dobra, dołożę te wydane dzisiaj czterysta pięćdziesiąt dolarów do spłaty kredytu hipotecznego – mówi do koleżanki kolejna dziewczyna, kiedy wychodzą obciążone torbami. – Co to jest czterysta pięćdziesiąt dolarów w perspektywie trzydziestu lat?

– Sto procent kaszmiru! – wykrzykuje inna klientka. – Widziałaś? Tylko pięćdziesiąt dolarów! Wezmę trzy.

Rozglądam się po jasnym, tętniącym życiem pomieszczeniu, patrzę na kłębiące się dziewczyny chwytające produkty, przymierzające apaszki, z rękami pełnymi nowych, błyszczących zdobyczy. Nagle zalewa mnie fala ciepła i głęboko uświadamiam sobie, że to są moi ludzie, to jest moje miejsce. Odnalazłam swoją ojczyznę.

Kilka godzin później wracam do Four Seasons w całkowitej euforii. Obwieszona torbami nawet nie jestem w stanie wam opowiedzieć, jakie okazje trafiłam. Fantastyczny kremowy, skórzany płaszcz, odrobinę za mały, ale na pewno niedługo zrzucę kilka kilogramów (poza tym skóra się rozciąga). Do tego przepiękna szyfonowa bluzka z nadrukiem, srebrne buty i portmonetka. To wszystko za jedyne pięćset dolarów!

Przy okazji poznałam bardzo miłą dziewczynę o imieniu Jodie, która powiedziała mi o stronie internetowej codziennie podsyłającej informacje o tego typu wydarzeniach. Codziennie! Możliwości są nieskończone. Można spędzić na tych akcjach całe życie!

No wiecie, teoretycznie.

Idę do pokoju i kiedy otwieram drzwi, widzę Luke'a przy biurku zaczytanego

w jakichś dokumentach.

– Cześć! – witam się zdyszana i rzuca torby na ogromne łóżko. – Słuchaj, muszę skorzystać z laptopa.

– Jasne – odpowiada. Podnosi go z biurka i podaje mi, a ja siadam z nim na łóżku. Otwieram komputer, patrzę na kartkę, którą dostałam od Jodie, i wpisuję adres strony.

– Jak ci minął dzień? – pyta Luke.

– Cudownie! – odpowiadam, niecierpliwie stukając w klawiaturę. – Och, zajrzyj do niebieskiej torby! Kupiłam ci kilka pięknych koszul!

– Poczulaś już atmosferę miasta?

– Och, tak. Oczywiście jesteśmy tu od niedawna... – Patrzę na ekran i ściągam brwi.

– No, dalej.

– Nie czułaś się przytłoczona?

– Mhm... raczej nie – odpowiadam w zamyśleniu. O! Nagle ekran wypełnia się obrazami. Na górze widnieje rząd małych cukierków i logo z napisami: „To jest frajda”. „To jest moda”. „W Nowym Jorku”. Strona The Daily Candy!

Klikam ikonę „Zapisz się” i szybko wpisuję swój adres e-mail. Luke wstaje i podchodzi do mnie z zatroskanym wyrazem twarzy.

– Becky... – zaczyna. – To wszystko musi ci się wydawać nieco dziwne i odstrasające. Wiem, że nie można poczuć się pewnie w nowym miejscu po jednym dniu, ale czy po pierwszych doświadczeniach myślisz, że mogłabyś przyzwycząić się do Nowego Jorku? Widzisz siebie tutaj?

Z zamachem wpisuję ostatnią literę, klikam „Wyślij” i patrzę na niego zamyślona.

– Wiesz co? Chyba tak.

**HOWSKI i FORLANO**  
**KANCELARIA PRAWNA**  
**ds. IMIGRACYJNYCH**  
**Pięćdziesiąta Szósta Wschodnia 568**  
**Nowy Jork**

Sz.P.

Rebecca Bloomwood  
Burney Road 4 m. 2  
Londyn SW6 8FD

28 września 2001 roku

Szanowna Pani Bloomwood!

Dziękujemy za wypełnienie formularzy imigracyjnych. Chcielibyśmy wyjaśnić kilka kwestii.

W rubryce B69 na temat szczególnych zdolności pisze Pani: „Jestem bardzo dobra z chemii, spytajcie kogokolwiek na Oksfordzie”. Rzeczywiście, spytaliśmy o to rektora Uniwersytetu Oksfordzkiego, któremu jednak Pani osiągnięcia są zupełnie nieznane.

Podobnie było w przypadku trenera brytyjskiej kadry olimpijskiej w skoku w dal.

Załączamy nowe formularze i prosimy o ponowne ich wypełnienie.

Z poważaniem,  
Edgar Forlano

## Rozdział 9

Przez kolejne dwa dni intensywnie chłonę dźwięki i widoki Nowego Jorku. Niektóre z nich są naprawdę zdumiewające i inspirujące. Na przykład w Bloomingdale's mają wytwórnię czekolady, a w jednej z dzielnic są wyłącznie sklepy z butami!

Wszystko jest tak ekscytujące, że niemal zapominam, po co przyjechałam. W środę rano budzę się z poczuciem lęku, jak przed wizytą u dentysty. Dzisiaj mam odbyć pierwsze spotkanie z dwójką ważnych telewizyjnych osobistości z HLBC. O Boże. Okropnie się boję.

Luke musi wyjść wcześniej na spotkanie przy śniadaniu, więc zostaję sama w łóżku, piję kawę, pogryzam croissanta i powtarzam sobie, że mam się nie denerwować. Najważniejsze, żeby nie panikować i zachować spokój. Jak zapewnia mnie Luke, spotkanie nie jest właściwą rozmową o pracę, ale okazją, by się poznać. Nazwał to „lunchem zapoznawczym”.

Wszystko byłoby w porządku, ale nie wiem, czy rzeczywiście chcę, by mnie poznali. Szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy to dobry pomysł. W zasadzie jestem przekonana, że jeśli faktycznie mnie poznają, jeśli na przykład potrafią czytać w myślach, moje szanse na zdobycie pracy spadną w okolice zera.

Spędzam cały poranek w pokoju, próbując czytać „Wall Street Journal” i oglądać CNN, ale to wpędza mnie w jeszcze większe przerażenie. Ci amerykańscy prezenterzy są tacy eleganccy i nienaganni. Nie bełkoczą, nie opowiadają dowcipów i wszystko wiedzą. Na przykład, kto jest ministrem handlu Iraku i jakie są konsekwencje globalnego ocieplenia dla Peru. I ja uważam, że jestem w stanie robić to, co oni?! Chyba zwariowałam.

Problem polega na tym, że od lat nie byłam na rozmowie o pracę. Redakcja *Porannej Kawy* nie zwracała sobie tym głowy i po prostu wylądowałam w programie. Co do poprzedniej pracy, w *Skutecznym oszczędzaniu*, to ucięłam sobie jedynie przyjazną pogawędkę z Philipem, redaktorem, który znał mnie już z konferencji prasowych. Dlatego świadomość, że będę musiała zrobić dobre wrażenie na dwóch kompletnie nieznanym osobach, wydaje mi się przerażająca.

– Po prostu bądź sobą – powtarza mi Luke, ale prawdę mówiąc, to nedorzeczny pomysł. Każdy wie, że rozmowa o pracę polega na tym, by nie pokazywać, kim się jest, ale udawać, że jest się osobą, której pracodawca poszukuje na dane stanowisko. To się nazywa „technika wywiadu”.

Gdy docieram do restauracji, gdzie mamy się spotkać, trochę mam ochotę uciec,

zapomnieć o pomysłach z pracą, a kupić sobie ładną parę butów. Ale nie mogę. Muszę przez to przejść.

To jest właśnie najgorsze. Mam pustkę w żołądku i wilgotne dłonie, ponieważ to spotkanie wiele dla mnie znaczy. Nie mogę sobie powiedzieć, że nie dbam o to i rozmowa jest nieważna, co robię w kwestii większości innych spraw. Jeśli nie dostanę pracy w Nowym Jorku, nie będę mogła tu zamieszkać. Jeśli spartaczę tę rozmowę i rozniesie się wieść, że jestem beznadziejna, wtedy nici z przeprowadzki. O Boże. O Boże.

Dobrze, uspokój się, powtarzam sobie stanowczo. Potrafię to zrobić. Potem sprawię sobie niewielką nagrodę. Dziś rano strona Daily Candy przysłała mi maila z informacją, iż wielka Sephora w SoHo organizuje specjalną promocję dzisiaj do szesnastej. Każdy klient dostanie torebkę z drobiazgami, a za zakupy powyżej pięćdziesięciu dolarów darmowy tusz do rzęs!

Widzicie, na samą myśl o tym lepiej się czuję. Dobra, dziewczyno, do dzieła!

Niechętnie otwieram drzwi i nagle znajduję się w bardzo eleganckiej restauracji, z meblami z czarnego lakierowanego drewna, białymi obrusami i rybami w akwariach.

– Dzień dobry – wita mnie kierownik sali, cały ubrany na czarno.

– Dzień dobry – odpowiadam. – Mam się tutaj spotkać z...

Cholera, całkiem zapomniałam, jak nazywają się osoby, z którymi się umówiłam.

No, świetny początek, Becky. Bardzo profesjonalnie.

– Czy mógłby pan chwileczkę poczekać? – mówię i odwracam się z rumieńcem na twarzy. Szperam w torebce w poszukiwaniu karteczki i proszę: Judd Westbrook i Kent Garland.

Kent? Czy to prawdziwe imię?

– Nazywam się Rebecca Bloomwood – informuję i pospiesznie chowam kartkę do torebki. – Jestem umówiona z Juddem Westbrookiem i Kent Garland z HLBC. – Przebiega wzrokiem listę, a następnie posyła mi lodowaty uśmiech.

– A, tak. Już czekają.

Oddycham głęboko i idę za nim do stolika, przy którym siedzą moi rozmówcy. Blondynka w beżowym garniturze i mężczyzna o subtelnych rysach twarzy ubrany w nieskazitelny czarny garnitur i szalwiowy krawat. Tłumię chęć ucieczki, podchodzę z pewnym siebie uśmiechem i wyciągam rękę. Oboje patrzą na mnie i przez moment żadne z nich się nie odzywa, a ja mam okropne przeczucie, że już zdążyłam złamać jakąś podstawową zasadę etykiety. Przecież w Ameryce podaje się rękę, prawda? Może powinnam ucałować ich albo się uklonić?

Na szczęście blondynka wstaje i radośnie chwyta mnie za rękę.

– Becky! – mówi. – Tak się cieszę, że mogę cię poznać. Jestem Kent Garland.

– Judd Westbrook – przedstawia się mężczyzna i patrzy na mnie głęboko osadzonymi oczami. – Bardzo nam miło cię poznać.

– Ja też się cieszę! – odpowiadam – Bardzo dziękuję za piękne kwiaty!  
– Nie ma za co – odpowiada Judd i prowadzi mnie na miejsce. – To dla nas wielka przyjemność.

– Ogromna – dodaje Kent.

Zapada pełna wyczekiwania cisza.

– Cóż... dla mnie to również fantastyczna przyjemność – oznajmiam pośpiesznie. – Zupełnie... fenomenalna.

Na razie nieźle. Jeśli nadal będziemy informować się nawzajem, jaka to dla nas przyjemność, powinnam sobie poradzić. Ostrożnie stawiam na podłodze torbę, w której przyniosłam „Financial Times” i „Wall Street Journal”. Myślałam też o „South China Morning Post”, ale uznałam, że to może być za dużo.

– Napije się pani czegoś? – pyta kelner, który nagle pojawił się obok mnie.

– Och, tak! – odpowiadam i rozglądam się nerwowo po stole, by sprawdzić, co inni piją. Kent i Judd mają przed sobą szklanki wypełnione czymś, co przypomina dżin z tonikiem, więc postanawiam iść za ich przykładem. – Poproszę dżin z tonikiem.

Szczerze mówiąc, dobrze mi zrobi, pozwoli się rozluźnić. Kiedy otwieram kartę dań, Judd i Kent patrzą na mnie z uważnym zainteresowaniem, jakby oczekiwali, że za chwilę obsypię się kwieciami.

– Oglądaliśmy taśmy z twoimi nagraniami – oznajmia Kent, nachylając się. – Jesteśmy pod dużym wrażeniem.

– Naprawdę? – pytam i zdaję sobie sprawę, że nie powinnam sprawiać wrażenia tak zaskoczonej. – Naprawdę? – powtarzam, tym razem bardziej nonszalancko. – Tak, no cóż, oczywiście, jestem dumna z programu.

– Jak wiesz, Rebecca, tworzymy program *Dzisiejszy konsument* – informuje mnie Kent. – Nie mamy w nim jeszcze segmentu poświęconego finansom osobistym, ale z chęcią dodamy część oferującą porady, jak w brytyjskim programie. – Zerka na Judda, który przytakuje.

– Widać, że pasjonujesz się finansami osobistymi – mówi.

– Och – odpowiadam, zaskoczona. – Cóż...

– To widać w twojej pracy – przyznaje stanowczo. – Podobnie jak twoją wnikliwą znajomość tematu.

Wnikliwa znajomość tematu?

– Wiesz, Rebecca, jesteś jedyna w swoim rodzaju – oznajmia Kent. – Młoda, przystępna, czarująca dziewczyna, z tak ogromną wiedzą i pewnością wypowiedzi...

– Inspirujesz wszystkich, którzy mają kłopoty z finansami – zgadza się Judd.

– Najbardziej podziwiamy cierpliwość, jaką okazujesz dzwoniącym.

– Empatię, z jaką do nich podchodzisz...

– ...twój niby to uproszczony styl! – dorzuca Kent i patrzy na mnie uważnie. – Jakim cudem to wszystko łączysz.

– No... wiecie. To chyba samo przychodzi... – Kelner stawia przede mną drinka, a ja chwytam go z wdzięcznością. – Na zdrowie! – oznajmiam i podnoszę szklanę.  
– Na zdrowie! – mówi Kent. – Chcesz już coś zamówić, Rebecca?  
– Oczywiście! – odpowiadam, szybko przelatując wzrokiem kartę dań. – Poproszę labraksę z zieloną sałata. – Patrzę na resztę. – Podzielimy się porcją pieczywa czosnkowego?  
– Nie jadam pszenicy – informuje uprzejmie Judd.  
– Ach, rozumiem – odpowiadam. – A ty, Kent?  
– Nie jadam węglowodanów w ciągu tygodnia – wyjaśnia grzecznie. – Ale ty się nie krępuj, na pewno jest przepyszne!  
– Nie, w porządku – stwierdzam. – Zamówię jedynie rybę.  
Boże, jak mogłam być tak głupia? To oczywiste, że mieszkańcy Manhattanu nie jedzą pieczywa czosnkowego.  
– Coś do picia? – pyta kelner.  
– Hmm... – rozglądam się po stole. – Nie wiem, może sauvignon blanc. Co wy zamawiacie?  
– Świetny wybór – komentuje Kent z przyjaznym uśmiechem, a ja oddycham z ulgą.  
– Ja zostanę przy pellegrino – dodaje i wskazuje szklanę.  
– Ja również – mówi Judd.  
Pellegrino? Piją pellegrino?  
– Dla mnie też tylko woda – dodaję pośpiesznie. – Nie potrzebuję wina! To tylko taki pomysł. No, wiecie...  
– Nie! – protestuje Kent. – Zamów, co chcesz. – Uśmiecha się do kelnera. – Butelka sauvignon blanc dla naszego gościa.  
– Naprawdę... – mówię i czerwienię się.  
– Rebecca – mówi Kent i z uśmiechem unosi rękę do góry. – Zamów to, przy czym będziesz się czuła swobodnie.  
Świetnie, teraz myślę, że jestem kompletną alkoholiczką i nie jestem w stanie przeżyć „zapoznawczego lunchu” bez procentów.  
A, co tam, już się stało. Ale będzie dobrze. Wypiję tylko jeden kieliszek. Tylko jeden.

I naprawdę taki miałam zamiar. Wypić jeden kieliszek i na tym poprzestać.

Problem w tym, że za każdym razem gdy opróżniłam kieliszek, podchodzi kelner i ponownie go napełnia, a ja jakimś cudem go wypijam. Poza tym pomyślałam sobie, że wyszłabym na niewdzięczną, gdybym nie wypijała butelki, którą zamówiłam.

Efekt jest taki, że kiedy kończymy jeść, czuję się dość... Cóż, podejrzewam, że jednym z określeń mogłoby być „pijana”, kolejnym „zalana”. To nie stanowi jednak problemu, ponieważ świetnie się bawimy, a ja dowcipkuję w najlepsze.

Prawdopodobnie dlatego, że się trochę rozluźniłam. Opowiedziałam im mnóstwo zabawnych historii z za kulis *Porannej Kawy*, a oni słuchali uważnie i stwierdzili, że wszystko brzmi „niezmiernie fascynująco”.

– Oczywiście wy, Brytyjczycy, bardzo się od nas różnicie – stwierdza Kent refleksyjnie, kiedy kończę opowiadać jej o kamerzyście Davie, który przyjechał na plan tak pijany, że przewrócił się w połowie ujęcia i nakręcił Emmę dłubiącą w nosie. Boże, jakie to było śmieszne. Na samo wspomnienie nie mogę przestać chichotać.

– Po prostu uwielbiamy wasz brytyjski humor – dodaje Judd i wpatruje się we mnie, jakby czekał na dowcip.

Dobra, szybko, muszę wymyślić coś zabawnego. Brytyjski humor. Monty Python? Victor Meldrew?

– Nie wierzę! – słyszę swój donośny głos. – Hmm... to jest ekspapuga<sup>1</sup>! – parskam śmiechem, a Judd i Kent wymieniają zdziwione spojrzenia.

W tym momencie kelner przynosi kawę. Przynajmniej ja piję kawę, Kent herbatę English Breakfast, a Judd jakieś dziwne ziółka, które dał kelnerowi do zaparzenia.

– Uwielbiam herbatę – wyznaje Kent i uśmiecha się do mnie. – Jest taka uspokajająca. Rebecca, w Anglii panuje zwyczaj obracania dzbanka z herbatą trzy razy zgodnie z ruchem wskazówek zegara, by odpędzić diabła. Czy może obraca się go przeciwnie do ruchu wskazówek zegara?

Obracanie dzbanka? Nigdy nie słyszałam o żadnym cholernym obracaniu.

– Hmm... niech pomyślę.

Marszczę czoło, udając zamyślenie, i próbuję sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz piłam herbatę z dzbanka. Jednak jedyny obraz, który pojawia mi się w głowie, to Suze maczająca torebkę herbaty w kubku i rozdierająca zębami opakowanie kitkata.

– Chyba przeciwnie do ruchu wskazówek zegara – mówię w końcu. – To z powodu starego powiedzenia „Diabeł wokół zegara skrada się... ale w tył nie pójdzie nigdy, o nie”.

Co ja, do cholery, wygaduję? Skąd mi się wziął ten szkocki akcent?

O Boże, za dużo wypiałam.

– Fascynujące! – cieszy się Kent i wypija łyk herbaty. – Uwielbiam te urocze, stare brytyjskie zwyczaje. Znasz jeszcze inne?

– Oczywiście! – odpowiadam rozpromieniona. – Całe mnóstwo!

Przestań, Becky. W tej chwili przestań.

– Mamy na przykład bardzo stary zwyczaj... obracania słodkich bułeczek jedzonych do herbaty.

– Naprawdę? – dziwi się Kent. – Nigdy o nim nie słyszałam.

– Och, tak – oznajmiam pewnie. – Bierzesz bułeczkę... – Chwytam bułkę z tacy przechodzącego obok kelnera. – I kręcisz nią nad głową, w ten sposób, jednocześnie powtarzając rymowanąkę.



Okruchy zaczynają sypać mi się na głowę i nie mam pomysłu na rym do „bułeczki”, więc odkładam pieczywo i wypijam łyk kawy.

– Robią tak w Kornwalii – dodaję.

– Naprawdę? – pyta z zainteresowaniem Kent. – Moja mama stamtąd pochodzi, będę musiała ją o to zapytać!

– Tylko w niektórych częściach Kornwalii – wyjaśniam. – Tych spiczastych.

Judd i Kent posyłają sobie nawzajem pełne konsternacji spojrzenia, a potem oboje wybuchają śmiechem.

– Ten wasz brytyjski humor! – mówi Kent. – Jest taki ożywczy.

Przez chwilę nie jestem pewna, jak zareagować, a potem sama zaczynam się śmiać. Boże, jest wspaniale. Doskonale się dogadujemy! Nagle Kent się rozpromienia.

– Rebecca, chciałam ci powiedzieć, że mam dla ciebie szczególną propozycję. Nie wiem, co planowałaś na dzisiejszy wieczór, ale zdobyłam dla ciebie specjalny bilet...

Robi pauzę dla zwiększenia efektu i uśmiecha się do mnie szeroko, a ja wpatruję się w nią z nagłą ekscytacją. To musi być zaproszenie na przedsprzedaż Gucciego! Na pewno!

– ...Coroczna Konferencja Stowarzyszenia Finansistów! – kończy z dumą.

Na chwilę odbiera mi mowę.

– Naprawdę? – pytam w końcu, głosem nieco wyższym niż zazwyczaj. – Chyba... żartujesz!

Jak się z tego wymigam? Jak?

– Właśnie! – przytakuje wniebowzięta Kent. – Wiedziałam, że się ucieszysz. Więc jeśli nie masz planów na dzisiejszy wieczór...

Ale ja mam plany! Chce mi się wyć. Idę do Sephory po mój darmowy tusz do rzęs!

– Będą przemawiali bardzo znani mówcy – dodaje Judd. – Na przykład Bert Frankel.

– Naprawdę? – dziwię się. – Bert Frankel!

Nigdy nie słyszałam o żadnym Bercie Frankelu.

– Mam tutaj wejściówkę... – mówi Kent i sięga do torby.

– Jaka szkoda! – wykrzykuję. – Dzisiaj zamierałam odwiedzić muzeum Guggenheima.

O! Nikt nie będzie kwestionował kultury.

– Naprawdę? – pyta zwiedziona Kent. – Czy ta wizyta nie może poczekać do jutra?

– Obawiam się, że nie – odpowiadam. – Jest tam szczególny eksponat, który koniecznie muszę obejrzeć. Marzyłam o tym od momentu, gdy byłam sześciolatnim dzieckiem.

– Naprawdę? – dziwi się Kent i otwiera szeroko oczy.

– Tak – nachyliłam się w jej kierunku z poważnym wyrazem twarzy. – Od kiedy zobaczyłam jego zdjęcie w albumie babci, zapragnęłam przyjechać do Nowego Jorku

i zobaczyć to dzieło sztuki. Teraz, gdy tu dotarłam, nie mogę dłużej czekać. Mam nadzieję, że mnie rozumiecie...

– Oczywiście! – zgadza się Kent. – Rozumiemy. Co za inspirująca historia! – Wymieniają z Juddem pełne zainteresowania spojrzenia, a ja uśmiecham się do nich skromnie. – Co to za eksponat?

Wpatruję się w nią, wciąż uśmiechnięta. Szybko, wymyśl coś. Muzeum Guggenheima. Współczesne obrazy? Rzeźby?

Stawiam pół na pół na współczesne obrazy. Gdybym tylko mogła zadzwonić do przyjaciela.

– Właściwie... wolałabym nie mówić – oznajmiam w końcu. – Artystyczne preferencje to dla mnie bardzo... prywatna sprawa.

– Och – odpowiada lekko zaskoczona Kent. – Oczywiście, nie chciałam być wścibska...

– Kent – mówi Judd i ponownie zerka na zegarek. – Naprawdę musimy już...

– Masz rację – przytakuje jego towarzyszką. Wypija jeszcze łyk herbaty i wstaje. – Przykro nam, Rebecca, mamy spotkanie o czternastej trzydzieści. Ale było nam niezmiernie miło.

– Oczywiście! – odpowiadam. – Nie ma problemu!

Z trudem wstaję i idę razem z nimi do wyjścia. Mijam kubek na wino i z lekkim przerażeniem orientuję się, że wypłam niemal całą butelkę. Boże, ale żenująca sytuacja. Chyba jednak nikt nie zauważył.

Wychodzimy na zewnątrz, gdzie Judd już zdążył zatrzymać dla mnie taksówkę.

– Wspaniale było cię poznać, Rebecca – mówi. – Poinformujemy o spotkaniu naszego wiceprezesa do spraw produkcji i... będziemy w kontakcie! Miłej wizyty w muzeum.

– Oczywiście! – odpowiadam i obojgu podaję rękę. – Na pewno będzie wspaniale. I ja wam bardzo dziękuję!

Czekam, aż odejdą, ale oni stoją i czekają, aż ja odjadę. Wsiadam więc do taksówki, lekko się zataczając, nachylam się do kierowcy i mówię wyraźnie:

– Do muzeum Guggenheima, proszę.

Taksówka rusza, a ja macham radośnie do Judda i Kent, aż znikną z pola widzenia. Myślę, że poszło całkiem dobrze. Z wyjątkiem momentu, gdy opowiedziałam im anegdotę o Rorym i psie przewodniku. I kiedy potknęłam się w drodze do toalety, ale to przecież może się przytrafić każdemu.

Na wszelki wypadek czekam, aż odjedziemy przecnicę lub dwie i znów nachylam się do kierowcy.

– Przepraszam. Zmieniłam zdanie. Czy możemy pojechać do SoHo?

Taksówkarz odwraca się i posyła mi pełne dezaprobaty spojrzenie.

– Chce pani jechać do SoHo? A muzeum Guggenheima?

– Hmm... pojadę tam później.

– Później? Guggenheima nie da się przelecieć w pośpiechu. To wspaniałe muzeum. Picasso, Kandinsky. Nie można tego przegapić.

– Nie przegapię! Naprawdę, obiecuję. Czy moglibyśmy teraz pojechać do SoHo? Proszę!

Z przodu zalega cisza.

– W porządku – odpowiada w końcu kierowca, kręcąc głową. – W porządku. – Zawraca i ruszamy w przeciwnym kierunku. Spoglądam na zegarek: jest czternasta czterdzieści. Mam mnóstwo czasu. Idealnie.

Zadowolona opadam na oparcie i wyglądam przez okno, w którym widać fragment błękitnego nieba. Boże, jak cudownie. Sunę w żółtej taksówce, słońce odbija się w szybach wieżowców, a ja mam na twarzy radosny, podsycany winem uśmiech. Naprawdę czuję, że zdomawiam się w Nowym Jorku. Wiem, że spędziłam tu dopiero trzy dni, ale czuję, że to moje miejsce. Zaczynam mówić tutejszym językiem. Na przykład wczoraj bez zastanowienia powiedziałam „bądź tu mądry”, a spódnicę określiłam mianem „słodkiej”. Zatrzymujemy się na przejściu dla pieszych, a ja z zaciekawieniem wyglądam przez okno, zastanawiając się, na jakiej jesteśmy ulicy. Nagle zamieram z przerażenia.

Widzę Judda i Kent. Dokładnie na wprost nas. Przechodzą przez ulicę i Kent opowiada coś z ożywieniem, a Judd przytakuje. O Boże, o Boże. Szybko, muszę się schować.

Z bijącym sercem zsuwam się na siedzeniu i próbuję ukryć za „Wall Street Journal”, ale już za późno, Kent mnie zauważyła. Szczeka opada jej ze zdumienia. Podbiega do taksówki, puka w okno, mówi coś i gestykuluje żywo.

– Rebecca! Jedziesz w złą stronę! – wykrzykuje, kiedy opuszczam szybę. – Muzeum Guggenheima jest w przeciwnym kierunku!

– Naprawdę? – Udaję zdumienie. – O mój Boże! Jak to się stało?

– Każ kierowcy zawrócić! Ci nowojorscy taksówkarze nic nie wiedzą! – Puka w okno kierowcy. – Muzeum Gug-gen-hei-ma! – mówi, jakby tłumaczyła coś bardzo głupiemu dziecku. – Na Osiemdziesiątej Dziewiątej! Proszę się pospieszyć! Ta kobieta czeka na tę wizytę, od kiedy była sześciolatnim dzieckiem!

– Chce pani, bym pojechał do Guggenheima? – pyta taksówkarz i patrzy na mnie.

– Hmm... tak! – odpowiadam, nie mając odwagi, by spojrzeć mu w oczy. – Tak przecież powiedziałam, prawda? Muzeum Guggenheima!

Kierowca przeklina pod nosem, zawraca, a ja macham do Kent, która wykonuje współczujące gesty, mówiące „czyż to nie bezmózgi idiota?”.

Odjeżdżamy ponownie na północ i przez kilka minut nie mogę wydobyć z siebie słowa. Widzę zmieniające się numery ulic, Trzydziesta Czwarta, Trzydziesta Piąta...

Dochodzi trzecia, a my oddaliśmy się coraz bardziej od SoHo, Sephory i mojego darmowego tuszu do rzęs...

– Przepraszam – odzywam się i odchrząkuję przepaszająco. – Właściwie...

– Co? – pyta kierowca i posyła mi groźne spojrzenie.

– Właśnie... właśnie sobie przypomniałam, że obiecałam spotkać się z... ciotką w...

– SoHo. Chce pani jechać do SoHo.

Patrzy mi w oczy w lusterku, a ja, zawstydzona, prawie niezauważalnie kiwam głową. Kiedy ponownie zawraca, siła odśrodkowa rzuca mnie w bok i uderzam głową w szybę.

– Hej! – słyszę z oddali głos i podskakuję przerażona. – Proszę uważać! Bezpieczeństwo jest najważniejsze, więc proszę zapiąć pasy!

– Dobrze – przytakuję pokornie. – Przepraszam, bardzo przepraszam. To się nie powtórzy.

Niezręcznie zapinam pas i chwytam spojrzenie kierowcy w lusterku.

– To nagrany komunikat – wyjaśnia pogardliwie. – Rozmawia pani z magnetofonem. Wiedziałam.

W końcu podjeżdżamy pod Sephorę na Broadwayu, a ja wciskam kierowcy plik dolarów (wraz ze stuprocentowym napiwkami, co jest zrozumiałe, zważywszy na okoliczności). Wsiadam z taksówki, a kierowca patrzy na mnie uważnie.

– Czy pani coś piła?

– Nie – odpowiadam z oburzeniem. – To znaczy... tak, ale tylko odrobinę wina do lunchu.

Taksówkarz potrząsa głową i odjeżdża, a ja zmierzam niepewnym krokiem do Sephory. Prawdę mówiąc, lekko kręci mi się w głowie. Gdy otwieram drzwi, uczucie zaczyna narastać. O mój Boże. To jest lepsze, niż się spodziewałam.

Gra muzyka, w świetle reflektorków kłębi się pełno dziewczyn, a modni mężczyźni w czarnych golfach, ze słuchawkami na uszach, rozdają torby z upominkami. Rozglądam się wokół zdumiona. Nigdy w życiu nie widziałam tylu kosmetyków do makijażu. Całe rzędy szminek i lakierów we wszystkich kolorach tęczy. Och, zobaczcie, są tam małe krzeselka, na których można przysiąść i wypróbować kosmetyki, używając darmowych wacików i innych akcesoriów. Tu jest jak... w niebie.

Biorę torbę z upominkami i patrzę na nią. Wydrukowano na niej hasło zwane Obietnicą Sephory: „Wszystkie piękne rzeczy zbliżają nas i nadają życiu słodki zapach”.

Boże, wiecie, to rzeczywiście prawda. Przekaz jest tak mądry i na swój sposób wzruszający, że niemal zbiera mi się na płacz.

– Wszystko w porządku, proszę pani? – Mężczyzna ze słuchawkami patrzy na mnie z zainteresowaniem, a ja podnoszę wzrok, nadal oszołomiona.

– Właśnie przeczytałam Obietnicę Sephory. Jest taka... taka piękna.

– Aha... rozumiem – odpowiada i posyła mi pełne powątpiewania spojrzenie. – Życzę miłego dnia.

Przytakuję, a potem na wpół idąc, na wpół pędząc, zbliżam się do rzędu buteleczek z lakierami do paznokci, o nazwach takich jak „Kosmiczna inteligencja” czy „Świadomy sen”. Patrzę na wystawę i nagle zalewa mnie fala emocji. Te buteleczki do mnie przemawiają. Mówią mi, że jeśli tylko pomaluję paznokcie odpowiednim kolorem, wszystko natychmiast nabierze sensu, a moje życie się ułoży.

Dlaczego wcześniej sobie tego nie uświadomiłam? Dlaczego?

Biorę „Świadomy sen” i wkładam do koszyczka, a potem zmierzam w głąb sklepu, gdzie znajduję stojak z napisem: „Zrób sobie prezent – jesteś tego warta”.

Oczywiście, że jestem tego warta, myślę mgliście. Zasluguję na zestaw świec zapachowych, podróżne lustro i „pastę polerującą”, cokolwiek to jest. Kiedy tak stoję i napełniam koszyk, niewyraźnie słyszę jakiś szczebiot i nagle uświadamiam sobie, że to moja komórka.

– Słucham! – Mocno przyciskam ją do ucha. – Kto mówi?

– Cześć, to ja – odpowiada Luke. – Słyszałem, że lunch świetnie poszedł.

– Naprawdę? – pytam i czuję nagły przypływ radości. – Od kogo to słyszałeś?

– Właśnie rozmawiałem z kilkoma osobami z HLBC. Najwyraźniej zrobiłaś na nich duże wrażenie. Zapewniłaś im dużo rozrywki.

– Rety! – mówię i lekko się zataczam. Chwytam się półki, by złapać równowagę. – Naprawdę? Jesteś pewien?

– Oczywiście. Mówili, że byłaś czarująca i kulturalna... Słyszałem nawet, że wsadzili cię potem do taksówki do muzeum Guggenheima.

– Tak – odpowiadam, sięgając po słoiczek mandarynkowego balsamu do ust. – Tak było.

– Zaintrygowała mnie historia o twoim niezaspokojonym dziecięcym marzeniu – mówi Luke. – Kent była pod dużym wrażeniem tej opowieści.

– Naprawdę? – pytam wymijająco. – Cóż, to dobrze.

– Pewnie. – Luke milknie na chwilę. – Dziwi mnie trochę, że nie wspomniałaś o muzeum dzisiaj rano. Ani nigdy wcześniej. Biorąc pod uwagę fakt, że marzyłaś, by tam pójść od czasu, gdy miałaś sześć lat.

Słyszę rozbawienie w jego głosie i natychmiast się koncentruję. Zadzwoił, żeby się ze mną droczyć, tak?

– Nigdy nie wspomniałaś o Guggenheimie? – pytam niewinnie i wkładam balsam do koszyka. – To dziwne.

– Prawda? – potwierdza Luke. – Niebywałe. Jesteś tam teraz?

A niech to.

Milknę na moment. Nie mogę się przyznać, że znów poszłam na zakupy. Nie po tym, jak drwił sobie ze mnie po tak zwanej wycieczce z przewodnikiem. W porządku, wiem, że dziesięć minut z trzygodzinnej wycieczki po mieście to niewiele, ale jednak trochę zobaczyłam. Dotarłam przecież do Saksa.

– Tak – odpowiadam prowokująco. – Jestem.

To niemal prawda. Mogę tam przecież pojechać po zakupach.

– Świetnie! – cieszy się Luke. – Na co w tej chwili patrzysz?

Och, zamknij się.

– Ojej, słucham? – mówię, podnosząc nagle głos. – Przepraszam, nie wiedziałam! Luke, muszę wyłączyć telefon. Kustosz zwrócił mi uwagę. Zobaczymy się później.

– O szóstej w barze Royalton – informuje Luke. – Poznasz mojego nowego współnika, Michaela. Z chęcią posłucham, jak minęło ci popołudnie.

## Rozdział 10

Odkładam telefon z lekkim oburzeniem. Ha, ja mu pokażę. Od razu pójde do muzeum. W tej chwili. Jak tylko kupię kosmetyki do makijażu i dostanę prezent.

Wypełniam koszyk produktami upiększającymi, pędzę do kasy, podpisuję paragon z karty kredytowej, nawet na niego nie patrząc, i wychodzę na zatłoczoną ulicę. Dobra, jest piętnasta trzydzieści, mam mnóstwo czasu, by dostać się do muzeum i zanurzyć się w kulturze. Wspaniale, naprawdę cieszę się na to doświadczenie.

Staję na krawędzi chodnika, wystawiam rękę, by zatrzymać taksówkę, kiedy dostrzegam cudowny, błyszczący sklep o nazwie Kate's Paperie. Właściwie bezwiednie pozwalam ręce opaść i zaczynam powoli przesuwając się w kierunku witryny. Tylko popatrzcie. Spójrzcie na tę ekspozycję z marmurkowego papieru do pakowania. I na to pudełko wykonane techniką decoupage. I na tę cudowną wstążkę ozdobioną koralikami.

Dobra, wstąpię tu tylko na chwileczkę i szybko się rozejrzę. Tylko pięć minut. A potem pojedę do Guggenheima.

Otwieram drzwi i powoli obchodzę wewnątrz, podziwiając dekoracje z przepięknych papierów do pakowania ozdobionych suszonymi kwiatami, rafią i kokardkami, albumy na zdjęcia, pudełka ze stylowym papierem do pisania. O Boże, spójrzcie tylko na te kartki okolicznościowe!

To jest to. Dlatego Nowy Jork jest tak wspaniały. Nie ma tu starych, nudnych kartek z napisem „Życzenia urodzinowe”, tylko ręcznie wykonane dzieła z błyszczącymi kwiatami, efektownymi kolażami i napisami w stylu „Gratulacje z okazji adoptowania bliźniaków!” albo „Przykro mi z powodu rozpadu twojego związku!”.

Chodzę w tę i z powrotem całkowicie zauroczona wyborem. Muszę, po prostu muszę kupić kilka z tych kartek. Na przykład tę z fantastycznym rozkładanym zamkiem i napisem „Szalenie mi się podoba twój wyremontowany dom!”. Właściwie nie znam nikogo, kto remontuje dom, ale zawsze mogę ją zatrzymać do momentu, aż mama postanowi zmienić tapetę w przedpokoju. Albo tę, ze sztuczną trawą i tytułem „Z podziękowaniami dla fantastycznego trenera tenisa”. Planuję kilka lekcji tenisa w przyszłe wakacje i będę przecież chciała podziękować swojemu trenerowi.

Biorę jeszcze kilka kartek, a następnie podchodzę do stojaka z zaproszeniami. Te są jeszcze lepsze! Zamiast zwykłego „Przyjęcie”, widnieją na nich napisy w stylu „Spotykamy się w klubie na brunch!” albo „Zjedz z nami niezobowiązującą pizzę!”.

Myślę, że powinnam kupić kilka z nich. Zaniechanie byłoby krótkowzroczne.

Przecież spokojnie mogłybyśmy urządzić z Suze pizzową imprezę, prawda? A takich zaproszeń nie znajdziemy nigdzie w Anglii. Są takie słodkie, wzdłuż obu boków widnieją błyszczące kawałki pizzy. Ostrożnie wkładam do koszyka dziesięć pudełek z zaproszeniami, wszystkie cudowne kartki oraz kilka arkuszy papieru do pakowania w prążki, któremu po prostu nie mogę się oprzeć, po czym ruszam do kasy. Kiedy kasjerka skanuje zakupy, rozglądam się ponownie po sklepie, zastanawiając się, czy niczego nie przeoczyłam, i dopiero kiedy oznajmia całkowitą sumę, patrzę na nią w lekkim szoku. Aż tyle? Za kilka kartek?

Przez chwilę się zastanawiam, czy rzeczywiście potrzebuję wszystkich, na przykład kartki z napisem „Szczęśliwej Chanuki, szefie!”.

Z drugiej strony, kiedyś na pewno mi się przydadzą. A skoro mam zamieszkać w Nowym Jorku, będę się musiała przyzwyczaić do wysyłania drogich kartek cały czas, więc tak naprawdę jest to rodzaj aklimatyzacji.

Poza tym jaki jest sens posiadania nowego limitu na karcie kredytowej, jeśli się z niego nie korzysta? Właśnie. Mogę te wszystkie koszty zaliczyć do „nieuniknionych wydatków biznesowych”.

Podpisuję paragon i dostrzegam znajomo wyglądającą dziewczynę w dżinsach i kapeluszu, krążącą wokół stojaka z wizytówkami. Przyglądam się jej z zaciekawieniem i nagle sobie przypominam, skąd ją znam.

– Cześć – witam się i uśmiecham do niej przyjaźnie. – Nie spotkałyśmy się przypadkiem wczoraj na przedsprzedaży? Kupiłaś coś atrakcyjnego?

Jednak zamiast odpowiedzieć, dziewczyna natychmiast się odwraca. Wychodząc szybko ze sklepu, wpada na kogoś w drzwiach i mamrocze „Przepraszam”. Ku mojemu zdziwieniu mówi z brytyjskim akcentem. To cholernie nieuprzejme! Ignorować rodaczkę na obcej ziemi. Boże, nic dziwnego, że ludzie uważają, iż Brytyjczycy zachowują się wyniośle.

Dobrze, teraz naprawdę pójdę do muzeum Guggenheima. Wychodzę z Kate’s Paperie i zdaję sobie sprawę, że nie wiem, w którą stronę powinnam się zwrócić, by złapać taksówkę. Stoję przez chwilę nieruchomo i zastanawiam się, gdzie jest północ. Nagły błysk rozjaśnia ulicę, a ja się zastanawiam, czy będzie padać. Jednak niebo jest czyste i nikt inny niczego nie zauważył. Może to jedna z ciekawostek Nowego Jorku, jak para unosząca się znad chodników.

Tak czy inaczej muszę się skoncentrować. Guggenheim.

– Przepraszam – zaczepiam przechodzącą obok kobietę. – W którą stronę do Guggenheima?

– Prosto ulicą – odpowiada, wskazując kierunek kciukiem.

– Rozumiem – mówię zdeorientowana. – Dziękuję.

To nie może być prawda. Myślałam, że muzeum jest wiele kilometrów stąd, przy



Central Parku. Jakim cudem jest na tej ulicy? Kobieta na pewno nie jest miejscowa. Zapytam innego przechodnia.

Tyle że wszyscy chodzą tak szybko, że trudno zwrócić uwagę kogokolwiek.

– Hej – mówię, i niemal chwytam za ramię mężczyznę w garniturze. – Do Guggenheima...

– Tam – odpowiada, kiwa głową i odchodzi szybko.

O czym oni wszyscy, do diabła, mówią? Jestem pewna, że Kent powiedziała, iż muzeum jest na północ, obok... obok...

Chwileczkę.

Staję się jak wryta i patrzę zdumiona.

Nie wierzę. Jest! Tuż przede mną, wisi znak z napisem GUGGENHEIM.

O co tu chodzi? Czyżby muzeum przeniesiono? Czy są dwa muzea?

Idę w kierunku drzwi i zdaję sobie sprawę, że budynek jest dość mały jak na muzeum, więc może to nie jest główna siedziba. Może to modna filia w SoHo! Tak! Skoro w Londynie są galerie Tate Britain i Tate Modern, dlaczego Nowy Jork nie może mieć Guggenheima i Guggenheima SoHo?

Guggenheim SoHo! To brzmi fajnie!

Ostrożnie otwieram drzwi i oczywiście, wewnątrz jest przestronne i urządzone w bieli, na cokółkach stoją dzieła sztuki, są miejsca do siedzenia, a ludzie przechadzają się wokół spokojnie i szepczą do siebie.

Wiecie, tak powinny wyglądać wszystkie muzea. Na początek małe i przyjazne, by zaraz po wejściu nie czuć się wyczerpanym. Można by prawdopodobnie zwiedzić całość w pół godziny. Do tego wszystkie eksponaty wyglądają naprawdę interesująco. Spójrzcie na przykład na te niezwykle, czerwone sześciany w szklanej gablocie! I na tę fantastyczną, abstrakcyjną rycinę na ścianie.

Gdy wpatruję się w nią z podziwem, podchodzi do mnie para, też zaczyna się jej przyglądać i szepcze do siebie, jak bardzo się jej podoba. Potem dziewczyna pyta od niechcienia:

– Ile kosztuje?

Już mam zamiar odwrócić się do niej i z przyjacielskim uśmiechem powiedzieć „Też się zawsze nad tym zastanawiałam!”, kiedy, ku mojemu zdumieniu, mężczyzna sięga po obraz i odwraca go. Z tyłu widnieje metka z ceną!

Metka w muzeum! To miejsce jest niesamowite! Wreszcie jakaś przyszłościowo myśląca osoba zgodziła się ze mną i uznała, że ludzie nie tylko pragną podziwiać sztukę, ale chcą również wiedzieć, ile kosztuje. Napiszę o tym do władz Muzeum Wiktorii i Alberta.

Przyglądam się dokładnie i widzę teraz, że wszystkie eksponaty mają metki z cenami. Czerwone sześciany w gablocie, podobnie jak krzesło i... pudełko ołówków.

Pudełko ołówków w muzeum to dziwny widok. Może to instalacja artystyczna, jak

łóżko tej znanej dziewczyny, której nazwiska zapomniałam. Podchodzę, by lepiej im się przyjrzeć, i widzę, że na każdym ołówku widnieje napis. To na pewno jakieś głębokie sentencje na temat życia lub sztuki. Nachyliłam się i czytam „Sklep Muzeum Guggenheima”.

– Co?

Czy to...

Podnoszę głowę i rozglądam się wokół skonsternowana.

Czyżbym była w sklepie?!

Nagle zaczynam dostrzegać rzeczy, których nie zauważyłam wcześniej, na przykład dwie kasy po drugiej stronie sali. W tym samym momencie ktoś wychodzi z budynku z kilkoma reklamówkami.

O Boże.

Teraz czuję się naprawdę głupio. Jak mogłam nie rozpoznać sklepu? Ale... to wydaje mi się coraz bardziej bezsensowne. Czy to tylko sklep? Nie ma przy nim muzeum?

– Przepraszam – mówię do jasnowłosego chłopaka z imienną plakieta. – Chciałam się tylko upewnić: to jest sklep, tak?

– Tak, proszę pani – odpowiada uprzejmie. – To jest Sklep Muzeum Guggenheima.

– A gdzie jest samo muzeum?

– Po drugiej stronie parku.

– Aha, rozumiem. – Patrzę na niego zdezorientowana. – Czy dobrze rozumiem, że można tutaj przyjść, kupić mnóstwo rzeczy i nikogo nie obchodzi, czy było się w muzeum, czy nie? Nie trzeba okazywać biletu?

– Nie, proszę pani.

– Wcale nie trzeba oglądać dzieł sztuki? Można tylko zrobić zakupy? – W zachwycie podnoszę głos. – To miasto robi się coraz lepsze! Jest idealne! – Widzę zdumiony wyraz twarzy chłopaka i szybko dodaję: – Oczywiście, chcę zobaczyć sztukę. Nawet bardzo. Po prostu, no wie pan, upewniam się.

– Jeśli chce pani odwiedzić muzeum, mogę zamówić pani taksówkę – proponuje chłopak. – Chciała pani tam zajrzeć?

– Hmm...

Pomyślmy chwilę. Nie podejmujemy żadnych pochopnych decyzji.

– Hmm... nie jestem pewna – odpowiadam ostrożnie. – Proszę dać mi chwilę.

– Jasne – zgadza się chłopak i posyła mi lekko zdziwione spojrzenie, a ja sadowię się na białym siedzeniu i myślę intensywnie.

No więc... tak. Oczywiście, mogłabym pójść do Guggenheima, wsiąść do taksówki i pojechać do muzeum, a następnie spędzić całe popołudnie na podziwianiu dzieł sztuki.

Albo... Mogłabym kupić książkę o muzeum Guggenheima i spędzić resztę

popołudnia na zakupach.

Czy rzeczywiście trzeba zobaczyć dzieło sztuki osobiście, żeby móc je docenić? Oczywiście, że nie. Na swój sposób przeglądanie książki będzie lepsze niż zwiedzanie wielu galerii, ponieważ tą drogą w krótszym czasie na pewno dowiem się więcej i tym samym zdobędę bardziej dogłębną wiedzę.

Poza tym towary w tym sklepie to również sztuka, prawda? Zdążyłam się już mocno ukulturalnić. Właśnie.

Nie wybiegam od razu ze sklepu. Zostaję tam przynajmniej dziesięć minut, przeglądając literaturę i chłonąc kulturalną atmosferę. W końcu kupuję dużą, ciężką książkę, którą podaruję Luke'owi, do tego naprawdę fajny kubek dla Suze, kilka ołówków i kalendarz dla mamy.

Wspaniale! Teraz mogę pójść na prawdziwe zakupy! Wychodząc, czuję się wolna i szczęśliwa, jakbym nieoczekiwanie dostała dzień wolny od szkoły. Idę Broadwayem i skręcam w jedną z bocznych uliczek. Mijam stoiska z podróbkami torebek, kolorowymi akcesoriami do włosów i faceta kiepsko grającego na gitarze. Po chwili znajduję się na cudownej, wąskiej brukowanej uliczce, z której skręcam w kolejną. Po obu jej stronach stoją okazałe, stare czerwone budynki ze schodami przeciwpożarowymi wzdłuż ścian, w chodnikach przed nimi rosną drzewa, a atmosfera staje się nagle bardziej swobodna niż na Broadwayu. Z pewnością mogłabym przyzwyczać się do mieszkania tutaj. Bez problemu.

Do tego, o Boże, te sklepy! Każdy kolejny jest bardziej zachęcający od poprzedniego. Jeden pełen jest malowanych, aksamitnych sukienek zwisających z antycznych mebli. W kolejnym ściany pomalowano tak, by przypominały chmury, a wkoło rozstawiono wieszaki z puszystymi, tiulowymi sukienkami wyjściowymi i misy pełne cukierków. Jeszcze inny urządzono w bieli i czerni, w stylu art déco, jak z filmu z Fredem Astaire'em. A spójrzcie tylko na ten!

Zatrzymuję się na chodniku i patrzę z otwartymi ustami na manekina ubranego jedynie w przezroczystą, plastikową koszulkę, w kieszeni której pływa złota rybka. To jest chyba najbardziej zdumiewający strój, jaki kiedykolwiek widziałam.

Wiecie, zawsze skrycie marzyłam o tym, by włożyć naprawdę awangardową kreację. Boże, jak fajnie byłoby posiadać jakiś naprawdę nowatorski strój i opowiadać wszystkim, że kupiło się go w SoHo. Przynajmniej... Czy nadal jestem w SoHo? Może to NoLita. Albo NoHo? SoLita? Szczerze mówiąc, nie wiem już, gdzie jestem, i nie chcę patrzeć na mapę, żeby ktoś nie pomyślał, że jestem turystką.

Gdziekolwiek jestem, nie dbam o to, idę do środka.

Otwieram ciężkie drzwi i wchodzę do sklepu, który jest całkowicie pusty, nie licząc zapachu kadzidełek i dziwnej, dudniącej muzyki. Podchodzę do wieszaka i starając się wyglądać nonszalancko, zaczynam przeglądać ubrania. Rety, te ciuchy są naprawdę

odjechane. Wiszą tam spodnie z nogawkami długości około trzech metrów, gładka, biała koszula z plastikowym kapturem i spódnica zrobiona ze sztruksu i gazet, która wygląda ładnie, ale co się z nią stanie, jak zacznie padać?

– Dzień dobry. – Wita mnie jakiś mężczyzna. Ma na sobie czarną koszulkę i bardzo obcisłe spodnie, całkowicie srebrne, z wyjątkiem kroku – jest dzinsowy i bardzo, cóż, wydatny.

– Dzień dobry – odpowiadam, starając się sprawiać wrażenie wyluzowanej i nie patrzeć na jego krocze.

– Jak się pani miewa?

– W porządku, dziękuję.

Sięgam po czarną koszulę, ale po chwili gwałtownie ją upuszczam, kiedy dostrzegam na jej przodzie aplikację w kształcie penisa.

– Chciałaby pani coś przymierzyć?

No, dalej, Becky. Nie bądź mięczakiem. Wybierz coś.

– Hmm... tak. To! – odpowiadam i chwytam fioletowy sweter z golfem, który wygląda całkiem ładnie. – Poproszę ten. – Idę za mężczyzną w głąb sklepu, gdzie znajduje się przebieralnia zrobiona z blachy cynkowej.

Dopiero gdy zdejmuję sweter z wieszaka, orientuję się, że ma dwa golfy. W zasadzie, wygląda trochę jak sweter, który babcia dała kiedyś tacie na Boże Narodzenie.

– Przepraszam? – pytam, wystawiając głowę z kabiny. – Ten sweter ma... dwa golfy. – Wydaję z siebie lekki śmiech, a facet patrzy na mnie beznamiętnie, jakbym była nienormalna.

– Tak ma być – odpowiada. – To taki styl.

– Aha! – przytakuję od razu. – Oczywiście. – I nurkuję z powrotem do przymierzalni.

Nie mam odwagi zapytać, w którą dziurę należy włożyć głowę, więc z trudem wciskam się w pierwszą i wygląda to okropnie, próbuję drugą, ale to też wygląda koszmarnie.

– Wszystko w porządku? – pyta mężczyzna zza kabiny, a ja czuję, że policzki mi płoną. Nie mogę się przyznać, że nie wiem, jak założyć sweter.

– W porządku – odpowiadam przyduszonym głosem.

– Chce się pani przejrzeć na zewnątrz?

– Dobrze! – piszczę.

O Boże. Mam zaczerwienione policzki, a włosy mi się elektryzują od przepychania głowy przez golfy. Z wahaniem otwieram drzwi kabiny i patrzę na siebie w dużym lustrze naprzeciwko. Nigdy w życiu nie wyglądałam bardziej idiotycznie.

– To fantastyczna dzianina – komentuje sprzedawca i zakłada ręce na piersi. – Bardzo oryginalna.

– Hmm... zdecydowanie – przyznaję po chwili milczenia. – Bardzo interesująca. – Pociągam niezręcznie za rękaw i próbuję zignorować fakt, iż wyglądam tak, jakby brakowało mi głowy.

– Wygląda pani cudownie – oznajmia mężczyzna. – Absolutnie cudownie.

Wydaje się tak pewny swego zdania, że ponownie patrzę w lustro. I wiecie co, może ma rację? Może nie wyglądam tak źle?

– Madonna ma takie trzy, w różnych kolorach – wyjaśnia i ścisza głos. – Ale tak między nami, nie prezentuje się w nich efektownie.

Wpatruję się w niego z przejęciem.

– Madonna ma taki sweter? Dokładnie taki sam?

– Jasne. Ale pani wygląda w nim o wiele lepiej. – Opiera się o lustrzany filar i ogląda paznokcie. – Chce go pani kupić?

Boże, uwielbiam to miasto. Gdzie indziej można dostać zaproszenia z błyszczącymi kawałkami pizzy, darmowy tusz do rzęs, a na dodatek taki sam sweter, jaki ma Madonna, a wszystko w jedno popołudnie? Przyjeżdżam do Royaltona z wielkim, radosnym uśmiechem na twarzy. Nie byłam na tak udanych zakupach od... cóż, od wczoraj.

Zostawiam wszystkie torby z zakupami w szatni i idę w stronę małego okrągłego baru, gdzie mam się spotkać z Lukiem i jego nowym partnerem biznesowym, Michaellem Ellisem.

Przez ostatnie kilka dni wiele o nim słyszałam. Podobno jest właścicielem wielkiej agencji reklamowej w Waszyngtonie i przyjaźni się z prezydentem. A może z wiceprezydentem? W każdym razie coś w tym stylu. To gruba ryba i osoba kluczowa dla nowego przedsięwzięcia Luke'a. Muszę zrobić wszystko, by wyrzucić na nim dobre wrażenie.

Rety, jak tu modnie, myślę, wchodząc do środka. Skóra i chromowany metal użyte do wystroju wnętrza, a do tego ludzie w surowych, czarnych strojach, z równie prostymi fryzurami. Podchodzę do okrągłego baru i widzę Luke'a siedzącego przy stole. O dziwo, siedzi sam.

– Cześć! – witam go i całuję. – Gdzie jest twój przyjaciel?

– Rozmawia przez telefon – wyjaśnia. Gestem przywołuje kelnera. – Poproszę jeszcze jeden koktajl z dżinem i sokiem z cytryny. – Siadam, a on posyła mi zagadkowe spojrzenie. – A więc, kochanie, jak było w muzeum Guggenheima?

– Dobrze – odpowiadam z triumfalnym uśmiechem na twarzy. Ha! Odrobiłam w taksówce pracę domową. – Szczególnie podobała mi się fascynująca seria akrylowych form opartych na prostych, euklidesowych kształtach.

– Naprawdę? – pyta Luke z wyraźnym zdziwieniem.

– Zdecydowanie. Sposób, w jaki pochłaniają i odbijają czyste światło...

Pasjonujące. Och, przy okazji, kupiłam ci prezent. – Kładę mu na kolanach książkę zatytułowaną *Sztuka abstrakcyjna i abstrakcyjniści*. Upijam łyk drinka, który właśnie postawiono przede mną, i staram się nie wyglądać na zbyt zadowoloną z siebie.

– Naprawdę poszłaś do Guggenheima! – mówi Luke i z niedowierzaniem kartkuje książkę.

– Hmm... tak – odpowiadam. – Oczywiście.

Dobra, wiem, że nie powinnam okłamywać swojego chłopaka, ale to w zasadzie prawda. Rzeczywiście, odwiedziłam Guggenheima. W szerszym tego słowa znaczeniu.

– To naprawdę ciekawe – przyznaje Luke. – Widziałaś sławną rzeźbę Brâncușiego?

– Hmm... cóż... – Mrużę oczy i zaglądam mu przez ramię, by sprawdzić, o czym mówi. – Właściwie skupiłam się bardziej na... hmm... euklidesowych kształtach i, oczywiście, nierównanych... hmm...

– Idzie Michael – przerywa mi Luke. Zamyka książkę, a ja szybko chowam ją do torby. Dzięki Bogu. Z zainteresowaniem podnoszę wzrok, by zobaczyć, jak wygląda ten sławny Michael, i niemal krztuszę się drinkiem.

Nie wierzę. To on. Michael Ellis jest łysiejącym facetem z siłowni. Gdy widział mnie ostatnim razem, umierałam u jego stóp.

– Cześć! – wita go Luke, wstając. – Becky, poznaj Michaela Ellisa, mojego nowego partnera.

– Witam ponownie – mówię, starając się uśmiechnąć spokojnie. – Jak się masz?

Och, to powinno być zabronione. Powinna istnieć zasada orzekająca, że ludzie, których poznajemy w siłowni, nie mogą spotkać nas w prawdziwym życiu. To zbyt żenujące.

– Mieliśmy już przyjemność się spotkać – oznajmia Michael Ellis, z błyskiem w oku podając mi dłoń i siadając naprzeciw. – Ćwiczyliśmy wczoraj razem z Becky. Nie widziałem cię w siłowni dziś rano.

– Dziś rano? – pyta Luke i siadając ponownie, posyła mi zdziwione spojrzenie. – Wspominałaś, że dzisiaj rano siłownia jest zamknięta.

Cholera.

– Och, hmm, cóż... – Wypijam duży łyk drinka i odchrząkuję. – Kiedy mówiłam, że jest zamknięta, w rzeczywistości miałam na myśli, że... że... – Milknę powoli.

O Boże, a tak bardzo chciałam zrobić dobre wrażenie.

– Gdzie ja mam głowę? – wykrzykuje nagle Michael. – Chyba zwariowałem! To nie było dzisiaj rano. Dzisiaj siłownia rzeczywiście była zamknięta, chyba z powodu ważnych prac konserwacyjnych. Coś w tym rodzaju. – Posyła mi szeroki uśmiech, a ja czuję, że się czerwienię.

– Tak czy inaczej – szybko zmieniam temat – słyszałam, że robisz z Lukiem interesy. To wspaniale! Jak wam idzie?

Zadaję pytanie tylko z grzeczności i w celu odwrócenia uwagi od mojej aktywności

fizycznej. Oczekuję, że obaj zaczną wyjaśniać mi ze szczegółami całe przedsięwzięcie, a ja będę mogła w przerwach przytakiwać i delektować się drinkiem. Ku mojemu zdziwieniu pomiędzy mężczyznami zapada cisza.

– Dobre pytanie – odzywa się w końcu Luke i patrzy na Michaela. – Co powiedział Clark?

– Odbyliśmy długą rozmowę – wyjaśnia Michael. – Nie do końca satysfakcjonującą. Zbita z tropu patrzę raz na jedną twarz, raz na drugą.

– Czy coś nie tak?

– To zależy – odpowiada Michael.

Zaczyna opowiadać Luke'owi o rozmowie telefonicznej z Clarkiem, kimkolwiek on jest, a ja próbuję inteligentnie słuchać ich konwersacji. Problem polega na tym, że zaczyna mi się kręcić w głowie. Ile ja dzisiaj wypiałam? Szczerze mówiąc, nie chcę nawet o tym myśleć. Opieram głowę na skórzanym zagłówku, zamykam oczy i słucham ich głosów przelatujących nade mną.

– ...jakaś paranoja...

– ...wydaje im się, że mogą zmieniać reguły gry...

– ...koszty stałe... redukcja kosztów... z Alicją Billington jako szefem oddziału londyńskiego.

– Alicja? – Z trudem podnoszę się do pionu. – Alicja będzie zarządzała biurem londyńskim?!

– Prawie na pewno – potwierdza Luke, przerywając w pół zdania. – O co chodzi?

– Ale...

– Ale „co”? – pyta Michael i patrzy na mnie z zainteresowaniem. – Dlaczego nie powinna prowadzić londyńskiego oddziału? Jest bystra, ambitna...

– Och, bez powodu – odpowiadam słabo.

Nie mogę przecież powiedzieć, że jest wredną krową.

– Słyszałaś, że właśnie się zaręczyła? – pyta Luke. – Z Edem Collinsem z Hill Hanson.

– Naprawdę? – pytam zdziwiona. – Myślałam, że ma romans z... jak mu tam.

– Z kim? – pyta Michael.

– Hmm... no z tym. – Wypijam łyk drinka, by odświeżyć umysł. – Chodziła z nim na potajemne lunche i w ogóle!

Jak on się nazywał? Rety, naprawdę się wstawiłam.

– Becky lubi być na bieżąco z biurowymi plotkami – wyjaśnia Luke i śmieje się swobodnie. – Niestety, nie zawsze można ręczyć za ich wiarygodność.

Wpatruję się w niego ze złością. Co on próbuje powiedzieć? Że jestem jakąś plotkarą?

– Nie ma nic złego w niewielkiej dawce biurowych plotek – mówi Michael z przyjaznym uśmiechem. – Dzięki nim machina firmowa pracuje.

– Właśnie! – przytakuję dobitnie. – Tak właśnie uważam. Zawsze powtarzam Luke’owi, że powinien się interesować ludźmi, którzy dla niego pracują. Robię podobnie, kiedy udzielam rad w moim programie telewizyjnym. Nie można tylko patrzeć na liczby, trzeba rozmawiać z dzwoniącymi. Na przykład z Enid z Northampton! – Patrzę wyczekująco na Michaela, ale przypominam sobie, że on nie wie, kim jest Enid. – Formalnie była gotowa, by przejść na emeryturę – wyjaśniam. – Miała zapewnione fundusze i tak dalej, ale w rzeczywistości...

– Nie była gotowa? – sugeruje Michael.

– Właśnie! Naprawdę lubiła swoją pracę i tylko jej głupi mąż chciał, żeby ją rzuciła. Miała dopiero pięćdziesiąt pięć lat! – Wykonuję nieokreślony ruch szklanką. – Czyż nie mówi się, że życie zaczyna się po pięćdziesiątce?

– Nie jestem pewien – mówi z uśmiechem Michael. – Ale może to dobry pomysł. – Patrzy na mnie z zainteresowaniem. – Chciałbym kiedyś obejrzeć twój program. Czy jest nadawany w Stanach?

– Nie – odpowiadam z żalem. – Ale niedługo będę prowadzić podobny w amerykańskiej telewizji, więc będziesz mógł go obejrzeć.

– Nie mogę się doczekać. – Michael zerka na zegarek i opróżnia szklankę. – Obawiam się, że muszę iść. Porozmawiamy później, Luke. Miło było cię poznać, Becky. Gdybym kiedyś potrzebował porady finansowej, wiem, do kogo się zwrócić.

Po jego wyjściu opieram się na miękkim siedzeniu i odwracam głowę, by spojrzeć na Luke’a. Jego swobodna postawa gdzieś zniknęła, a on wpatruje się intensywnie w przestrzeń i skrupulatnie rozrywa na kawałki pudełko zapalek.

– Michael wydaje się bardzo miły – mówię. – Bardzo przyjazny.

– Tak – odpowiada Luke bez emocji. – Jest miły.

Wypijam łyk koktajlu i przyglądam się uważniej swojemu chłopakowi. Ma dokładnie ten sam wyraz twarzy, który miał w zeszłym miesiącu, kiedy jeden z jego pracowników spartaczył komunikat prasowy i przez przypadek do wiadomości publicznej przedostały się poufne dane. Próbuje sobie przypomnieć rozmowę, której połowicznie słuchałam, i kiedy patrzę na jego twarz, zaczynam się martwić.

– Luke – odzywam się w końcu. – Co się dzieje? Czy jest jakiś kłopot z twoim przedsięwzięciem?

– Nie – odpowiada i ani drgnie.

– Co Michael miał na myśli, gdy powiedział „to zależy”? I kiedy wspomniał o zmianie reguł gry?

Pochyliłam się i próbuję wziąć go za rękę, ale on nie reaguje. Wpatruję się w niego w pełnej napięcia ciszy i stopniowo dochodzi do mnie szum rozmów i muzyka w tle. Przy stoliku obok kobieta otwiera małe pudełko od Tiffany’ego i wzdycha. Normalnie rzuciłabym serwetkę na podłogę i niepostrzeżenie przesunęła się w jej stronę, by zobaczyć, co dostała. Tym razem jestem zbyt skupiona na Luke’u. Kelner podchodzi do



nas, ale potrząsam głową i odsyłam go.

– Luke? – nachylam się. – No dalej, powiedz mi. Jest jakiś problem?

– Nie – odpowiada krótko i ponownie podnosi szklankę do ust. – Nie ma żadnego problemu. Wszystko jest w porządku. Chodź, idziemy.

## Rozdział 11

Następnego ranka budzę się z pulsującym bólem głowy. Z baru Royaltón poszliśmy do innego lokalu na kolację, gdzie wypiliśmy jeszcze więcej i nie pamiętam nawet, jak wróciliśmy do domu. Dzięki Bogu, nie mam dzisiaj rozmowy o pracę. Szczerze mówiąc, z chęcią spędziłabym cały dzień w łóżku z Lukiem.

Tyle że Luke już wstał, siedzi przy oknie i ponurym głosem rozmawia przez telefon.

– Dobrze, Michael, porozmawiam dzisiaj z Gregiem. Bóg jeden wie, nie mam pojęcia. – Przez chwilę słucha. – Możliwe. Ale nie chcę stracić kolejnej umowy. – Kolejna pauza. – Tak, ale to by nas opóźniło o jakieś sześć miesięcy. Dobrze, słyszę, co mówisz. Tak, zrobię to. Dzięki.

Odkłada słuchawkę i wpatruje się intensywnie w przestrzeń za oknem, a ja masuję zaspaną twarz i próbuję sobie przypomnieć, czy spakowałam aspirynę.

– Luke, co się dzieje?

– Wstałaś – mówi, odwracając się, i posyła mi szybki uśmiech. – Dobrze spałaś?

– Co się dzieje? – powtarzam, ignorując jego pytanie. – Jakiś problem z nowym biznesem?

– Wszystko w porządku – rzuca krótko i odwraca się z powrotem do okna.

– Nic nie jest w porządku! – odpalam. – Luke, nie jestem ślepa ani głucha. Widzę, że coś się dzieje.

– Drobnе zawirowania – mówi po chwili. – Nie musisz się tym martwić. – Ponownie sięga po telefon. – Zamówić ci śniadanie? Co byś chciała?

– Przestań! – krzyczę sfrustrowana. – Luke, ja nie jestem obcym człowiekiem! Na miłość boską, mamy razem mieszkać! Jestem po twojej stronie. Powiedz mi, co się naprawdę dzieje. Czy twoje przedsięwzięcie jest zagrożone?

Zapada cisza i przez jedną potworną chwilę obawiam się, że Luke powie mi, żebym pilnowała własnego nosa. Ale potem przeczesuje włosy dłońmi, robi głośny wydech i podnosi wzrok.

– Masz rację. Prawda jest taka, że jeden z moich sponsorów się denerwuje.

– Och – mówię i krzywię się. – Dlaczego?

– Ponieważ krążą jakieś cholerne plotki, że stracimy Bank Londyński.

– Naprawdę? – Wpatruję się w niego i czuję, jak lodowate przerażenie pełźnie mi po plecach. Nawet ja wiem, jak ważny dla Brandon Communications jest Bank Londyński. Byli jednym z pierwszych klientów Luke'a i nadal przynoszą firmie jedną czwartą rocznych dochodów. – Dlaczego ktoś miałby rozsiewać takie plotki?

– Cholera wie. – Odgarnia włosy dłońmi. – Oczywiście bank całkowicie temu zaprzecza, ale tak czy inaczej by to robili. Sytuacji nie pomaga fakt, iż jestem tutaj, a nie tam...

– Polecisz z powrotem do Londynu?

– Nie. – Podnosi wzrok. – To by wywołało niekorzystne wrażenie. Sytuacja tutaj jest wystarczająco niepewna. Gdybym nagle zniknął... – Potrząsa głową, a ja patrzę na niego z niepokojem.

– Co się stanie, jeśli twój sponsor się wycofa?

– Znajdziemy kogoś innego.

– A jeśli wam się nie uda? Będziesz musiał zrezygnować z przeprowadzki do Nowego Jorku?

Luke odwraca się do mnie i na jego twarzy pojawia się nagle ten beznamiętny, przerażający wyraz, który sprawiał, że miałam ochotę uciec od niego na konferencjach prasowych.

– To nie wchodzi w grę.

– Masz przecież świetnie prosperującą firmę w Londynie – nalegam. – Nie musisz zakładać drugiej w Nowym Jorku, prawda? Mógłbyś tylko...

Milknę na widok jego twarzy.

– Rozumiem – mówię nerwowo. – Cóż, mam nadzieję, że wszystko będzie w porządku. Ostatecznie.

Przez chwilę oboje siedzimy w ciszy, po czym Luke przytomnieje i podnosi wzrok.

– Obawiam się, że będę musiał dzisiaj zająć się kilkoma osobami – stwierdza nagle. – Dlatego nie dam rady pójść na lunch charytatywny z tobą i moją matką.

O cholera. Oczywiście, to dzisiaj.

– Może mogłaby to przełożyć? – sugeruję. – Żebyśmy oboje mogli pójść.

– Niestety, nie. – Rzuca mi przelotny uśmiech, ale widzę na jego twarzy wyraz szczerego zawodu i czuję lekkie oburzenie na jego matkę.

– Na pewno mogłaby znaleźć inny termin.

– Ma bardzo napięty grafik i jak zaznaczyła, poinformowałem ją z niedużym wyprzedzeniem. – Marszczy czoło. – Wiesz, moja matka nie jest jakąś... bogatą kobietą, która spędza czas wyłącznie na przyjemnościach. Ma wiele ważnych zobowiązań. Nie może rzucić wszystkiego, bez względu na to, jak bardzo by chciała.

– Oczywiście, że nie! – odpowiadam natychmiast. – Nic mi nie będzie. Zjem z nią lunch sama – dodaję, starając się nie sprawiać wrażenia onieśmiałej tym pomysłem.

– Musi najpierw pójść do spa – informuje Luke. – Zaproponowała, żebyś jej towarzyszyła.

– Och! – odpowiadam ostrożnie. – Cóż, może być przyjemnie...

– Będziecie miały szansę się poznać. Mam wielką nadzieję, że się polubicie.

– Na pewno – orzekam stanowczo. – Będzie bardzo miło. – Wstaję z łóżka,

podchodzę do Luke'a i obejmuję go za szyję. Na jego twarzy nadal widać napięcie, a ja głaszczę jego czoło, by wygładzić zmarszczki. – Nie martw się, Luke. Sponsorzy będą się ustawiać w kolejce do ciebie. Wokół bloku.

Uśmiecha się niepewnie i całuje mnie w dłoń.

– Miejmy nadzieję.

Siedzę w holu, czekając na matkę Luke'a, i czuję mieszaną zdenerwowania i ekscytacji. Szczerze mówiąc, sytuacja rodzinna mojego chłopaka wydaje mi się nieco dziwna. W Wielkiej Brytanii ma ojca i macochę, którzy wychowali go razem z dwiema przyrodnimi siostrami i do których zwraca się „mamo” i „tato”. Jego prawdziwa matka odeszła od ojca, gdy Luke był mały, zostawiła syna i poślubiła bogatego Amerykanina. Potem odeszła od niego i poślubiła kolejnego, jeszcze bogatszego, a następnie... Czy był jeszcze jeden?

Tak czy inaczej, podobno dorastając, Luke prawie nie widywał matki, a ona wysyłała mu tylko do szkoły wielkie prezenty i odwiedzała go raz na trzy lata. Wydawałoby się, że będzie miał jej to teraz za złe, ale o dziwo, on ją uwielbia. W zasadzie nie potrafi powiedzieć o niej złego słowa. W londyńskim gabinecie trzyma jej wielkie zdjęcie, znacznie większe niż fotografia ojca i macochy z dnia ślubu. Zastanawiam się czasami, jak się na to zapatrują. Nie czuję jednak, że mogłabym poruszyć ten temat.

– Rebecca? – Głos przerywa moje myśli i przestraszona podnoszę wzrok. Patrzy na mnie wysoka, elegancka kobieta w jasnym kostiumie, z bardzo długimi nogami w butach ze skóry krokodyla. Wygląda dokładnie tak samo jak na zdjęciu, ma wydatne kości policzkowe i ciemne włosy uczesane w stylu Jackie Kennedy. Tylko jej cera wydaje się jaśniejsza, a oczy nienaturalnie otwarte. W zasadzie mam wrażenie, iż może mieć problemy z ich zamknięciem.

– Dzień dobry! – witam ją, wstając niezręcznie i wyciągając rękę.

– Elinor Sherman – przedstawia się z dziwnym, na wpół angielskim, na wpół amerykańskim akcentem. Jej dłoń jest zimna i koścista, a na palcach ma dwa ogromne diamentowe pierścionki, które wbijają mi się w skórę. – Miło mi cię poznać.

– Luke bardzo żałuje, że nie mógł przyjść – wyjaśniam i wręczam jej prezent, który mi dla niej przekazał. Zdejmuje opakowanie, a ja nie mogę się powstrzymać, by nie wytrzeszczyć oczu. Apaszka od Hermèsa!

– Ładna – komentuje lekceważąco i wkłada ją z powrotem do pudełka. – Mój samochód czeka. Idziemy?

A niech mnie! Samochód z szoferem, Kelly bag ze skóry krokodyla i... Czy w tych kolczykach są prawdziwe szmaragdy?!

Odjeżdżamy, a ja nie mogę się powstrzymać i ukradkiem obserwuję Elinor. Z bliska wygląda na starszą, niż mi się wydawało. Ma pewnie około pięćdziesiątki. Chociaż

prezentuje się wspaniale, wygląda tak, jakby owo olśniewające zdjęcie pozostawione zbyt długo na słońcu straciło kolory, a następnie zostało upiękzone makijażem. Jej rzęsy pociągnięte są grubą warstwą tuszu, włosy lśnią od lakieru, a paznokcie są tak grubo pomalowane, że przypominają czerwoną porcelanę. Jest całkowicie... zrobiona. Wypielęgnowana tak, jak ja nigdy nie będę, bez względu na to, jak wiele osób by nade mną pracowało.

Uważam, że sama ładnie dzisiaj wyglądam. W zasadzie bardzo stylowo. W amerykańskim „Vogue” zamieszczono artykuł ze zdjęciami wyjaśniający, że czarny i biały są teraz w modzie, więc zestawiłam czarną ołówkową spódnicę z białą koszulą, którą kupiłam na sample sale poprzedniego dnia, i czarnymi butami na fantastycznie wysokich obcasach. Rano byłam z siebie bardzo zadowolona. Teraz jednak, kiedy Elinor taksuje mnie wzrokiem, uświadamiam sobie, że na jednym paznokciu odprysnął mi lakier, na bucie widnieje z boku mała smuga i... o Boże! Czy ze spódnicy zwisa mi nitka? Może powinnam szybko ją urwać?

Od niechcenia kładę dłoń na kolanach, by przykryć nitkę. Może jej nie zauważyła. Nie rzuca się w oczy, prawda?

Jednak Elinor bez słowa sięga do torebki i chwilę później podaje mi małe srebrne nożyczki z szylkretowymi uchwytami.

– Och... hmm, dziękuję – mówię niezręcznie.

Obcinam przeszkadzającą nitkę i oddaję jej nożyczki, czując się jak uczennica.

– Zawsze mi się to przytrafia – dodaję i chichoczę nerwowo. – Patrząc rano w lustro i stwierdzam, że wyglądam dobrze, ale jak tylko wyjdę z domu...

Świetnie, teraz trajkoczę. Zwolnij, Becky.

– Nienaganny wygląd przerasta Anglików – stwierdza Elinor. – Chyba że chodzi o konia.

Kąciki jej ust unoszą się w uśmiechu o kilka milimetrów, chociaż reszta twarzy pozostaje nieruchoma, a ja wybucham pochlebczym śmiechem.

– Świetne! Moja współlokatorka uwielbia konie. Ale pani jest Angielką, prawda? A wygląda pani absolutnie nieskazitelnie!

Bardzo się cieszę, że udało mi się wpleść mały komplement, ale uśmiech Elinor gwałtownie znika. Rzuca mi zdumione spojrzenie i nagle zdaję sobie sprawę, skąd u Luke’a ten przerażający wyraz twarzy.

– Mam obywatelstwo amerykańskie.

– Ach, tak. Mieszka tu pani już jakiś czas, ale w głębi serca, czyż nie jest pani nadal... Czyż nie nazwałaby się pani... Luke ma typowo angielskie zachowania.

– Mieszkałam w Nowym Jorku przez większą część mojego dorosłego życia – wyjaśnia chłodno Elinor. – Jakikolwiek przywiązanie do Wielkiej Brytanii dawno zniknęło. Ten kraj jest o dwadzieścia lat do tyłu.

– Rozumiem. – Gorączkowo kiwam głową, starając się sprawić wrażenie, iż

całkowicie ją rozumiem. Boże, to ciężka praca. Czuję się jak pod mikroskopem. Dlaczego Luke nie mógł przyjść? Dlaczego ona nie mogła przełożyć spotkania? Czy nie chce go zobaczyć?

– Rebecca, kto koloryzuje ci włosy? – pyta zniecierpliwiona Elinor.

– Och... nie pamiętam nazwiska – odpowiadam, nerwowo dotykając kosmyka.

– Nie pamiętasz nazwiska – powtarza podejrzliwie. – A w którym salonie pracuje? Na chwilę kompletnie odbiera mi mowę.

– Hmm... cóż – zaczynam w końcu nieskładnie. – Właściwie... nie jestem pewna, czy pani o nim słyszała. Jest bardzo... mały.

– Uważam, że powinnaś zmienić stylistę – wyrokuje Elinor. – To bardzo niesubtelny odcień.

– Oczywiście! – odpowiadam pospiesznie. – Jak najbardziej.

– Guinevere von Landlenburg ręczy za Julię na Bond Street. Znasz Guinevere von Landlenburg?

Waham się chwilę, jakbym przeglądała w głowie notes z adresami i sprawdzała wszystkie zastępy Guinevere, jakie znam.

– Hmm... nie – przyznaję w końcu. – Chyba nie.

– Mają dom w South Hampton. – Wyjmuje kompaktowe lustro i przegląda się w nim. – W zeszłym roku spędziliśmy tam trochę czasu razem z rodziną Bonnevillę.

Szywniej. Z tą rodziną Bonnevillę. Tą od Sachy Bonnevillę. Tą od byłej dziewczyny Luke'a.

Luke nigdy mi nie powiedział, że ich rodziny się przyjaźniły.

Dobrze, nie będę się denerwować tylko dlatego, że Elinor jest na tyle nietaktowna, by wspominać rodzinę Sachy. Przecież nie wymieniła bezpośrednio jej samej.

– Sacha to taka utalentowana dziewczyna – oznajmia Elinor i zamyka lustro. – Widziałaś kiedyś, jak jeździ na nartach wodnych?

– Nie.

– Albo gra w polo?

– Nie – odpowiadam ponuro. – Nie widziałam.

Nagle Elinor stuka władczo w szybę za kierowcą.

– Ostatni zakręt wziął pan za szybko! – karci go. – Nie chcę być rzucona po siedzeniu i nie będę tego więcej powtarzać. A więc, Rebecca – zaczyna, opierając się i rzucając mi pełne niezadowolenia spojrzenie. – Jakie ty masz hobby?

– Hmm... – Otwieram usta i ponownie je zamykam. Mam kompletną pustkę w głowie. No, dalej, muszę mieć jakieś hobby. Co robię w weekendy? Co robię, by się odprężyć?

– Cóż, ja...

To kompletnie idiotyczne. Musi być w moim życiu coś poza zakupami.

– Oczywiście, lubię... spotykać się ze znajomymi – zaczynam niepewnie. – Oraz...

studiowanie mody... za pośrednictwem prasy...

– Uprawiasz sport? – pyta Elinor i taksuje mnie chłodno. – Polujesz?

– Hmm... nie. Ale niedawno zaczęłam ćwiczyć szermierkę! – dodaję w nagłym przyływie inspiracji. Przecież mam strój, prawda? – I grałam na pianinie, od kiedy skończyłam sześć lat.

To całkowita prawda. Nie muszę wspominać, że przestałam w wieku lat dziewięciu.

– W rzeczy samej – komentuje Elinor i posyła mi lodowaty uśmiech. – Sacha również jest bardzo muzykalna. W zeszłym roku zagrała w Londynie koncert sonat Beethovena. Byłaś na nim?

Cholerna Sacha, ze swoimi cholernymi nartami wodnymi i cholernymi sonatami.

– Nie – odpowiadam prowokująco. – Ja... ja sama zagrałam kiedyś koncert. Sonat Wagnera.

– Sonaty Wagnera? – powtarza podejrzliwie Elinor.

– Hmm... tak. – Odchrząkuję, zastanawiając się, jak zejść z tematu osiągnięć. – Cóż! Musi pani być bardzo dumna z Luke'a!

Mam nadzieję, że ten komentarz zapoczątkuje radosną, dziesięciminutową przemowę matki, ale Elinor patrzy tylko na mnie bez słowa, jakbym opowiadała bzdury.

– Ma swoją firmę i... w ogóle – ciągnę uparcie. – Odniósł tak duży sukces i zrobi wszystko, by udało mu się też w Nowym Jorku, w Ameryce. – Elinor posyła mi protekcyjny uśmiech.

– Nikt nic nie znaczy, dopóki nie osiągnie sukcesu w Ameryce. – Wygląda przez okno. – Jesteśmy na miejscu.

Dzięki Bogu.

Trzeba przyznać Elinor, że spa jest absolutnie niezwykle. Hol wygląda jak grecka grotta, z filarami, delikatną muzyką i cudownym zapachem olejków eterycznych unoszącym się w powietrzu. Podchodzimy do recepcji, gdzie elegancka kobieta ubrana w czarny płócienny strój zwraca się do Elinor z ogromnym szacunkiem, tytułując ją „pani Sherman”. Rozmawiają przez chwilę przyciszonymi głosami, od czasu do czasu kobieta rzuca mi spojrzenie i kiwa głową. Udaję, że nie słucham, patrząc na cennik olejków do kąpieli. Wtedy Elinor odwraca się gwałtownie i prowadzi mnie do poczekalni, gdzie stoi dzbanek miętowej herbaty, a napis na wywieszce prosi klientów o uszanowanie ciszy i rozmawianie szeptem.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu, potem dziewczyna w białym stroju przychodzi, by mnie zabrać. Prowadzi mnie do pokoju, gdzie czeka szlafrok i kaptcie zapakowane w ozdobną folię. Kiedy ja się przebieram, kobieta krząta się przy blacie z kosmetykami, a ja się zastanawiam, co mnie czeka. Elinor nalegała, że zapłaci za wszystkie moje zabiegi, chociaż próbowałam się dorzucić, i podobno wybrała dla mnie

zestaw „od stóp do głów”, cokolwiek to oznacza. Mam nadzieję na przyjemny, relaksujący masaż aromaterapeutyczny, ale kiedy siadam na kanapie, widzę garnuszek, w którym podgrzewa się wosk.

Czuję nieprzyjemny ucisk w żołądku. Nigdy nie przepadałam za woskowaniem nóg, i to nie dlatego, że boję się bólu, ale...

No dobra, dlatego, że boję się bólu.

– Czy jednym z moich zabiegów jest woskowanie? – pytam, starając się zachować bez troski ton głosu.

– Zapisano panią na pełny pakiet woskowania – wyjaśnia kosmetyczka, podnosząc ze zdziwieniem wzrok. – Od stóp do głów. Nogi, ręce, brwi i depilację hollywoodzką.

Ręce? Brwi? Czuję, jak z przerażenia ściska mi się gardło. Ostatni raz tak się bałam, kiedy musiałam się zaszczepić przed wyjazdem do Tajlandii.

– Depilacja hollywoodzka? – pytam piskliwym głosem. – Co... co to takiego?

– To rodzaj depilacji bikini. Prawie całkowita depilacja.

Wpatruję się w nią, a mój mózg pracuje na zwiększonych obrotach. Chyba nie ma na myśli...

– Proszę się położyć na leżance...

– Chwileczkę! – mówię, starając się zachować spokój. – Przez całkowitą rozumie pani...

– Aha. – Kosmetyczka uśmiecha się. – Potem, jeśli pani sobie zażyczy, mogę wykonać w tym miejscu ozdobną kompozycję z kryształków Swarovskiego. Dużym powodzeniem cieszą się serduszka. A może inicjały kogoś bliskiego?

Nie, to nie może być prawda.

– Proszę się położyć na leżance i zrelaksować.

Zrelaksować? Zrelaksować?!

Odwraca się po garnuszek z woskiem, a ja czuję, jak zalewa mnie fala przerażenia. Nagle wiem, jak Dustin Hoffman czuł się na fotelu dentystycznym.

– Rezygnuję – słyszę swój głos i ześlizguję się z leżanki. – Rezygnuję.

– Z biżuterii waginalnej?

– Ze wszystkiego.

– Ze wszystkiego?!

Kosmetyczka podchodzi do mnie z garnuszkami w ręce, a ja w panice chowam się za leżankę i w obronnym geście owijam szlafrokiem.

– Ale pani Sherman zapłaciła z góry za cały zabieg...

– Nie obchodzi mnie, za co zapłaciła – odpowiadam, wycofując się. – Może pani wydepilować mi nogi, ale nie ręce. A już na pewno nie... nie to drugie. To z serduszkami z kryształków.

Kosmetyczka wygląda na zmartwioną.

– Pani Sherman jest jedną z naszych najbardziej oddanych klientek. Specjalnie



zazyczyła sobie dla pani zabieg od stóp do głów.

– Nigdy się nie dowie! – mówię w desperacji. – Nigdy się nie dowie! Przecież nie będzie sprawdzać, prawda? Nie zapyta syna, czy ułożyłam sobie jego inicjały w tej...

– Nie mogę się zmusić, by powiedzieć „okolica”. – Przecież tego nie robi.

Milknę i zapada pełna napięcia cisza, zakłócana jedynie przez dźwięki fletni Pana.

Nagle kosmetyczka parska śmiechem. Podchwycam jej spojrzenie i też zaczynam się śmiać, aczkolwiek nieco histerycznie.

– Ma pani rację – przytakuje kobieta, siadając i ocierając oczy. – Ma pani rację. Nie dowie się.

– Pójdźmy na kompromis – proponuję. – Wydepiluje mi pani nogi i brwi, a resztę zachowamy w sekrecie.

– Mogę pani zamiast tego zrobić masaż – sugeruje kosmetyczka. – Żeby wykorzystać czas.

– Umowa stoi! – zgadzam się z ulgą. – Idealnie!

Lekko wyczerpana kładę się na kozetce, a kobieta fachowo przykrywa mnie ręcznikiem.

– W takim razie... pani Sherman ma syna? – pyta, odgarniając moje włosy.

– Tak. – Podnoszę ze zdziwienia wzrok. – Nigdy o nim nie wspominała?

– Nie przypominam sobie. A przychodzi tutaj od lat. – Masażystka wzrusza ramionami. – Chyba zakładałam, że nie ma żadnych dzieci.

– Ach, tak. – Kładę się z powrotem, starając się nie zdradzić zaskoczenia.

Kiedy półtorej godziny później wychodzę z gabinetu, czuję się fantastycznie. Mam nowiutkie brwi, gładkie nogi i promienieję dzięki precudownemu masażowi aromaterapeutycznemu.

Elinor czeka na mnie przy recepcji i gdy podchodzę do niej, taksuje mnie wzrokiem z góry na dół. Przez jedną straszną chwilę obawiam się, że będzie mi kazała zdjąć sweter, by sprawdzić gładkość moich rąk, ale mówi tylko:

– Twoje brwi wyglądają dużo lepiej. – Potem odwraca się i wychodzi, a ja pędzę za nią.

Kiedy wsiadamy z powrotem do samochodu, pytam:

– Gdzie zjemy lunch?

– Nina Heywood wydaje mały, nieformalny lunch charytatywny na rzecz ofiar głodu – odpowiada, oglądając jeden ze swoich nieskazitelnych paznokci. – Znasz Heywoodów? Albo van Gelderów?

Cholera, oczywiście, że ich nie znam.

– Nie – słyszę swój głos. – Ale znam Websterów.

– Websterów? – unosi swe wyprofilowane brwi. – Websterów z Newport?

– Websterów z Oxshott. Janice i Martina – posyłam jej niewinne spojrzenie. – Zna

ich pani?

– Nie – odpowiada Elinor i patrzy na mnie lodowato. – Nie sądzę.

Resztę drogi spędzamy w milczeniu. Potem nagle samochód się zatrzymuje, wysiadamy i wchodzimy do najwytworniejszego, największego holu, jaki kiedykolwiek widziałam. Przy drzwiach stoi portier, a wszędzie wokół wiszą lustra. Jedziemy połączoną windą jakieś milion pięter w górę razem z mężczyzną w szpiczastej czapce, a potem wchodzimy do mieszkania. Pierwszy raz widzę coś takiego.

Mieszkanie jest przeogromne, podłogi wykonane z marmuru, na górę prowadzą podwójne schody, a na podeście stoi fortepian. Na oklejonych pastelową jedwabną tapetą ścianach wiszą wielkie obrazy w złotych ramach, a z cokołów w całym pomieszczeniu spływają kaskadami kompozycje kwiatowe, jakich w życiu nie widziałam. Cienkie jak zapalki kobiety w drogich strojach rozmawiają ze sobą, kelnerki rozdają szampana, a dziewczyna w kwiecistej sukni gra na harfie.

Mały lunch charytatywny?

Gospodyni, pani Heywood, to drobna kobieta ubrana na różowo, która już ma uścisnąć mi dłoń, gdy jej uwagę odwraca przybycie kobiety w ozdobionym biżuterią turbanie. Elinor przedstawia mi pani Parker i panu Wunsch oraz pani Kutomi, a potem się ulatnia, a ja konwersuję najlepiej jak potrafię, chociaż najwyraźniej wszyscy zakładają, że jestem przyjaciółką księcia Williama.

– Proszę powiedzieć – pyta niecierpliwie pani Parker. – Jak się ów biedny młody człowiek trzyma po tej... wielkiej stracie? – szepcze.

– Ten chłopak ma w sobie naturalną szlachetność – wyrokuje gwałtownie pan Wunsch. – Dzisiejsza młodzież mogłaby się wiele od niego nauczyć. Proszę powiedzieć, czy wybiera się do wojska?

– Nie... nie wspominał o tym – odpowiadam bezradnie. – Proszę mi wybaczyć.

Uciekam do łazienki, a ta jest równie ogromna i pełna przepychu jak reszta mieszkania. Stoją tu luksusowe mydła i buteleczki darmowych perfum oraz wygodny fotel. Mam ochotę zostać tam cały dzień. Nie odważę się jednak zabawić tu zbyt długo, gdyż Elinor może zacząć mnie szukać. Ostatnia kropla eternity i niechętnie wstaję, by wrócić do tłumu, gdzie kelnerzy krążą po cichu, szepcząc:

– Lunch podano.

Wszyscy ruszają w stronę wielkich dwuskrzydłowych drzwi, a ja rozglądam się za Elinor, lecz jej nie widzę. Na krześle nieopodal mnie siedzi starsza kobieta w czarnej koronkowej sukience. Zaczyna wstawać, podpierając się laską.

– Pomogę pani – proponuję i podbiegam do niej, gdy zaczyna się chwiać. – Potrzytać pani kieliszek szampana?

– Dziękuję, moja droga! – Kobieta uśmiecha się do mnie, gdy biorę ją pod rękę i razem wchodzimy do imponującej jadalni. Goście wysuwają krzesła i siadają przy okrągłych stołach, a kelnerzy pośpiesznie rozdają bułeczki.

– Margaret – mówi pani Heywood, podchodząc i wyciągając ręce w kierunku starszej pani. – Tutaj jesteś. Pozwól, że znajdę ci miejsce.

– Ta młoda dama mi pomogła – wyjaśnia starsza kobieta, siadając na krześle, a ja uśmiecham się skromnie do pani Heywood.

– Dziękuję, moja droga – mówi w roztargnieniu. – Możesz wziąć również mój kieliszek? Przynieś też, proszę, wodę do naszego stolika.

– Oczywiście! – odpowiadam z przyjaznym uśmiechem. – Nie ma problemu.

– A ja poproszę dzin z tonikiem – dodaje siedzący nieopodal starszy pan, odwracając się na krześle.

– Już podaję!

To tylko potwierdza słowa mamy. Jeśli chce się zjednać sobie ludzi, trzeba zaoferować im pomocną dłoń. Czuję się wyróżniona, pomagając gospodyni. To prawie tak, jakbym wydawała przyjęcie razem z nią!

Nie jestem pewna, gdzie jest kuchnia, ale wszyscy kelnerzy zmierzają w jednym kierunku. Idę z nimi przez podwójne drzwi i trafiam do kuchni, która jest marzeniem mojej mamy. Wszędzie granit i marmur, lodówka, która wygląda jak rakieta kosmiczna, i piec do pizzy wbudowany w ścianę! Kelnerzy w białych koszulach, z tacami w dłoniach pospiesznie wchodzą i wychodzą, dwaj kucharze przy wyspie na środku trzymają skwierczące patelnie, a ktoś inny krzyczy: „Gdzie, do cholery, są serwetki?”.

Znajduję butelkę wody i szklanę, stawiam je na tacy i zaczynam się rozglądać w poszukiwaniu dzinu. Kiedy się pochylam, by otworzyć drzwi szafki, mężczyzna z utlenionym językiem na głowie stuka mnie w ramię.

– Hej, co robisz?

– Och, cześć! – witam się i wstaję. – Szukam dzinu. Jeden z gości zamówił dzin z tonikiem.

– Nie mamy na to czasu! – warczy. – Zdajesz sobie sprawę, jak mało mamy obsługi? Jedzenie musi trafić na stoły!

Mało obsługi? Przez chwilę wpatruję się w niego w osłupieniu. Potem spoglądam na swoją czarną spódnicę, dociera do mnie, co się stało i wybucham przerażonym śmiechem.

– Nie! Ja nie jestem... Jestem jednym z...

Jak mam to ująć, żeby go nie obrazić? Jestem pewna, że praca kelnera jest w zasadzie bardzo satysfakcjonująca. Prawdopodobnie w wolnym czasie mężczyzna zajmuje się aktorstwem.

Kiedy tak dywaguję, mężczyzna wciska mi w ręce srebrny półmisek z wędzonymi rybami.

– Idź! Już!

– Ale ja nie jestem...

– Już! Jedzenie na stoły!

Przerażona, szybko odchodzę. Dobra. Po prostu oddalę się od niego, postawię gdzieś półmisek i zajmę swoje miejsce.

Ostrożnie wchodzę z powrotem do jadalni i meandruję między stolikami w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca, by postawić naczynie. Nie widzę jednak żadnego bocznego stolika ani nawet wolnego krzesła. Nie mogę zostawić półmiska na podłodze, a byłoby niezręcznie sięgnąć pomiędzy gości i postawić go na stole.

Zaczyna mnie to irytować. Naczynie jest dość ciężkie, już mnie bolą ręce. Przechodzę obok pana Wunscha i uśmiecham się do niego delikatnie, ale on mnie nawet nie zauważa. Jakbym nagle stała się niewidzialna.

To idiotyczne. Muszę gdzieś to postawić.

– Czy poda pani jedzenie? – syczy pełen furii głos za moimi plecami, a ja podskakuję.

– Dobrze! – odpalam, lekko zdenerwowana. – Dobrze, już podaję!

Na litość boską, pewnie łatwiej mi będzie po prostu podać te ryby. Pozbędę się półmiska i będę mogła usiąść. Z wahaniem podchodzę do najbliższego stolika.

– Hmm... mają państwo ochotę na wędzoną rybę? To jest chyba łosoś... a to pstrąg...

– Rebecca?

Elegancko ufryzowana głowa przede mną odwraca się, a ja podskakuję z przerażenia. Elinor wpatruje się w mnie, przesywając mnie spojrzeniem jak sztyletami.

– Witam – odpowiadam nerwowo. – Ma pani ochotę na rybę?

– Co ty najlepszego wyrabiasz? – pyta pełnym wściekłości szeptem.

– Och! – Przełykam ślinę. – Ja tylko, wie pani... pomagam...

– Ja poproszę wędzonego łososa – odzywa się kobieta w złotym żakiecie. – Czy dostanę beztłuszczowy sos francuski do sałatki?

– Cóż, chodzi o to, że... Nie jestem właściwie...

– Rebecca! – Z niemal całkowicie zamkniętych ust Elinor dobiega krzyk. – Odłóż to. Po prostu... usiądź.

– No tak, oczywiście. – Zerkam niepewnie na półmisek. – Skoro już tu jestem, może powinnam rozdać te ryby...

– Odłóż to. W tej chwili!

– Tak. – Przez chwilę rozglądam się bezradnie, aż dostrzegam zmierzającego w moją stronę kelnera z pustą tacą. Zanim zdąży zaprotestować, kładę na niej półmisek z wędzonymi rybami, a następnie na drżących nogach podbiegam do krzesła i przyglądam włosy.

Kiedy siadam i rozkładam na kolanach grubą serwetkę, przy stole zapada cisza. Próbuję uśmiechnąć się przyjaźnie, ale nikt nie odwzajemnia uśmiechu. Wtedy starsza pani mająca na sobie przynajmniej sześć sznurów wielkich pereł i aparat słuchowy

nachyla się do Elinor i szepcze tak głośno, że wszyscy ją słyszymy:  
– Pani syn spotyka się z... kelnerką?

**NOWOJORSKI BUDŻET BECKY BLOOMWOOD  
DZIENNY BUDŻET (SUGEROWANY)**

Jedzenie	50 \$		
Zakupy	<del>50 \$</del>	100 \$	
Wydatki	<del>50 \$</del>	<del>60 \$</del>	100 \$
Suma	250 \$		

**DZIENNY BUDŻET (POPRAWIONY)  
DZIEŃ TRZECI**

Jedzenie	50 \$
Zakupy	100 \$
Wydatki	365 \$
Inne wydatki	229 \$
Sample sale - wyjątkowa okazja	567 \$
Kolejna sample sale - kolejna wyjątkowa okazja	128 \$
Nieuniknione, nieprzewidziane koszty	49 \$
Niezbędne wydatki służbowe (buty)	

## Rozdział 12

Hmm, nie jestem pewna, czy Elinor mnie polubiła. Niewiele mówiła w drodze powrotnej, co mogło oznaczać, że jest pod dużym wrażeniem albo... nie.

Kiedy Luke mnie zapytał, jak poszło, delikatnie pominęłam incydent z półmiskiem ryb. I incydent w spa. Skupiłam się natomiast na tym, jak bardzo jego matce podobał się prezent od niego.

No dobra, może kilka rzeczy wymyśliłam, na przykład to, że powiedziała: „Mój Luke jest najlepszym synem na świecie” i przetarła oczy chusteczką. Nie mogłam przecież wyjawic, jaka była jej prawdziwa reakcja. Nie mogłam mu powiedzieć, że cisnęła apaszkę z powrotem do pudełka, jakby to były skarpetki z supermarketu. W zasadzie się cieszę, że lekko podkolorowałam historię, ponieważ nigdy nie widziałam go tak szczęśliwego. Zadzwoił nawet do matki, by powiedzieć, iż się cieszy, że prezent jej się podobał, ale nie odebrała.

Osobiście przez ostatnie kilka dni miałam na głowie ważniejsze rzeczy niż to, czy Elinor mnie polubiła, czy nie. Nagle zaczęli wydzwaniać do mnie ludzie, którzy chcą się ze mną spotkać! Luke twierdzi, że to „efekt kuli śnieżnej” i od samego początku to przewidywał. Wczoraj odbyłam trzy spotkania z różnymi szefami programów telewizyjnych, a teraz siedzę przy śniadaniu z Gregiem Waltersem z Blue River Productions. To on przysłał mi kosz owoców i za wszelką cenę chciał się ze mną spotkać. Do tej pory spotkanie przebiega wspaniale! Mam na sobie kupione wczoraj spodnie z Banana Republic oraz mój nowy designerski sweter i muszę powiedzieć, że najwyraźniej zrobiłam na Gregu wrażenie.

– Jesteś seksowna – powtarza pomiędzy kęsami rogalika. – Wiesz o tym?

– Hmm... cóż...

– Nie. – Unosi dłoń. – Nie bądź fałszywie skromna. Jesteś seksowna. Głośno o tobie w całym mieście. Faceci się o ciebie zabijają. – Wypija łyk kawy i patrzy mi w oczy. – Będę szczerzy: chcę, żebyś miała u mnie swój własny program.

Wpatruję się w niego i z podniecenia nie jestem w stanie oddychać.

– Naprawdę? Własny program? Co miałabym w nim robić?

– Cokolwiek. Znajdziemy ci jakiś odpowiedni profil. – Pociąga łyk kawy. – Komentujesz wydarzenia polityczne, prawda?

– Hmm... nie bardzo – odpowiadam niezręcznie. – Zajmuję się finansami osobistymi. Wiesz, hipoteki i takie tam.

– Aha. – Greg przytakuje. – Finanse. W takim razie... tak na szybko... *Wall Street*.

Skrzyżowanie *Wall Street*, *Absolutnie fantastycznych* i programu Oprah. Dasz radę?

– Eee... tak! Oczywiście!

Nie mam pojęcia, o czym mówi, ale uśmiecham się szeroko i pewnie, po czym odgryzam kęs rogalika.

– Muszę już iść – oznajmia, dopiwszy kawę. – Ale zadzwonię do ciebie jutro i ustalimy spotkanie z szefem działu rozwoju. Dobrze?

– Jasne! – odpowiadam, starając się przyjąć nonszalancką postawę. – Pasuje mi to.

Greg wychodzi, a ja nie mogę się powstrzymać i na mojej twarzy pojawia się ogromny, pełen rozkoszy uśmiech. Mój własny program! Coraz lepiej! Każdy, z kim rozmawiam, proponuje mi pracę, wszyscy stawiają mi pyszne posiłki, a wczoraj ktoś powiedział, że bez dwóch zdań mogłabym zrobić karierę w Hollywood. Hollywood!

Wyobraźcie sobie, że dostaję własny program w Hollywood! Mogłabym zamieszkać w fantastycznym domu w Beverly Hills i chodzić na imprezy ze wszystkimi gwiazdami filmowymi. Może Luke otworzy filię swojej firmy w Los Angeles i zacznie reprezentować takie osobowości jak na przykład... Minnie Driver. Wiem, że to nie do końca instytucja finansowa, ale może firma rozszerzy działalność na przemysł filmowy! Tak! Potem zaprzyjaźnię się z Minnie, będziemy chodzić razem na zakupy, a może nawet wyjeżdżać na wakacje...

– Cześć – odzywa się radosny głos. Podnoszę wzrok i widzę, jak Michael Ellis odsuwa krzesło przy sąsiednim stoliku.

– Och. – Z trudem odrywam myśli od cudownej, słonecznej plaży w Malibu. – Cześć, usiądź ze mną! – Uprzejmym gestem wskazuję krzesło obok siebie.

– Nie przeszkadzam ci? – pyta, siadając.

– Nie. Właśnie skończyłam spotkanie. – Rozglądam się z roztargnieniem. – Czy Luke jest z tobą? Ostatnio rzadko go widuję.

Michael kręci głową.

– Rozmawia z ludźmi z JD Slade. Grube ryby.

Podchodzi kelner i zabiera talerz Grega, a Michael zamawia cappuccino. Kiedy obsługa odchodzi, ze zdziwieniem przygląda się drugiemu golfowi w moim swetrze.

– Zdajesz sobie sprawę, że masz w swetrze ogromną dziurę wygryzioną przez mola? Lepiej się tym zająć.

Ha, ha, bardzo śmieszne.

– Tak się składa, że taki styl jest teraz bardzo modny – wyjaśniam uprzejmie. – Madonna ma taki sam sweter.

– Ach! Madonna. – Kelner przynosi mu cappuccino i Michael wypija łyk.

– Jak wasze sprawy? – pytam, ścisząc lekko głos. – Luke powiedział mi, że jeden ze sponsorów się denerwuje.

– Tak. – Michael przytakuje ponuro. – Nie wiem, co się tam, u diabła, dzieje.

– Po co wam sponsorzy? – pytam. – Luke ma mnóstwo pieniędzy.



– Pierwsza zasada w biznesie: nigdy nie inwestuj własnych pieniędzy. Poza tym Luke ma dalekosiężne plany, a dalekosiężne plany zwykle wymagają dużego kapitału. – Podnosi wzrok. – Wiesz, ten twój facet jest bardzo zdeterminowany. Bardzo mu zależy, by odnieść tu sukces.

– Wiem – przytakuję, wywracając oczami. – Ciągłe tylko pracuje.

– Praca jest dobra – stwierdza Michael i marszcząc czoło, spogląda w filizankę. – Natomiast obsesja... niekoniecznie. – Chwilę milczy, a potem spogląda na mnie z uśmiechem. – Rozumiem, że w twoich sprawach wszystko w porządku?

– Tak – odpowiadam i nie jestem w stanie się opanować. – W zasadzie jest fantastycznie! Odbyłam mnóstwo wspaniałych rozmów i wszyscy chcą mnie zatrudnić. Właśnie spotkałam się z Gregiem Waltersem z Blue River Productions i powiedział, że chce mi dać mój własny program. A wczoraj ktoś inny wspominał o Hollywood!

– To świetnie – mówi Michael. – Naprawdę świetnie. – Wypija łyk kawy i patrzy na mnie w zamyśleniu. – Mógłbym coś powiedzieć?

– Co takiego?

– Ci ludzie z telewizji... Nie wierz we wszystko, co mówią.

Patrzę na niego lekko zmieszana.

– Co masz na myśli?

– Oni lubią snuć wielkie plany – wyjaśnia, powoli mieszając kawę. – Dobrze się wtedy czują. I w tym momencie wierzą w każde swoje słowo. Kiedy jednak przychodzi do zimnych kalkulacji... – Przerzywa i patrzy na mnie. – Nie chcę po prostu, byś się rozczarowała.

– Nie rozczaruję się! – zaprzeczam z oburzeniem. – Greg Walters stwierdził, że całe miasto się o mnie zabija!

– Z pewnością tak powiedział – przytakuje Michael. – I mam nadzieję, że tak jest. Mówię tylko...

Przerzywa, kiedy konsjerż w uniformie zatrzymuje się przy naszym stoliku.

– Panno Bloomwood – oznajmia. – Mam dla pani wiadomość.

– Dziękuję! – mówię zaskoczona.

Otwieram kopertę, którą mi wręczył, i wyciągam kartkę. To wiadomość od Kent Garland z HLBC.

– Ha! – oznajmiam, nie mogąc powstrzymać triumfalnego uśmiechu. – Wygląda na to, że HLBC nie snuli jedynie wielkich planów. Najwyraźniej chcą robić ze mną prawdziwe interesy. – Podaję kartkę Michaelowi Ellisowi i mam ochotę dodać. – Proszę!

– „Proszę zadzwonić do asystentki Kent i umówić się na zdjęcia próbne” – czyta na głos. – Cóż, wygląda na to, że się pomyliłem – stwierdza z uśmiechem. – I bardzo się z tego cieszę. – Unosi filizankę w moim kierunku. – Za udane zdjęcia próbne. Jedna mała rada?

- Jaka?
- Sweter. – Robi zabawną minę i kręci głową.

Dobra. W co ja się jutro ubiorę? W co ja się ubiorę?! To jest najważniejszy moment w moim życiu. Zdjęcia próbne dla amerykańskiej telewizji. Mój strój musi być elegancki, twarzowy, fotogeniczny, nieskazitelny... Nie mam nic takiego. Nic.

Przeglądam po raz tysięczny wszystkie swoje ubrania i wyczerpana opadam na łóżko. Nie mogę uwierzyć, że przyleciałam taki szmat drogi bez choćby jednego stroju nadającego się na zdjęcia próbne.

No nie ma rady, muszę iść na zakupy.

Biorę torebkę, sprawdzam, czy mam portmonetkę i kiedy sięgam po płaszcz, dzwoni telefon.

– Halo? – mówię do słuchawki z nadzieją, że to Luke.

– Bex! – słyszę głos Suze, metalicznie brzmiący z oddali.

– Suze! – witam ją uradowana. – Cześć!

– Jak ci się wiedzie?

– Bardzo dobrze – odpowiadam. – Odbyłam mnóstwo spotkań i wszyscy bardzo pozytywnie reagują. Jest cudownie!

– Bex! To wspaniale!

– A jak u ciebie? – marszczę czoło, słysząc ton jej głosu. – Czy wszystko w porządku?

– Och, tak! – odpowiada Suze. – Wszystko dobrze, tylko... – Waha się. – Pomyślałam, że powinnaś wiedzieć. Dzisiaj rano dzwonił mężczyzna w sprawie pieniędzy, które jesteś winna sklepowi La Rosa w Hampstead.

– Naprawdę? – Krzywię się. – Znowu oni?

– Tak. Zapytał mnie, kiedy kończy się twój pobyt w centrum rehabilitacji osób z protezami.

– Och – mówię po chwili milczenia. – Właśnie. Co mu powiedziałaś?

– Bex, dlaczego twierdził, że jesteś w centrum rehabilitacji osób z protezami?

– Nie wiem – odpowiadam wymijająco. – Może coś usłyszał albo... może napisałam do niego jakiś liścik...

– Bex – przerywa mi Suze, a głos jej lekko drży. – Powiedziałaś, że zajmiesz się tymi rachunkami. Obiecałaś mi!

– Zająłam się nimi! – sięgam po szczotkę i zaczynam czesać włosy.

– Opowiadając im, że twój spadochron się nie otworzył? – krzyczy Suze. – Naprawdę, Bex...

– Posłuchaj, nie denerwuj się. Załatwię to, jak tylko wrócę do domu.

– Powiedział, że będzie zmuszony podjąć ostateczne kroki! Oznajmił, że bardzo mu przykro, ale poszedł już na wiele ustępstw.

– Zawsze tak mówią – zapewniam uspokajająco. – Suze, naprawdę nie musisz się martwić. Zarobię tutaj krocie. Będę bogata! Spłacę wszystkie długi i będzie dobrze.

Po drugiej stronie zapada cisza i wyobrażam sobie Suze na podłodze, zaplatającą włosy ciasno wokół palców.

– Naprawdę? – pyta wreszcie. – Dobrze ci się tam układa?

– Tak! Mam jutro zdjęcia próbne, jeden facet chce mi dać mój własny program, a inni wspominają nawet o Hollywood!

– Hollywood! – szepce Suze. – O mój Boże! To wspaniale!

– Wiem. – Uśmiecham się promiennie do swojego odbicia. – Jestem seksowna! Tak powiedział facet z Blue River Productions.

– W co się ubierzesz na zdjęcia próbne?

– Właśnie wybieram się do Barneys – odpowiadam radośnie. – Żeby wybrać nowy strój.

– Barneys? – Wykrzykuje z przerażeniem Suze. – Bex, obiecałaś mi, że nie będziesz przesadzać! Przrzekłaś mi, że będziesz się trzymać budżetu.

– Trzymam się budżetu! Całkowicie. Mam wszystko rozpisane! Poza tym to wydatki służbowe. Inwestuję w swoją karierę.

– Ale...

– Suze, nie można zarobić pieniędzy, jeśli najpierw się ich nie wyda. Wszyscy o tym wiedzą! Sama musisz przecież kupić najpierw materiały na ramki, prawda?

W słuchawce zalega cisza.

– W zasadzie tak... – przytakuje z powątpiewaniem Suze.

– Poza tym od czego są karty kredytowe?

– Och, Bex... – wzdycha Suze. – To zabawne, to samo powiedziała dziewczyna z wydziału podatku lokalnego.

– Jaka dziewczyna z wydziału podatku lokalnego? – Patrzę na swoje odbicie w lustrze, ściągam brwi i sięgam po eyeliner.

– Ta, która przyszła do domu dzisiaj rano – odpowiada niejasno Suze. – Miała notatnik, zadawała mnóstwo pytań o mnie, mieszkanie, ile czynszu mi płacisz. Naprawdę miło nam się rozmawiało. Opowiedziałam jej o twoim wyjeździe do Ameryki, o Luke’u, twojej pracy w telewizji...

– Świetnie! – rzucam, właściwie nie słuchając. – Na pewno było świetnie. Posłuchaj, Suze, muszę lecieć. Naprawdę, nie martw się. Jeśli będą do mnie jeszcze jakieś telefony, po prostu nie odbieraj.

– No... dobrze – mówi. – Powodzenia jutro!

– Dzięki! – odpowiadam i odkładam słuchawkę. Ha! Idę do Barneys!

Od kiedy przyjechaliśmy, zajrzałam do Barneys kilka razy, ale zawsze się spieszyłam. Tym razem jednak... Rety! Teraz jest inaczej, mam czas. Mogę w spokoju przechadzać

się po wszystkich ośmiu piętrach sklepu i podziwiać ubrania.

O Boże, te ubrania! Nigdy w życiu nie widziałam czegoś równie pięknego. Gdziekolwiek spojrzę, widzę kształty, kolory i fasony, które mam ochotę chwycić, dotykać i głaskać.

Nie mogę jednak spędzić całego dnia na oglądaniu. Muszę zebrać się w sobie i wybrać strój na jutro. Może włożę żakiet, żeby sprawiać wrażenie zdecydowanej, ale muszę znaleźć odpowiedni. Niezbyt kanciasty, nie za sztywny. Musi mieć ładny, prosty krój. Do tego spódnica. Ale spójrzcie tylko na te spodnie. Wyglądałyby fantastycznie, gdybym założyła do nich odpowiednie buty...

Przechadzam się powoli po każdym piętrze i sporządzam w głowie listę ubrań, potem wracam na dół i zaczynam zbierać wszystkie typy. Żakiet Calvina Kleina... i spódnica...

– Przepraszam?

Jakiś głos przerywa mi w momencie, gdy sięgam po bluzkę bez rękawów. Odwracam się zaskoczona i widzę uśmiechniętą kobietę w czarnym garniturze.

– Czy pomóc pani w dzisiejszych zakupach?

– Och, dziękuję! – odpowiadam. – Czy mogłaby pani potrzymać te ubrania? – Podaję jej stroje, które wybrałam, i widzę, że jej uśmiech lekko przygasa.

– Mówiąc „pomóc”, miałam na myśli... Przeprowadzamy dzisiaj szczególną promocję naszego działu sprzedaży osobistej. Chcielibyśmy przedstawić ten pomysł szerszej klienteli. Jeśli chciałaby pani skorzystać ze wstępnej oferty, mamy jeszcze wolne miejsca.

– Ach, tak – mówię z zainteresowaniem. – Co to dokładnie...

– Nasi wyszkoleni, doświadczeni asystenci mogą pomóc pani w znalezieniu dokładnie tego, czego pani szuka – odpowiada przyjaźnie kobieta. – Pomogą pani odnaleźć jej własny styl, skupią się na fasonach, w których pani do twarzy, i poprowadzą przez zniechęcający labirynt mody. – Wydaje z siebie krótki, nerwowy śmiech i mam wrażenie, że już parę razy recytowała dzisiaj ten tekst.

– Rozumiem – odpowiadam w zamyśleniu. – Chodzi o to, że... Nie jestem pewna, czy potrzebuję przewodnictwa. Dziękuję bardzo, ale...

– To darmowa usługa – dodaje kobieta. – Dzisiaj serwujemy również herbatę, kawę i szampana.

Szampan? Darmowy szampan?

– Och! – wykrzykuję. – W zasadzie... to brzmi interesująco. Poproszę!

Podążam za kobietą na trzecie piętro i dochodzę do wniosku, że to może być bardzo ciekawe doświadczenie. Ci wyszkoleni konsultanci muszą naprawdę znać się na rzeczy i spojrzą na mnie zupełnie inaczej niż ja sama. Pokażą mi moje całkiem nowe oblicze!

Docieramy do działu z przestronnymi przebieralniami i kobieta wprowadza mnie z uśmiechem.

– Dzisiaj pani asystentką będzie Erin – oznajmia. – Dołączyła do nas niedawno z innego sklepu, więc od czasu do czasu będzie jej pomagała starsza stażem konsultantka. Zgadza się pani?

– Oczywiście! – przytakuję i zdejmuję płaszcz.

– Napije się pani herbaty, kawy czy szampana?

– Szampana – odpowiadam szybko. – Dziękuję.

– Proszę bardzo – odpowiada z uśmiechem. – A, jest i Erin.

Podnoszę z zainteresowaniem wzrok i widzę wchodzącą do przebieralni wysoką, chudą dziewczynę. Ma proste blond włosy i małe, jakby lekko zgniecione usta. W zasadzie cała jej twarz wygląda tak, jakby kiedyś została przytrzaśnięta drzwiami windy i od tego momentu nie odzyskała swojego kształtu.

– Dzień dobry – wita się, a ja z zafascynowaniem obserwuję jej usta, gdy się uśmiecha. – Mam na imię Erin i pomogę pani wybrać strój, który zaspokoi pani potrzeby.

– Świetnie! – odpowiadam. – Nie mogę się doczekać!

Zastanawiam się, jak Erin dostała tę pracę. Na pewno nie z powodu swojego gustu w kwestii obuwia.

– A więc... – Erin patrzy na mnie zamyślona. – Czego pani dzisiaj szuka?

– Mam jutro próbne zdjęcia – wyjaśniam. – Chcę wyglądać elegancko i stylowo, ale jednocześnie sprawiać wrażenie przystępnej. A to wszystko doprawione odrobiną dowcipu.

– Odrobina dowcipu – powtarza Erin, zapisując informacje w notesie. – Rozumiem. Myślała pani o... kostiumie? Żakiecie?

– A więc – zaczynam, po czym wdaję się w szczegółowy opis poszukiwanego stroju. Erin słucha uważnie, a ja zauważam ciemnowłosą kobietę w szylkretowych okularach, która co jakiś czas podchodzi do drzwi naszej przebieralni i również słucha.

– Tak – mówi Erin, kiedy kończę wreszcie swój wywód. – Cóż, z pewnością ma pani kilka pomysłów... – Przez chwilę stuka zębami. – Tak się zastanawiam... Mamy bardzo ładny, dopasowany żakiet Moschino z różami na kołnierzu...

– Och, wiem który! – oznajmiam z radością. – Też o nim myślałam!

– Do tego w kolekcji Barneys pojawiła się nowa spódnica...

– Ta czarna? – pytam. – Z guzikami w tym miejscu? Tak, zastanawiałam się nad nią, ale jest odrobinę za krótka. Wolałabym tę do kolan, wie pani, obszytą wstążką...

– Zobaczmy – mówi Erin z miłym uśmiechem. – Przyniosę pani kilka propozycji i obejrzymy je.

Wychodzi, by zebrać ubrania, a ja siadam i sącę szampana. To całkiem niezłe. Znacznie mniejszy wysiłek niż samodzielne wyszukiwanie ubrań. Słyszę fragmenty rozmowy toczącej się szeptem w przebieralni obok, kiedy nagle pełen bólu kobiecy głos woła donośnie:

– Ja tylko chcę pokazać temu draniowi! Ja tylko chcę mu pokazać!

– Pokażemy mu, Marcio – odpowiada spokojny, łagodny głos, który moim zdaniem należy do kobiety w szylkretowych okularach. – Pokażemy mu. Ale nie w wiśniowym garniturze.

– Dobra! – Erin wraca do przebieralni, ciągnąc za sobą wieszak ubrań. Przebiegam je szybko wzrokiem i zauważam sporo elementów, które sama wybrałam. A co ze spódnicą do kolan? A cudowny kostium w kolorze bakłażana, ze spodniami i aksamitnym kołnierzem?

– Tu jest żakiet... a tu spódnica...

Biorę od niej ubrania i patrzę z powątpiewaniem na spódnicę. Po prostu wiem, że będzie za krótka. Ale przecież to ona jest ekspertką... Szybko się przebieram, a potem staję przed lustrem obok Erin.

– Żakiet jest prześliczny! – cieszę się. – I idealnie na mnie leży. Bardzo mi się podoba ten krój.

Nie chcę mówić nic o spódnicy, żeby nie urazić jej uczuć, ale po prostu zupełnie nie pasuje.

– Zobaczmy – mówi Erin. Przechyliła głowę i zmrużonymi oczami patrzy na moje odbicie w lustrze. – Spódnica do kolan rzeczywiście będzie wyglądała lepiej.

– Na przykład ta, o której wspomniałam! – proponuję z ulgą. – Jest na siódmym piętrze, zaraz obok...

– Może – odpowiada i uśmiecha się. – Myślę jeszcze o kilku innych spódnicach...

– Albo ta Dolce & Gabbana na trzecim piętrze – dodaję. – Oglądałam ją dzisiaj. Albo DKNY.

– DKNY? – pyta Erin i ściąga brew. – Chyba nie...

– Dopiero przyszły – wyjaśniam. – Chyba dopiero wczoraj je dostarczyli. Bardzo ładne. Powinna je pani obejrzeć! – Odwracam się i przyglądam jej garderobie. – Wie pani co? Fioletoworóżowa DKNY wyglądałaby naprawdę dobrze z golfem, który ma pani na sobie. Mogłaby pani założyć do tego nowe kozaki Stephane Kélian na cienkich obcasach. Wie pani które?

– Tak, wiem – odpowiada Erin przez zaciśnięte zęby. – Te ze skóry krokodyla i zamszu. – Patrzę na nią zaskoczona.

– Nie, nie te. Te z nowej kolekcji. Ze szwem z tyłu. Są przepiękne! W zasadzie pasowałyby idealnie do spódnicy do kolan...

– Dziękuję – przerywa mi ostro Erin. – Zapamiętam.

Naprawdę. Dlaczego się tak stresuje? Daję jej tylko kilka rad. Powinna być zadowolona, że tak się interesuję asortymentem w jej sklepie.

Chociaż muszę przyznać, że nie zna go zbyt dobrze.

– Dzień dobry! – Słyszę głos od strony drzwi. Kobieta w szylkretowych okularach opiera się o framugę i patrzy na mnie z zainteresowaniem. – Wszystko w porządku?

– W jak najlepszym, dziękuję! – odpowiadam, uśmiechając się do niej promiennie.

– W takim razie – zwraca się do Erin – przyniesiesz klientce tę spódnicę do kolan, prawda?

– Tak – odpowiada dziewczyna z nieco wymuszonym uśmiechem. – Już ją przynoszę.

Znika, a ja nie mogę się powstrzymać i niepostrzeżenie podchodzę do wieszaka z ubraniami, by zobaczyć, co jeszcze przyniosła. Kobieta w okularach przygląda mi się przez chwilę, a potem podchodzi i wyciąga dłoń.

– Christina Rowan – przedstawia się. – Jestem szefową działu zakupów osobistych.

– Dzień dobry! – odpowiadam, oglądając błękitną koszulę Jill Stuart. – Nazywam się Becky Bloomwood.

– Po akcencie wnioskuję, że jest pani z Anglii?

– Z Londynu, ale przeprowadzam się do Nowego Jorku!

– Ach, tak – Posyła mi przyjazne spojrzenie. – Co pani robi, Becky? Pracuje pani w modzie?

– Och, nie, zajmuję się finansami.

– Finansami! Naprawdę? – Unosi brwi.

– Udzielam porad finansowych w telewizji. Wie pani, na temat emerytur i podobnych spraw. – Sięgam po miękkie kaszmirowe spodnie. – Czyż nie są piękne? O wiele lepsze niż te od Ralpha Laurena, a do tego tańsze.

– Wspaniałe, prawda? – Posyła mi pytające spojrzenie. – Cóż, miło nam gościć tak entuzjastyczną klientkę. – Sięga do kieszeni żakietu i wyciąga wizytówkę. – Proszę nas ponownie odwiedzić, gdy będzie pani w mieście.

– Oczywiście! – uśmiecham się do niej szeroko. – Bardzo pani dziękuję.

Gdy wreszcie opuszczam Barneys, jest czwarta. Zatrzymuję taksówkę i jadę do Four Seasons. Gdy otwieram drzwi do pokoju i patrzę na swoje odbicie w lustrze przy toalecie, nadal promienieję szczęściem. Jestem niemal histerycznie podekscytowana tym, czego właśnie dokonałam. Co właśnie kupiłam.

Wiem, że zamierzałam kupić tylko jeden strój na zdjęcia próbne, ale chyba trochę mnie... poniosło. Tak prezentuje się moja ostateczna lista zakupów:

1. Żakiet Moschino
2. Spódnica do kolan Barneys
3. Bielizna Calvina Kleina
4. Nowe rajstopy i...
5. Koktajlowa sukienka Very Wang

Dobra, zanim cokolwiek powiecie, wiem, że nie powinnam kupować sukienki

koktajlowej. Wiem, że kiedy Erin zapytała: „Czy w ogóle interesują panią stroje wieczorowe?”, powinnam była odpowiedzieć „nie”.

Ale, mój Boże! Boże! Sukienka od Vera Wang! Intensywnie fioletowa, z głębokim wycięciem na plecach i błyszczącymi ramiączkami. Wyglądała tak idealnie, filmowo. Wszyscy się zebrali, by mnie w niej obejrzeć, a kiedy odsunęłam zasłonkę przebieralni, westchnęli w zachwycie.

Wpatrywałam się w swoje odbicie zauroczona. Urzeczona tym, jak mogę wyglądać, kim mogę być. Bez dwóch zdań musiałam ją mieć. Musiałam! Kiedy podpisywałam paragon z karty kredytowej, nie byłam sobą. Byłam Grace Kelly, Gwyneth Paltrow. Byłam promienną postacią, która ot, tak podpisuje obciążenie karty kredytowej na tysiące dolarów, uśmiechając się i śmiejąc z ekspedientką, jakbym kupowała jakiś drobiazg.

Tysiące dolarów.

Chociaż, jak na taką projektantkę jak Vera Wang, cena jest w zasadzie...

To naprawdę bardzo...

O Boże, trochę mi niedobrze. Nie chcę nawet myśleć o tym, ile kosztowała. Nie chcę myśleć o tych zerach. Chodzi o to, że będę ją nosić latami. Tak! Przez wiele, wiele lat. A potrzebuję markowych ubrań, skoro mam być sławną gwiazdą telewizji. Będę przecież uczestniczyć w ważnych wydarzeniach, na których nie mogę się pokazać w ubraniach od Marksa i Spencera. Właśnie.

Na dodatek mam dziesięć tysięcy funtów limitu na karcie kredytowej. To sedno sprawy. Nie daliby mi go, gdyby nie uważali, że mogę sobie na niego pozwolić, prawda?

Słyszę dźwięk przy drzwiach i szybko wstaję. Z bijącym sercem idę do szafy, gdzie składuję wszystkie zakupy, otwieram drzwi i szybko wrzucam do środka torbę z Barneys. Potem zamykam szafę i odwracam się z uśmiechem dokładnie w momencie, gdy Luke wchodzi do pokoju, rozmawiając przez komórkę.

– Oczywiście, kurwa, że wszystko kontroluję – syczy z furią do telefonu. – Co oni, do cholery... – Milknie i przez chwilę nic nie mówi. – Tak, wiem – odpowiada spokojniej. – Tak, dobrze, zrobię to. Do zobaczenia, Michael. Dzięki.

Wyłącza telefon, odkłada go i patrzy na mnie tak, jakby niemal zapomniał, kim jestem.

– Cześć! – mówi i stawia teczkę na krześle.

– Cześć! – odpowiadam pogodnie, odsuwając się od drzwi szafy. – Nieznajomy.

– Wiem – przytakuje Luke i ze znużeniem pociera twarz. – Przepraszam. Szczerze mówiąc, to, co się ostatnio dzieje, to lekki... koszmar. Ale słyszałem o twoich zdjęciach próbnych. Fantastyczna wiadomość.

Podchodzi do minibarku, nalewa sobie szklaneczkę szkockiej i wypija ją. Potem nalewa kolejną i wypija łyk, podczas gdy ja patrzę na niego z niepokojem. Zauważam,



że ma bladą, napiętą twarz i cienie pod oczami.

– Czy wszystko dobrze idzie? – pytam ostrożnie.

– Idzie – odpowiada. – Tyle mogę powiedzieć. – Podchodzi do okna i patrzy w dal na połyskującą panoramę Manhattanu, a ja nerwowo przygryzam wargę.

– Luke, czy ktoś inny nie mógłby pójść na wszystkie te spotkania? Czy ktoś nie mógłby przylecieć i trochę cię odciążyć? Na przykład... Alicja?

Ledwie jestem w stanie wypowiedzieć jej imię, ale naprawdę się martwię. Ku mojej uldze Luke potrząsa głową.

– Na tym etapie nie mogę wprowadzić nikogo nowego. Nadzorowałem całe przedsięwzięcie do tego momentu i będę musiał doprowadzić je do końca. Nie miałem pojęcia, że będą się tak cholernie denerwować. Nie podejrzewałem, że będą tak... – Siada w fotelu i wypija łyk drinka. – Jezu, zadają tyle pytań. Wiem, że Amerykanie są drobiazgowi, ale... – Z niedowierzaniem potrząsa głową. – Muszą wszystko wiedzieć, wszystko! Na temat każdego klienta, każdego potencjalnego klienta, każdego pracownika w historii firmy, każdej cholernej notatki służbowej, którą wysłałem... Czy istnieje ryzyko procesu sądowego? Kto w dziewięćdziesiątym trzecim roku pracował jako recepcjonistka? Jakim samochodem jeździsz? Jakiej, kurwa, pasty do zębów używasz?

Milknie i opróżnia szklankę, a ja wpatruję się w niego z przerażeniem.

– Wygląda na to, że to okropni ludzie – mówię i cień uśmiechu pojawia się na twarzy Luke'a.

– Nie są okropni, to tylko bardzo konserwatywni inwestorzy tradycjoniści, którym coś nie pasuje. A ja nie wiem co. – Robi ciężki wydech. – Muszę ich utrzymać, muszę dopilnować, by wszystko się nadal kręciło.

Głos mu lekko drży, a kiedy spoglądam na jego dłonie, widzę, że są mocno zaciśnięte na szklance. Szczerze mówiąc, nigdy nie widziałam Luke'a w takim stanie. Zwykle wygląda na opanowanego, jakby wszystko kontrolował...

– Luke, uważam, że powinieneś zrobić sobie wolny wieczór. Nie masz dzisiaj wieczorem spotkania, prawda?

– Nie mam. – Podnosi wzrok. – Ale muszę przejrzeć papiery. Jutro mam ważne spotkanie ze wszystkimi inwestorami. Muszę je przygotować.

– Jesteś przygotowany! – odpowiadam. – Bardziej potrzebujesz odprężenia. Jeśli całą noc spędzisz na pracy, będziesz zmęczony, spięty i rozdrażniony. – Podchodzę do niego, wyjmuję szklankę z jego ręki i zaczynam masować mu ramiona.

– No, dalej, Luke. Naprawdę potrzebujesz wolnego wieczoru. Założę się, że Michael by się ze mną zgodził. Prawda?

– Ciągłe mi powtarza, żebym wyluzował – mówi po dłuższej przerwie.

– W takim razie wyluzuj! No, dalej, kilka godzin zabawy nikomu nie zaszkodziło. Ubierzmy się ładnie, pójdźmy do przyjemnego lokalu, potańczmy, wypijmy parę

koktajli. – Całuję go delikatnie w kark. – Jaki sens ma przyjazd do Nowego Jorku, skoro nie można się nim cieszyć?

Zapada potworna cisza i przez moment obawiam się, że Luke odpowie, iż nie ma czasu. Nagle jednak odwraca się i, dzięki Bogu, widzę na jego twarzy słaby przeblask uśmiechu.

– Masz rację – przytakuje. – Zróbmy to.

To najbardziej magiczny, wytworny i olśniewający wieczór w moim życiu. Wkładam moją sukienkę od Very Wang, a Luke swój najelegantszy garnitur i idziemy do precudownej restauracji, gdzie ludzie jedzą homary, a w tle gra klasyczny zespół jazzowy, zupełnie jak w filmach. Luke zamawia dla nas po kieliszku bellini, byśmy wznieśli toast za swoje sukcesy. W końcu się rozluźnia i zaczyna opowiadać mi więcej o swoim nowym przedsięwzięciu. W zasadzie zwierza mi się bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

– To miasto – mówi i potrząsa głową – to wymagające miejsce. Czuję się tak, jakbym zjeżdżał na nartach wzdłuż krawędzi nad przepaścią. Jeden fałszywy ruch i koniec. Spadasz.

– A jeśli nie popełnisz żadnych błędów?

– Wygrywasz – odpowiada. – Wygrywasz wszystko.

– Wygrasz – mówię z przekonaniem. – Jutro wszystkich zadziwisz.

– A ty olśnisz ich na zdjęciach próbnych – mówi Luke, kiedy kelner pojawia się przy naszym stoliku z pierwszym daniem, niesamowitymi rzeźbami z owoców morza. Nalewa nam wino, a Luke unosi w toaście kieliszek.

– Twoje zdrowie, Becky. Odniesiesz wielki sukces.

– Nie, to ty odniesiesz wielki sukces – odpowiadam, czując, jak zalewa mnie fala przyjemności. – Oboje odniesiemy wielki sukces!

Może to bellini uderzyło mi do głowy, ale nagle czuję się dokładnie tak jak w Barneys, jak ktoś inny, pełen blasku. Ukradkiem zerkam na swoje odbicie w pobliskim lustrze i czuję ukłucie rozkoszy. Popatrzcie tylko na mnie! Wytworna i elegancka, siedzę w nowojorskiej restauracji ubrana w sukienkę za tysiące dolarów razem z moim odnoszącym sukcesy chłopakiem, a jutro mam zdjęcia próbne do amerykańskiej telewizji!

Czuję się odurzona szczęściem. Zawsze zmierzałam w kierunku tego drogiego, pełnego blasku świata. Limuzyny i kwiaty, wywoskowane brwi i markowe ubrania z Barneys, portfel pełen wizytówek producentów telewizyjnych. To są moi ludzie, to jest moje miejsce. Moje stare życie wydaje się oddalone o miliony kilometrów, jak maleńka kropczka na horyzoncie. Mama, tata i Suze, mój zabałaganiony pokój w Fulham, serial *EastEnders* oglądany przy pizzy. Spójrzmy prawdzie w oczy, to nigdy nie byłam prawdziwa ja.

Bawimy się przez wiele godzin. Tańczymy do jazzowej muzyki, jemy sorbet z marakui i rozmawiamy o wszystkim, tylko nie o pracy. Wracamy do hotelu rozbawieni, potykając się lekko, a ręka Luke'a umiejętnie wsuwa się pod moją sukienkę.

– Panno Bloomwood – odzywa się recepcjonista, kiedy mijamy jego stanowisko. – Mam wiadomość dla pani. Proszę zadzwonić do pani Cleath-Stuart z Londynu, bez względu na porę. Najwyraźniej to pilne.

– O Boże – mówię i przewracam oczami. – Dzwoni tylko, by zrobić mi wykład na temat ceny mojej nowej sukienki. „Ile? Och, Bex, nie powinnaś była...”.

– To wspaniała sukienka – przyznaje Luke, gładząc ją. – Chociaż ma nieco zbyt wiele materiału. Można by pozbyć się fragmentu tutaj... i tutaj...

– Podać pani numer? – pyta recepcjonista i podaje mi kartkę.

– Nie, dziękuję – odpowiadam, machając ręką. – Zadzwonię do niej jutro.

– Proszę nie łączyć żadnych telefonów do naszego pokoju, aż do odwołania.

– Oczywiście – odpowiada recepcjonista z błyskiem w oku. – Dobranoc panu, dobranoc pani.

Jedziemy na górę windą, uśmiechając się do siebie głupkowato w lustrze, a w pokoju zdaję sobie sprawę, że jestem dość pijana. Pociesza mnie jedynie fakt, że Luke też wygląda na kompletnie zalanego.

– To był najwspanialszy wieczór w moim życiu – mówię, gdy zamykają się za nami drzwi. – Najlepszy.

– Jeszcze się nie skończył. – Podchodzi do mnie ze znaczącym błyskiem w oku. – Czuję, że muszę panią wynagrodzić za ogromnie wnikliwie uwagi, panno Bloomwood. Miała pani rację. Nie samą... – zaczyna delikatnie zsuwać z moich ramion ramiączka sukienki od Very Wang – pracą... – szepcze tuż przy mojej skórze – człowiek...

I padamy razem na łóżko, jego usta dotykają moich, a w głowie mi się kręci od nadmiaru alkoholu i rozkoszy. Kiedy zdejmuję koszulę, zerkam przelotnie na swoje odbicie w lustrze. Przez moment wpatruję się w swoją odurzoną, radosną postać, a wewnętrzny głos szepcze: „Zapamiętaj tę chwilę na zawsze. Zapamiętaj tę chwilę, Becky, ponieważ teraz życie jest idealne”.

Reszta nocy pozostaje mglistym wspomnieniem pijanej, zamglonej rozkoszy, z której w końcu odpływam w zapomnienie. Pamiętam tylko, że Luke całuje mnie w powieki, życzy mi dobrych snów i mówi, że mnie kocha. To moje ostatnie wspomnienie.

A potem nadchodzi katastrofa.

## **CZY SĄ TYM, KIM SIĘ WYDAJĄ?**

### **FINANSOWA GURU JEST BEZ GROSZA!**

Zasiada na kanapie w programie *Poranna Kawa* i udziela rad finansowych milionom widzów. Dzięki informacjom zdobytym na wyłączność „Daily World” ujawnia jednak, że hipokrytka Becky Bloomwood sama znajduje się na skraju finansowej katastrofy. Becky, której motto głosi: „Troszcz się o pieniądze, a one zatroszczą się o ciebie”, jest ścigana za długi sięgające tysięcy dolarów, a menadżer jej banku określa jej poczynania mianem haniebnych.

### **POZWY**

Butik La Rosa wystosował do bankrutki Becky sądowy nakaz zapłaty, podczas gdy jej współlokatorka Susan Cleath-Stuart (na zdjęciu po prawej) przyznaje, że Becky często zalega z czynszem. W tym czasie nieodpowiedzialna Becky bezwstydnie bryluje wśród znanych osobistości w Nowym Jorku ze swoim partnerem, przedsiębiorcą Luke'em Brandonem (na dole po prawej). „Becky jawnie wykorzystuje Luke'a dla jego pieniędzy” – wyznała nam osoba pracująca dla Brandon Communications. Pani Cleath-Stuart przyznaje, że chętnie pozbyłaby się Becky. „Przydałoby mi się więcej przestrzeni do pracy” – stwierdza. „Być może będę musiała wynająć biuro”.

### **ZAKUPOHOLICZKA**

Mieszkająca w eleganckim hotelu Four Seasons niesforna dwudziestosześcioletka przyznała, że nie ma pojęcia o kosztach zakwaterowania. Nasza reporterka była świadkiem, jak Bloomwood przepuściła ponad sto funtów na same tylko kartki okolicznościowe, a następnie wpadła w kolejny szal zakupów i w ciągu zaledwie kilku godzin nabyła luksusowe stroje i prezenty za sumę tysiąca funtów.

### **SZOK**

Widzowie *Porannej Kawy* byli rozwścieczeni, dowiedziawszy się prawdy o samozwańczej ekspertce finansowej. „Jestem zbulwersowana”, wyznała Irene Watson z Sevenoaks. „Zadzwoiłam do Becky kilka tygodni temu, by poprosić o radę w kwestii rozwiązań bankowych. Teraz żałuję, że posłuchałam choćby jednego jej słowa, i zamierzam zasięgnąć porady u innego źródła”. Irene, matka dwójki dzieci, dodała: „Jestem zszokowana i zniesmaczona, iż producenci *Porannej Kawy*...

Ciąg dalszy na stronie 54

## Rozdział 13

Na początku nie wiedziałam, że coś się stało. Obudziłam się potwornie niewyspana i zobaczyłam, jak Luke podaje mi filiżankę herbaty.

– Może sprawdzisz wiadomości? – sugeruje. Całuje mnie i rusza pod prysznic. Po kilku łykach herbaty podnoszę słuchawkę i wciskam przycisk z gwiazdką.

– Masz dwadzieścia trzy wiadomości – informuje głos w słuchawce, a mnie ze zdumienia zapiera dech w piersiach. Dwadzieścia trzy?

Moja pierwsza myśl: Może to wszystko propozycje pracy! Może dzwoniли ludzie z Hollywood! Boże, tak! Niezmiernie podekscytowana wciskam przycisk, by odsłuchać pierwszą wiadomość. To nie jest jednak propozycja pracy. Dzwoniła Suze, a w jej głosie słycać ogromne zdenerwowanie.

– Bex, proszę, zadzwoń do mnie, jak tylko dostaniesz tę wiadomość. To naprawdę pilne. Pa.

Głos pyta, czy chciałabym odsłuchać pozostałe wiadomości, i przez chwilę się waham. Suze wydawała się naprawdę przejęta, a do tego z poczuciem winy przypominam sobie, że dzwoniła również poprzedniego wieczora. Wykręcam numer i ku mojemu zaskoczeniu włącza się automatyczna sekretarka:

– Cześć! To ja! – mówię, jak tylko cichnie głos Suze. – Cóż, nie ma cię, więc mam nadzieję, że wszystko się wyjaśniło...

– Bex! – Głos Suze niemal rozrywa mi bębenek. – O mój Boże, Bex, gdzieś ty się podziewała?

– Wyszłam – odpowiadam zdumiona. – A potem spałam. Suze, czy wszystko...

– Bex, ja nic takiego nie powiedziałam! – przerywa mi roztrzęsiona. – Musisz mi uwierzyć. W życiu nie powiedziałabym czegoś takiego. Wszystko przekęcili. Powiedziałam twojej mamie i nie miałam pojęcia...

– Mojej mamie? – pytam skonsternowana. – Suze, powoli. O czym ty mówisz?

Po drugiej stronie zapada cisza.

– O Boże, Bex, nie widziałaś?

– Czego?

– „Daily World” – wyjaśnia. – Myślałam, że dostajecie wszystkie brytyjskie gazety.

– Tak, dostajemy – potwierdzam i pocieram wysuszoną twarz. – Leżą jeszcze pod drzwiami. Czy piszą tam coś o mnie?

– Nie – odpowiada Suze nieco zbyt szybko. – Nie, to znaczy... Jest taki mały artykuł. Naprawdę nie przejmowałabym się tym. W zasadzie wyrzuciłabym „Daily

World”. Po prostu wyrzucić ją do kosza bez zaglądania.

– Napisali coś przykrego, prawda? – pytam z niepokojem. – Czy moje nogi wyglądają grubo na zdjęciu?

– To naprawdę nic takiego! – zapewnia Suze. – Nic! A tak w ogóle, to byłeś w Centrum Rockefellera? Podobno jest wspaniałe! A w FAO Schwartz? Albo...

– Suze, przestań – przerywam jej. – Idę po gazetę. Oddzwonię do ciebie.

– Dobrze, Bex, pamiętaj tylko – mówi szybko Suze – prawie nikt nie czyta „Daily World”. No wiesz, może ze trzy osoby. Jutro nikt nie będzie o tym pamiętał. Poza tym wszyscy wiedzą, że gazety kłamią...

– Tak – odpowiadam, starając się przybrać zrelaksowany ton głosu. – Zapamiętam. Nie martw się, Suze. Te bzdury nie zbiją mnie z tropu!

Kiedy jednak odkładam słuchawkę, ręka lekko mi drży. Co takiego, u licha, mogli o mnie napisać? Pędzę do drzwi, chwytam stos gazet i zanoszę je z powrotem do łóżka. Znajduję „Daily World” i zaczynam ją gorączkowo kartkować, strona po stronie, ale nic tu nie ma. Wracam do początku i przeglądam ją uważniej, sprawdzając wszystkie teksty, nawet te w małych okienkach, ale nie znajduję żadnej wzmianki o sobie. Otumaniona opadam na poduszki. O co, do diabła, chodziło Suze? Czemu jest tak...

I wtedy dostrzegam główny artykuł na dwie strony. Jeden złożony arkusz, który musiał wypaść na łóżko, kiedy chwyciłam gazetę. Bardzo powoli sięgam po niego, otwieram i nagle dostaję cios w brzuch.

Widzę swoje zdjęcie. Nie poznaję tej fotografii i nie wyglądam na niej korzystnie. Ukazuje mnie idącą ulicą. Po chwili gwałtownie sobie uświadamiam, że to nowojorska ulica. Niosę mnóstwo toreb z zakupami. Jest też zdjęcie Luke’a w okrągłej ramce oraz mała fotografia Suze. Nagłówek brzmi...

O Boże, nawet nie mogę przeczytać go na głos. Nie mogę wam nawet powiedzieć, jak brzmi. Jest zbyt... okropny.

Obszerny artykuł zajmuje całe dwie strony rozkładówki. Czytam go, serce mi łomocze, a głowę zalewają na przemian fale gorąca i zimna. Jest tak złośliwy, tak... osobisty. W połowie mam dość. Zamykam gazetę i wpatruję się w przestrzeń z uczuciem, że za chwilę zwymiotuję.

I niemal natychmiast drżącymi rękami rozkładam go ponownie. Muszę się dowiedzieć, co dokładnie napisali. Muszę przeczytać każdą potworną, upokarzającą linijkę.

A po przeczytaniu jestem bliska omdlenia. Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę. Gazeta została już wydrukowana w milionowym nakładzie. Nie można już wstrzymać dystrybucji. Nagle zdaję sobie sprawę, że w Wielkiej Brytanii jest na rynku od kilku godzin. Moi rodzice już ją przeczytali. Podobnie jak wszyscy, których znam. Jestem bezradna.

Telefon wydaje przenikliwy dźwięk, podskakuję złąkniona. Po chwili dzwoni

ponownie, a ja wpatruję się w niego z przerażeniem. Nie mogę odebrać. Nie jestem w stanie z nikim rozmawiać, nawet z Suze.

Telefon dzwoni czwarty raz, aż Luke wychodzi z łazienki, owinięty tylko w ręcznik, z włosami zaczesanymi do tyłu.

– Nie odbierasz? – pyta krótko i sięga po słuchawkę. – Halo? Tak, tu Luke Brandon.

Czuję, jak zalewa mnie fala przerażenia i ciaśniej okrywam się kołdrą.

– Tak – mówi Luke. – W porządku, do zobaczenia. – Odkłada słuchawkę i zapisuje coś na kartce w notatniku.

– Kto dzwonił? – pytam, starając się uspokoić głos.

– Sekretarka z JD Slade – wyjaśnia i odkłada długopis. – Zmiana miejsca spotkania.

Zaczyna się ubierać, a ja milczę. Moja dłoń zaciska się na „Daily World”. Chcę mu ten artykuł pokazać, ale... nie chcę mu go pokazać. Nie chcę, by przeczytał o mnie te straszne rzeczy, ale nie mogę pozwolić, by ktoś inny pokazał mu artykuł.

O Boże, nie mogę siedzieć tak w nieskończoność i milczeć. Zamykam oczy, biorę głęboki wdech i mówię:

– Luke, napisali o mnie w gazecie.

– To dobrze – odpowiada w roztargnieniu, zawiązując krawat. – Podejrzywałem, że będą o tobie mówić. W której gazecie?

– Nie piszą... dobrze – wyjaśniam i oblizuję spierzchnięte wargi. – W zasadzie... okropnie.

Luke patrzy na mnie uważnie i dostrzega mój wyraz twarzy.

– Och, Becky. Nie może być aż tak źle. No, dalej, pokaż mi. Co piszą? – Wyciąga rękę, ale ja ani drgnę.

– Ten artykuł jest naprawdę.... potworny. Do tego zamieszczono wielkie zdjęcie...

– Masz na nim kiepską fryzurę? – droczy się Luke i sięga po marynarkę. – Becky, żadna wzmianka w prasie nie jest w stu procentach idealna. Zawsze znajdzie się powód do zmartwień, czy to fryzura, czy jakaś wypowiedź...

– Luke! – rzucam z rozpaczą. – To nie to. Spójrz...

Powoli rozkładam gazetę i podaję Luke'owi. Bierze ją radośnie, ale jak tylko spogląda na zdjęcie, jego uśmiech powoli znika.

– Co to, kurwa, jest? Czy to ja? – Rzuca mi przelotne spojrzenie, a ja przełykam ślinę, bojąc się odezwać. Potem przebiega wzrokiem stronę, podczas gdy ja obserwuję go nerwowo.

– Czy to prawda? – pyta w końcu. – Cokolwiek w tym artykule jest zgodne z prawdą?

– N-nie! – jąkam się. – Przynajmniej... nie... nie wszystko. Częściowo...

– Masz długi?

Napotykam jego wzrok i czuję, że moja twarz pąsowieje.

– Niewielkie... Ale nie takie, jak napisali... Nie wiem nic o pozwach...

– Środa po południu! – Uderza w gazetę. – Na miłość boską, odwiedziłaś wtedy muzeum Guggenheima. Znajdź bilet, udowodnimy, że tam byłaś, zażądamy sprostowania...

– Właściwie... Luke... – Podnosi wzrok, a ja czuję uderzenie najczystszej lęku. – Nie poszłam do Guggenheima... Poszłam na zakupy.

– Poszłaś... – Wpatruje się we mnie, po czym w milczeniu czyta dalej.

Kończy i beznamiętnie spogląda przed siebie.

– Nie wierzę – mówi tak cicho, że ledwie go słyszę.

Wygląda równie ponuro, jak ja się czuję. I po raz pierwszy tego poranka cisną mi się do oczu łzy.

– Wiem – mówię drżącym głosem. – To okropne. Musieli mnie śledzić. Musieli cały czas być koło mnie, obserwować, szpiegować... – Spoglądam na niego w nadziei na reakcję, ale on patrzy tylko przed siebie. – Luke, nie masz nic do powiedzenia? Zdajesz sobie sprawę...

– Becky, a ty zdajesz sobie sprawę? – przerywa mi. Odwraca się, a mnie na widok jego spojrzenia cała krew odpływa z twarzy. – Zdajesz sobie sprawę, jak niekorzystne to jest dla mnie?

– Naprawdę mi przykro. – Głośno przełykam ślinę. – Wiem, że nie lubisz, jak piszą o tobie w gazetach...

– Tu nie chodzi o cholerne... – Powstrzymuje się i zaczyna spokojniej. – Becky, czy zdajesz sobie sprawę, w jakim to mnie stawia świetle? I to właśnie, kurwa, dzisiaj!

– Ja... ja nie... – szepczę.

– Za godzinę muszę stawić się na spotkaniu i przekonać konserwatywny nowojorski bank inwestycyjny, że w pełni kontroluję każdy aspekt mojego życia, zawodowego i osobistego. Wszyscy na pewno przeczytali już ten artykuł. Będę pośmiewiskiem!

– Ale przecież kontrolujesz! – mówię przestraszona. – Luke, oni na pewno wiedzą, że... Oni na pewno nie...

– Posłuchaj – mówi i odwraca się. – Wiesz, jak mnie postrzegają w tym mieście? Ogólne wrażenie, powstałe z niewyjaśnionego powodu, jest takie, że tracę orientację.

– Tracisz orientację? – powtarzam przerażona.

– Tak słyszałem. – Luke bierze głęboki, kontrolowany wdech. – Przez ostatnie kilka dni wypruwam sobie, kurwa, flaki, żeby przekonać tych ludzi, że to błędne wrażenie. Że panuję nad sytuacją, że jestem medialnym ekspertem. A teraz... – Uderza gwałtownie w gazetę, a ja cofam się ze strachu.

– Może... może tego nie widzieli.

– Becky, w tym mieście wszyscy wszystko widzą – stwierdza. – To ich praca. To...

Przerywa, kiedy rozlega się dzwonek telefonu. Po chwili wahania podnosi słuchawkę.

– Cześć, Michael. Ach, widziałeś. Tak, wiem. Niefortunny moment. Dobra. Do



zobaczenia za chwilę. – Odkłada słuchawkę i nie patrząc na mnie, sięga po teczkę.

Jest mi zimno i przechodzą mnie dreszcze. Co ja narobiłam? Wszystko zrujnowałam. Fragmenty artykułu brzęczą mi w głowie i przyprawiają o mdłości. Nieodpowiedzialna Becky... Hipokrytka Becky... I mają rację. Oni wszyscy mają rację.

Podnoszę wzrok i widzę, jak Luke głośno zamyka teczkę.

– Muszę iść – mówi. – Zobaczmy się później. – Przy drzwiach zatrzymuje się na chwilę i odwraca nagle z wyrazem dezorientacji na twarzy. – Nie rozumiem tylko jednego: skoro nie byłeś w muzeum Guggenheima, to gdzie kupiłeś książkę, którą mi dałeś?

– W sklepiku muzealnym – szepczę. – Na Broadwayu. Luke, tak mi przykro, ja...

Milknę i zapada potworna cisza. Czuję, jak serce mi wali, a w uszach pulsuje krew. Nie wiem, co powiedzieć, jak się zrehabilitować.

Luke wpatruje się we mnie w osłupieniu, potem nieznacznie kiwa głową, odwraca się i chwyta za kłamekę.

Siedzę przez chwilę w milczeniu i wpatruję się przed siebie. Nie mogę uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Jeszcze kilka godzin temu wznosiliśmy koktajlami bellini toasty za swoje sukcesy, miałam na sobie sukienkę od Very Wang, tańczyliśmy do Cole'a Portera i ze szczęścia kręciło mi się w głowie. A teraz...

Dzwoni telefon, ale ja ani drgnę. Dopiero przy ósmym sygnale wstaję i odbieram.

– Słucham?

– Dzień dobry! Czy to Becky Bloomwood?

– Tak – odpowiadam ostrożnie.

– Becky, tu Fiona Taggart z „The Daily Herald”. Tak się cieszę, że cię znalazłam! Becky, chcielibyśmy opublikować dwuczęściowy artykuł o tobie i twojej... małej przypadłości, tak to nazwijmy.

– Nie chcę o tym mówić – szepczę.

– W takim razie zaprzeczasz, że to prawda?

– Bez komentarza – odpowiadam i drżącą dłonią ciskam słuchawkę na widełki. Telefon natychmiast dzwoni ponownie, a ja odbieram.

– Bez komentarza, czy to jasne? – krzyczę. – Bez komentarza! Bez...

– Becky? Kochanie?

– Mamo! – Na dźwięk jej głosu wybucham płaczem. – Och, mamo, przepraszam – łkam. – Jest okropnie. Wszystko zepsułam. Po prostu nie wiedziałam... Nie zdawałam sobie sprawy...

– Becky! – Słyszę jej głos po drugiej stronie linii, znajomy i uspokajający. – Kochanie! Nie musisz przepraszać! To ci dranie dziennikarze powinni cię przepraszać. Żeby wymyślać takie historie i wkładać ludziom w usta fałszywe wypowiedzi. Biedna Suzie dzwoniła do nas bardzo zdenerwowana. Wiesz, poczęstowała tę dziewczynę

trzema ciasteczkami bourbon i kitkatem, a ona tak się jej odwdzięcza. Stek dziwacznych bzdur! Udawać, że jest się z wydziału podatków lokalnych. Powinno się ich zaskarżyć!

– Mamo... – Zamykam oczy, ledwie mogąc wydusić słowa. – To nie są wyłącznie kłamstwa. Oni... oni tego nie zmyślili. – Na moment zapada cisza, a ja słyszę, jak mama oddycha niespokojnie. – Mam tak jakby... niewielkie długi.

– Cóż – oznajmia po przerwie i słyszę, że bardzo się stara zachować pozytywne nastawienie. – I co z tego? Nawet jeśli tak jest, czy to ich sprawa? – Milknie, a ja słyszę głos w tle. – Właśnie! Tata mówi, że skoro amerykańska gospodarka może być zadłużona na miliardy i nadal sobie radzi, ty też możesz. I radzi, żebyś spojrzała na kopułę Kapitolu.

Boże, uwielbiam moich rodziców. Gdybym im powiedziała, że popełniłam morderstwo, od razu znaleźliby powód, dla którego było ono całkowicie uzasadnione, a ofiara sama się o nie prosiła.

– Pewnie tak – łkam. – Ale Luke ma dzisiaj ważne spotkania, a wszyscy inwestorzy na pewno przeczytali artykuł.

– I co z tego? Każda reklama jest dobra. Głowa do góry, Becky! Daj z siebie wszystko. Suzie powiedziała nam, że masz dzisiaj zdjęcia próbne. Czy to prawda?

– Tak, nie wiem tylko, o której.

– W takim razie uśmiech na twarz, weź kąpiel, wypij sobie filiżankę dobrej herbaty z trzema kostkami cukru. I brandy, mówi tata. A jeśli zadzwonią jacyś reporterzy, powiedz im, żeby spadali.

– Czy was niepokoiłi jacyś dziennikarze? – pytam zaniepokojona.

– Dziś rano przyszedł jakiś koleś i zadawał pytania – odpowiada mama pogodnie. – Ale tata wyszedł do niego ze strzygarką do żywopłotu.

Nie mogę się powstrzymać i chichoczę niepewnie.

– Mamo, muszę kończyć, ale zadzwonię później. Dziękuję...

Po tej rozmowie czuję się o niebo lepiej. Mama ma rację! Muszę nastawić się pozytywnie, pójść na zdjęcia próbne i dać z siebie wszystko. Luke zareagował nieco zbyt gwałtownie. Wróci na pewno w lepszym nastroju.

Dzwonię do recepcji hotelu i proszę, by nie łączyli żadnych rozmów z HLBC. Potem przygotowuję sobie kąpiel, wlewając do wanny całą buteleczkę olejku Otucha z Sephory i przez pół godziny pławię się w aromacie róży, geranium oraz malwy. Wycierając się, włączam MTV i tańczę po pokoju do piosenek Robbiego Williamsa, a kiedy wkładam na siebie mój zabójczy strój z Barneys, czuję się całkiem pozytywnie nastawiona, choć nieco roztrzęsiona. Dam radę. Dam radę.

Nie telefonowali jeszcze do mnie z informacją, o której mam się stawić na zdjęcia, więc dzwonię do recepcji.

– Dzień dobry. Chciałam się tylko upewnić, czy dziś rano dzwonił do mnie ktoś

z HLBC.

– Nie sędzę – odpowiada uprzejmie dziewczyna.

– Jest pani pewna? Nie zostawili wiadomości?

– Nie, proszę pani.

– Okej, dziękuję.

Odkładam słuchawkę i zamyślam się na moment. Dobra, w porządku. W takim razie ja do nich zadzwonię. Muszę przecież wiedzieć, o której są zdjęcia. Na dodatek Kent powiedziała, żebym telefonowała do niej, gdybym tylko czegoś potrzebowała. Bez wahania, zaznaczyła.

Wyjmuję z torebki jej wizytówkę i uważnie wystukuję numer.

– Dzień dobry – odzywa się radosny głos. – Biuro Kent Garland. Tu jej asystentka Megan. W czym mogę pomóc?

– Dzień dobry, mówi Rebecca Bloomwood. Czy mogę rozmawiać z Kent?

– Kent jest teraz na spotkaniu – odpowiada uprzejmie Megan. – Czy coś przekazać?

– Dzwonię, żeby się dowiedzieć, o której mam dzisiaj zdjęcia próbne – wyjaśniam. Już wypowiadając te słowa, czuję się znacznie pewniej. Kogo obchodzi szmatławy „Daily World”? Będę występowała w amerykańskiej telewizji i zostanę wielką gwiazdą.

– Rozumiem – odpowiada Megan. – Proszę chwilę poczekać...

Wstrzymuje połączenie, a ja słyszę metaliczną wersję *Dowiedziałem się o tym pocztą pantoflową*<sup>2</sup>. Piosenka się kończy, a głos w słuchawce informuje mnie, jak bardzo mój telefon jest ważny dla HLBC Corporation, potem piosenka znów się zaczyna, gdy nagle Megan odzywa się ponownie.

– Halo? Obawiam się, że Kent będzie musiała przełożyć zdjęcia próbne. Zadzwoni do ciebie, jak będzie chciała ustalić inny termin.

– Co takiego? – pytam, wpatrując się w swoją wymalowaną twarz w lustrze. – Przełożyć? Dlaczego? Czy wie pani, na kiedy będą przełożone?

– Nie jestem pewna – informuje uprzejmie Megan. – Kent jest teraz bardzo zajęta pracą nad nową serią *Dzisiejszego konsumenta*.

– Ale... zdjęcia miały być właśnie do tego programu! Do nowej edycji *Dzisiejszego konsumenta*! – Biorę głęboki wdech i staram się nie zdradzić swojego niepokoju. – Czy wie pani, na kiedy zdjęcia zostaną przesunięte?

– Naprawdę nie jestem w stanie powiedzieć. Grafik Kent jest w tej chwili bardzo napięty, a potem wyjeżdża na dwutygodniowe wakacje.

– Proszę posłuchać – oznajmiam, próbując zachować spokój. – Bardzo chciałabym porozmawiać z Kent. To niezmiernie ważne. Czy mogłaby mnie pani z nią połączyć? Tylko na sekundę.

Zapada cisza, a potem słyszę westchnienie Megan.

– Spróbuję ją złapać.

Metaliczna piosenka znów się zaczyna, a po chwili odzywa się Kent.

– Cześć, Becky. Jak się masz?

– Cześć! – witam się, starając się przybrać zrelaksowany ton głosu. – W porządku. Chciałam się tylko dowiedzieć, co się dzieje. W kwestii zdjęć próbnych.

– Właśnie – zaczyna w zamyśleniu Kent. – Szczerze mówiąc, Becky, wynikło parę kwestii, które musimy przemyśleć. Dobra? Dlatego przekładamy zdjęcia próbne do momentu, aż je wyjaśnimy.

Kwestie? Jakie kwestie? Co ona...

Nagle czuję, jak paraliżuje mnie strach. O Boże. Proszę, nie.

Czytała „Daily World”. O to chodzi. Ściskam mocniej słuchawkę, serce mi łomocze i za wszelką cenę chcę wszystko wytłumaczyć, powiedzieć jej, że w rzeczywistości nie jest aż tak źle, że połowa artykułu to kłamstwa, że to wcale nie oznacza, iż nie znam się na swojej pracy...

Ale nie mogę się przełamać. Nie jestem w stanie nawet o tym wspomnieć.

– Będziemy w kontakcie – ciągnie Kent. – Przepraszam, że zawracałam ci dzisiaj głowę. Miałam poprosić, by Megan zadzwoniła do ciebie później.

– W porządku! – odpowiadam, starając się przybrać radosny, beztronski ton. – Na kiedy przewidujesz kolejny termin zdjęć?

– Naprawdę nie wiem... Przykro mi, Becky. Muszę lecieć. Powstał problem na planie. Dziękuję za telefon. Udanego pobytu!

Jej głos milknie, a ja powoli odkładam słuchawkę.

Jednak nie mam zdjęć próbnych. Jednak mnie nie chcą.

A ja kupiłam nowy strój i w ogóle.

O Boże. O Boże.

Czuję, że mój oddech przyspiesza i przez jedną okropną chwilę obawiam się, że się rozplaczę.

Potem jednak myślę o mamie i z trudem zbieram się w sobie. Nie załamuję się. Będę silna i pełna nadziei. HLBC to nie jedyna firma na rynku. Jest mnóstwo innych ludzi, którzy chcą mnie złowić. Mnóstwo! Na przykład... na przykład Greg Walters. Powiedział przecież, że chce, żebym poznała jego szefa działu rozwoju. Może uda się zorganizować spotkanie jeszcze dzisiaj? Tak! Może już pod koniec dnia będę miała swój własny program!

Szybko znajduję numer, wybieram go nerwowo i ku mojej radości natychmiast uzyskuję połączenie. Od razu na szczyt.

– Cześć, Gregu, tu Becky Bloomwood.

– Becky! Jak miło cię słyszeć! – wita mnie, lekko rozkojarzony. – Co u ciebie?

– Hmm... wszystko dobrze! – oznajmiam i mam świadomość, że ze zdenerwowania zaczynam mówić piskliwym głosem. – Tak myślałam o naszym spotkaniu i stwierdziłam, że zaciekały mnie wszystkie twoje pomysły.

– O, to świetnie! A jak twój pobyt?

– Dobrze, dobrze! – Biorę głęboki wdech. – Greg, mówiłeś wczoraj, że powinnam spotkać się z twoim szefem działu rozwoju...

– Oczywiście! – przytakuje. – Wiem, że Dave z wielką przyjemnością spotkałby się z tobą. Obaj uważamy, że masz wielki potencjał. Wielki.

Zalewa mnie fala ulgi. Dzięki Bogu. Dzięki...

– Jak następnym razem będziesz w Nowym Jorku, zadzwoń do mnie i coś zorganizujemy – oznajmia Greg.

Wpatruję się w telefon całkowicie zszokowana. Jak następnym razem będę w Nowym Jorku? To może być za kilka miesięcy albo nigdy. Czyżby nie chciał...

– Obiecuj mi, że zadzwonisz.

– Hmm... dobrze – przytakuję, starając się nie zdradzać swojego rosnącego przerażenia. – Byłoby wspaniale!

– I może spotkamy się przy okazji mojej kolejnej wizyty w Londynie?

– Okej! – odpowiadam pogodnie. – Mam nadzieję. W takim razie... do zobaczenia niedługo. Miło było cię poznać.

– Cała przyjemność po mojej stronie!

Gdy w słuchawce zalega cisza, nadal mam na twarzy swój promienny, sztuczny uśmiech. Tym razem nie jestem w stanie powstrzymać łez cisnących mi się do oczu. Płyną powoli po mojej twarzy, rozmywając makijaż.

Przez wiele godzin siedzę sama w pokoju. Mija pora lunchu, ale nie jestem w stanie nic przełknąć. Jediną pozytywną rzeczą, jaką robię, jest odsłuchanie wiadomości i wykasowanie ich wszystkich z wyjątkiem wiadomości od mamy, którą odsłuchuję na okrągło. Musiała ją nagrać zaraz po przeczytaniu „Daily World”.

– Posłuchaj – mówi. – Mamy tu trochę zamieszania z powodu jakiegoś głupiego artykułu w gazecie. Nie przejmuj się tym, Becky. Pamiętaj, już jutro to zdjęcie posłuży do wyściełania miliona psich legowisk.

Z jakiegoś powodu śmieję się za każdym razem, gdy to słyszę. Siedzę więc, śmiejąc się i płacząc na przemian, i nie zawracam sobie nawet głowy wytarciem kałuży łez, która utworzyła się na mojej spódnicy.

O Boże, chcę do domu. Przez całą wieczność siedzę na podłodze, bujając się w przód i w tył, w głowie na okrągło pojawiają mi się te same myśli i wciąż na nowo je rozważam. Jak mogłam być taka głupia? Co mam teraz zrobić? Jak spojrzeć ludziom w oczy?

Czuję się tak, jakbym od przyjazdu do Nowego Jorku odbywała szaloną przejażdżkę kolejką górską. To coś w rodzaju magicznej podróży w Disneylandzie, tyle że zamiast śmigania w przestrzeni śmigam przez sklepy, hotele, rozmowy o pracę i lunchy, otoczona światłami, blaskiem i głosami, które powtarzają, że za chwilę stanę się

sławna.

Nie miałam pojęcia, że to wszystko nieprawda. Wierzyłam w każdy moment każdego wydarzenia.

Kiedy w końcu słyszę dźwięk otwieranych drzwi, z poczucia ulgi niemal robi mi się niedobrze. Najbardziej na świecie chciałabym teraz rzucić się Luke'owi w ramiona, wybuchnąć płaczem i usłyszeć, że wszystko jest w porządku. Ale kiedy wchodzi do pokoju, czuję, że moje ciało spina się ze strachu. Ma pochmurną, napiętą twarz, która wygląda jak wyciosana z kamienia.

– Cześć – mówię w końcu. – Zastanawiałam się, gdzie jesteś.

– Zjadłem lunch z Michaelem – odpowiada krótko. – Po spotkaniu. – Zdejmuje płaszcz i wiesz go ostrożnie na wieszaku, podczas gdy ja obserwuję go złęknioma.

– I jak...? – Z trudem ośmielam się zadać to pytanie. – Dobrze poszło spotkanie?

– Nie bardzo.

Żołądek podskakuje mi nerwowo. Co to znaczy? Na pewno nie... To na pewno nie znaczy, że...

– Czy wszystko odwołane? – udaje mi się w końcu wykrztusić.

– Dobrze pytanie – mówi Luke. – Ludzie z JD Slade twierdzą, że potrzebują więcej czasu.

– Dlaczego potrzebują czasu? – pytam, oblizując wyschnięte wargi.

– Mają kilka zastrzeżeń – wyjaśnia spokojnie Luke. – Nie określili konkretnie, czego te zastrzeżenia dotyczą.

Gwałtownym ruchem rozwiązuje krawat i zaczyna rozpinąć koszulę. O Boże, nawet na mnie nie patrzy. Jakby nie mógł się do tego zmusić.

– Myślisz, że... – Przełykam ślinę. – Myślisz, że czytali artykuł?

– Och, tak myślę. – W tonie jego głosu pobrzmiwa nuta, na której dźwięk się wzdrygam. – Tak, jestem pewien, że go czytali.

Próbuje odpiąć ostatni guzik i nagle z irytacją urywa go.

– Luke – mówię bezradnie. – Tak... tak mi przykro. Nie wiem, co mam zrobić. – Biorę głęboki oddech. – Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

– Nic nie możesz zrobić – odpowiada beznamiętnie.

Wychodzi do łazienki i po chwili słyszę, że odkręcił wodę pod prysznicem. Nie ruszam się. Nie jestem w stanie nawet myśleć. Czuję się sparaliżowana, jakbym kulila się nad przepaścią, próbując się nie pośliznąć.

W końcu Luke wychodzi z łazienki i nie zwracając nawet na mnie uwagi, wyciąga z szafy czarne dżinsy i czarny golf. Nalewa sobie drinka, a potem zapada cisza. Za oknem widzę panoramę Manhattanu. Zaczyna się ściemniać i wszędzie wokół w oknach zapalają się światła. Jednak świat skurczył się do rozmiarów tego pokoju, tych czterech ścian. Gwałtownie sobie uświadamiam, że przez cały dzień nie wychodziłam.

– Nie miałam dzisiaj zdjęć próbnych – mówię w końcu.

– Naprawdę? – W głosie Luke’a brak emocji czy zainteresowania i mimowolnie czuję cień niechęci.

– Nie jesteś nawet ciekaw dlaczego? – pytam, pociągając za brzeg poduszki. Po chwili ciszy Luke się odzywa, jakby wymagało to od niego ogromnego wysiłku:

– Dlaczego?

– Ponieważ nikt nie jest już mną zainteresowany. – Odgarniam włosy. – Nie tylko ty miałeś zły dzień, Luke. Zaprześciłam wszystkie swoje szanse. Nikt nie chce mnie już znać.

Czuję, jak zalewa mnie fala upokorzenia na wspomnienie wszystkich wiadomości, których musiałam wysłuchać, uprzejmych rezygnacji ze spotkań i informacji o odwołanych lunchach.

– Wiem, że to wszystko moja wina – mówię dalej. – Wiem. Mimo to... – Głos zaczyna mi podstępnie drzeć, więc biorę głęboki wdech. – Mnie też kiepsko poszło. – Podnoszę wzrok, ale Luke nie drgnął choćby o milimetr. – Mógłbyś... mógłbyś okazać nieco współczucia.

– Okazać nieco współczucia – powtarza beznamiętnie.

– Wiem, że sama jestem sobie winna...

– Właśnie! Sama! – Głos Luke’a wybucha powstrzymaną irytacją, a on wreszcie odwraca się w moją stronę. – Becky, nikt cię nie zmuszał, byś wydała wszystkie pieniądze! Wiem, że lubisz zakupy, ale na litość boską, takie wydatki?! To cholernie nieodpowiedzialne. Nie mogłaś się powstrzymać?

– Nie wiem! – odparowuję drżącym głosem. – Pewnie tak, ale nie wiedziałam, że zrobi się z tego taka cholerna... sprawa życia i śmierci. Luke, nie wiedziałam, że ktoś mnie śledzi. Nie zrobiłam tego celowo. – Ku mojemu przerażeniu czuję, jak po policzku spływa mi łza. – Nie zraniłam przecież nikogo. Nikogo nie zabiłam. Może okazałam się nieco naiwna...

– Nieco naiwna. To niedopowiedzenie roku.

– Dobra, byłam naiwna! Ale nie popełniłam przestępstwa...

– Nie uważasz, że odrzucenie szansy to przestępstwo? – pyta z furią Luke. – O ile mi wiadomo... – Potrząsa głową. – Jezu, Becky! Oboje mogliśmy odnieść sukces. W Nowym Jorku! – Zwija dłoń w pięść. – A teraz? Spójrz na nas. I wszystko dlatego, że masz taką cholerną obsesję na punkcie zakupów...

– Obsesję? – krzyczę. Nie jestem w stanie już dłużej znieść jego oskarżycielskiego spojrzenia. – Ja mam obsesję? A co z tobą?

– Co masz na myśli? – pyta lekceważąco.

– Masz obsesję na punkcie pracy i odniesienia sukcesu w Nowym Jorku! Kiedy zobaczyłeś artykuł, nie pomyślałeś o mnie, o tym, jak się czuję. Przede wszystkim zdenerwowałeś się tym, jak wpłynie to na ciebie i twój biznes. – Głos mi drży i zaczynam mówić głośniej. – Zależy ci tylko na swoim sukcesie, a mnie stawiasz na

drugim miejscu. Nie powiedziałaś mi nawet o Nowym Jorku, dopóki wszystko nie zostało ustalone! Oczekiwałeś, że... się po prostu dostosuję i zrobię dokładnie to, czego chcesz. Nic dziwnego, że Alicja stwierdziła, że wlokę się za tobą!

– Nie wleciesz się za mną – zaprzecza zniecierpliwiony.

– Właśnie że tak! Tak mnie właśnie postrzegasz, prawda? Jak nieważnego człowieczka, którego trzeba upchnąć w twój wielki, wspaniały plan. A ja byłam na tyle głupia, by się na to zgodzić...

– Nie mam na to czasu – oznajmia i wstaje.

– Nigdy nie masz czasu! – rzucam ze łzami w oczach. – Suze ma dla mnie więcej czasu niż ty! Nie miałeś czasu, by przyjechać na ślub Toma, nasz weekend za miastem przerodził się w spotkanie biznesowe, nie miałeś czasu, by odwiedzić moich rodziców...

– Tak, nie mam wiele czasu! – krzyczy nagle Luke, a ja milknę wstrząśnięta. – Nie mogę siedzieć i tracić go na bezsensowne pogaduszki z tobą i Suze. – Potrząsa głową sfrustrowany. – Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jak kurewsko ciężko pracuję? Masz pojęcie, jak ważna jest ta umowa?

– Dlaczego jest taka ważna? – słyszę swój krzyk. – Dlaczego to takie cholernie ważne, by odnieść sukces w Ameryce? Żeby zaimponować twojej matce? Straszna z niej krowa. Jeśli próbujesz zrobić na niej wrażenie, to ja od razu się poddaję! Nic nie robi na niej wrażenia. Nic! Nie zadała sobie nawet trudu, by się z tobą spotkać! Boże, kupujesz jej apaszkę od Hermèsa, a ona nie może zmienić grafiku, by spędzić z tobą choćby pięć minut!

Milknę, dysząc i zalega kompletna cisza.

O kurwa. Nie powinnam była tego powiedzieć.

Zerkam na Luke'a, a on wpatruje się we mnie z twarzą bladą z wściekłości.

– Jak nazwałaś moją matkę? – pyta powoli.

– Posłuchaj, nie miałam tego na myśli. – Przełykam ślinę, próbując opanować głos. – Myślę po prostu, że... trzeba w tym odnaleźć równowagę. Ja tylko poszłam na małe zakupy...

– Małe zakupy – powtarza Luke zjadliwie. – Małe zakupy! – Patrzy na mnie przeciągle, a potem ku mojemu przerażeniu rusza w kierunku szafy z drzewa cedrowego, gdzie składowałam wszystkie nabytki. Otwiera ją po cichu i oboje wpatrujemy się w stos toreb piętrzących się do sufitu.

Ten widok przyprawia mnie o mdłości. Wszystkie przedmioty, które wydawały mi się niezbędne w momencie kupna, którymi tak się ekscytowałam, wyglądają teraz jedynie jak wielka sterta toreb ze śmieciami. Nie jestem nawet w stanie powiedzieć, co jest w którejkolwiek z nich. To po prostu... rzeczy. Całe stopy rzeczy.

Bez słowa Luke zamyka drzwi, a ja czuję, jak zalewa mnie wstyd i parzy jak wrząca woda.



– Wiem – mówię głosem niewiele głośniejszym od szeptu. – Wiem. Ale płacę za to wszystko, naprawdę.

Odwracam głowę, nie mogąc spojrzeć mu w oczy, i nagle czuję, że po prostu muszę wyjść z pokoju. Muszę uciec od Luke’a, od swojego odbicia w lustrze, od całego tego potwornego dnia.

– Zo... Zobaczymy się później – szepczę i nie oglądając się za siebie, ruszam w stronę drzwi.

Bar na dole tonie w przytłumionym świetle, kojącym i anonimowym. Zapadam się w obszernym, skórzanym fotelu, słaba i roztrzęsiona, jakbym miała grypę. Kiedy podchodzi kelner, zamawiam sok pomarańczowy, ale gdy się odwraca, by odejść, zmieniam zamówienie na brandy. Podaje mi ją w wielkiej szklance, ciepłą i ożywczą. Wypijam kilka łyków i wtedy na stole przede mną pojawia się cień. Podnoszę wzrok. To Michael Ellis. Zapadam się w sobie. Naprawdę nie mam ochoty z nim rozmawiać.

– Cześć – mówi. – Mogę? – Gestem wskazuje krzesło po przeciwnej stronie, ja tylko przytakuję słabo. Siada i patrzy na mnie przyjaźnie, a ja opróżniam szklankę. Przez chwilę oboje milczymy.

– Mógłbym zachować się uprzejmie i nie wspomnieć o tym – odzywa się w końcu. – Albo powiedzieć ci prawdę, która brzmi tak, że dzisiaj rano bardzo ci współczułem. Brytyjskie gazety są bezwzględne. Nikt nie zasługuje na takie traktowanie.

– Dziękuję – szepczę.

Podchodzi kelner i Michael zamawia bez pytania kolejne dwie brandy.

– Mogę cię tylko zapewnić, że ludzie nie są głupi – podejmuje po odejściu kelnera. – Nikt nie użyje tych informacji przeciwko tobie.

– To już się stało – oznajmiam ze wzrokiem utkwionym w stole. – Odwołano moje zdjęcia próbne dla HLBC.

– Ach – odzywa się po przerwie. – Przykro mi to słyszeć.

– Nikt już nie chce mnie znać. Wszyscy mówią, że postanowili „obrać inny kierunek” albo „nie czują, że pasuję do amerykańskiego rynku”. Generalnie: „spadaj”.

Tak bardzo chciałam powiedzieć to wszystko Luke’owi. Chciałam wylać wszystkie swoje żale i by on mocno, bezkrytycznie mnie potem uściskał. By powiedział, że to ich strata, a nie moja, jak zrobiliby moi rodzice albo Suze. Tymczasem sprawił, że poczułam się ze sobą jeszcze gorzej. Ma rację, wszystko przecież odrzuciłam. Dostałam szansę, za jakie ludzie gotowi są umrzeć, i wszystkie zaprzepaściłam.

Michael przytakuje ponuro.

– To się zdarza – pociesza. – Obawiam się, że ci idioci są jak stado owiec. Gdy jedna się wystraszy, wszystkie uciekają.

– Czuję, że wszystko zniszczyłam – mówię i czuję ucisk w gardle. – Miałam dostać cudowną pracę, a Luke miał odnieść wielki sukces. Wszystko zapowiadało się

idealnie, a ja to zwyczajnie cisnęłam do kosza. To moja wina.

Ku mojemu przerażeniu łzy płyną mi z oczu i nie jestem w stanie ich powstrzymać. Potem zaczynam łkać. O Boże, to takie żenujące.

– Przepraszam – szepczę. – Jestem w kompletnej rozsypce.

Ukrywam zaczerwienioną twarz w dłoniach i mam nadzieję, że Michael Ellis taktownie się ulotni, zostawiając mnie samą. Tymczasem czuję dotyk jego dłoni na swojej i chusteczkę, którą wsuwa mi między palce. Ocieram z wdzięcznością twarz chłodną bawełną i w końcu podnoszę głowę.

– Dziękuję – łkam. – Przepraszam.

– W porządku – odpowiada spokojnie Michael. – Zachowałbym się tak samo.

– Na pewno – mamroczę.

– Powinnaś mnie zobaczyć, kiedy tracę kontrakt. Ryczę jak bóbr. Sekretarka musi co pół godziny biegać do sklepu po chusteczki. – Mówi to z tak poważną miną, że muszę się lekko uśmiechnąć. – Wypij swoją brandy i wyjaśnijmy sobie kilka spraw – proponuje. – Czy poprosiłaś „Daily World”, by zrobili ci zdjęcia za pomocą obiektywu długoogniskowego?

– Nie.

– Czy zadzwoniłaś do nich, proponując wywiad na wyłączność na temat osobistych zwyczajów i wybór obraźliwych nagłówek?

– Nie. – Nie mogę się powstrzymać i chichoczę.

– W takim razie – patrzy na mnie zagadkowo – to wszystko twoja wina, ponieważ...

– Byłam naiwna. Powinnam była się zorientować. Powinnam była... to przewidzieć. Głupio się zachowałam.

– Miałaś pecha. – Wzrusza ramionami. – Może postąpiłaś nieco nieroztropnie, ale nie możesz brać całej winy na siebie.

Z jego kieszeni dobiega elektroniczny szmer i Michael sięga po komórkę.

– Przepraszam na chwilę – mówi i odwraca się. – Cześć.

Gdy rozmawia cicho przez telefon, ja raz za razem odwracam podkładkę pod szklanekę. Chcę go o coś zapytać, ale nie mam pewności, czy jestem gotowa usłyszeć odpowiedź.

– Przepraszam – mówi Michael i chowa telefon. Zerka na zniszczoną podkładkę. – Lepiej się czujesz?

– Michael... – Biorę głęboki wdech. – Czy to z mojej winy umowa nie doszła do skutku? Czy to z powodu artykułu w „Daily World”?

Posyła mi intensywne spojrzenie.

– Rozmawiamy szczerze, tak?

– Tak – przytakuję i czuję, jak przeszywa mnie lęk. – Rozmawiamy szczerze.

– W takim razie powiem otwarcie, że nie pomogło to w dzisiejszych rozmowach. Padło wiele komentarzy i kilka pozornie zabawnych żartów. Muszę przyznać Luke’owi,

że całkiem nieźle to zniósł.

Wpatruję się w niego i robi mi się zimno.

– Nie powiedział mi o tym. – Michael wzrusza ramionami.

– Nie sędzę, by miał ochotę powtarzać którekolwiek z komentarzy.

– Więc to była moja wina.

– Nie. – Michael potrząsa głową. – Nie to powiedziałem. – Opiera się w fotelu. – Becky, gdyby ta współpraca miała silne podstawy, nie zaszkodziłaby jej odrobina złej prasy. Moim zdaniem JD Slade wykorzystali twoją lekko... kłopotliwą sytuację jako wymówkę. Istnieje poważniejszy powód, którego nie ujawniają.

– Jaki?

– Kto to wie? Pogłoski na temat Banku Londyńskiego? Różnice w etosie pracy? Z jakiegoś powodu stracili przekonanie do tego przedsięwzięcia.

Wpatruję się w niego, przypominawszy sobie słowa Luke'a.

– Czy ludzie naprawdę myślą, że Luke traci orientację?

– Luke to bardzo utalentowana jednostka – stwierdza ostrożnie Michael. – Jednak w kwestii tej współpracy coś go opętało. Jakby za bardzo mu zależało. Powiedziałem mu dzisiaj rano, że musi ustalić priorytety. Na pewno powstał problem z Bankiem Londyńskim i Luke powinien z nimi porozmawiać i uspokoić ich. Szczerze mówiąc, jeśli ich straci, będzie w poważnych tarapatkach. – Pochyliła się do przodu. – Jeśli chcesz znać moje zdanie, dziś po południu powinien wsiąść w samolot powrotny do Londynu.

– A co on chce zrobić?

– Umawia już spotkania ze wszystkimi bankami inwestycyjnymi w Nowym Jorku, o których nawet nie słyszałem. – Kręci głową. – Chłopak ma obsesję na punkcie sukcesu w Ameryce.

– Myślę, że chce coś udowodnić – szepczę. „Swojej matce”, niemal dodaję.

– Becky... – Michael patrzy na mnie przyjaźnie. – Co masz zamiar zrobić? Spróbujesz umówić się na jeszcze kilka spotkań?

– Nie – odpowiadam po chwili milczenia. – Szczerze mówiąc, chyba nie ma to sensu.

– Zostaniesz tutaj z Lukiem?

Przez głowę przelatuje mi widok jego zaciętej twarzy i czuję ukłucie bólu.

– Nie sędzę, by to również miało sens. – Wypijam duży łyk brandy i próbuję się uśmiechnąć. – Wiesz co? Chyba po prostu wrócę do domu.

## Rozdział 14

Wysiadam z taksówki, taszcę walizkę na chodnik i patrzę smutno na szare, angielskie niebo. Nie mogę uwierzyć, że to koniec.

Do ostatniej chwili skrycie wierzyłam, że ktoś jednak zmieni zdanie i zaproponuje mi pracę. Albo że Luke będzie mnie błagał, bym została. Reagowałam atakiem nerwów na każdy dzwonek telefonu i czekałam na cud. Ten jednak nie nastąpił. Oczywiście, że nie.

Kiedy żegnałam się z Lukiem, trzymałam fason. Chciałam rzucić się na niego ze łzami, spoliczkować go, cokolwiek. Ale nie mogłam. Musiałam ocalić resztki godności. Dlatego wszystko miało charakter niemal biznesowy – gdy dzwoniłam do linii lotniczych, pakowałam walizkę i zamawiałam taksówkę. Nie mogłam się zmusić, by pocałować go na pożegnanie w usta, więc cmoknęłam go przelotnie w oba policzki i odwróciłam się, zanim którekolwiek z nas zdołało cokolwiek powiedzieć.

Teraz, dwanaście godzin później, czuję się kompletnie wyczerpana. Przez cały nocny lot nie zmrużyłam oka, zeszywniała ze smutku i poczucia zawodu. Zaledwie kilka dni temu wylatywałam z myślą, że zacznę w Ameryce fantastyczne nowe życie, a tymczasem wróciłam do domu, mając nawet mniej niż na początku. Jakby tego było mało, wszyscy, ale to wszyscy o tym wiedzą. Kilka dziewczyn na lotnisku najwyraźniej mnie rozpoznało i zaczęło szeptać i chichotać, kiedy czekałam na bagaż.

O Boże, wiem, że na ich miejscu zachowałabym się dokładnie tak samo, ale w tamtym momencie czułam się tak obnażona i upokorzona, że niemal wybuchłam płaczem.

Ponuro taszcę bagaże po schodach i wchodzę do mieszkania. Przez chwilę stoję i patrzę na płaszcze, stare listy i klucze w misce. Ten sam stary przedpokój, to samo stare życie. Z powrotem w punkcie wyjścia. Dostrzegam w lustrze odbicie swojej wymizerowanej twarzy i szybko odwracam wzrok.

– Cześć! – wołam. – Jest tu kto? Wróciłam.

Zalega cisza, a po chwili w drzwiach pojawia się Suze w szlafroku.

– Bex! – wykrzykuje. – Nie spodziewałam się, że wrócisz tak szybko! Wszystko w porządku? – Podchodzi, owijając się mocniej szlafrokiem i ogląda z troską moją twarz. – Och, Bex. – Przygryza wargę. – Nie wiem, co powiedzieć.

– Wszystko w porządku – mówię. – Naprawdę wszystko jest w porządku.

– Bex...

– Naprawdę, wszystko w porządku. – Odwracam się, zanim widok zmartwionej

twarży Suze doprowadzi mnie do łez i szperam w torbie. – Więc... kupiłam ci kosmetyki Clinique, o które prosiłaś, i specjalny preparat do twarzy dla twojej mamy. – Podaję jej buteleczki i ponownie zaczynam buszować w torbie. – Gdzieś tutaj mam więcej rzeczy dla ciebie...

– Bex, nie przejmuj się tym. Wejdz i usiądź. – Suze ściska opakowania i spogląda na mnie niepewnie. – Chcesz drinka?

– Nie! – Zmuszam się do uśmiechu. – Wszystko w porządku, Suze. Postanowiłam, że najlepiej będzie nie myśleć o tym, co się stało, i żyć dalej. W zasadzie wolałabym, żebyśmy w ogóle o tym nie rozmawiały.

– Naprawdę? – pyta. – No niech będzie... Jeśli tego rzeczywiście chcesz.

– Tego chcę. – Biorę głęboki oddech. – Naprawdę mam się dobrze. A co u ciebie?

– W porządku – odpowiada i posyła mi kolejne zaniepokojone spojrzenie. – Bex, wyglądasz naprawdę blado. Jadłaś coś?

– W samolocie. Wiesz, jakie to jedzenie. – Drżącymi rękami zdejmuję płaszcz i wieszam go na kołku.

– Czy... czy miałaś dobry lot? – pyta Suze.

– Wspaniały! – odpowiadam z wymuszoną radością. – Pokazywali nowy film z Billym Crystalem.

– Billy Crystal! – powtarza. Patrzy na mnie niepewnie, jakbym była psychotycznym pacjentem, z którym trzeba się ostrożnie obchodzić. – Czy film był... dobry? Uwielbiam Billy'ego Crystala.

– Tak, dobry. Właściwie bardzo mi się podobał. – Przełykam ciężko ślinę. – Do momentu, gdy w środku projekcji moje słuchawki przestały działać.

– O rety! – wykrzykuje Suze.

– To był ważny moment filmu, pozostali pasażerowie się zaśmiewali, a ja nic nie słyszałam. – Mój głos zaczyna podstępnie drżeć. – Poprosiłam stewardesę o nowe słuchawki. Nie rozumiała jednak, o co mi chodzi, i bardzo się na mnie zezłościła, ponieważ właśnie rozdawała napoje. Nie chciałam prosić jej drugi raz, więc w zasadzie nie wiem, jak skończył się film. Ale poza tym lot był w porządku... – Nagle zaczynam głośno łkać. – Wiesz, zawsze mogę go wypożyczyć na kasecie wideo...

– Bex! – Twarz Suze wykrzywia grymas przerażenia. Upuszcza buteleczki Clinique na podłogę. – O Boże, Bex, chodź tutaj. – Otula mnie uściskiem, a ja zatapiam głowę w jej ramieniu.

– Och, wszystko jest takie okropne – łkam. – Suze, to było takie upokarzające. Luke był okropnie wściekły... odwołali moje zdjęcia próbne... Nagle wszyscy zachowywali się tak, jakbym miała jakąś chorobę zakaźną. Teraz nikt nie chce mnie znać i nie przeprowadzę się do Nowego Jorku...

Podnoszę wzrok, wycierając oczy, i widzę twarz Suze, czerwoną i zasmuconą.

– Bex, strasznie się z tym czuję! – wykrzykuje.

– Ty się strasznie czujesz? Z czym?

– To wszystko moja wina. Zachowałam się jak kompletna idiotka! Wpuściłam tutaj tę dziewczynę z gazety, a ona pewnie rozglądała się po kątach, kiedy parzyłam jej tę przeklętą kawę. Po co ją jej proponowałam? To wszystko moja cholerna wina.

– Wcale nie!

– Wybaczysz mi kiedykolwiek?

– Czy ja wybaczę tobie?! – Wpatruję się w nią, a twarz mi drży. – Suze... to ja powinnam ciebie prosić o wybaczenie! Próbowalaś mnie upilnować, chciałaś mnie ostrzec, ale ja nawet nie oddzwoniłam. Zachowałam się tak głupio... tak bezmyślnie...

– To nieprawda!

– Prawda. – Znowu szlocham. – Zupełnie nie wiem, co mi się stało w Nowym Jorku, po prostu zwariowałam. Te sklepy, spotkania... Wszystko było takie ekscytujące. Miałam zostać wielką gwiazdą i zarabiać masę pieniędzy. A potem wszystko zniknęło.

– Och, Bex! – Suze sama jest bliska łez. – Tak potwornie mi przykro!

– To nie twoja wina! – Sięgam po chusteczkę i wycieram nos. – Jeśli ktoś tu zawinił, to wyłącznie „Daily World”.

– Nienawidzę ich! – rzuca z wściekłością. – Powinno się ich powiesić i wychłostać. Tak właśnie powiedział Tarkie.

– Aha – odzywam się po chwili. – Czyli... czytał artykuł?

– Szczerze mówiąc, Bex, myślę, że większość osób go czytała – przyznaje niechętnie.

Czuję bolesny ucisk w żołądku na myśl o tym, że widzieli go również Janice i Martin. Tom i Lucy. Wszyscy dawni koledzy ze szkoły i nauczyciele. Wszyscy ludzie, których kiedykolwiek poznałam, mogli przeczytać o moich najbardziej upokarzających tajemnicach.

– Posłuchaj – mówi Suze. – Zostaw rzeczy. Napijmy się herbaty.

– Dobrze – zgadzam się po chwili milczenia. – Z przyjemnością. – Idę za nią do kuchni i siadam, dla wygody opierając się o ciepły kaloryfer.

– Więc jak się teraz układają twoje relacje z Lukiem? – pyta ostrożnie Suze i włącza czajnik.

– Kiepsko. – Obejmuję się ciasno rękami. – W zasadzie w ogóle się nie układają.

– Naprawdę? – Suze spogląda na mnie zaniepokojona. – Boże, Bex, co się stało?

– Cóż, strasznie się pokłóciliśmy...

– O artykuł?

– Tak jakby... – Sięgam po chusteczkę i wycieram nos. – Powiedział, że to przez tę publikację umowa nie doszła do skutku i stwierdził, że mam obsesję na punkcie zakupów. Ja odpowiedziałam, że on ma obsesję na punkcie pracy i nazwałam jego matkę... straszną krową.

– Nazwałaś jego matkę krową? – Suze jest tak zaskoczona, że aż chichoczę.

– Bo tak jest! Kobieta jest okropna. Nie kocha nawet Luke’a, ale on tego nie widzi. Chce jedynie zrobić największy interes na świecie i zaimponować jej. Nie jest w stanie myśleć o niczym innym.

– Co się stało później? – pyta Suze i podaje mi kubek z herbatą.

Przygryzam wargę na wspomnienie ostatnie bolesnej rozmowy, którą odbyliśmy, kiedy czekałam na moją taksówkę. Ugrzeczniony, sztuczny ton głosu i unikanie kontaktu wzrokowego.

– Zanim wyjechałam, powiedziałam, że uważam, iż Luke nie ma w tej chwili czasu na poważny związek.

– Naprawdę? – Suze otwiera szeroko oczy. – Zerwałaś?

– Nie miałam takiego zamiaru – mówię niemal szeptem. – Chciałam usłyszeć, że jednak ma czas, ale on nic nie powiedział. To było... potworne.

– Och, Bex. – Suze patrzy na mnie znad swojego kubka. – Och, Bex.

– Nieważne – oznajmiam, starając się przybrać radosny ton głosu. – Tak pewnie będzie lepiej. – Wypijam łyk herbaty i zamykam oczy. – O Boże, jaka dobra. Pyszna. – Przez chwilę milczę, a para ogrzewa mi twarz i czuję, że się rozluźniam. Biorę jeszcze kilka łyków i otwieram oczy. – W Ameryce nie potrafią parzyć herbaty. Poszłam do jednej kawiarni, a tam podali mi filiżankę pełną gorącej wody i torebkę herbaty. A filiżanka była przezroczysta.

– Och. – Suze się krzywi. – Faj! – Sięga po puszkę z ciasteczkami i wyjmuje kilka herbatników HobNob. – A tak w ogóle, po co komu Ameryka? – stwierdza zdecydowanie. – Wszyscy wiedzą, że w amerykańskiej telewizji pokazują bzdury. Lepiej ci będzie tutaj.

– Może tak. – Przez chwilę patrzę w kubek, a potem biorę głęboki oddech i podnoszę wzrok. – Wiesz, myślałam dużo w czasie lotu. Postanowiłam, że wykorzystam te wydarzenia, by całkowicie zmienić swoje życie. Skupię się na pracy, skończę książkę, naprawdę się skoncentruję i po prostu...

– Pokażesz im – kończy Suze.

– Właśnie. Po prostu im pokażę.

To niesamowite, jak chwila domowego ciepła wpływa na nastrój. Pół godziny i trzy kubki herbaty później czuję się milion razy lepiej i z przyjemnością opowiadam Suze o Nowym Jorku i moim pobycie. Kiedy mówię jej o wizycie w spa i wyjaśniam, gdzie chcieli mi zrobić kompozycję z kryształków, śmieje się tak mocno, że niemal się krztusi.

– Hej – mówię, nagle olśniona. – Skończyłaś już wszystkie kitkaty?

– Nie – odpowiada Suze, przecierając oczy. – Kiedy cię nie było, wolniej schodziły. Więc co powiedziała mama Luke’a? Chciała zobaczyć efekty zabiegów? –

I ponownie zanosi się śmiechem.

– Poczekaj, wezmę tylko kilka – informuję i ruszam w stronę pokoju Suze, gdzie trzymamy batony.

– Właściwie... – zatrzymuje mnie, a jej śmiech gwałtownie cichnie. – Nie wchodź tam.

– Dlaczego? – pytam i zatrzymuję się zdziwiona. – Co jest w twoim... – Milknę na widok jej rumieniących się policzków. – Suze! – Mówię i po cichu odsuwam się od drzwi. – Nie. Czy ktoś tam jest?

Wpatruję się w nią, a ona milczy i w obronnym geście owija się szlafrokiem.

– Nie wierzę! – piszczę ze zdumienia. – Boże, wyjeżdżam na pięć minut, a ty już wdajesz się w gorący romans!

To rozwesela mnie bardziej niż cokolwiek innego. Najlepsze na poprawę nastroju są pikantne plotki.

– To nie jest żaden gorący romans! – odpowiada w końcu Suze. – To wcale nie jest romans.

– W takim razie kto to jest? Znam go?

Suze posyła mi pełne udręki spojrzenie.

– Dobra, muszę ci coś wyjaśnić. Zanim wyciągniesz... błędne wnioski. – Zamyka oczy. – Boże, jakie to trudne.

– Suze, co się dzieje?

Z pokoju Suze dochodzi odgłos i obie patrzymy na siebie.

– Dobra, posłuchaj. To tylko jednorazowa przygoda – wyjaśnia szybko. – Kompletnie spontaniczna, głupia... To znaczy...

– Suze, co się dzieje? – Wykrzywiam twarz. – O Boże, to nie Nick, prawda?

Nick to ostatni chłopak Suze, który stale miał depresję, upijał się i obwinił o to Suze. Szczerze mówiąc, kompletny koszmar. Ale to skończyło się wiele miesięcy temu.

– Nie, to nie Nick. To... o Boże...

– Suze...

– Dobra! Ale musisz mi obiecać, że...

– Że co?

– Że... nie zareagujesz.

– Dlaczego miałabym zareagować? – pytam, śmiejąc się. – Nie jestem cnotką! Mówimy przecież tylko o...

Milknę, gdy otwierają się drzwi pokoju Suze i wychodzi z nich jedynie Tarquin. Wygląda całkiem nieźle w drelichowych spodniach i swetrze, który mu podarowałam.

– Och – mówię zdziwiona. – Myślałam, że Suze przedstawi mi swojego nowego...

Przerywam i z szerokim uśmiechem patrzę na Suze.

Ale ona nie odwzajemnia uśmiechu. Obgryza paznokcie i unika mojego wzroku, a jej policzki stają się coraz bardziej czerwone.



Zerkam na Tarquina, a on również ucieka wzrokiem.

Nie. Nie.

Chyba nie...

Nie.

Ale...

Nie!

Mój mózg nie jest w stanie tego ogarnąć. Za chwilę dojdzie do snu.

– Ekhm, Tarquin – mówi Suze piskliwym głosem. – Czy mógłbyś pójść po rogaliki?

– Och, ekhm... oczywiście – odpowiada nieco nienaturalnie Tarquin. – Dzień dobry, Becky.

– Dzień dobry! – odpowiadam. – Miło... cię widzieć. Ładny... sweter.

Kiedy wychodzi, w kuchni zapada grobowa cisza, która trwa do momentu, aż słyszymy trzaśnięcie frontowych drzwi. Wtedy bardzo powoli odwracam się, by spojrzeć na Suze.

– Suze...

Nawet nie wiem, od czego zacząć.

– Suze... to był Tarquin.

– Tak, wiem – odpowiada, z zaangażowaniem oglądając blat.

– Suze, czy ty i Tarquin jesteście...

– Nie! – wykrzykuje jak oparzona. – Oczywiście, że nie! To tylko... my tylko... – Zaczyna i milknie.

– Wy tylko... – zachęcam ją.

– Raz czy dwa...

Następuje długa pauza.

– Z Tarquinem? – powtarzam, by się upewnić.

– Tak – przytakuje.

– Aha – odpowiadam i kiwam głową, jakby to był całkowicie rozsądny scenariusz. Ale usta mi drżą i czuję, jak rośnie we mnie dziwne napięcie – szok zmieszany z histerycznym śmiechem. Ale żeby Tarquin? Tarquin?!

Chichot wyrywa się z moich ust i szybko zakrywam usta dłonią.

– Nie śmieć się! – błaga Suze. – Wiedziałaś, że będziesz się śmiała.

– Nie śmieję się! – protestuję. – Myślę, że to świetnie! – Kolejny raz parskam śmiechem i udaję, że kaszlę. – Przepraszam, przepraszam. Więc jak to się stało?

– Na tej imprezie w Szkocji! – zawodzi. – Były tam tylko tłumy starych ciotek i Tarquin okazał się jedyną osobą poniżej czterdziestki. I jakoś tak... wyglądał zupełnie inaczej! Miał na sobie ten ładny sweter od Paula Smitha, fryzurę nawet całkiem fajną, aż sama się dziwiłam: czy to naprawdę Tarquin? No i nieźle się wstawiłam, a wiesz, jak się wtedy zachowuję. A on akurat tam był... – Potrząsa bezradnie głową. – Sama nie wiem. Był taki... odmieniony. Bóg jeden wie, jak to się

stało!

Zapada cisza i teraz ja czuję, że policzki mi płoną.

– Wiesz co, Suze – przyznaję wreszcie z zakłopotaniem. – Myślę, że to mogła być w zasadzie... moja wina.

– Twoja wina? – Podnosi głowę i wpatruje się w we mnie. – Jak to?

– Ja dałam mu ten sweter i pomogłam z fryzurą. – Wzdrygam się, widząc wyraz jej twarzy. – Ale nie miałam pojęcia, że takie będą skutki! Ja tylko poprawiłam jego wygląd!

– Cóż, masz wiele na sumieniu – krzyczy Suze. – Tak się denerwowałam. Myślałam sobie, że muszę być kompletnie zdemoralizowana.

– Dlaczego? – pytam z błyskiem w oku. – Co on ci każe robić?

– Nie, głupia! Dlatego, że jesteśmy kuzynami.

– Aaa. – Robię minę, a potem sobie uświadamiam, że to niezbyt taktowne. – Ale to nie jest sprzeczne z prawem, prawda?

– O Boże, Bex! – lamentuje Suze. – Od razu lepiej się czuję.

Bierze nasze kubki, zanosí je do zlewu i odkręca kran.

– Po prostu nie mogę uwierzyć, że jesteś w związku z Tarquinem – mówię.

– Nie jesteśmy w związku! – piszczy Suze. – O to właśnie chodzi. Wczoraj był ostatni raz. Oboje się całkowicie w tym zgadzamy. To się już więcej nie powtórzy. Nigdy. I nie wolno ci o tym nikomu powiedzieć.

– Nie powiem.

– Bex, ja mówię poważnie. Nie wolno ci nikomu o tym powiedzieć. Nikomu.

– Nie powiem! Obiecuję. A w zasadzie – dodaję, gdyż przyszedł mi nagle do głowy pewien pomysł – mam coś dla ciebie.

Pędzę do przedpokoju, otwieram walizkę i szukam torby ze sklepu papierniczego Kate's Paperie. Wyciągam ze stosu kartkę, gryzmołę w środku „Dla Suze z uściskami. Bex” i wracam do kuchni, zaklejając kopertę.

– To dla mnie? – pyta zaskoczona Suze. – Co to jest?

– Otwórz!

Rozrywa kopertę, spogląda na wizerunek błyszczących, zapiętych na suwak ust i odczytuje na głos wydrukowany podpis:

„Współlokatoro, dotrzymam twojej tajemnicy”.

– Rety! – wykrzykuje z otwartymi ze zdziwienia oczami. – Kupiłaś ją specjalnie? Ale... – Marszczy brwi. – Skąd wiedziałaś, że mam tajemnicę?

– Hmm... miałam przecucie – odpowiadam. – Szósty zmysł.

– Przy okazji, Bex – zaczyna Suze, obracając w rękach kopertę. – Podczas twojej nieobecności przyszło do ciebie całkiem sporo listów.

– Aha.

Zdumiona wiadomością na temat Suze i Tarquina zapomniałam o innych sprawach.

Teraz jednak histeria, która poprawiała mój nastrój, zaczyna wyparowywać. Kiedy Suze przynosi plik mało przyjaźnie wyglądających kopert, żołądek gwałtownie mi się przewraca i żałuję, że wróciłam do domu. Gdy byłam daleko, przynajmniej nie musiałam wiedzieć o żadnej z tych spraw.

– Dobrze – mówię, próbując przybrać nonszalancki ton i stworzyć pozory panowania nad sytuacją. Przeglądam listy, tak naprawdę wcale na nie nie patrząc, a potem je odkładam. – Później je przeczytam, kiedy będę mogła poświęcić im całą swoją uwagę.

– Bex... – Suze się krzywi. – Ten lepiej otwórz od razu. – Wyciąga ze stosu brązową kopertę z nadrukiem POZEW.

Wpatruję się w nią i na zmianę robi mi się zimno i gorąco. Pozew. To była prawda. Zostałam pozwana do sądu. Biorę kopertę od Suze, nie mogąc spojrzeć jej w oczy, i rozrywam papier drżącymi palcami. W milczeniu przelatuję wzrokiem treść listu i czuję rosnący chłód u podstawy kręgosłupa. Nie mogę uwierzyć, że ktoś rzeczywiście mógłby pozwać mnie do sądu. Sądy są przecież dla przestępców, na przykład dealerów narkotyków i morderców, a nie dla ludzi, którzy nie zapłacili tylko kilku rachunków.

Wkładam list z powrotem do koperty i oddychając ciężko, odkładam ją na blat.

– Bex... co zrobisz? – pyta Suze i przygryza wargę. – Tego listu nie możesz zignorować.

– Nie zrobię tego. Zapłacę te rachunki.

– A masz na to pieniądze?

– Będę musiała je zdobyć.

W zapadłej ciszy słychać jedynie kapanie zimnej wody z kranu. Podnoszę wzrok i widzę twarz Suze wykrzywioną troską.

– Bex, dam ci trochę pieniędzy. Albo Tarkie. On z łatwością może sobie na to pozwolić.

– Nie! – odpowiadam ostrzej, niż zamierzałam. – Nie, nie chcę żadnej pomocy. – Po prostu... – Pocieram twarz. – Pójdę do tego faceta z banku. Dzisiaj. Od razu.

W przypływie determinacji zbieram listy i idę do swojego pokoju. Nie pozwolę się pokonać. Umyję twarz, zrobię makijaż i na nowo poukładam swoje życie.

– Co mu powiesz? – pyta Suze, idąc za mną korytarzem.

– Szczerze wyjaśnię mu sytuację, poproszę o większy limit na karcie i... od tego zacznę. Będę niezależna, silna i stanę na własnych nogach.

– Brawo, Bex! – gratuluje mi Suze. – To fantastyczne. Niezależna i silna. To naprawdę wspaniałe!

Patrzy, jak drżącymi palcami próbuję otworzyć walizkę. Kiedy walczę z zamknięciem trzeci raz, podchodzi i kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Bex, czy chcesz, żebym poszła tam z tobą?

– Tak, proszę – odpowiadam cicho.

Suze nie pozwala mi nigdzie pójść, dopóki nie usiądę i nie wypiję kilku kolejek brandy dla kurażu. Potem opowiada mi, że poprzedniego dnia przeczytała artykuł, w którym napisano, że najlepszą bronią w czasie negocjacji jest wygląd, dlatego na spotkanie z Johnem Gavinem muszę starannie wybrać strój. Przeglądamy zawartość mojej szafy i wybieramy gładką, czarną spódnicę i szary rozpinany sweter, który, moim zdaniem, zdaje się krzywić „oszczędna, trzeźwa i stabilna”. Potem Suze musi dobrać strój dla „rozsądnej, wspierającej przyjaciółki” (granatowe spodnie i biała koszula). Już mamy wychodzić, kiedy Suze oznajmia, że jeśli nic nie zadziała, możliwe, że będziemy musiały zacząć flirtować z nim na całego, więc obie wkładamy seksowną bieliznę. Wtedy spoglądam w lustro i nagle zauważam, że wyglądam zbyt ponuro. Szybko przebieram się w jasnoróżowy sweter, co wymaga również zmiany szminki.

W końcu wychodzimy z domu i idziemy do oddziału banku Endwich w Fulham. Gdy wchodzimy, Erica Parnell, dawna asystentka Dereka Smeatha, odprowadza do drzwi parę w średnim wieku. Tak między nami, nigdy się nie dogadywałyśmy. Obawiam się, że nie jest człowiekiem – za każdym razem, gdy ją widzę, ma na sobie te same granatowe buty.

– O, dzień dobry – wita nas i posyła mi nieprzyjazne spojrzenie. – Czego pani chce?

– Chciałabym zobaczyć się z Johnem Gavinem – odpowiadam, starając się wyrażać rzeczowo. – Czy to możliwe?

– Raczej nie – informuje chłodno kobieta. – Tak bez zapowiedzi.

– Cóż... czy mogłaby pani sprawdzić?

Erica Parnell przewraca oczami.

– Poczekajcie tutaj – rzuca i znika za drzwiami z tabliczką „Pomieszczenie prywatne”.

– Boże, jaka okropna obsługa! – komentuje Suze i opiera się o szklaną ściankę działową. – Kiedy ja spotykam się z managerem mojego banku, proponuje mi kieliszek sherry i wypytuje o całą rodzinę. Wiesz, Bex, uważam, że powinnaś przenieść się do Coutts.

– Cóż, może tak zrobię.

Przeglądam leżące na stole broszury ubezpieczeniowe i czuję, że mam lekką treść. Pamiętam, co Derek Smeath powiedział o Johnie Gavinie, że jest surowy i mało elastyczny. O Boże, tęsknię za starym Smeathem.

O Boże, tęsknię za Lukiem.

To uczucie uderza mnie jak młotem. Od powrotu z Nowego Jorku starałam się wcale nie myśleć o Luke’u, ale kiedy stoję tutaj, marzę tylko o tym, by z nim porozmawiać. Chciałabym zobaczyć, że patrzy na mnie tak jak kiedyś, zanim wszystko się popsuło. Z zagadkowym uśmiechem, mocno mnie obejmując.

Ciekawa jestem, co teraz robi, jak mu idą spotkania.

– Proszę za mną – oznajmia głos Eriki Parnell, a ja gwałtownie unoszę głowę. Idę za

nią korytarzem wyłożonym niebieską wykładziną i czuję, że mnie mdli. Wprowadza nas do chłodnego, małego pomieszczenia ze stołem i plastikowymi krzesłami. Kiedy zamykają się za nią drzwi, Suze i ja patrzymy na siebie.

– Może uciekniemy? – sugeruję na w pół żartobliwie.

– Będzie dobrze – pociesza mnie Suze. – Pewnie okaże się bardzo miłym człowiekiem! Wiesz, moi rodzice mieli kiedyś ogrodnika, który wydawał się bardzo zręczliwy, ale potem się dowiedzieliśmy, że ma królika! Zobaczyliśmy go wtedy w zupełnie innym świetle...

Milknie, kiedy drzwi się otwierają i do pomieszczenia wchodzi mężczyzna około trzydziestki. Ma przerzedzone, ciemne włosy, okropny garnitur i trzyma w ręce plastikowy kubek z kawą.

O Boże, wygląda na kompletnie nieprzyjaznego typu. Nagle żałuję, że przyszliśmy.

– Dobrze – zaczyna, marszcząc czoło. – Nie mam dużo czasu. Która z pań to Rebecca Bloomwood?

Mówi to w taki sposób, jakby pytał, która z nas jest morderczynią.

– Ekhm... to ja – odpowiadam nerwowo.

– A to kto?

– Suze to moja...

– Świta. – odpowiada pewnie Suze. – Jestem jej świtą. – Rozgląda się po pomieszczeniu. – Czy ma pan sherry?

– Nie – odpowiada John Gavin, patrząc na nią, jakby była nienormalna. – Nie mam sherry. Więc w czym problem?

– Och, po pierwsze – zaczynam nerwowo – przyniosłam coś dla pana. – Sięgam do torby i podaję mu kolejną kopertę z Kate's Paperie.

Sama wpadłam na pomysł, by przynieść mu jakiś drobiazg na przełamanie lodów. To przecież kwestia dobrych manier. W Japonii tak właśnie robi się interesy.

– Czy to czek? – pyta John Gavin.

– Hmm... nie. – Lekko się rumienię. – To... ręcznie wykonana kartka.

John Gavin gromi mnie wzrokiem, rozrywa kopertę i wyjmuję kartkę ze srebrnym napisem i różowymi piórkami przyklejonymi na rogach.

Teraz stwierdzam, że powinnam była wybrać mniej dziewczęcą.

Albo nie przynosić żadnej. Ale ta wydawała się idealna na tę okazję.

– „Przyjacielu, wiem, że popełniłam błędy. Czy możemy zacząć od nowa?” – czyta z niedowierzaniem John Gavin. Odwraca ją, jakby podejrzewał, że to żart. – Pani ją kupiła?

– Bardzo ładna, prawda? – oznajmia Suze. – Można je dostać w Nowym Jorku.

– Rozumiem. Zapamiętam. – Stawia ją na stole i wszyscy na nią patrzymy. – Panno Bloomwood, w jakiej sprawie pani przyszła?

– A, tak – zaczynam. – Cóż, jak mówi moja kartka, mam świadomość, iż... –

Przełykam ślinę... – Prawdopodobnie nie byłam... idealną klientką. Jednak jestem przekonana, że możemy współpracować i osiągnąć harmonię.

Jak na razie nieźle. Tego kawałka nauczyłam się na pamięć.

– Czyli? – pyta John Gavin. Odchrząkuję.

– Ekhm... z powodu okoliczności, na które nie miałam wpływu, ostatnio znalazłam się w delikatnym finansowym... dołku. Zastanawiałam się, czy zechciałby pan tymczasowo...

– Z dobrego serca...

– Z dobrego serca... podnieść nieznacznie mój limit kredytowy, na krótki okres.

– W geście dobrej woli – wtrąca się Suze.

– W geście dobrej woli... tymczasowo... na krótki okres. Oczywiście, do spłacenia tak szybko, jak to będzie możliwe z praktycznego i ludzkiego punktu widzenia. – Milknę i biorę oddech.

– Skończyła pani? – pyta John Gavin i krzyżuje ręce na piersi.

– Ekhm... tak. – Patrzę na Suze w poszukiwaniu potwierdzenia. – Tak, skończyłam.

Zapada cisza, podczas której John Gavin stuka długopisem w blat stołu. Potem podnosi wzrok i mówi:

– Nie.

– Nie? – Patrzę na niego zdziwiona. – Tylko: nie?

– Tylko nie. – Odsuwa krzesło. – Proszę mi wybaczyć...

– Jak to „nie”? – pyta Suze. – Nie może pan po prostu powiedzieć „nie”! Musi pan rozważyć za i przeciw.

– Rozważyłem za i przeciw – odpowiada John Gavin. – Nie ma żadnych za.

– Ale to jest jedna z pańskich najbardziej wartościowych klientek! – Suze w przerażeniu podnosi głos. – To Becky Bloomwood, gwiazda telewizji, która ma przed sobą świetlaną karierę!

– To Becky Bloomwood, która w ostatnim roku podnosiła limit kredytowy sześć razy – odpowiada John Gavin dość nieprzyjemnym tonem. – I której ani razu nie udało się utrzymać w ramach tych limitów. To jest Becky Bloomwood, która notorycznie kłamie, unika spotkań, traktuje pracowników banku bez szacunku i która uważa, że wszyscy jesteśmy tutaj wyłącznie po to, by finansować jej słabość do butów. Przejrzałem pani dokumentację, panno Bloomwood, i orientuję się w sytuacji.

Zapada pełna napięcia cisza. Czuję, że policzki płoną mi coraz bardziej i mam potworne przeczucie, że zaraz się rozplączę.

– Nie powinien pan być taki nieuprzejmy! – wybuchu Suze. – Becky przechodzi właśnie bardzo trudny okres. Czy pan chciałby, by pisano o nim w brukowcach? Czy chciałby pan być śledzony?

– Och, rozumiem. – W jego głosie pobrzmiewa sarkazm. – Oczekuje pani, że będę pani żałował!

– Tak! – odpowiadam. – Nie, niezupełnie. Ale uważam, że powinien pan dać mi szansę.

– Uważa pani, że powinienem dać jej jeszcze jedną szansę. A co pani zrobiła, by na nią zasłużyć? – Potrząsa głową i zapada cisza.

– Ja tylko... Myślałam, że jeśli wszystko panu wyjaśnię... – milknę speszona i rzucam Suze bezradne spojrzenie mówiące: zapomnijmy o tym.

– Hmm, czyż tu nie jest gorąco? – pyta nagle Suze gardłowym głosem. Zdejmuje żakiet, odrzuca w tył włosy i muska dłonią policzek. – Naprawdę, czuję, że... płonę. John, czy panu nie jest gorąco?

John Gavin posyła jej pełne irytacji spojrzenie.

– Co konkretnie chciała mi pani wyjaśnić, panno Bloomwood?

– No... naprawdę chcę wszystko poukładać – oznajmiam drżącym głosem. – Wie pan, chcę wiele zmienić, stanąć na własnych nogach i...

– Stanąć na własnych nogach? – przerywa mi zjadliwie. – Wyciąganie zapomogi z banku nazywa pani stawaniem na własnych nogach? Jeśli rzeczywiście tego by pani chciała, to nie miałyby pani debetu. Uzbierałaby pani do tej pory jakieś aktywa! Zwłaszcza pani nie powinienem musieć tego wyjaśniać.

– Wiem... wiem – mówię ledwie słyszalnym głosem. – Chodzi jednak o to, że mam debet i myślałam tylko...

– Co pani myślała? Że jest pani szczególna? Że jest pani wyjątkiem, ponieważ występuje pani w telewizji? Że nie stosują się do pani standardowe zasady? Że to bank winien jest pani pieniądze?

Jego głos wwierca mi się w mózg i nagle nie wytrzymuję.

– Nie! – krzyczę. – Wcale tak nie myślę. Wcale. Wiem, że zachowałam się głupio i popełniłam błędy. Ale każdy czasami błądzi. – Biorę głęboki wdech. – Jeśli spojrzysz pan w swoje akta, zobaczy pan, że spłaciłam debet i karty płatnicze. Dobrze, znowu mam długi, ale próbuję to rozwiązać, a pan tylko... szydzi. W takim razie dobrze. Poradzę sobie bez pańskiej pomocy. Chodź, Suze.

Wstaję, drżąc lekko. Mam zaczerwienione oczy, ale nie rozplączę się przed nim. Czuję w sobie iskrę determinacji, która rozpała się mocniej, kiedy odwracam się do Johna Gavina.

– Endwicz troskliwym bankiem – rzucam jeszcze.

Zapada długa, pełna napięcia cisza. Potem bez słowa otwieram drzwi i wychodzę.

Podczas drogi do domu czuję się przepelniona determinacją. Pokażę mu. Pokażę temu Johnowi Gavinowi. Wszystkim pokażę. Całemu światu.

Spłacę długi. Nie wiem jak, ale to zrobię. Może zatrudnię się dodatkowo jako kelnerka albo przysiędę i skończę poradnik. Zarobię tak dużo, jak się da, tak szybko, jak się da. Potem pójdę do banku z czekiem na ogromną sumę, rzucę mu go na stół

i dystygowanym, acz ciętym tonem powiem...

– Bex? – Suze chwyta mnie za rękę i orientuję się, że minęłabym nasz dom. – W porządku? – pyta i otwiera drzwi. – Naprawdę okropny z niego drań.

– W porządku – odpowiadam i unoszę brodę. – Pokażę mu. Spłacę zadłużenie. Tylko poczekaj. Wszystkim im pokażę!

– Wspaniale! – Cieszy się Suze. Schyla się i podnosi z wycieraczki kopertę. – To do ciebie. Z *Porannej Kawy*.

– O! – Otwieram kopertę z ogromną nadzieją. Może proponują mi nową posadę z pensją, która wystarczy na natychmiastowe spłacenie długów. Może zwolnili Emmę i zajmę jej miejsce jako prezenterka! A może...

O mój Boże. O Boże. Nie.



**PORANNA KAWA**  
**Telewizja Wschód-Zachód**  
**Corner House**  
**Londyn NW8 4DW**

Sz.P.  
Rebecca Bloomwood  
Burney Road 4 m. 2  
Londyn SW6 8FD

2 października 2001 roku

Droga Becky!

Przede wszystkim przykro nam z powodu niefortunnego rozgłosu, jakiego niedawno doświadczyłaś! Bardzo Ci współczułam i wiem, że Rory zareagował tak samo, podobnie jak Emma i reszta ekipy.

Jak wiesz, rodzina Porannej Kawy jest szalenie lojalna i wspierająca i stawiamy sobie za cel nigdy nie pozwolić, by zła prasa stanęła na drodze prawdziwemu talentowi. Jednakże zupełnie przypadkowo dokonaliśmy niedawno przeglądu wszystkich naszych stałych współpracowników i po dyskusji zdecydowaliśmy, by na jakiś czas odsunąć Cię z programu.

Muszę podkreślić, że to jedynie tymczasowe rozwiązanie. Pomimo to będziemy wdzięczni za odesłanie w załączonej kopercie przepustki do stacji telewizyjnej Wschód-Zachód i podpisanie dokumentu poświadczającego jej zwrot.

Wykonałaś dla nas wspaniałą pracę (bezsprzecznie!). Jesteśmy przekonani, że Twój talent będzie rozkwitał gdzie indziej oraz że ta sytuacja nie okaże się problemem dla tak dynamicznej osoby jak Ty!

Z najlepszymi życzeniami,  
Zelda Washington  
Asystentka Producenta

Wydawnictwo Paradigm Sp. z o.o.  
695 Soho Square  
Londyn W1 5AS

Sz.P.  
Rebecca Bloomwood  
Burney Road 4 m. 2  
Londyn SW6 8FD

4 października 2001 roku

Droga Becky!

Dziękujemy Ci bardzo za pierwszą wersję maszynopisu *Zarządzanie pieniędzmi według Rebekki Bloomwood*. Doceniamy wysiłek, jaki włożyłaś w pracę. Twój styl jest żywy i płynny, poczyniłaś również kilka ważnych spostrzeżeń.

Niestety, pięćset słów, bez względu na to, jak są trafne, to za mało na poradnik. Nie jesteśmy w stanie zrealizować Twojej sugestii i „wypełnić reszty stron zdjęciami”.

Z żalem zdecydowaliśmy, że niniejszy projekt nie jest opłacalny, dlatego prosimy o niezwłoczny zwrot zaliczki.

Z najlepszymi życzeniami,  
Pippa Brady  
Redaktor

KSIĄŻKI WYDAWNICTWA PARADIGM:  
MY POMAGAMY TOBIE, A TY POMÓŻ SOBIE

JUŻ WKRÓTCE! *Jak przetrwać w dżungli* brygadiera Rogera Flintwooda (pośmiertnie)

## Rozdział 15

Przez następnych parę dni nie wychodzę z domu, nie odbieram telefonów i z nikim nie rozmawiam. Czuję się potwornie, jakbym była odarta ze skóry, mam wrażenie, że ludzkie spojrzenia, pytania, a nawet światło słoneczne mogą mnie zranić. Muszę pozostać w ciemności, sama. Hadleys wysłał Suze do Milton Keynes na dużą konferencję na temat marketingu i sprzedaży, więc zostałam w mieszkaniu całkiem sama. Zamawiam jedzenie na wynos, wypijam dwie butelki białego wina i ani na chwilę nie przebieram się z piżamy.

Gdy Suze wraca, zastaje mnie na podłodze, tam gdzie mnie zostawiła, wpatrzoną beznamiętnie w telewizor i wpychającą sobie do ust kitkaty.

– O Boże – wykrzykuje i upuszcza torby. – Bex, wszystko w porządku? Nie powinnam zostawiać cię samej.

– Mam się dobrze! – mówię, podnosząc wzrok i zmuszając zastygłą twarz do wykrzywienia się w uśmiechu. – Jak konferencja?

– W zasadzie całkiem dobrze – odpowiada speszona. – Ludzie gratulowali mi sprzedaży ramek. Słyszeli o mnie! Zrobili też prezentację na temat moich nowych projektów i wszystkim się podobały...

– To naprawdę wspaniale, Suze – mówię i sięgam, by uścisnąć jej dłoń. – Zaslługujesz na to.

– No cóż. – Przygryza wargę, a potem wchodzi do pokoju, podnosi z podłogi pustą butelkę i stawia ją na stole. – Czy... Luke dzwonił? – pyta z wahaniem.

– Nie – odpowiadam po długiej chwili milczenia. – Nie dzwonił. – Patrzę na Suze, a potem odwracam wzrok.

– Co oglądasz? – pyta, kiedy pojawia się reklama dietetycznej coli.

– *Poranną Kawę* – odpowiadam. – Zaraz będzie segment porad finansowych.

– Co? – Twarz Suze wykrzywia grymas przerażenia. – Bex, zmieńmy kanał. – Sięga po pilota, ale chwytam go pierwsza.

– Nie! – protestuję, wpatrując się uparcie w ekran. – Chcę to obejrzeć.

Z telewizora dobiega znajoma melodia programu, na ekranie pojawia się charakterystyczny symbol filiżanki kawy, a potem blaknie i ujęcie ukazuje studio.

– Dzień dobry! – mówi radośnie do kamery Emma. – Witamy ponownie. Nadszedł czas, by przedstawić naszą nową specjalistkę do spraw finansowych, Clare Edwards!

– Kim jest Clare Edwards? – pyta Suze, wpatrując się z niesmakiem w ekran.

– Pracowałam z nią w *Skutecznym oszczędzaniu* – odpowiadam bez poruszenia

głową. – Siedziała obok mnie.

Kamera oddala się i ukazuje Clare siedzącą na kanapie naprzeciw Emmy, patrzącą ponuro na wprost.

– Nie wygląda na rozrywkową osobę.

– Bo nią nie jest.

– Clare – zaczyna pogodnie Emma. – Jaka jest twoja podstawowa filozofia dotycząca pieniędzy?

– Czy masz jakieś powiedzonko? – wtrąca się radośnie Rory.

– Nie wierzę w powiedzonka – stwierdza Clare, posyłając Rory’emu pełne dezaprobaty spojrzenie. – Finanse osobiste to nie jest błaha kwestia.

– Tak! – przytakuje Rory. – Oczywiście, że nie jest. Hmm... czy masz listę najważniejszych rad dla naszych widzów?

– Nie wierzę w czcze i mylące uogólnienia – stwierdza Clare. – Każdy, kto chce oszczędzać, powinien wybrać wachlarz inwestycji odpowiednich dla jego indywidualnych potrzeb i sytuacji podatkowej.

– Oczywiście! – stwierdza po chwili przerwy Emma. – W takim razie przejdźmy do telefonów. Dzwoni Mandy z Norwich.

Kiedy pierwszy dzwoniący zostaje przełączony do studia, w naszym pokoju dzwoni telefon.

– Halo? – Odbiera Suze i ścisza dźwięk w telewizorze. – Och, dzień dobry, pani Bloomwood. Czy chce pani rozmawiać z Becky?

Spogląda na mnie i podnosi brwi, ja wzdrygam się w odpowiedzi. Od powrotu tylko przelotnie rozmawiałam z mamą i tatą. Wiedzą, że nie przeprowadzam się do Nowego Jorku, ale na razie tylko tyle im powiedziałam. Nie jestem w stanie przyznać, jak źle potoczyły się inne sprawy.

– Becky, kochanie! Właśnie oglądałam *Poranną Kawę* – wykrzykuje mama. – Co tam robi ta dziewczyna? Dlaczego udziela porad finansowych?

– Wszystko w porządku, mamo, nie martw się! – mówię i czuję, jak wbijam sobie paznokcie w dłoń. – Zatrudnili ją na zastępstwo, kiedy byłam na wyjeździe.

– Mogli wybrać kogoś lepszego! Ma strasznie smutny wyraz twarzy, prawda? – Jej głos staje się niewyraźny. – Co takiego, Grahamie? Tata mówi, że przynajmniej dzięki niej widać, jaka ty jesteś dobra! Na pewno teraz, gdy wróciłaś, mogą ją zwolnić.

– To chyba nie jest takie proste – wyjaśniam po przerwie. – Umowy i inne sprawy.

– W takim razie kiedy wrócisz na antenę? Wiem, że Janice będzie o to pytała.

– Nie wiem, mamo – odpowiadam rozpaczliwie. – Posłuchaj, muszę kończyć. Ktoś dzwoni do drzwi. Zadzwoń niedługo!

Odkładam słuchawkę i chowam głowę w dłoniach.

– Co ja zrobię? – mówię bezradnie. – Co ja zrobię, Suze? Nie mogę powiedzieć, że mnie zwolnili. Po prostu nie mogę. – Przerazona czuję, jak w kącikach oczu zbierają mi

się łązy. – Są ze mnie tacy dumni, a ja nieustannie ich zawodzę.

– Nie zawodzisz ich! – protestuje Suze żarliwie. – To nie twoja wina, że głupia *Poranna Kawa* przesadnie zareagowała. Założę się, że teraz tego żałują. Popatrz tylko na nią!

Podkręca dźwięk i głos Clare rozbrzmiewa surowo w pokoju.

– Ci, którzy nie odkładają na własną emeryturę, przypominają pijawki żerujące na reszcie obywateli.

– Czy to nie jest zbyt surowa ocena? – pyta Rory.

– Posłuchaj jej! – mówi Suze. – Jest okropna!

– Może jest okropna – odzywam się po chwili milczenia. – Ale nawet jeśli się jej pozbędą, nie przyjmą mnie z powrotem. To oznaczałoby przyznanie się do błędu.

– Ale oni popełnili błąd.

Telefon dzwoni ponownie, a Suze patrzy na mnie.

– Jesteś czy wyszłaś?

– Wyszłam i nie wiesz, kiedy wrócę.

– Dobra – Podnosi słuchawkę. – Halo? Przykro mi, ale Becky nie ma teraz w domu.

– Mandy, popełniłaś wszystkie możliwe błędy – mówi na ekranie telewizora Clare Edwards. – Nigdy nie słyszałaś o rachunku oszczędnościowym? A co do pożyczki hipotecznej na zakup łodzi...

– Nie, nie wiem, kiedy wróci – wyjaśnia Suze. – Czy mam jej coś przekazać? – Bierze do ręki długopis i zaczyna pisać. – Dobrze... w porządku... tak. Tak, powiem jej. Dziękuję.

– Kto to był? – pytam, gdy odkłada słuchawkę.

Wiem, że to głupie, ale kiedy na nią patrzę, nie mogę powstrzymać płomyka nadziei. Może to producent innego programu albo ktoś z propozycją poprowadzenia własnej kolumny w gazecie. Może dzwonił John Gavin, by mnie przeprosić i zaoferować bezpłatne, nieograniczone usługi kredytowe. Może wszystko będzie dobrze.

– Dzwoniła Mel, asystentka Luke'a.

– Och. – Wpatruję się w Suze z niepokojem. – Co powiedziała?

– Podobno dostarczono do biura jakąś paczkę zaadresowaną do ciebie. Ze Stanów, od Barnes and Noble.

Patrzę na nią w osłupieniu i nagle przypominam sobie wycieczkę do Barnes and Noble, którą odbyliśmy z Lukiem. Kupiłam tam cały stos albumów i Luke zaproponował, bym wysłała je do Anglii kurierem na koszt firmy, żeby nie wozić ich ze sobą. Teraz wydaje mi się, że było to milion lat temu.

– Och, tak, wiem, o co chodzi. – Waham się przez chwilę. – Wspomniała o... Luke'u?

– Nie – odpowiada przepaszającym tonem Suze. – Powiedziała tylko, byś zajrzała do biura, kiedy będziesz chciała. Dodała, że bardzo jej przykro z powodu tego, co się

stało, i żebyś zadzwoniła do niej, gdybyś chciała pogadać.

– Rozumiem. – Opuszczam ramiona, obejmuję nimi kolana i podkręcam dźwięk w telewizorze. – OK.

Przez następne kilka dni powtarzam sobie, że tam nie pójdę. Nie chcę już tych książek i nie mogę pogodzić się z myślą, że będę musiała wejść do firmy i stawić czoło wszystkim ciekawskim spojrzeniom pracowników Luke'a, trzymać fason i udawać, że wszystko jest w porządku.

Po chwili jednak dochodzę do wniosku, że chciałabym zobaczyć Mel. Ze wszystkich osób, z którymi mogę porozmawiać, ona najlepiej zna Luke'a i miło byłoby szczerze z nią pogadać. Na dodatek być może słyszała, co się dzieje w Stanach. Wiem, że mój związek z Lukiem definitywnie się zakończył, ale nic nie poradzę na to, że nadal jestem ciekawa, czy udało mu się podpisać tę umowę, czy nie.

Cztery dni później około osiemnastej z bijącym głośno sercem idę powoli w kierunku drzwi Brandon Communications. Na szczęście swój dyżur ma dzisiaj przyjazny portier. Widział mnie na tyle często, że tylko zaprasza mnie gestem i wpuszcza do środka, więc nie muszę obwieszczać swojego przybycia.

Wysiadam z windy na piątym piętrze i ze zdumieniem zauważam, że nie ma żadnej recepcjonistki. To dziwne. Czekam kilka sekund, a potem mijam biurko i idę głównym korytarzem. Stopniowo zwalniam krok i marszczę czoło. Coś jest nie tak. Coś się zmieniło.

Jest zbyt cicho. Całe biuro wygląda na wymarłe. Rozglądam się po otwartej przestrzeni biurowej i widzę, że większość krzeseł jest pusta. Nie dzwonią telefony, wokół nie kręcą się ludzie, nie trwają żadne narady.

Co się dzieje? Co się stało z tętniącą życiem atmosferą Brandon C? Co się stało z firmą Luke'a?!

Przechodzę obok automatu z kawą, przy którym rozmawia dwóch znajomo wyglądających mężczyzn. Jeden z nich ma na twarzy wyraz rozczarowania, a drugi mu przytakuje, ale nie słyszę, o czym konkretnie rozmawiają. Kiedy podchodzę bliżej, gwałtownie przerywają. Posyłają mi zdziwione spojrzenia, potem zerkają na siebie nawzajem i odchodzą, by po chwili na nowo podjąć dyskusję, ale już ściszonymi głosami.

Nie mogę uwierzyć, że to Brandon Communications. Panuje tu całkowicie inna atmosfera. Przypomina pozbawioną życia firmę, gdzie nikt nie dba o to, co robi. Podchodzę do biurka Mel, ale ona, podobnie jak reszta pracowników, skończyła już pracę i wyszła. Zwykle zostawała przynajmniej do siódmej, potem nalewała sobie kieliszek wina i w łazience przebierała się do wieczornego wyjścia, które sobie zaplanowała.

Szperam za jej krzesłem, aż znajduję zaadresowaną do mnie przesyłkę, a potem

piszę do Mel liścik na samoprzylepnej karteczce. Wstaję, przyciskając do siebie ciężką paczkę, i mówię sobie, że mam już to, po co przyszedłam. Powinnam wyjść. Nic mnie tu już nie trzyma.

Jednak zamiast odejść, stoję bez ruchu i wpatruję się w zamknięte drzwi gabinetu Luke'a.

Gabinet Luke'a. Są w nim prawdopodobnie faksy od niego z informacją, jak mu idzie w Nowym Jorku. Gdy patrzę na gładką, pustą, drewnianą powierzchnię, zalewa mnie nagle pragnienie, by wejść do środka i znaleźć, co mi się uda.

Ale co dokładnie miałabym zrobić? Przejrzeć jego dokumenty, odsłuchać pocztę głosową? A gdyby ktoś mnie nakrył?

Stoję rozdarta, ze świadomością, że nie wejdę tam, by szperać w jego rzeczach, ale jednocześnie nie jestem w stanie odejść i nagle zamieram z przerażenia. Klamka u drzwi zaczyna się poruszać.

O cholera. Cholera! Ktoś jest w środku! I właśnie wychodzi!

W chwili paniki robię unik i chowam się za krzesło Mel, by zniknąć z pola widzenia. Kulę się i czuję dreszcz emocji, jak dziecko bawiące się w chowanego. Słyszę szepty, a potem drzwi się otwierają i ktoś wychodzi z gabinetu. Ze swojego punktu obserwacyjnego widzę jedynie, że to kobieta ubrana w nowe buty od Chanel, które kosztują fortunę. Za nią podążają dwie pary męskich nóg i cała trójka rusza korytarzem. Nie mogę się oprzeć i zerkam zza krzesła. Oczywiście, to Alicja Długonoga Zdzira, Ben Bridges oraz wyglądający znajomo mężczyzna, którego nazwiska nie mogę sobie jednak przypomnieć.

Cóż, to chyba w porządku. To ona zarządza firmą pod nieobecność Luke'a. Czy musi jednak przejmować jego gabinet? Dlaczego nie może po prostu skorzystać z sali konferencyjnej?

– Wybaczcie, że musieliśmy się spotkać tutaj – słyszę jej głos. – Oczywiście, następnym razem zapraszam na King Street 17.

Kontynuują rozmowę, aż docierają do wind, a ja modlę się żarliwie, by wsiedli razem do jednej z nich i zniknęli. Kiedy jednak rozlega się dźwięk otwieranych drzwi, tylko znajomo wyglądający mężczyzna wsiada do środka, a chwilę później Alicja i Ben wracają.

– Tylko wezmę te dokumenty – oznajmia Alicja i wchodzi do gabinetu Luke'a, zostawiając otwarte drzwi. W tym czasie Ben przechadza się obok dozownika z wodą, wciskając przyciski w zegarku i wpatrując się intensywnie w mały ekran.

O Boże, to potworne! Jestem uwięziona, dopóki sobie nie pójdą. Kolana zaczynają mnie boleć i mam okropne przecucie, że jeśli poruszę się choćby o centymetr, jedno z nich nie wytrzyma. A jeśli Ben i Alicja zostaną tu całą noc? A jeśli podejdą do biurka Mel? A może postanowią kochać się na nim?

– W porządku – oznajmia Alicja, pojawiawszy się w drzwiach. – Myślę, że to

wszystko. Moim zdaniem spotkanie dobrze poszło.

– Chyba tak. – Ben podnosi wzrok. – Myślisz, że Frank ma rację? Myślisz, że może nas pozwać?

Frank! Oczywiście. Drugim mężczyzną był Frank Harper, specjalista od reklamy z Banku Londyńskiego. Widywałam go na konferencjach prasowych.

– Nie pozwie nas – odpowiada spokojnie Alicja. – Jego wizerunek mocno by na tym ucierpiał.

– Już znacznie ucierpiał – odpowiada Ben, unosząc brwi. – Niedługo stanie się niewidzialny.

– To prawda – przytakuje Alicja i uśmiecha się ironicznie. Spogląda na stos dokumentów w rękach. – Mam wszystko? Chyba tak. Dobrze, lecę, Ed na mnie czeka. Do zobaczenia jutro.

Znikają na końcu korytarza i tym razem, dzięki Bogu, wsiadają do windy. Kiedy jestem już pewna, że poszli, siadam z powrotem na piętach i marszczę ze zdziwienia czoło. Co się dzieje? O jakim pozwie rozmawiali? Kto ma kogo pozwać? I dlaczego był tu człowiek z Banku Londyńskiego?

Czy Bank Londyński pozwie Luke'a?

Przez chwilę siedzę bez ruchu i próbuję to wszystko poukładać w głowie. Kiepsko mi jednak idzie i nagle się orientuję, że powinnam wyjść, póki mogę. Wstaję, skurcz w stopie wykrzywia mi twarz, więc potrząsam nogami, by powróciło do nich krążenie. Potem podnoszę paczkę i jak najbardziej nonszalancko idę korytarzem w kierunku wind. W momencie gdy wciskam przycisk, dzwoni mi w torebce telefon, a ja podskakuję przerażona. Cholera, komórka! Dzięki Bogu nie zadzwoniła, kiedy chowałam się za krzesłem Mel!

– Halo – odbieram i wsiadam do windy.

– Bex! Tu Suze.

– Suze – odpowiadam i chichoczę. – Wyobraź sobie, że niemal wpakowałam mnie w kłopoty! Gdybyś zadzwoniła pięć minut temu, całkowicie byś mnie...

– Bex, posłuchaj. Ktoś właśnie do ciebie dzwonił – mówi nagłym tonem.

– Tak? – odpowiadam i wciskam przycisk parter. – Kto?

– Zelda z *Porannej Kawy*! Chce z tobą porozmawiać! Zaproponowała szybki lunch jutro.

Tej nocy prawie nie śpię. Do późna rozważamy z Suze, w co powinnam się ubrać, a potem leżę w łóżku z otwartymi oczami, wpatruję się w sufit, a w mojej głowie kłębią się myśli. Czy proponują mi powrót do poprzedniej pracy? A może inną posadę? Może mnie awansują albo dadzą własny program?!

Jednak z nastaniem poranka wszystkie moje szalone fantazje blakną, pozostawiając prostą prawdę. Chcę jedynie odzyskać poprzednią pozycję. Chcę móc powiedzieć



mamie, że znów może oglądać program, chcę spłacić zadłużenie i zacząć życie od nowa. Kolejna szansa. Tylko tyle chcę.

– Widzisz? – mówi Suze tego ranka, gdy zaczynam się szykować. – Widzisz? Wiedziałam, że będą chcieli przyjąć cię z powrotem. Ta cała Clare Edwards jest do bani! Całkowicie i kompletnie...

– Suze – przerywam jej. – Jak wyglądam?

– Bardzo dobrze – odpowiada, oglądając mnie z aprobatą od stóp do głów. Mam na sobie czarne spodnie z Banana Republic, białą koszulę i jasny, dopasowany żakiet, a na szyi ciemnozieloną apaszkę.

Założyłabym szal od Denny'ego i George'a, w zasadzie wzięłam go nawet z toaletki, ale niemal natychmiast odłożyłam z powrotem. Sama nie wiem dlaczego.

– Wyglądasz na twardzielkę – dodaje Suze. – Gdzie zjecie lunch?

– W Lorenzo's.

– San Lorenzo's?! – Otwiera szeroko oczy ze zdziwienia.

– Nie, chyba nie. Po prostu Lorenzo's. Nigdy wcześniej tam nie byłam.

– Pamiętaj, żeby zamówić szampana – instruuje mnie Suze. – Powiedz, że jesteś zasypywana propozycjami, więc jeśli chcą cię z powrotem, będą musieli ci słono zapłacić. Taki jest układ. Decydują się albo nie.

– Tak – przytakuję i otwieram tusz do rzęs.

– Jeśli ucierpią na tym ich finanse, trudno – stwierdza ze współczuciem Suze. – Za wysokiej jakości produkt trzeba odpowiednio zapłacić. Masz podpisać umowę z twoją stawką i na twoich warunkach.

– Suze... – Zatrzymuję się ze szczoteczką do tuszu przy rzęsach. – Skąd ty bierzesz te wszystkie mądrości?

– Jakie mądrości?

– No, te... o finansach i umowach.

– Ach, to! Z konferencji Hadleys. Uczestniczyliśmy w seminarium prowadzonym przez jednego z najlepszych specjalistów od sprzedaży w Stanach. Było wspaniale! Wiesz, produkt ma taką wartość jak jego sprzedawca.

– Skoro tak mówisz. – Biorę torbę i sprawdzam, czy mam wszystko. – Dobra, idę.

– Oby ci się poszczęściło! Chociaż w biznesie nie ma pojęcia szczęścia, tylko zapał, determinacja i jeszcze większy zapał.

– Jasne – odpowiadam z powątpiewaniem. – Postaram się zapamiętać.

Adres Lorenzo's wskazuje na dzielnicę Soho, ale kiedy skręcam w podaną ulicę, nie widzę żadnego lokalu przypominającego restaurację. Są tam głównie biurowce, kilka niewielkich kiosków, kawiarnia i...

Zaraz, zaraz. Zatrzymuję się i wpatruję w szyld nad kawiarnią: Lorenzo's: kawiarnia, kanapki.

Ale przecież... To na pewno nie jest miejsce naszego spotkania.

– Becky! – Podnoszę gwałtownie wzrok i widzę idącą w moim kierunku Zeldę, w dżinsach i pikowanej kurtce. – Trafiłaś!

– Tak – przytakuję, starając się nie zdradzić swojego zmieszania. – Trafiłam.

– Nie masz nic przeciwko kanapce na szybko? – pyta i wpuszcza mnie do środka. – Mam po prostu blisko do tej kawiarni.

– Nie! Kanapka to świetny pomysł.

– To dobrze. Polecam z kurczakiem po włosku. – Ogląda mnie od stóp do głów. – Wyglądasz bardzo elegancko. Wybierasz się gdzieś?

Wpatruję się w nią i czuję, jak zalewa mnie fala upokorzenia. Nie mogę przyznać, że ubrałam się tak specjalnie na spotkanie z nią.

– Ekhm... tak. – Odchrząkuję. – Mam później spotkanie.

– W takim razie nie będę cię zatrzymywać. Mamy dla ciebie niewielką propozycję.

– Rzuca mi przelotny uśmiech. – Pomyślałam, że przyjemniej będzie, jeśli przedstawię ci ją osobiście.

Nie tak wyobrażałam sobie nasz lunch służbowy. Kiedy jednak patrzę, jak mężczyzna za barem kładzie na nasze kanapki kurczaka, dodaje sałatkę i kroi całość na cztery części, czuję przypływ pozytywnego nastroju. W porządku, może nie jest to wytworne miejsce z szampanem i obrusami, może redakcja nie szarpnęła się na wystawny posiłek, ale to pewnie lepiej. To znaczy, że nadal traktują mnie jak członka zespołu, kogoś, z kim można zjeść na luzie kanapkę i wymienić się pomysłami na nadchodzący sezon.

Może chcą mnie zatrudnić jako konsultantkę albo wyszkolić na producentkę?!

– Wszyscy szalenie ci współczuliśmy, Becky – zaczyna Zeldę, gdy idziemy w stronę małego drewnianego stolika, niosąc na tacach kanapki i napoje. – Jak twoje sprawy? Załatwiłaś sobie pracę w Nowym Jorku?

– Hmm... nie do końca – odpowiadam i wypijam łyk wody mineralnej. – Ta kwestia pozostaje w lekkim zawieszeniu. – Widzę, że Zeldę patrzy na mnie oceniająco. I szybko dodaję: – Ale rozważam wiele ofert. No wiesz, różne projekty i... pomysły w trakcie realizacji.

– O, to dobrze! Cieszę się. Wszyscy bardzo żalowaliśmy, że musiałaś odejść. Chcę, żebyś wiedziała, że to nie była moja decyzja. – Przelotnie kładzie swoją dłoń na mojej, by po chwili zabrać ją i wziąć do ręki kanapkę. – Przejdźmy do rzeczy. – Czuję nerwowy ucisk w żołądku. – Pamiętasz naszego producenta, Barry'ego?

– Oczywiście! – odpowiadam lekko zaskoczona. Myślę, że już zapomniałam imię producenta?

– Wpadł na ciekawy pomysł. – Zeldę uśmiecha się do mnie promiennie, a ja odwzajemniam uśmiech. – Uważa, że widzowie *Porannej Kawy* chcieliby usłyszeć o twoim małym... problemie.

– Aha. – Czuję, że uśmiech zastyga mi na twarzy. – Cóż, to nie jest właściwie...

– Twierdzi, że byłabyś idealnym uczestnikiem dyskusji na ten temat i mogłabyś również odpowiadać na telefony widzów. – Upija łyk smoothie. – Co ty na to?

Wpatruję się w nią zdezorientowana.

– Chcesz, żebym wróciła do programu?

– Och, nie! Nie możemy pozwolić, byś udzielała rad finansowych, prawda? – Wydaje z siebie krótki śmiech. – Mówię o jednorazowym, tematycznym występie. *Jak zakupy zrujnowały mi życie*, coś w tym rodzaju. – Odgryza kęs kanapki. – Najlepiej, żeby twoje wystąpienie było dość... Jak to ująć... Emocjonalne. Może byś się trochę otworzyła, opowiedziała o swoich rodzicach i o tym, jak twój problem zniszczył również ich życie, o problemach w dzieciństwie, kłopotach w związku... Oczywiście to tylko pomysły! – Podnosi wzrok. – I może byś się rozplakała...

– Rozplakała? – powtarzam z niedowierzaniem.

– To nie jest obowiązkowe. W żadnym wypadku. – Zelda nachyla się z zaangażowaniem w moją stronę. – Chcemy, by to doświadczenie było dobre również dla ciebie, Becky. Chcemy ci pomóc. Zaprosilibyśmy do studia Clare Edwards, by udzieliła ci kilku rad.

– Clare Edwards?

– Tak! Pracowałaś z nią kiedyś, prawda? Stąd pomysł, by się z nią skontaktować. Stała się teraz bardzo popularna. Naprawdę potrafi przygadać dzwoniącym, dlatego postanowiliśmy nazwać ją Straszna Clare i dać jej biczą, którym będzie strzelać!

Uśmiecha się do mnie, ale ja nie jestem w stanie się zrewanżować. Twarz mam napiętą z powodu szoku i upokorzenia. Nigdy w życiu nie czułam się tak zlekceważona.

– Co o tym myślisz? – pyta, siorbiąc smoothie.

Odkładam kanapkę, gdyż nie jestem w stanie ugryźć ani kęsa więcej.

– Obawiam się, że muszę odmówić.

– Och, zapłacimy ci, oczywiście! – wykrzykuje Zelda. – Od razu powinnam o tym wspomnieć.

– Mimo to nie jestem zainteresowana.

– Nie odpowiadaj od razu. Przemyśl to! – Zelda posyła mi radosny uśmiech, a potem spogląda na zegarek. – Przykro mi, muszę lecieć. Cudownie było cię zobaczyć, Becky. Tak się cieszę, że dobrze ci się układa.

Po jej odejściu siedzę jeszcze chwilę, popijając wodę mineralną. Na zewnątrz zachowuję spokój, ale w środku pali mnie pełna upokorzenia wściekłość. Chcą, żebym rozplakała się na wizji. Tylko tego chcą. Jeden artykuł w jednym szmatławcu i nie jestem już Becky Bloomwood, ekspertką od finansów. Jestem Becky Bloomwood, zrujnowaną oszustką. Jestem zapłakaną Becky Bloomwood, której można podawać chusteczki.

Mogą sobie wsadzić gdzieś te swoje cholerne chusteczki. Mogą sobie wziąć te

swoje głupie, cholerne, głupie, głupie, cholerne...

– Czy wszystko w porządku? – pyta mężczyzna siedzący przy sąsiednim stoliku, a ja z przerażeniem się orientuję, że mamroczę na głos.

– W porządku – odpowiadam. – Dziękuję. – Odstawiam szklanę i wychodzę z Lorenzo's z uniesioną głową i zaciśniętymi szczękami.

Ruszam ulicą i skręcam za rogiem, nie patrząc nawet, dokąd zmierzam. Nie znam okolicy i nie mam żadnego celu, więc idę po prostu zahipnotyzowana rytmem własnych kroków z nadzieją, że w końcu dotrę do stacji metra.

Oczy zaczynają mnie szczytać, ale mówię sobie, że to z zimna, od wiatru. Wsuwam ręce do kieszeni, zaciskam zęby i zaczynam iść szybciej, starając się nie myśleć. Jednak przepełnia mnie dojmujący lęk, czysta panika, która z każdą chwilą rośnie.

Nie odzyskałam posady. Nie mam nawet widoków na pracę. Co ja powiem Suze? Co ja powiem mamie?

Co ja zrobię ze swoim życiem?

– Hej! Uważaj! – krzyczy ktoś za mną. Przerażona stwierdzam, że zesłam z chodnika prosto pod koła rowerzysty.

– Przepraszam – odpowiadam zachrypniętym głosem, gdy cyklista omija mnie gwałtownie i pokazuje mi fucka. O Boże, to idiotyczne. Muszę zebrać się w sobie. Po pierwsze, gdzie ja jestem? Idę wolniej i spoglądam na szklane drzwi biur w poszukiwaniu nazwy ulicy. Już mam zamiar zapytać o drogę policjanta, gdy dostrzegam tabliczkę. King Street.

Przez chwilę wpatruję się w nią zdumiona i zastanawiam się, dlaczego wydaje mi się znajoma. I nagle sobie przypominam. King Street 17. Alicja.

Numer wytłoczony na drzwiach, które mijam, to 23, a to oznacza, że musiałam niedawno minąć numer 17.

Zżera mnie ciekawość. Co, u licha, dzieje się na King Street pod numerem 17? Dlaczego Alicja wspomniała o spotkaniu pod tym adresem? Czy ma tam siedzibę tajemna sekta? Boże, wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że ona w wolnym czasie jest czarownicą.

Całe ciało drży mi z podniecenia, kiedy się cofam i w końcu staję przed nowoczesnymi podwójnymi drzwiami oznaczonymi numerem 17. Budynek na pewno mieści wiele biur, ale żadna z nazw na liście nie brzmi znajomo.

– Cześć! – mówi mężczyzna w dżinsowej kurtce, z kubkiem kawy. Podchodzi do wejścia, wstukuje kod i otwiera drzwi. – Wyglądasz na zagubioną. Kogo szukasz?

– Właściwie nie jestem pewna – odpowiadam z wahaniem. – Wydawało mi się, że pracuje tu moja znajoma, ale nie pamiętam nazwy firmy.

– Jak się nazywa?

– Alicja – odpowiadam i natychmiast załuję. A jeśli facet ją zna? Jeśli Alicja jest w środku i on pójdzie po nią?

On jednak marszczy brwi.

– Nie znam żadnej Alicji, ale niedawno pojawiło się tutaj kilka nowych twarzy. W jakiej branży pracuje?

– PR – odpowiadam po chwili milczenia.

– PR? Większość tutejszych biur zajmuje się projektowaniem graficznym. – Nagle twarz mu się rozjaśnia. – A może pracuje dla tej nowej firmy? B&B? BBB? Coś w tym stylu. Nie zaczęli jeszcze działalności, więc nie mieliśmy okazji się spotkać. – Wypija łyk cappuccino, a ja wpatruję się w niego. Umysł zaczyna mi nerwowo pracować.

– Nowa firma PR? Z siedzibą tutaj?

– O ile mi wiadomo, tak. Wynajęli przestronny lokal na drugim piętrze.

Myśli strzelają w mojej głowie jak fajerwerki.

B&B. Bridges i Billington. Billington i Bridges.

– Czy... – staram się zachować spokój. – Wiesz, jakim rodzajem PR się zajmują?

– A! To akurat wiem. Finansowym. Podobno ich największym klientem jest Bank Londyński. Albo będzie. To musi być niezły biznesik. Jak jednak wspomniałem, nie spotkaliśmy się jeszcze... – Patrzy na mnie i wyraz jego twarzy się zmienia. – Hej, wszystko w porządku?

– Tak – dukam. – Chyba tak. Muszę tylko... Muszę tylko zadzwonić.

Trzykrotnie wykręcą numer do Four Seasons i trzy razy się rozłączam, bo nie mogę się zebrać w sobie, by poprosić o połączenie z Lukiem Brandonem. W końcu biorę głęboki oddech, wybieram numer ponownie i proszę o połączenie z Michaeliem Ellisem.

– Michael, tu Becky Bloomwood – mówię, gdy odbiera.

– Becky! – Słyszę, że szczerze się cieszy, że mnie słyszy. – Jak się masz?

Zamykam oczy i staram się opanować. Dźwięk jego głosu momentalnie przenosi mnie z powrotem do hotelu Four Seasons, do drogiego holu pogrążonego w przyćmionym świetle. Z powrotem do nowojorskiego świata marzeń.

– Do... – Biorę głęboki oddech. – Do... dobrze. No wiesz... wróciłam do normalności. Jestem bardzo zajęta!

Nie przyznam się, że straciłam pracę. Nie chcę, by wszyscy mnie żalowali.

– Właśnie idę do studia – wyjaśniam ze skrzyżowanymi palcami. – Ale chciałam zamienić z tobą słowo. Chyba wiem, dlaczego krążą plotki, że Luke straci Bank Londyński.

Powtarzam mu dokładnie to, co usłyszałam w biurze Luke'a, o wyprawie na King Street i o tym, czego się tam dowiedziałam.

– Rozumiem – mówi w przerwach Michael ponurym tonem. – Rozumiem. Wiesz, że w umowach pracowników widnieje zapis zabraniający im podobnych działań? Jeśli podkradną Luke'owi klienta, może ich pozwać.

– Rozmawiali o tym. Uważają, że ich nie pozwie, ponieważ jego wizerunek mocno by na tym ucierpiał.

Zapada cisza i niemal słyszę, jak Michael się zastanawia.

– Mają rację – mówi w końcu. – Becky, muszę porozmawiać z Lukiem. Świetnie się spisałaś, dowiadując się wszystkiego.

– To nie koniec – kontynuuję. – Michaelu, ktoś musi pogadać z Lukiem o jego biurze. Byłam w Brandon Communications i wygląda na całkowicie wymarłe. Nikt się nie stara, wszyscy wychodzą wcześniej z pracy. Źle się tam dzieje. – Przygryzam wargę. – Luke powinien tu wrócić.

– Dlaczego sama mu tego nie powiesz? – pyta łagodnie Michael. – Jestem pewien, że chciałby to usłyszeć od ciebie.

Słyszę w jego głosie tak wiele życzliwości i troski, że nagle zaczyna mnie wiercić w nosie.

– Nie mogę. Jeśli do niego zadzwonię, pomyśli jedynie, że chcę mu coś udowodnić albo że to kolejna głupia plotka. – Przerrywam i z trudem przełykam ślinę. – Szczerze mówiąc, wolałabym trzymać się od tego z daleka. Udaj, że ktoś inny z tobą rozmawiał. Ktoś jednak musi mu o tym powiedzieć.

– Zobaczę się z Lukiem za pół godziny – odpowiada Michael. – Pogadam z nim. Świetna robota, Becky!

## Rozdział 16

Po tygodniu przestaję czekać na informacje od Michaela. Cokolwiek powiedział Luke'owi, ja nigdy się o tym nie dowiem. Czuję, jakby zakończył się pewien etap w moim życiu: Luke, Ameryka, telewizja, wszystko. Czas zacząć od nowa.

Staram się zachować pozytywne podejście i powtarzam sobie, że mam przed sobą wiele możliwości. Jaki jednak powinien być następny krok byłej telewizyjnej specjalistki od finansów? Zadzwoiłam do agentki, a ona ku mojemu przerażeniu zareagowała dokładnie tak, jak wszyscy ludzie z amerykańskiej telewizji. Oznajmiła, że niezmiernie się cieszy, że do niej dzwonię, i że nie będzie miała absolutnie żadnego problemu ze znalezieniem dla mnie pracy, a może nawet całej serii programów, oraz że oddzwoni tego samego dnia z mnóstwem ekscytujących wiadomości.

Pozostało mi jedynie przeglądanie ogłoszeń z branży medialnej w „Guardianie”, oferujących posady, na których zdobycie mam niewielkie szanse. Dotychczas zadzwoniłam w sprawie stanowiska redaktora w czasopiśmie inwestycyjnym „Kronika Inwestora” oraz w magazynie „Renty na Bieżąco”. Nie wiem wiele na ten temat, ale zawsze mogę coś wymyślić.

– Jak się masz? – pyta Suze, wchodząc do pokoju z miską płatków kukurydzianych z orzeszkami.

– W porządku – odpowiadam, próbując się uśmiechnąć. Suze bierze do ust łyżkę płatków i przygląda mi się uważnie.

– Co dzisiaj planujesz?

– Niewiele – odpowiadam posępnie. – No wiesz, próbuję znaleźć pracę. Posprzątać życiowy bałagan. Takie tam.

– Ach, tak. – Suze robi współczującą minę. – Znalazłaś już coś ciekawego?

Wskazuję zakreślone ogłoszenie.

– Pomyślałam, że zgłoszę się jako redaktor do magazynu „Renty na Bieżąco”. Kandydaci spełniający wymagania mają szansę na posadę redaktora corocznego dodatku „Zwrot Podatku”!

– Naprawdę? – Mimowolnie się krzywi, ale po chwili szybko dodaje: – To znaczy... to brzmi świetnie! Naprawdę ciekawie!

– Zwroty podatku? Suze, proszę.

– No wiesz, względnie.

Opieram głowę na kolanach i wpatruję się w dywan w salonie. Dźwięk w telewizorze został ściszony i poza chrupaniem Suze w pokoju panuje cisza.

– A jeśli nie uda mi się znaleźć pracy? – pytam nagle.  
– Znajdziesz ją, nie bądź niemądra! Jesteś gwiazdą telewizyjną!  
– Byłam! Byłam gwiazdą telewizyjną! Zanim wszystko zniszczyłam, zanim moje życie rozpadło się na kawałki.

Zamykam oczy i opadam niżej na podłogę, aż w końcu opieram głowę na siedzeniu kanapy. Mam ochotę zostać tam do końca życia.

– Bex, martwię się o ciebie – mówi Suze. – Nie wychodziłaś od kilku dni. Co jeszcze masz zamiar dzisiaj robić?

Otwieram na chwilę oczy i widzę, że przygląda mi się z zaniepokojeniem.

– Nie wiem. Obejrzę *Poranną Kawę*.

– Nie będziesz oglądała *Porannej Kawy*! – protestuje stanowczo Suze. – Chodź. – Zamyka dodatek z ogłoszeniami „Guardiana”. – Wpadłam na świetny pomysł.

– Jaki? – pytam podejrzliwie, kiedy ciągnie mnie do mojego pokoju. Otwiera drzwi, prowadzi mnie do środka i rozpościerając ramiona, wskazuje panujący wokół bałagan.

– Myślę, że powinnaś spędzić ten poranek na odgruzowywaniu.

– Co? – gapię się na nią przerażona. – Ja nie chcę odgruzowywać.

– Ależ tak! Mówię ci, poczujesz się lepiej, tak jak ja. To było fantastyczne!

– Tak, i w efekcie nie zostawiłaś sobie żadnych ubrań! Przez trzy tygodnie musiałaś pożyczać ode mnie majtki.

– No, zgoda – przyznaje. – Może trochę przesadziłam, ale najważniejsze, że to całkowicie odmieni twoje życie.

– Nie odmieni.

– Właśnie że tak! To feng shui. Musisz pozbyć się z życia pewnych rzeczy, żeby zrobić miejsce na nowe.

– Tak, jasne.

– To prawda! Jak tylko odgruzowałam swój pokój, zadzwonili do mnie z Hadleys z propozycją. No dalej, Bex. Trochę porządków świetnie ci zrobi.

Otwiera z rozmachem moją szafę i zaczyna przeglądać ubrania.

– Spójrz na to – mówi i wyciąga zamszową spódnicę z niebieską lamówką. – Kiedy ostatnio miałaś ją na sobie?

– Całkiem niedawno – odpowiadam, krzyżując palce za plecami. Kupiłam tę spódnicę na straganie na Portobello Road, nawet jej nie przymierzając, i w domu się zorientowałam, że jest za mała. Ale nigdy nic nie wiadomo, może kiedyś bardzo schudnę.

– A to... i to... – Marszczy czoło z niedowierzaniem. – A niech mnie, Bex, ile masz par czarnych spodni?

– Tylko jedną! No, może dwie.

– Cztery, pięć, sześć... – Przegląda kolejne wieszaki i zdecydowanym ruchem wyciąga kolejne spodnie.



– Te wkładam tylko wtedy, gdy czuję się grubo – wyjaśniam niepewnym głosem, kiedy wyjmuję moje stare, wygodne, rozszerzane lekko spodnie z Benettona. – A to są dzinsy! – wykrzykuję, kiedy zaczyna szperać na dnie szafy. – Dzinsy nie liczą się jako spodnie!

– Kto tak powiedział?

– Wszyscy to wiedzą!

– Dziesięć... jedenaście...

– A to spodnie narciarskie! To zupełnie co innego. To strój sportowy. – Suze odwraca się w moją stronę.

– Bex, nigdy nie jeździłaś na nartach.

– Wiem – przytakuję po chwili milczenia. – Ale... no wiesz. To na wypadek, gdyby ktoś zabrał mnie w góry. Poza tym były przecenione.

– A to co? – Ostrożnie podnosi moją maskę szermierczą. – To można od razu wyrzucić.

– Mam zamiar nauczyć się fechtunku – wyjaśniam z oburzeniem. – Zostanę dublerką Catherine Zety-Jones.

– Nie mam pojęcia, jakim cudem upchnęłaś to wszystko w szafie. Nigdy niczego nie wyrzucasz? – Bierze do ręki parę butów ozdobionych muszelkami. – Spójrz na przykład na te buty. Nosisz je jeszcze?

– No... nie. – Dostrzegam jej wyraz twarzy. – Ale nie o to chodzi. Gdybym je wyrzuciła, następnego dnia stałyby się modne i musiałabym kupić nową parę. To jest rodzaj... ubezpieczenia.

– Moda na muszelki nigdy nie wróci.

– A może tak! To jak z pogodą, nigdy nic nie wiadomo.

Suze potrząsa głową i toruje sobie drogę do wyjścia wśród stosów ubrań na podłodze.

– Daję ci dwie godziny i kiedy wrócę, chcę zobaczyć odmieniony pokój. Odmieniony pokój – odmienione życie. Zaczynaj!

Suze znika, a ja siadam na łóżku i rozglądam się z rozpaczą.

No dobra, może ma rację. Może powinnam trochę to uporządkować. Ale nie wiem nawet, od czego zacząć. Jeśli zacznę wyrzucać ubrania tylko dlatego, że ich nie noszę, kiedy się zatrzymam? Nic mi nie zostanie.

Na dodatek to wszystko takie trudne i wymaga tak wiele wysiłku.

Biorę do ręki sweter i patrzę na niego przez kilka sekund, a potem odkładam go z powrotem. Wyczerpuje mnie sama myśl, iż musiałabym zdecydować, czy go zostawić, czy nie.

– Jak ci idzie? – dobiega zza drzwi głos Suze.

– Dobrze! – odpowiadam radośnie. – Świetnie!

No dalej, muszę coś zrobić. Może zacznę w rogu i będę posuwać się wkoło.

Przenoszę się w róg pokoju, gdzie na toaletce piętrzy się stos rzeczy, i próbuję się zorientować, co na nim leży. Jest tam sprzęt biurowy, który zamówiłam przez Internet, drewniana misa kupiona wieki temu tylko dlatego, że znalazła się na zdjęciu w „Elle Decoration” (potem zobaczyłam dokładnie taką samą w Woolworths), zestaw do fantastycznego farbowania ubrań, sól morską do peelingu... Co to wszystko jest? A to pudełko, którego nawet jeszcze nie rozpakowałam?

Otwieram paczkę i wpatruję się w rolkę zawierającą pięćdziesiąt metrów foliowego rękawa do pieczenia indyka. Rękaw do pieczenia? Po co go kupiłam? Czyżbym zamierzała piec indyka? Zdumiona sięgam po list leżący na wierzchu i czytam: „Witamy w świecie Country Ways. Niezwykle się cieszymy, że Pani przyjaciółka, pani Jane Bloomwood, poleciła Pani nasz katalog...”.

O Boże, oczywiście. Mama zamówiła te rzeczy, by otrzymać prezent od firmy. Naczynie żaroodporne, rękaw do pieczenia indyka, torby foliowe, do których chowała poduszki z patio, jakiś dziwny przyrząd do wkładania...

Chwileczkę.

Zaraz, zaraz. Upuszczam urządzenie i ponownie sięgam po torby. Ze zdjęcia patrzy na mnie dumnie kobieta z kiepską blond fryzurą, a obok niej leży zapakowana próżniowo kołdra. Napis wychodzący z jej ust głosi: „Zredukowałam rozmiar swoich rzeczy o blisko 75 procent i mam teraz o wiele więcej miejsca w szafie!”.

Ostrożnie otwieram drzwi pokoju i na palcach idę do schowka na szczotki. Po drodze zerkam do salonu – o dziwo, Suze siedzi na sofie z Tarquinem i rozmawia z zaangażowaniem.

– Tarquin! – wykrzykuję i oboje z poczuciem winy podnoszą gwałtownie głowy. – Nie słyszałam, kiedy przyszedłeś.

– Cześć, Becky – odpowiada, nie patrząc mi w oczy.

– Musieliśmy tylko... coś omówić – wyjaśnia Suze i posyła mi pełne zażenowania spojrzenie. – Skończyłaś?

– Prawie – odpowiadam. – Pomyślałam, że odkurzę, żeby uzyskać lepszy efekt.

Zamykam za sobą drzwi i wydaję torby z opakowania. No dobra, powinno pójść gładko. Trzeba je tylko napęczyć i wyssać powietrze. Instrukcja zaleca dziesięć swetrów na torbę, ale kto by je liczył?

Upycham ubrania do pierwszej torby, aż jest maksymalnie wypełniona. Sapiąc z wysiłku, zasuвам plastikowy suwak, a następnie podłączam końcówkę odkurzacza do otworu w torbie. Nie wierzę własnym oczom! To działa. To działa! Na moich oczach ubrania kurczą się do minimalnych rozmiarów!

Och, to fantastyczne. To zrewolucjonizuje moje życie! Po co odgruzowywać, skoro można wszystko zapakować próżniowo?

Pakuję osiem toreb i kiedy są już pełne, wkładam je do szafy. Ledwie się mieszczą i kiedy zamykam drzwi, słyszę wydobywający się z nich syczący dźwięk, ale

najważniejsze, że są schowane. Zmieściły się.

Popatrzcie teraz na mój pokój! To niesamowite! W porządku, nie wygląda nieskazitelnie, ale o wiele lepiej niż przedtem. Szybko wsuwam kilka pozostałych przedmiotów pod kołdrę, układam na niej poduszki i odsuwam się, by rozejrzeć się wokół. Czuję się rozgrzana i dumna z siebie. Nigdy wcześniej mój pokój nie wyglądał tak dobrze. Suze miała rację, czuję się teraz inaczej.

Wiecie, może jednak coś jest w feng shui. Może to punkt zwrotny i od tego momentu moje życie zacznie się zmieniać.

Ostatni raz z podziwem spoglądam na pokój i wołam:

– Skończyłam!

Gdy Suze podchodzi do drzwi, przysiadam zadowolona na krawędzi łóżka. Uśmiecham się promiennie, widząc zdumienie na jej twarzy.

– Bex, to fantastyczne! – Rozgląda się z niedowierzaniem po uprzątniętej przestrzeni. – I tak szybko to zrobiłaś? Mnie porządki zajęły całe wieki!

– No wiesz... – Wzruszam nonszalancko ramionami. – Jak już coś postanowię, to nie ma zmiłuj.

Robi kilka kroków w głąb pokoju i patrzy zadziwiona na moją toaletkę.

– Boże, nie wiedziałam, że ona ma marmurowy blat!

– Właśnie – oznajmiam z dumą. – Ładny, prawda?

– Ale gdzie są wszystkie zbędne rzeczy? Gdzie worki na śmieci?

– One... Już je wyniosłam.

– Dużo wyrzuciłaś? – pyta i podchodzi do pustej półki nad kominkiem. – Na pewno!

– Całkiem sporo – odpowiadam wymijająco. – Pod koniec byłam dość bezwzględna.

– Jestem pod wrażeniem! – Zatrzymuje się przed szafą, a ja wpatruję się w nią zdenerwowana.

Nie otwieraj jej, modlę się w duchu. Tylko jej nie otwieraj!

– Coś ci zostało? – pyta z promiennym uśmiechem i otwiera drzwi szafy. Obie wydajemy z siebie krzyk.

To przypomina eksplozję bomby wypełnionej gwoździami.

Tylko zamiast gwoździ atakują nas ubrania.

Nie wiem, co się stało, co zrobiłam źle, ale jedna z toreb wybucha, rozsypując wszędzie swetry i jednocześnie wypychając na zewnątrz inne torby. Po niej wybuchają kolejne. To jest istny sztorm ubraniowy. Suze ginie pod elastycznymi koszulkami, spódnica z cekinami ląduje na abażurze, a stanik przelatuje jak pocisk przez pokój i uderza w okno.

Suze jednocześnie krzyczy i śmieje się, a ja szaleńczo macham rękami i wołam: „Stop! Stop!” niczym Kanut Wielki na brzegu morza.

A wtedy, och, nie...

Nie, proszę, nie.

Ale już za późno. Ze skrytki na górnej półce wypada kaskada torebek prezentowych. Jedna po drugiej wychodzą na światło dzienne. Uderzają Suze w głowę, lecą na podłogę i ujawniają swoją zawartość – a każda tę samą: szare, błyszczące pudełka ze srebrnym napisem S C-S.

Chyba ze czterdzieści.

– Co... – Suze zdiera z głowy koszulkę i patrzy na nie z otwartymi ustami. – Gdzie, u licha, je... – Szpera po omacku w powodzi ubrań zalewających podłogę, bierze do rąk jedno z pudełek, otwiera je i wpatruje się w milczeniu w jego zawartość. Wewnątrz, opakowana w turkusową bibułę, leży skórzana ramka na zdjęcia.

O Boże. O Boże. Dlaczego musiały wypaść?

Suze bez słowa sięga po torbę z logo sklepu Prezenty i Drobiazgi. Otwiera ją, a ze środka wypada paragon. W ciszy wyjmuje dwa pudełka i podnosi ich wieczka, odsłaniając ramki z fioletowego tweedu.

Otwieram usta, by coś powiedzieć, ale nie wychodzi z nich ani jedno słowo. Przez chwilę tylko patrzymy na siebie nawzajem.

– Bex... Ile ich masz? – pyta wreszcie Suze nieco ściśniętym głosem.

– Ekhm... niewiele – odpowiadam i czuję, że się czerwienię. – No wiesz, raptem kilka.

– Tu musi być jakieś pięćdziesiąt sztuk!

– Nie!

– Tak! – Rozgląda się wokół, a jej policzki płoną ze zdenerwowania. – Bex, to naprawdę drogie ramki.

– Nie kupiłam ich dużo! – Próbuję rozładować atmosferę śmiechem. – I nie kupiłam wszystkich naraz.

– Nie powinnaś była kupić ani jednej! Powiedziałam, że zrobię ci ramkę.

– Wiem – mówię zakłopotana. – Wiem, że tak powiedziałaś, ale chciałam jedną kupić. Chciałam cię wesprzeć.

Zapada cisza, kiedy Suze sięga po kolejną torebkę ze sklepu Prezenty i Drobiazgi i patrzy na dwa pudełka w jej wnętrzu.

– To ty, prawda? – mówi nagle. – To dlatego sprzedaż moich ramek tak dobrze szła.

– Nie! Naprawdę, Suze...

– Wydałaś wszystkie pieniądze na moje ramki. – Głos zaczyna jej drżeć. – Wszystkie swoje pieniądze. A teraz masz długi.

– Nie!

– Gdyby nie ty, nie podpisałabym umowy.

– Podpisałabyś! – protestuję przerażona. – Oczywiście, że tak. Suze, robisz najpiękniejsze ramki na świecie. Spójrz tylko na tę! – Sięgam do najbliższej stojącego pudełka i wyciągam ramkę z poszarpanego dzinsu. – Kupiłabym ją, nawet gdybym cię

nie znała. Wszystkie bym je kupiła!

– Nie kupiłabyś aż tylu – Ika Suze. – Kupiłabyś najwyżej... trzy.

– Kupiłabym wszystkie. Wspaniale nadają się na prezent albo jako... dekoracja.

– Tylko tak mówisz!

– Nie! – upieram się, czując, że mnie samej zbiera się na płacz. – Suze, wszyscy uwielbiają twoje ramki. Słyszałam, jak ludzie w sklepie mówili, że są wspaniałe.

– Nieprawda.

– Prawda! Zaledwie wczoraj jedna kobieta podziwiała je w sklepie Prezenty i Drobiazgi, a reszta klientów się z nią zgodziła.

– Naprawdę? – pyta cicho Suze.

– Tak! Jesteś szalenie utalentowana i odniosłaś sukces. – Rozglądam się po pokoju, który wygląda jak po wybuchu, i czuję, że zalewa mnie fala rozpaczy. – A ja jestem w kompletnej rozsypce. John Gavin miał rację, do tej pory powinnam uzbierać już jakieś aktywa. Powinnam już się pozbierać, a jestem... bezwartościowa.

– Nie jesteś! – protestuje przerażona Suze. – Nie jesteś bezwartościowa!

– Jestem! – Żalśnie opadam na dywan z ubrań na podłodze. – Suze, tylko spójrz na mnie. Jestem bezrobotna, nie mam żadnych perspektyw, zostałam pozwana do sądu, moje długi sięgają wielu tysięcy funtów i nawet nie wiem, jak zacząć je spłacać.

Od strony drzwi dochodzi znaczące kasłanie. Podnoszę wzrok i widzę Tarquina z trzema kubkami kawy.

– Przerwa regeneracyjna? – pyta i przedziera się przez stosy ubrań.

– Dziękuję, Tarquin – mówię, siąkając nosem, i biorę od niego kubek. – Przepraszam za to wszystko. Mam po prostu... kiepski okres.

Tarquin siada na łóżku i wymieniają z Suze spojrzenia.

– Krucho z kasą?

– Tak – Ika i wycieram oczy. – Krucho. – Tarquin ponownie zerka na Suze.

– Becky, z przyjemnością ci...

– Nie, nie dziękuję. – Uśmiecham się do niego. – Naprawdę.

Zapada cisza i wszyscy troje sączymy kawę. Przez okno wpada smuga zimowego słońca, a ja zamykam oczy, czując kojące ciepło na twarzy.

– Nawet najlepszym się zdarza – stwierdza współczująco Tarquin. – Szalony wujek Monty zawsze bankrutował, prawda, Suze?

– Boże, racja! Ciągle! – przytakuje Suze. – Ale zawsze odbijał się od dna.

– Właśnie! Za każdym razem.

– Co robił? – Podnoszę wzrok z iskierką zainteresowania.

– Zwykle sprzedawał jakiegoś Rembrandta – wyjaśnia Tarquin. – Albo Stubbsa. Coś w tym rodzaju.

Świetnie. O co chodzi z tymi wszystkimi milionerami? Nawet Suze, którą kocham... Oni tego po prostu nie rozumieją. Nie wiedzą, jak to jest, gdy nie ma się pieniędzy.

– No tak – odpowiadam i próbuję się uśmiechnąć. – Cóż... Niestety, nie walają mi się po pokoju zbędne obrazy Rembrandta. Mam jedynie... milion par czarnych spodni i kilka koszulek.

– I strój do szermierki – dodaje Suze.

Za ścianą dzwoni telefon, ale żadne z nas nawet nie drgnie.

– I drewnianą misę, której nienawidzę. – Wydaję z siebie chichot na granicy łkania.  
– I czterdzieści ramek na zdjęcia.

I designerski sweter z dwoma golfami.

I koktajlową sukienkę od Very Wang. W przypiływie ożywienia rozglądam się po pokoju. – Nowiutką torebkę od Kate Spade i... i... szafę pełną ubrań, których ani razu nie włożyłam. Suze... – Jestem zbyt poruszona, by mówić. – Suze...

– Co?

– Tylko pomyśl. Mam coś. Mam aktywa! Mogły nieco stracić na wartości, ale...

– Co masz na myśli? – pyta, a po chwili jej twarz się rozjaśnia. – Och, masz konto oszczędnościowe, o którym zapomniałaś?

– Nie! Żadne konto!

– Nie rozumiem, Bex! O czym ty mówisz?

Otwieram usta, by to wyjaśnić, kiedy za ścianą włącza się automatyczna sekretarka i odzywa się głos z silnie amerykańskim akcentem. Sztywnieję i odwracam głowę.

– Cześć, Becky, tu Michael Ellis. Właśnie przyleciałem do Londynu i zastanawiałem się, czy moglibyśmy się spotkać i porozmawiać.

To dziwne wrażenie zobaczyć Michaela w Londynie. Kojarzy mi się nieodłącznie z Nowym Jorkiem i hotelem Four Seasons, ale jest tutaj, we własnej osobie, w restauracji River Room w hotelu Savoy, z twarzą rozciągniętą w uśmiechu. Kiedy siadam przy stoliku, podnosi rękę i przywołuje kelnera.

– Dżin z tonikiem dla pani. – Patrzy na mnie i unosi pytająco brwi. – Zgadza się?

– Tak, poproszę. – Uśmiecham się do niego z wdzięcznością. Chociaż tak wiele rozmawialiśmy w Nowym Jorku, czuję się teraz nieco onieśmielona.

– A więc... – zaczyna, kiedy kelner przynosi mi drinka. – Wiele się wydarzyło od naszej ostatniej rozmowy. – Unosi kieliszek. – Na zdrowie.

– Na zdrowie. – Wypijam łyk. – Na przykład?

– Na przykład Alicja Billington i cztery inne osoby zostały zwolnione z Brandon Communications.

– Cztery inne? – Patrzę na niego z otwartymi ustami. – Czy spiskowali razem?

– Najwyraźniej. Okazuje się, że Alicja pracowała nad tym projektem już od jakiegoś czasu. To nie był jakiś błahy, oparty na mrzonkach pomysł, ale dobrze zorganizowany i przemyślany plan. A do tego świetnie wspierany. Wiesz, że przyszły mąż Alicji jest bardzo bogaty?

- Nie miałam pojęcia – odpowiadam, ale zaraz przypominam sobie buty od Chanel.
- Ale to by się zgadzało.
  - On zajął się finansami. Jak podejrzewałaś, mieli zamiar podkraść Bank Londyński. Wypijam łyk dzinu z tonikiem, rozkoszując się intensywnym smakiem.
  - Więc co się stało?
  - Luke wkroczył do akcji, zaskoczył ich wszystkich, zagonił do sali konferencyjnej i przeszukał ich biurka. Znalazł bardzo wiele.
  - Luke? – Czuję gwałtowny ucisk w żołądku. – To znaczy, że jest w Londynie?
  - Aha.
  - Od kiedy?
  - Od trzech dni. – Michael zerka na mnie. – Rozumiem, że jeszcze do ciebie nie dzwonił.
  - Nie. – Próbuję ukryć rozczarowanie. – Nie dzwonił. – Sięgam po szklankę i wypijam duży łyk drinka. Dopóki Luke był w Nowym Jorku, mogłam sobie mówić, że nie rozmawiamy z powodu kwestii geograficznych, ale teraz, gdy jest w Londynie i nawet do mnie nie zadzwonił, czuję się inaczej. Mam wrażenie, że... to rzeczywiście koniec.
  - Co teraz robi?
  - Minimalizuje straty – odpowiada cierpko Michael. – Podnosi morale. Okazuje się, że jak tylko wyjechał do Nowego Jorku, Alicja zaczęła rozsiewać plotki, że on zamierza całkowicie zamknąć oddział w Wielkiej Brytanii. Dlatego atmosfera siadła. Pracownicy wydzwaniali do head hunterów i zaniedbywali klientów. Szczerze mówiąc, panuje niezły bałagan. – Potrząsa głową. – Ta dziewczyna sprowadza kłopoty.
  - Wiem.
  - Nad tym się właśnie zastanawiałem. Skąd o tym wiesz? – Nachyliła się w moją stronę z wyrazem zainteresowania na twarzy. – Zauważyłaś u niej coś, czego nie dostrzegł Luke ani ja. Miałaś do tego jakieś podstawy?
  - Niewiele – odpowiadam szczerze. – Tylko fakt, że jest totalną krową.
  - Michael odrzuca w tył głowę i zanosi się śmiechem.
  - Kobieca intuicja. Czy trzeba innego powodu?
  - Śmieje się przez chwilę, a potem odstawia szklankę i uśmiecha się do mnie z błyskiem w oku.
  - Przy okazji, słyszałem w skrócie, co powiedziałaś Luke'owi o jego matce.
  - Naprawdę? – Patrzę na niego z przerażeniem. – Powiedział ci?
  - Rozmawiał ze mną na ten temat i zapytał, czy mnie cokolwiek mówiłaś.
  - Och! – Czuję, że rumieniec powoli zalewa mi twarz. – Wiesz... byłam zła. Nie chciałam powiedzieć, że jest... – Odchrząkuję. – Nie zastanawiałam się, co mówię.
  - Luke wziął to sobie do serca. – Michael unosi brwi. – Zadzwonił do matki, powiedział, że sobie nie daruje, jeśli nie zobaczy jej przed wyjazdem, i umówił się na

spotkanie.

– Naprawdę? – Wpatruję się w niego zaintrygowana. – I co się stało?

– Nie przyszła. Wysłała wiadomość, że musi wyjechać z miasta. Luke czuł się bardzo zawiedziony. – Michael kręci głową. – Tak między nami, myślę, że miałaś co do niej rację.

– Och, cóż...

Zakłopotana wzruszam ramionami i sięgam po kartę dań, by ukryć zażenowanie. Nie mogę uwierzyć, że Luke powtórzył Michaelowi, co powiedziałam o jego matce. Co jeszcze mu zdradził? Mój rozmiar stanika?

Przez chwilę wpatruję się w listę potraw, nie wybierając żadnej, a potem podnoszę wzrok i widzę, że Michael poważnie mi się przygląda.

– Becky, nie powiedziałem Luke’owi, że to ty dałaś mi cynk. Skłamałem, że otrzymałem anonimową informację i postanowiłem ją sprawdzić.

– To rozsądnie. – Wpatruję się w obrus.

– To ty ocaliłaś jego firmę – stwierdza łagodnie. – Byłby ci bardzo wdzięczny. Nie sądzisz, że powinien o tym wiedzieć?

– Nie. – Kulę się. – Pomyślałby tylko... Pomyślałby, że jestem... – Urywam w pół zdania.

Nie mogę uwierzyć, że Luke wrócił trzy dni temu i nie zadzwonił do mnie. Wiedziałałam, że to koniec. Oczywiście. Jednocześnie maleńka cząstka mnie myślała...

Tak czy inaczej. Najwyraźniej się myliłam.

– Co by sobie pomyślał? – bada Michael.

– Nie wiem – rzucam szorstko. – Chodzi o to, że między nami wszystko skończone, dlatego wolę... trzymać się z boku.

– Cóż... potrafisz to zrozumieć. – Patrzy na mnie łagodnie. – Zamówimy?

Jemy i rozmawiamy o innych sprawach. Michael opowiada mi o swojej agencji reklamowej w Waszyngtonie i rozśmiesza opowieściami o politykach, których zna, i kłopotach, w jakie się pakują. Ja natomiast mówię mu o rodzinie, Suze i o tym, jak dostałam pracę w *Porannej Kawie*.

– Właściwie wszystko dobrze się układa – stwierdzam odważnie i zanurzam łyżkę w czekoladowym musie. – Mam świetne perspektywy, producentom bardzo się podobam i zastanawiają się nad poszerzeniem mojego programu.

– Becky – przerywa mi delikatnie Michael. – Wiem o twojej pracy.

Wpatruję się w niego w milczeniu, a twarz płonie mi ze wstydu.

– Naprawdę ci współczułem – kontynuuje. – To nie powinno było się wydarzyć.

– Czy... czy Luke wie? – pytam zachrypniętym głosem.

– Tak, raczej tak.

Wypijam duży łyk wina. Nie mogę pogodzić się z myślą, że Luke będzie się nade mną litował.



– Cóż, mam wiele możliwości – mówię w desperacji. – Może nie w telewizji, ale staram się o kilka posad jako dziennikarka finansowa.

– W „Financial Times”?

– Ekhm... cóż... w „Periodyku Inwestycji Osobistych” i czasopiśmie „Renty na Bieżąco”.

– „Renty na Bieżąco”? – pyta z niedowierzaniem Michael. Widząc jego wyraz twarzy, nie mogę się powstrzymać i parskam lekko drżącym śmiechem. – Becky, czy którakolwiek z tych posad cię interesuje?

Mam zamiar powtórzyć swoją standardową odpowiedź: „Finanse osobiste są znacznie ciekawsze, niż ci się wydaje!”, gdy nagle zdaję sobie sprawę, że nie mam już siły udawać. Finanse osobiste nie są bardziej interesujące, niż się wydaje. Są tak nudne, jak się wydaje. Nawet w *Porannej Kawie* podobały mi się jedynie momenty, gdy dzwoniący zaczynali opowiadać o swoim życiu i rodzinach.

– A jak myślisz? – pytam więc tylko i wypijam kolejny łyk wina. Michael opada na oparcie i ociera usta serwetką.

– Więc dlaczego się o nie starasz?

– Nie wiem, co innego mogłabym zrobić. – Rozpaczliwie wrzuszam ramionami. – Finanse osobiste to jedyna rzecz, jaką się zajmowałam. Jestem... zaszufadkowana.

– Ile masz lat, Becky? Wybacz pytanie.

– Dwadzieścia sześć.

– Zaszufadkowana w wieku dwudziestu sześciu lat. – Michael kręci głową. – Nie sądzę. – Wypija łyk kawy i posyła mi oceniające spojrzenie.

– Gdyby pojawiła się propozycja pracy dla ciebie w Ameryce, przyjęłabyś ją?

– Przyjęłabym cokolwiek – odpowiadam szczerze. – Ale co ma się pojawić dla mnie w Ameryce?

Zapada cisza. Bardzo powoli Michael sięga po miętową czekoladkę, odwija ją i kładzie na brzegu spodka.

– Becky, mam dla ciebie propozycję – oznajmia, podniósłszy wzrok. – W agencji reklamy mamy wakat na stanowisku dyrektora ds. komunikacji firmowej.

Wpatruję się w niego z filizanką zawieszoną w połowie drogi do ust. Nie mam odwagi pomyśleć, iż rzeczywiście mówi to, co podejrzewam.

– Potrzebujemy kogoś z umiejętnościami redaktorskimi, kto mógłby koordynować wydawanie comiesięcznego biuletynu. Pod tym względem byłabyś idealna. Chcemy również, żeby kandydat świetnie dogadywał się z ludźmi, słuchał plotek, troszczył się, by pracownicy byli zadowoleni i informował zarząd o ewentualnych problemach. – Wrzusza ramionami. – Szczerze mówiąc, nie przychodzi mi do głowy ktoś bardziej odpowiedni na to stanowisko niż ty.

– Pro... proponujesz mi pracę? – pytam z niedowierzaniem, próbując zignorować mocniejsze bicie serca i pojawiające się w nim iskierki nadziei. – Ale co z „Daily

World”? Z... zakupami?

– A co ma być? – Michael wzrusza ramionami. – Ty lubisz robić zakupy, ja lubię jeść. Nikt nie jest doskonały. Dopóki nie jesteś na międzynarodowej liście poszukiwanych...

– Nie, nie – zaprzeczam pospiesznie. – W zasadzie mam zamiar to wszystko poukładać.

– A co z imigracją?

– Mam prawnika. – Przygryzam wargę. – Chociaż obawiam się, że niezbyt mnie lubi.

– Mam znajomości w urzędzie imigracyjnym – pociesza mnie Michael. – Jestem pewien, że jakoś to załatwimy. – Opiera się na krześle i wypija łyk kawy. – Waszyngton to nie Nowy Jork, ale tam też można się dobrze bawić. Polityka to fascynująca scena. Czuję, że spodobałaby ci się. A pensja... Cóż, może nie będzie to aż tyle, ile mogłoby ci zaproponować CNN, ale w przybliżeniu... – Píše kwotę na kartce i przesuwa ją w moim kierunku.

Nie mogę w to uwierzyć. To dwa razy więcej, niż dostałabym na którejkolwiek z marnych posad, które rozważałam.

Waszyngton, agencja reklamowa, całkowicie nowa kariera.

Ameryka, bez Luke’a, na moich warunkach.

Jeszcze tego wszystkiego nie pojmuję.

– Dlaczego proponujesz mi tę pracę? – wyduszam w końcu.

– Zrobiłaś na mnie duże wrażenie – odpowiada Michael z powagą. – Jesteś bystra, skuteczna, masz dobrą intuicję. – Wpatruję się w niego i czuję, jak kolor wstydu występuje mi na policzki. – I pomyślałem, że zasługujesz na szansę – dodaje przyjaźnie. – Nie musisz decydować od razu. Będę tutaj przez kilka dni, więc jeśli chcesz, możemy jeszcze o tym porozmawiać. Pomijając to, Becky...

– Tak?

– Mówię poważnie. Bez względu na to, czy przyjmiesz moją propozycję, czy nie, nie pakuj się w nic innego. – Kręci głową. – Nie zgadzaj się na byle co. Jesteś na to za młoda. Spójrz w serce i podążaj za tym, czego naprawdę chcesz.

## Rozdział 17

Nie od razu podejmuję decyzję. Przez dwa tygodnie chodzę po mieszkaniu, wypijam morze kawy, rozmawiam z rodzicami, Suze, Michaelem, dawnym szefem Philipem, nową agentką telewizyjną Cassandrą, właściwie z każdym, kto przychodzi mi do głowy. W końcu decyduję. W głębi serca wiem, co naprawdę chcę zrobić.

Luke nie zadzwonił i szczerze mówiąc, sądzę, że już nigdy nie będę z nim rozmawiać. Ze słów Michaela wynika, że pracuje siedemnaście godzin dziennie, jednocześnie próbując ocalić Brandon Communications i utrzymać otwarte opcje w Stanach, i jest bardzo zestresowany. Chyba nadal nie otrząsnął się z szoku, którego doznał, odkrywając, że Alicja spiskowała przeciwko niemu oraz że Bank Londyński rozważał przeniesienie się do jej firmy. Szoku spowodowanego odkryciem, że nie jest „odporny na gówno”, jak ujął to poetycko Michael. „Na tym polega problem, gdy cały świat cię kocha”, powiedział mi wczoraj. „Któregoś dnia budzisz się i widzisz, że świat flirtuje z twoim najlepszym przyjacielem. Nie wiesz, co robić. Jesteś zбитy z tropu”.

– Czy Luke czuje się tym wszystkim przybity? – zapytałam, wykręcając sobie palce.

– Przybity? – wykrzyknął Michael. – Czuje się, jakby go rozdeptało stado dzików.

Kilka razy podnosiłam słuchawkę, gdy nachodziło mnie pragnienie, by zadzwonić do Luke’a, ale za każdym razem brałam głęboki oddech i rezygnowałam. To teraz jego życie, a ja muszę odbudować swoje. Całkowicie nowe.

Słyszę odgłos przy drzwiach i odwracam głowę. Suze rozgląda się po moim pustym pokoju.

– Och, Bex – mówi z rozpaczą. – Nie podoba mi się to. Rozłóż z powrotem wszystko, niech znowu będzie bałagan.

– Przynajmniej teraz jest zgodnie z feng shui – odpowiadam i próbuję się uśmiechnąć. – Na pewno przyniesie ci to dużo szczęścia.

Wchodzi do pokoju, kroczy przez pusty dywan, zbliża się do okna, a potem się odwraca.

– Wydaje się mniejszy – stwierdza powoli. – Powinien wyglądać na większy bez rupieci, ale ta zasada najwyraźniej w tym przypadku nie działa. Przypomina okropne, puste pudełeczko.

Przez chwilę w ciszy obserwuję, jak maleńki pajak wspina się po ramie okiennej.

– Postanowiłaś, co z nim zrobisz? – pytam w końcu. – Poszukasz nowej współlokatorki?

– Nie sędzę – odpowiada Suze. – Nie ma pośpiechu, prawda? Tarkie zasugerował, żebym na razie urządziła tu gabinet.

– Czyżby? – Odwracam się i patrzę na nią z uniesionymi ze zdziwienia brwiami. – A przy okazji, czyżbym słyszała tu Tarquina zeszłej nocy i wymykającego się chyłkiem rano?

– Nie – zaprzecza speszona Suze. – To znaczy, tak. – Podchwycyca moje spojrzenie i czerwieni się. – Ale to był już absolutnie ostatni raz. Najostatniejszy.

– Taka z was słodka para – przyznaję i uśmiecham się do niej szeroko.

– Nie mów tak! – wykrzykuje przerażona. – Nie jesteśmy parą.

– Dobrze – ustępuję. – Nieważne. – Zerkam na zegarek. – Wiesz, powinniśmy już iść.

Patrzę na Suze, a jej oczy są pełne łez.

– Wiem. – Ściskam mocno jej dłoń i przez chwilę obie milczymy. Potem sięgam po płaszcz. – Chodź.

Idziemy do pubu King George na końcu ulicy. Przecinamy pomieszczenie na dole i wchodzimy na górę po drewnianych schodach do przestronnej, prywatnej sali z czerwonymi aksamitnymi zasłonami, barkiem i mnóstwem stołów na kozłach po obu stronach. Na jednym końcu pomieszczenia ustawiono prowizoryczne podwyższenie, a pośrodku rzędy plastikowych krzeseł.

– Cześć! – Wita nas Tarquin. – Napijcie się. – Unosi swój kieliszek. – Czerwone jest całkiem niezłe.

– Czy bar jest przygotowany? – pyta Suze.

– Oczywiście – przytakuje Tarquin. – Wszystko gotowe.

– Bex, to na nasz koszt – mówi Suze, kiedy sięgam po portmonetkę. – Prezent pożegnalny.

– Suze, nie musisz...

– Ale chcę – stwierdza stanowczo Suze. – I Tarquin też.

– Przyniosę wam drinki – proponuje Tarquin, a potem ścisza głos i dodaje: – Całkiem niezła frekwencja, nie sądzicie?

Kiedy odchodzi, Suze i ja odwracamy się, by rozejrzeć się po sali. Przy stołach rozstawionych wokół kłębią się ludzie, oglądają równo ułożone na stosach ubrania, buty, płyty kompaktowe i bibeloty. Na jednym ze stołów leży sarta napisanych na komputerze i skopiowanych katalogów, w których goście zaznaczają wybrane przedmioty.

Słyszę, jak dziewczyna w skórzanych dzinsach mówi:

– Spójrz na ten płaszcz! Och, i na te buty z Hobbs! Na pewno będę je licytować!

Po drugiej stronie sali dwie dziewczyny przykładają do siebie spodnie, podczas gdy ich partnerzy cierpliwie trzymają im drinki.

– Kim są ci wszyscy ludzie? – pytam z niedowierzaniem. – Wszystkich zaprosiłaś?  
– Cóż, przeszukałam swoją książkę adresową – wyjaśnia Suze. – Potem Tarquina i Fenny...

– Aha – mówię ze śmiechem. – To wszystko wyjaśnia.

– Cześć, Becky! – odzywa się pogodny głos za moimi plecami. Odwracam się i widzę koleżankę Fenelli, Millę, z dwiema znajomo wyglądającymi dziewczynami. – Mam zamiar licytować twój fioletowy sweter, Tory sukienkę z futrem, a Annabel znalazła już dla siebie sześć tysięcy strojów! Zastanawialiśmy się, czy jest tutaj dział z dodatkami?

– Tam – wyjaśnia Suze i wskazuje kąt sali.

– Dzięki! – mówi Milla. – Do zobaczenia! – Dziewczyny radośnie wtapiają się w tłum i słyszę, jak jedna z nich mówi:

– Potrzebny mi dobry pasek.

– Becky! – woła Tarquin, pojawiwszy się za mną. – Proszę, oto wino. Pozwól, że przedstawię ci Caspara, mojego kumpla z Christie's.

– O, cześć! – mówię i odwracam się. Widzę faceta o luźno opadających blond włosach, w niebieskiej koszuli, z ogromnym złotym sygnetem. – Bardzo dziękuję za zorganizowanie aukcji! Jestem wam bardzo wdzięczna!

– Nie ma za co, nie ma za co – odpowiada Caspar. – Przeglądałem katalog i wszystko wydaje mi się jasne. Masz listę cen wywoławczych?

– Nie – odpowiadam natychmiast. – Żadnych cen wywoławczych. Wszystko musi zostać sprzedane.

– W porządku. – Uśmiecha się do mnie. – W takim razie pójdę się przygotować.

Caspar odchodzi, a ja wypijam łyk wina. Suze poszła, by zerknąć na niektóre ze stołów, więc stoję przez chwilę sama i obserwuję rosnący tłum. Fenella pojawia się w drzwiach, a ja macham do niej, ale natychmiast przechwytuje ją grupa piszczących koleżanek.

– Cześć, Becky! – Słyszę za plecami niepewny głos. Zdziwiona odwracam się gwałtownie i moim oczom ukazuje się Tom Webster.

– Tom! – wykrzykuję. – Co ty tutaj robisz? Skąd wiesz o aukcji? – Tom wypija łyk ze swojego kieliszka i uśmiecha się do mnie szeroko.

– Suze zadzwoniła do twojej mamy, a ona opowiedziała mi o wszystkim. W zasadzie obydwie z moją mamą złożyły kilka zamówień. – Wyciąga z kieszeni listę. – Twoja mama chce ekspres do cappuccino, jeśli jest na sprzedaż.

– Och, tak – przytakuję. – Powiem licytatorowi, by tego dopilnował.

– A moja mama chce kapelusz z piórami, który miałaś na sobie na naszym ślubie.

– W porządku, nie ma problemu. – Na wspomnienie ślubu robi mi się nieco gorąco.

– A jak życie małżeńskie? – pytam, oglądając paznokiec.

– Och... w porządku – odpowiada po chwili milczenia.

- Tak rozkoszne, jak oczekiwałeś? – pytam, starając się zachować żartobliwy ton.
- No wiesz... – Wpatruje się w kieliszek lekko przestraszonym wzrokiem. – Oczekiwanie, że wszystko od początku będzie idealne, byłoby nierealistyczne, prawda?
- Rzeczywiście.
- Zapada niezręczna cisza. W oddali słyszę głos:
- Kate Spade! Spójrz, zupełnie nowa!
- Becky, bardzo cię przepraszam – mówi pospiesznie Tom. – Za to, jak zachowaliśmy się wobec ciebie na ślubie.
- W porządku! – odpowiadam nieco zbyt pogodnie.
- Nie, to nie było w porządku. – Potrząsa głową. – Twoja mama miała całkowitą rację. Niewiele osób znam tak długo jak ciebie. Czuję się niezręcznie z powodu tego zajścia.
- Naprawdę, Tom, to była również moja wina. Powinam była przyznać, że Luke’a nie ma na ślubie – oznajmiam smutno. – Byłoby o wiele prościej.
- Lucy dawała ci popalić, więc rozumiem, dlaczego czułaś, że musisz... – Przerzywa i wypija duży łyk drinka. – Tak czy inaczej Luke wyglądał na miłego faceta. Przyjdzie dzisiaj?
- Nie – odpowiadam po chwili milczenia i silę się na uśmiech. – Nie przyjdzie.

Jakies pół godziny później goście zaczynają zajmować miejsca na ustawionych w rzędy plastikowych krzesłach. Z tyłu sali stoi pięciu lub sześciu kolegów Tarquina z telefonami komórkowymi. Caspar wytłumaczył mi, że są na linii z osobami licytującymi telefonicznie.

– Słyszeli o aukcji, ale z różnych powodów nie mogli na nią dotrzeć. Udostępnialiśmy katalogi szerokiej publiczności i jest wielu zainteresowanych. Sama sukienka od Very Wang przyciągnęła uwagę mnóstwa osób.

– Tak – mówię i czuję dreszcz podniecenia. – Podejrzewałam, że tak się stanie. – Rozglądam się po sali i patrzę na pogodne twarze, na których maluje się oczekiwanie, na gości ostatni raz zerkających na stoły. Jakaś dziewczyna przegląda stertę dzinsów, ktoś inny wypróbowuje zapięcie przy mojej uroczej malutkiej walizeczce. Nie mogę jeszcze uwierzyć, że po dzisiejszym wieczorze żadna z tych rzeczy nie będzie już należała do mnie. Trafiają do szaf innych ludzi, do innych pokoi.

– Wszystko w porządku? – pyta Caspar, podążając za moim wzrokiem.

– Tak! – odpowiadam radośnie. – Dlaczego miałyby być inaczej?

– Prowadziłem wiele domowych wyprzedaży – wyjaśnia przyjaźnie. – Wiem, jak to jest. Ludzie przywiązują się do swoich rzeczy bez względu na to, czy jest to osiemnastowieczna szyfoniera, czy... – Zerka do katalogu. – Różowy płaszcz w panterkę.

– W zasadzie nigdy go nie lubiłam. – Posyłam mu pewny uśmiech. – Poza tym nie

o to chodzi. Chcę zacząć od nowa i myślę – i wiem! – że to najlepszy sposób. – Uśmiecham się do niego. – Chodź. Zaczynamy?

– Oczywiście. – Stuka w pulpit i oznajmia: – Panie i panowie! Przede wszystkim chciałbym powitać państwa dzisiejszego wieczoru w imieniu Becky Bloomwood. Mamy do wylicytowania wiele przedmiotów, dlatego nie będę opóźniał rozpoczęcia aukcji. Chciałem jedynie przypomnieć, że dwadzieścia pięć procent zebranych pieniędzy zostanie przekazane różnym organizacjom charytatywnym, podobnie jak kwota pozostała po opłaceniu przez Becky zaległych rachunków.

– Mam nadzieję, że nie wstrzymują oddechu – oznajmia beznamiętny głos z tyłu sali i wszyscy się śmieją. Przyglądam się badawczo tłumowi, by zobaczyć, do kogo należy, i nie wierzę własnym oczom. To Derek Smeath. Stoi z kuflem piwa w jednej dłoni i katalogiem w drugiej. Posyła mi uśmiech, a ja nieśmiało macham do niego.

– Jak się o dowiedział o aukcji? – syczę do Suze, która dołączyła do mnie na podwyższeniu.

– Powiedziałam mu! – oznajmia. – Stwierdził, że to cudowny pomysł. Przyznał, że kiedy już używasz mózgu, nikt nie jest w stanie dorównać ci pomysłowością.

– Naprawdę? – Zerkam ponownie na Dereka Smeatha i lekko się czerwienię.

– A więc – zaczyna Caspar. – Przedstawiam przedmiot numer jeden. Pomarańczowe sandały w bardzo dobrym stanie, prawie nienoszone. – Stawia je na stole, a Suze ściska ze współczuciem moją dłoń. – Czy są jakieś propozycje?

– Piętnaście tysięcy funtów – oznajmia Tarquin, podniósłszy natychmiast rękę.

– Piętnaście tysięcy funtów – powtarza nieco zdumiony Caspar. – Mam ofertę piętnastu tysięcy funtów...

– Nie, nie masz! – przerywam mu. – Tarquin, nie możesz zalicytować piętnastu tysięcy funtów!

– Dlaczego nie?

– Musisz proponować realistyczne ceny! – Posyłam mu surowe spojrzenie. – Inaczej dostaniesz zakaz licytowania.

– No, dobrze... Tysiąc funtów.

– Nie! Możesz zaproponować... dziesięć funtów – wyjaśniam stanowczo.

– W porządku. Dziesięć funtów. – Opuszcza potulnie rękę.

– Piętnaście funtów. – Dobiega głos z tyłu sali.

– Dwadzieścia! – krzyczy dziewczyna na przodzie.

– Dwadzieścia pięć – rzuca Tarquin.

– Trzydzieści!

– Trzydz... – Tarquin podchwytuje moje spojrzenie, czerwieni się i milknie.

– Trzydzieści funtów. Czy są kolejne propozycje? – Caspar rozgląda się po sali sokolim wzrokiem. – Po raz pierwszy, po raz drugi, po raz trzeci, sprzedane! Pani w zielonym aksamitnym płaszczu. – Uśmiecha się do mnie szeroko, zapisuje coś na

kartce i podaje buty Fenelli, która odpowiada za przekazywanie sprzedanych przedmiotów nabywcom.

– Twoje pierwsze trzydzieści funtów! – szepcze mi do ucha Suze.

– Przedmiot numer dwa! – ogłasza Caspar. – Trzy haftowane swetry z Jigsaw, nienoszone, z metkami. Pierwsza oferta...

– Dwadzieścia funtów! – zaczyna dziewczyna ubrana na różowo.

– Dwadzieścia pięć! – krzyczy kolejna.

– Telefoniczna oferta w wysokości trzydziestu funtów – oznajmia mężczyzna, podnosząc rękę z tyłu sali.

– Trzydzieści funtów od jednego z licytantów telefonicznych. Czy ktoś przebije trzydzieści? Panie i panowie, proszę pamiętać, że dochód będzie przeznaczony również na cele charytatywne.

– Trzydzieści pięć! – krzyczy dziewczyna w różowym stroju i zwraca się do sąsiadki. – Przecież w sklepie każdy z osobna kosztowałby więcej, a nawet nie były noszone!

Boże, ona ma rację. Trzydzieści pięć funtów za trzy swetry to grosze. Grosze!

– Czterdzieści! – słyszę swój własny krzyk, zanim jestem w stanie się powstrzymać. Cała sala patrzy na mnie, a ja czuję, że momentalnie się czerwienię. – To znaczy... Czy ktoś wylicytuje czterdzieści?

Licytacja trwa, a ja jestem zdumiona zebraną kwotą. Kolekcja butów przyniosła przynajmniej tysiąc funtów, zestaw biżuterii Dinny Hall sprzedano za dwieście funtów, a Tom Webster za sześćset funtów kupił mój komputer.

– Tom... – mówię zaniepokojona, kiedy podchodzi do podwyższenia, by wypełnić formularz. – Nie powinieneś licytować tak wysokiej kwoty.

– Za nowiutkiego maca? – pyta. – Jest wart tej ceny. Poza tym Lucy od jakiegoś czasu powtarza, że chciałaby mieć swój komputer. – Uśmiecha się lekko. – Nie mogę się doczekać, kiedy poinformuję ją, że dostanie twój używany.

– Przedmiot numer siedemdziesiąt trzy – oznajmia obok mnie Caspar. – Wiem, że będzie się cieszył dużym zainteresowaniem. Koktajlowa sukienka od Very Wang. – Powoli podnosi fioletową suknię, a wśród tłumu rozlega się pełne zachwyty westchnienie.

W tym momencie zdaję sobie sprawę, że nie jestem w stanie patrzeć na jej sprzedaż. To zbyt bolesne, zbyt świeże. Moja przepiękna, błyszcząca sukienka gwiazdy filmowej. Na sam jej widok wszystko mi się przypomina, tak jakby w zwolnionym tempie odtwarzano mi przed oczami film. Taniec z Lukiem w Nowym Jorku, delektowanie się koktajlami, radosne, upajające podniecenie. A potem przebudzenie i obserwowanie, jak wszystko wokół mnie się wali.

– Przepraszam – szepczę i wstaję. Szybko wychodzę z sali, zbiegam po schodach



i wychodzę na świeże, wieczorne powietrze. Opieram się o ścianę pubu, słucham śmiechów i rozmów wewnątrz i próbuję skoncentrować się na wszystkich pozytywnych powodach, dla których to robię.

Kilka minut później obok mnie pojawia się Suze.

– Wszystko w porządku? – pyta i podaje mi kieliszek wina. – Proszę, napij się.

– Dzięki – odpowiadam z wdzięcznością i upijam pokaźny łyk. – Wszystko okej, tylko... Wszystko zaczęło do mnie docierać. To, co robię.

– Bex... – Suze przerywa i z zakłopotaniem pociera twarz. – Zawsze możesz zmienić zdanie. Zawsze możesz zostać. Po dzisiejszym wieczorze, przy odrobinie szczęścia, spłacisz wszystkie swoje długi. Mogłabyś znaleźć pracę, zostać ze mną w mieszkaniu.

Przez chwilę patrzę na nią w milczeniu i czuję pokusę tak silną, że niemal bolesną. Bardzo łatwo byłoby się zgodzić, pójść z Suze do domu, wypić filiżankę herbaty i wrócić do dawnego życia.

Potrząsam jednak głową.

– Nie. Nie wrócę do przeszłości. Znalazłam coś, czego naprawdę chcę i zrobię to, Suze.

– Rebecca. – Przerywa nam czyjś głos i obie podnosimy wzrok. Z pubu wychodzi Derek Smeath. Trzyma drewnianą misę, jedną z ramek na zdjęcia Suze i duży atlas w twardej oprawie, który kupiłam, gdy myślałam, iż porzucę życie na Zachodzie i zacznę podróżować.

– Witam! – odpowiadam i kiwam głową na widok jego zdobyczy. – Dobrze panu poszło.

– Bardzo dobrze. – Unosi misę. – To niezwykle ciekawy okaz.

– Pojawił się kiedyś na łamach „Elle Decoration” – wyjaśniam. – Bardzo modny.

– Naprawdę? Powiem córce. – Trochę niezręcznie wkłada ją pod pachę. – Słyszałem, że jutro wylatuje pani do Ameryki.

– Tak, jutro po południu. Po wizycie u pańskiego kolegi, Johna Gavina.

Cierpki uśmiech przebiega po twarzy Dereka Smeatha.

– Jestem pewien, że ucieszy się z pani wizyty. – Wyciąga w moją stronę swą dłoń, na ile pozwalają mu trzymane przedmioty. – Powodzenia, Becky. Proszę dać mi znać, jak się pani układa.

– Oczywiście – odpowiadam i uśmiecham się do niego ciepło. – I dziękuję za... Wie pan, za wszystko.

Kiwa głową i odchodzi w noc.

Dość długo stoimy z Suze na zewnątrz. Licytujący zaczęli już wychodzić, niosąc swe łupy i rozmawiając o tym, za ile je zdobyli. Mija nas mężczyzna ściskający mininiszczarkę i kilka garnuszków miodu lawendowego, dziewczyna ciągnie worek na

śmiesi pełen ciuchów, ktoś inny niesie zaproszenia z błyszczącymi kawałkami pizzy. Kiedy zaczyna się robić zimno, ze schodów woła nas głos.

– Hej – krzyczy Tarquin. – Ostatni przedmiot. Chcecie zobaczyć?

– Chodź – decyduje Suze i gasi papierosa. – Musisz obejrzeć licytację ostatniej rzeczy. Co to będzie?

– Nie wiem – stwierdzam, kiedy wchodzimy po schodach. – Może maska do szermierki.

Kiedy jednak wracamy do sali, doznaję szoku. Caspar trzyma w dłoni mój szal od Denny’ego i George’a. Mój ukochany szal. Połyskujący błękit, jedwabisty aksamit z jasnoniebieskim nadrukiem, ozdobiony opalizującymi koralikami.

Stoję i wpatruję się w niego z narastającym uciskiem w gardle i do bólu wyraźnie przypominam sobie dzień, w którym go kupiłam. Poczucie, że za wszelką cenę chcę go mieć, to, jak Luke pożyczył mi dwadzieścia funtów, których mi brakowało, i moment, w którym powiedziałam, że kupuję go dla ciotki.

Sposób, w jaki na mnie patrzył za każdym razem, gdy miałam go na sobie.

Oczy zachodzą mi mgłą i mrugam zawzięcie, próbując odzyskać panowanie nad sobą.

– Bex, nie sprzedawaj szala – mówi Suze, patrząc na niego z rozpaczą. – Zachowaj przynajmniej jedną rzecz.

– Przedmiot numer sto dwadzieścia sześć – oznajmia Caspar. – Bardzo atrakcyjny szal z jedwabiu i aksamitu.

– Bex, powiedz, że zmieniłaś zdanie!

– Nie zmieniłam zdania – odpowiadam ze wzrokiem utkwionym w przestrzeni przed sobą. – Nie ma sensu się go trzymać.

– Jaką ofertę usłyszysz za ten gustowny, designerski dodatek od Denny’ego i George’a?

– Denny i George! – Wykrzykuje dziewczyna w różu, podnosząc wzrok. Otacza ją ogromna masa ubrań i nie mam pojęcia, jak jej się uda zanieść je wszystkie do domu. – Ja zbieram stroje od Denny’ego i George’a! Trzydzieści funtów!

– Pierwsza oferta w wysokości trzydziestu funtów – powtarza Caspar. Rozgląda się po sali, a ta szybko się wyludnia. Goście ustawiają się w kolejce, by odebrać nabyte przedmioty, lub kupują drinki przy barze, a garstka pozostałych na swych miejscach głównie gawędzi.

– Jakież wyższe oferty za szal od Denny’ego i George’a?

– Tak! – odzywa się głos z tyłu sali i widzę, jak dziewczyna ubrana na czarno unosi rękę. – Otrzymałam telefoniczne zgłoszenie na trzydzieści pięć funtów.

– Czterdzieści funtów – podbija natychmiast dziewczyna w różu.

– Pięćdziesiąt – oznajmia dziewczyna w czerni.

– Pięćdziesiąt? – pyta dziewczyna w różu i odwraca się na krześle. – Kto to

licytuje? Czy to Miggy Sloane?

– Licytujący woli pozostać anonimowy – wyjaśnia po chwili milczenia dziewczyna w czerni. Nasze spojrzenia się spotykają, a moje serce na moment zamiera.

– Założę się, że to Miggy – stwierdza dziewczyna i odwraca się z powrotem. – Cóż, nie przebiję mnie. Sześćdziesiąt funtów.

– Sześćdziesiąt funtów? – pyta facet siedzący obok niej, który z lekkim niepokojem obserwował jej stos ubrań. – Za szal?

– Szal od Denny’ego i George’a, głupku! – rzuca dziewczyna i upija łyk wina. – W sklepie kosztowałyby przynajmniej dwieście. Siedemdziesiąt! Och, ale jestem głupia. To przecież nie moja kolej.

Dziewczyna w czerni od pewnego czasu rozmawia po cichu przez telefon. Teraz podnosi wzrok na Caspara.

– Sto.

– Sto? – Dziewczyna w różu ponownie odwraca się na krześle. – Naprawdę?

– Ostatnia oferta to sto funtów – oznajmia spokojnie Caspar. – Sto funtów za szal od Denny’ego i George’a. Czy mam kolejne oferty?

– Sto dwadzieścia – mówi dziewczyna w różu. Na moment zapada cisza, podczas której dziewczyna w czerni rozmawia szeptem przez telefon. Następnie podnosi wzrok i mówi:

– Sto pięćdziesiąt.

W sali rozlegają się pełne zainteresowania szepty, a goście przy barze ponownie odwracają się w stronę aukcji.

– Sto pięćdziesiąt funtów – oznajmia Caspar. – Mam sto pięćdziesiąt funtów za pozycję numer sto dwadzieścia sześć, szal od Denny’ego i George’a.

– To więcej, niż ja za niego zapłaciłam! – szepczę do Suze.

– Ostatnia oferta od klienta telefonicznego. Panie i panowie, sto pięćdziesiąt funtów.

Zapada pełna napięcia cisza i nagle sobie uświadamiam, że wbijam sobie paznokcie w skórę.

– Dwieście – rzuca prowokacyjnie dziewczyna w różu, a w sali rozlega się pełne zdumienia westchnienie. – I proszę powiedzieć swojej anonimowej klientce, Miggy Sloane, że przebiję każdą jej ofertę.

Wszyscy odwracają głowy, by spojrzeć na dziewczynę w czerni, która szepcze do słuchawki, a potem kiwa głową.

– Mój klient się wycofuje – oznajmia, podnosząc wzrok. Czuję niewyjaśnione ukłucie zawodu i szybko się uśmiecham, by je ukryć.

– Dwieście funtów! – mówię do Suze. – To całkiem niezłe!

– Po raz pierwszy, po raz drugi, po raz trzeci i sprzedane – ogłasza Caspar i uderza młotkiem. – Pani w różowym stroju.

Rozlega się aplauz, a Caspar uśmiecha się szeroko do publiczności. Bierze do ręki

szal i już ma przekazać go Fenelli, ale go powstrzymuję.

– Poczekaj – mówię. – Chciałabym wręczyć go nabywczyni osobiście, jeśli mogę.

Biorę szal z rąk Caspara i przez chwilę trzymam go w dłoni, czując pod palcami jego koronkową fakturę. Nadal wyczuwam na nim swój zapach. Czuję, jak Luke zawiązuje mi go na szyi.

Dziewczyna w szalu od Denny’ego i George’a.

Oddycham głęboko i schodzę na dół z podwyższenia, w kierunku dziewczyny w różu. Uśmiecham się do niej i podaję jej szal.

– Niech ci służy – mówię. – To wyjątkowy szal.

– Och, wiem – odpowiada cicho. – Wiem o tym. – Przez krótką chwilę patrzymy na siebie i mam wrażenie, że całkowicie mnie rozumie. Potem się odwraca i podnosi szal do góry jak trofeum. – Możesz się teraz ugryźć, Miggy!

Wracam na podwyższenie. Caspar wygląda na wyczerpanego.

– Świetna robota – gratuluję mu, siadając obok. – Jeszcze raz bardzo ci dziękuję. Wspaniale się spisałeś.

– Nie ma za co! – odpowiada. – Nawet mi się podobało. Lekka odmiana od dawnej niemieckiej porcelany. – Wskazuje swoje zapiski. – No i sporo zebraliśmy.

– Cudownie ci poszło! – oznajmia Suze. Podchodzi, by usiąść z nami, i podaje Casparowi piwo. – Bex, teraz bez dwóch zdań wyjdiesz na prostą. – Wydaje z siebie westchnienie podziwu. – To dowodzi jedynie, że od początku miałaś rację. Zakupy to rzeczywiście jest inwestycja. Ile zarobiłaś na sprzedaży szala od Denny’ego i George’a?

– Hmm... – Zamykam oczy i staram się policzyć. – Około sześćdziesięciu procent.

– Sześćdziesiąt procent zysku! W niecały rok! Widzisz? Efekt lepszy niż inwestycja na starym, mizernym rynku akcji. – Wyjmuje papierosa i zapala go. – Wiesz co? Myślę, że możesz sprzedać też wszystkie moje rzeczy.

– Przecież nie masz żadnych rzeczy. Wyrzuciłaś wszystko po odgruzowaniu.

– No tak – Suze rzędzie mina. – Boże, dlaczego to zrobiłam?

Opieram się na łokciach i zamykam oczy. Nagle nie wiedzieć czemu czuję się całkowicie wyczerpana.

– Jutro wylatujesz? – pyta Caspar, popijając piwo.

– Jutro wylatuję – powtarzam, wpatrując się w sufit. Jutro opuszczam Anglię i lecę na stałe do Ameryki. Zostawiam wszystko, by zacząć od początku. Nie czuję, że dzieje się to naprawdę.

– Mam nadzieję, że nie jednym z tych lotów bladym świtem? – pyta i zerka na zegarek.

– Nie, dzięki Bogu. Wylatuję dopiero o siedemnastej.

– To dobrze – mówi i kiwa głową. – Masz jeszcze mnóstwo czasu.

– O, tak. – Opieram się na krześle i spoglądam na Suze, która uśmiecha się do mnie

szeroko. – Mnóstwo czasu na załatwienie kilku drobnych spraw.

– Becky! Tak się cieszymy, że zmieniłaś zdanie! – wykrzykuje na mój widok Zelda. Wstaję z kanapy w recepcji i uśmiecham się do niej przelotnie. – Wszyscy są podekscytowani, że pojawisz się na wizji! Co sprawiło, że się zdecydowałaś?

– Och, nie jestem pewna – odpowiadam życzliwie. – Coś mnie przekonało.

– Zaprowadzę cię od razu do makijażystki. Jak zwykle panuje tutaj całkowity chaos, więc wejdiesz na wizję nieco wcześniej, niż planowaliśmy.

– Nie ma sprawy – odpowiadam. – Im szybciej, tym lepiej.

– Muszę powiedzieć, że świetnie wyglądasz – przyznaje Zelda, przyglądając mi się z lekkim rozczarowaniem. – Schudłaś?

– Może troszeczkę...

– A, to z powodu stresu – komentuje mądrze. – Stres, cichy zabójca. W przyszłym tygodniu pokażemy program na ten temat. Dobrze! – wykrzykuje, wprowadzając mnie do pokoju makijażystki. – To jest Becky...

– Zeldo, wiemy, kim jest Becky – zauważa Chloe, która malowała mnie od momentu, gdy pierwszy raz pojawiłam się w *Porannej Kawie*. Robi do mnie minę w lustrze, a ja tłumię śmiech.

– Oczywiście! Przepraszam, Becky, po prostu pomyślałam o tobie jak o gościu. Chloe, nie upiększaj zbyt mocno Becky. Nie chcemy, żeby wyglądała dzisiaj zbyt promiennie i radośnie. – Ścisza głos. – I użyj wodoodpornego tuszu do rzęs. W zasadzie wszystkie kosmetyki powinny być wodoodporne. Do zobaczenia!

Zelda wybiega z pomieszczenia, a Chloe rzuca za nią pogardliwe spojrzenie

– Dobra – mówi. – Sprawię, że będziesz wyglądała lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Superradośnie i superpromiennie.

– Dzięki, Chloe – odpowiadam. Uśmiecham się do niej szeroko i siadam na krześle.

– Och, i powiedz mi, że nie będziesz potrzebowała wodoodpornego tuszu – dodaje, zakładając mi pelerynkę.

– Nie ma mowy – potwierdzam. – Musieliby mnie najpierw zastrzelić.

– W takim razie pewnie to zrobią – odzywa się dziewczyna z drugiego końca pokoju i wszystkie zaczynamy chichotać.

– Mam tylko nadzieję, że dobrze ci zapłacą za ten występ – dodaje Chloe i zaczyna rozprawiać podkład na mojej twarzy.

– Tak, rzeczywiście – przytakuję. – Ale nie dlatego to robię.

Pół godziny później siedzę w poczekalni, gdy wchodzi Clare Edwards. Ma na sobie ciemnozielony kostium, w którym nie jest jej do twarzy, a do tego ktoś chyba umalował ją zbyt mało wyraziście. W świetle reflektorów będzie wyglądała bardzo blado.

To sprawka Chloe, myślę i tłumię uśmiech.

– Och – mówi Clare, nieco zmieszana moim widokiem. – Cześć, Becky.

– Cześć, Clare. Dawno się nie widziałyśmy.

– Cóż, tak. – Zaplata ręce. – Z przykrością czytałam o twoich kłopotach.

– Dzięki – odpowiadam pogodnie. – Ale nie ma tego złego... Prawda, Clare?

Natychmiast intensywnie się rumieni i odwraca wzrok, a ja czuję się nieco zawstydzona. To nie jej wina, że mnie zwolnili.

– Prawdę mówiąc, cieszę się, że dostałaś tę pracę – przyznaję bardziej przyjaźnie. – I uważam, że świetnie sobie radzisz.

– Dobra! – rzuca Zelda, która właśnie wpadła do poczekalni. – Becky, czekamy na ciebie. – Kiedy wychodzimy, kładzie mi dłoń na ramieniu. – Wiem, że to będzie dla ciebie traumatyczne przeżycie. Jesteśmy przygotowani na to, że możesz potrzebować więcej czasu. Powtórzę raz jeszcze, jeśli całkiem się załamiesz, zaczniesz łąkać, nie przejmuj się.

– Dziękuję, Zeldo. – Z powagą kiwam głową. – Będę o tym pamiętać.

Wchodzimy na plan, gdzie na sofach siedzą Rory i Emma. Zerkam na monitor i widzę, że powiększyli moje okropne zdjęcie z Nowego Jorku, podkolorowali je na czerwono i opatrzyli tytułem „Tragiczna tajemnica Becky”.

– Cześć – wita się Emma, kiedy siadam, i poklepuje mnie współczująco po rękę. – Wszystko w porządku? Chcesz chusteczkę?

– Hmm... nie, dziękuję. – Ściszam głos. – Może później.

– Zachowałaś się niesamowicie odważnie, przychodząc tutaj – stwierdza Rory i wpatruje się w notatki. – Czy to prawda, że rodzice się ciebie wyrzekli?

– Wchodzimy za pięć... – informuje Zeldo z offu. – Cztery... trzy...

– Witamy ponownie – oznajmia Emma ponuro do kamery. – Jest dzisiaj z nami szczególny gość. Tysiące z was śledziło losy Becky Bloomwood, naszej byłej specjalistki od finansów. Jak ujawniła gazeta „Daily World”, Becky daleka była od finansowej stabilizacji.

Na monitorze pojawia się zdjęcie ukazujące mnie podczas zakupów, następnie seria nagłówków z brukowców, a wszystko w takt piosenki *Hej, rozrzutna*.

– Becky – zaczyna Emma, gdy cichnie muzyka. – Na początku chciałabym powiedzieć, jak niezmiernie nam przykro z powodu twojego trudnego położenia i jak bardzo ci współczujemy. Za chwilę zapytamy naszą ekspert od finansów, Clare Edwards, co powinnaś była zrobić, by uniknąć tej katastrofy. Najpierw jednak, by jasno przedstawić całą sytuację naszym widzom, czy możesz nam powiedzieć, na jaką dokładnie kwotę jesteś zadłużona?

– Z przyjemnością, Emmo – mówię i biorę głęboki wdech. – Obecnie mój dług wynosi... – Milknę i czuję, jak całe studio przygotowuje się na szok. – Zero funtów.

– Zero? – Emma spogląda na Rory’ego, jakby chciała się upewnić, czy dobrze usłyszała. – Zero?!

– John Gavin, dyrektor do spraw kredytów, z chęcią potwierdzi, iż dzisiaj rano o dziewiątej trzydzieści całkowicie spłaciłam zadłużenie na swoim koncie. Zwróciłam każdy najmniejszy dług, jaki miałam.

Pozwalam sobie na maleńki uśmiech na wspomnienie twarzy Johna Gavina w momencie, gdy wręczyłam mu gotówkę w postaci niezliczonej ilości plików banknotów. Tak bardzo chciałam, by wił się, skręcał i zżymał, ale muszę mu przyznać, że po pierwszych kilku tysiącach zaczął się uśmiechać i gestem przywoływać ludzi, by przyszli zobaczyć tę zaskakującą sytuację. Na koniec naprawdę życzliwie uścisnął mi dłoń i powiedział, że zrozumiał to, co powiedział o mnie Derek Smeath.

Ciekawe, czego stary Smeathie mu naopowiadał.

– Widzicie więc, że wcale nie jestem w trudnym położeniu – dodaję. – W zasadzie nigdy nie czułam się tak dobrze jak teraz.

– Aha – mówi Emma. – Rozumiem. – Dostrzegam rozproszenie w jej wzroku i wiem, że w tej chwili Barry na pewno krzyczy coś do niej w słuchawce.

– Nawet jeśli twoja sytuacja finansowa została tymczasowo wyjaśniona, twoje życie nadal zapewne leży w gruzach. – Ponownie współczująco nachyla się do mnie. – Jesteś bezrobotna, porzucona przez przyjaciół...

– Wręcz przeciwnie. Nie jestem bezrobotna. Dzisiaj po południu wylatuję do Stanów Zjednoczonych, gdzie czeka na mnie nowa kariera. To dość ryzykowny krok i na pewno postawi przede mną wiele wyzwań, ale jestem przekonana, że będę tam szczęśliwa. A co do przyjaciół... – Głos zaczyna mi drzeć, więc oddycham głęboko. – To właśnie oni mi pomogli. To oni przy mnie wytrwali.

O Boże, nie wierzę. Po tym wszystkim mam w oczach cholerne łzy. Mrugam, by je powstrzymać, i uśmiecham się promiennie do Emmy.

– Tak naprawdę to nie jest historia porażki. Rzeczywiście się zadłużyłam i straciłam pracę, ale zaradziłam temu. – Odwracam się do kamery. – Chciałabym zwrócić się do wszystkich, którzy znaleźli się w kłopotach, tak jak ja: wy też możecie z tego wyjść. Zaczynjcie działać. Sprzedajcie wszystkie swoje ubrania. Złóżcie podanie o nową pracę. Możecie zacząć od nowa, tak jak ja.

W studiu zapada cisza. I nagle zza jednej z kamer rozlega się klaskanie. Spoglądam zdumiona w tamtą stronę i widzę kamerzystę Dave'a, który uśmiecha się do mnie szeroko i bezgłośnie mówi „Brawo”. Przyłącza się do niego Gareth, manager planu, potem kolejna osoba i po chwili całe studio klaszcze, z wyjątkiem Emmy i Rory'ego, którzy wyglądają na skonsternowanych, oraz Zeldy, nerwowo mówiącej do słuchawki.

– Cóż! – mówi Emma, przekrzykując aplauz. – Ekhm... Zapraszamy na krótką przerwę, ale zostańcie z nami, by za kilka minut dowiedzieć się więcej na temat dzisiejszej historii dnia: „Tragiczna...” hmm... – Waha się, nasłuchując głosu w słuchawce. – A raczej „Triumfalna...”

Z głośników płynie dzingiel programu, a Emma z irytacją spogląda w kierunku

stanowiska producenta.

– Mógłby się, cholera, zdecydować!

– Do zobaczenia – mówię i wstaję. – Lecę.

– Lecisz? – pyta Emma. – Nie możesz jeszcze iść!

– Mogę. – Sięgam do mikrofonu, a dźwiękowiec Eddie podbiega do mnie, by go zdjąć.

– Dobrze powiedziane – szepcze, odpinając go z mojego żakietu. – Nie przejmuj się nimi. – Posyła mi szeroki uśmiech. – Barry wariuje na górze.

– Hej, Becky! – Zelda z przerażeniem podnosi wzrok. – Gdzie idziesz?

– Powiedziałam to, co chciałam powiedzieć. Teraz muszę złapać samolot.

– Nie możesz teraz wyjść! Nie skończyliśmy jeszcze!

– Ja skończyłam – oznajmiam i sięgam po torebkę.

– Telefony się urywają! – mówi Zelda i podbiega do mnie. – Centrala nie daje rady! Wszyscy dzwoniący mówią... – Wpatruje się we mnie tak, jakby nigdy wcześniej mnie nie widziała. – Nie mieliśmy pojęcia. Kto by pomyślał...

– Muszę iść, Zeldo.

– Poczekaj, Becky! – woła, kiedy jestem już przy drzwiach studia. – Barry i ja rozmawialiśmy właśnie i zastanawialiśmy się, czy...

– Zeldo – przerywam jej łagodnie. – Już za późno. Idę.

Na lotnisko Heathrow docieram o piętnastej. Nadal przepełniają mnie emocje po pożegnalnym lunchu z Suze, Tarquinem i rodzicami. Jeśli mam być szczerą, to mam ochotę wybuchnąć płaczem i biegiem wrócić do nich. Jednocześnie jednak nigdy wcześniej nie czułam się tak podekscytowana. Nigdy nie byłam tak pewna, że postępuję właściwie.

Na środku pętli autobusowej znajduje się stoisko, w którym można otrzymać darmowy egzemplarz gazety. Mijając je, sięgam po „Financial Times”. Ze względu na stare czasy. Poza tym, jeśli będę miała przy sobie FT, może przesadzą mnie do pierwszej klasy? Rozkładam ją tylko po to, by złożyć ponownie i wsunąć pod pachę, i wtedy dostrzegam nazwisko, na widok którego zamieram.

„Brandon próbuje ocalić firmę. Strona 27”.

Lekko drżącymi palcami rozkładam gazetę, odnajduję odpowiednią stronę i czytam artykuł.

Przedsiębiorca PR Luke Brandon walczy o utrzymanie inwestorów po dramatycznych przejściach związanych ze zdradą kilku pracowników wyższego szczebla. Morale w niegdyś czołowej firmie PR jest niskie, a z powodu pogłosek na temat jej niepewnej przyszłości kadra zaczyna opuszczać szeregi. Na dzisiejszym spotkaniu kryzysowym Brandon ma zamiar przekonać inwestorów do



poparcia jego radykalnych planów restrukturyzacyjnych, związanych prawdopodobnie z...

Czytam końcówkę artykułu i przez chwilę przyglądam się zdjęciu Luke'a. Jak zwykle wygląda na pewnego siebie, ale przypominam sobie komentarz Michaela, że rozdeptało go stado dzików. Jego świat runął, podobnie jak mój, ale jego mama prawdopodobnie nie zadzwoni, by go pocieszyć.

Przez chwilę robi mi się szkoda Luke'a. Chciałabym zatelefonować do niego i powiedzieć, że będzie lepiej. Nie ma to jednak sensu. On jest zajęty swoim życiem, a ja swoim. Składam ponownie gazetę i zdecydowanie podchodzę do stanowiska odprawy paszportowej.

– Ma pani jakiś bagaż do nadania? – pyta obsługująca dziewczyna i uśmiecha się do mnie.

– Nie – odpowiadam. – Podróżuję bez zbędnego obciążenia. Tylko ja i moja torba. – Od niechcienia przekładam gazetę, by bardziej rzucała się w oczy. – Zapewne nie ma możliwości zmiany klasy na wyższą?

– Przykro mi, dzisiaj nie. – Dziewczyna robi współczującą minę. – Ale mogę panią posadzić przy wyjściu ewakuacyjnym. Jest tam dużo miejsca na nogi. Czy mogę zważyć pani torbę?

– Oczywiście.

Gdy się schylam, by położyć małą walizeczkę na taśmociągu, znajomy głos za moimi plecami wykrzykuje:

– Poczekaj!

Czuję ucisk w brzuchu, jakbym właśnie spadła dziesięć metrów w dół. Odwracam się z niedowierzaniem. Tak, to on.

To Luke. Kroczy przez hol w kierunku stanowiska odprawy. Ubrany elegancko jak zawsze, ale twarz ma bladą i wymizerowaną. Cienie pod oczami sugerują, że jego obecna dieta składa się z kawy i długich godzin pracy.

– Gdzie ty, do cholery, lecisz?! – pyta, zbliżając się. – Przeprowadzasz się do Waszyngtonu?

– Co ty tu robisz? – drżącym głosem odwzajemniam się pytaniem. – Nie powinieneś być na kryzysowym spotkaniu z inwestorami?

– Byłem, aż Mel przyszła, by podać herbatę, i powiedziała, że widziała cię dziś rano w telewizji.

– I wyszedłeś ze spotkania? – Wpatruję się w niego. – Tak w środku?

– Powiedziała, że wyjeżdżasz z kraju. – Jego ciemne oczy obserwują moją twarz.

– Tak – przytakuję i mocniej ściskam walizkę. – Wyjeżdżam.

– Tak po prostu? Nie mówiąc mi nawet o tym?

– Tak, tak po prostu – odpowiadam i stawiam bagaż na taśmociągu. – Tak jak ty

wróciłeś do Wielkiej Brytanii i nic mi nie powiedziałeś. – Głos mi się załamuje i Luke się wzdryga.

– Becky...

– Miejsce przy oknie czy od strony korytarza? – przerywa dziewczyna na stanowisku.

– Przy oknie, poproszę.

– Becky...

Jego komórka dzwoni przenikliwym dźwiękiem, a on wyłącza ją z irytacją.

– Becky... Chcę porozmawiać.

– Teraz chcesz porozmawiać? – pytam z niedowierzaniem. – Świetnie. Idealne wycucie czasu. Dokładnie w momencie, gdy stoję przy odprawie. – Uderzam gazetę wierzchem dłoni. – A co ze spotkaniem kryzysowym?

– Może poczekać.

– Przyszłość twojej firmy może poczekać?! – Unoszę brwi. – Czy to nie jest trochę... nieodpowiedzialne?

– Moja firma nie miałaby żadnej, kurwa, przyszłości, gdyby nie ty – wykrzykuje niemal ze złością, a mnie mimowolnie po całym ciele przechodzą ciarki. – Michael powiedział mi, co zrobiłaś. Jak rozpracowałaś Alicję, jak go ostrzegłaś, jak wybadałaś całą sytuację. – Potrząsa głową. – Nie miałem pojęcia. Jezu, gdyby nie ty, Becky...

– Nie powinien był ci mówić – szepczę wściekła. – Zabroniłam mu, a on mi obiecał, że tego nie zrobi.

– No ale mi powiedział! A teraz... – Luke milknie. – A teraz ja nie wiem, co powiedzieć – kończy ciszej. – „Dziękuję” to o wiele za mało.

Przez chwilę patrzymy na siebie w milczeniu.

– Nie musisz nic mówić – oznajmiam w końcu, odwracając wzrok. – Zrobiłam to tylko dlatego, że nie cierpię Alicji. To był jedyny powód.

– Posadziłam panią w rzędzie trzydziestym drugim – informuje mnie pogodnie dziewczyna. – Boarding powinien się zacząć o czwartej trzydzieści. – Patrzy ponownie na moje zdjęcie w paszporcie i wyraz jej twarzy się zmienia. – Zaraz, to pani jest tą ekspertką od finansów z *Porannej Kawy*, prawda?

– Byłam – odpowiadam z uprzejmym uśmiechem.

– Ach, tak – mówi zdezorientowana. Gdy oddaje mi paszport i kartę pokładową, jej wzrok przebiega po „Financial Times” i zatrzymuje się na zdjęciu Luke’a. Spogląda na niego i ponownie na zdjęcie.

– Chwileczkę. Czy to pan jest na tym zdjęciu? – pyta, stukając w fotografię.

– Byłem – odpowiada po chwili milczenia Luke. – No dalej, Becky, pozwól mi przynajmniej postawić ci drinka.

Siadamy przy małym stoliku z kieliszkami pernod. Widzę, jak ekran w telefonie Luke’a

świeci co pięć minut, oznajmiając, że ktoś próbuje się do niego dodzwonić. On jednak zdaje się tego nie zauważać.

– Chciałem do ciebie zadzwonić – oznajmia, wpatrując się w drinka. – Każdego dnia. Ale wiedziałem, co sobie pomyślisz, jeśli zadzwonię i powiem, że mam na rozmowę tylko dziesięć minut. Pamiętałem, co mówiłaś: że nie mam czasu na prawdziwy związek. – Wypija duży łyk drinka. – Uwierz mi, ostatnio nie miałem więcej wolnego niż dziesięć minut. Nie masz pojęcia, co się działo.

– Michael zdradził mi co nieco.

– Czekałem, aż sytuacja się uspokoi.

– I wybrałeś dzisiejszy dzień. – Nie mogę się powstrzymać i uśmiecham się półgębkiem. – Dzień, w którym wszyscy inwestorzy przylecieli, by się z tobą spotkać.

– Przyznaję, że to nie jest idealny moment. – Przez moment na jego twarzy pojawia się cień rozbawienia. – Ale skąd miałem wiedzieć, że zamierzasz zwać z kraju? Drań Michael trzymał wszystko w tajemnicy. – Marszczy czoło. – Nie mogłem tam siedzieć i pozwolić, byś poleciała. – W roztargnieniu przesuwam kieliszek po stole, jakby czegoś szukał, a ja wpatruję się w niego z niepokojem. – Miałas rację – mówi nagle. – Miałem obsesję na punkcie odniesienia sukcesu w Nowym Jorku. To było jakieś... szaleństwo. Nie widziałem niczego innego. Jezu, wszystko spieprzyłem, prawda? Twoje sprawy... nasz związek... firmę...

– Coś ty, Luke – stwierdzam z zakłopotaniem. – Nie możesz brać odpowiedzialności za wszystko. Ja też spieprzyłam kilka twoich spraw. – Milknę, gdy potrząsa głową. Opróżnia kieliszek i patrzy mi prosto w oczy.

– Musisz o czymś wiedzieć, Becky. Jak twoim zdaniem „Daily World” dowiedziała się o szczegółach twojej sytuacji finansowej?

Patrzę na niego zaskoczona.

– Od... od dziewczyny z działu podatków lokalnych. Przyszła do mieszkania Suze i myskowała, kiedy ta... – Milknę, gdy Luke ponownie potrząsa głową.

– To była Alicja.

Zdumienie na moment odbiera mi mowę.

– Alicja? – dukam w końcu. – Skąd... Po co...

– Kiedy przeszukiwaliśmy jej gabinet, znaleźliśmy wyciągi bankowe z twojego konta i kilka twoich listów. Bóg jeden wie, jak je zdobyła. – Robi gwałtowny wydech. – Dzisiaj rano wreszcie udało mi się zmusić dziennikarza z „Daily World”, by przyznał, że ona była jego źródłem. Po prostu sprawdzali informacje, które im podsunęła.

Wpatruję się w niego i robi mi się zimno. Przypominam sobie dzień, kiedy odwiedziłam jego biuro. Torba z Conrana ze wszystkimi moimi listami i Alicja stojąca przy biurku Mel, wyglądająca jak kot, który upolował mysz.

Wiedziałam, że coś zostawiłam. O Boże, jak mogłam być tak głupia?

– Nie ty byłaś jej prawdziwym celem – wyjaśnia Luke. – Zrobiła to, by zdyskredytować mnie i firmę i jednocześnie odwrócić moją uwagę od jej działań. Media tego nie potwierdzą, ale jestem pewien, że to również ona była „informatorem z wewnątrz”, którego wypowiedzi na mój temat cytowali. – Milknie na chwilę, a potem kontynuuje: – Chodzi o to, Becky, że we wszystkim się myliłem. To nie ty zaszkodziłaś moim interesom. – Patrzy na mnie poważnie. – To ja zaszkodziłem twoim.

Siedzę bez ruchu przez kilka chwil, nie mogąc się ruszyć. Czuję, jakby powoli opuszczał mnie wielki ciężar. Nie jestem pewna, co mam myśleć ani czuć.

– Tak bardzo mi przykro – mówi Luke. – Z powodu wszystkiego, przez co przeszłaś...

– Nie. – Oddycham głęboko. – Luke, to nie była twoja wina. To nie była nawet wina Alicji. Może podała im szczegóły mojej sytuacji, ale gdybym się nie zadłużyła i nie wpadła w szal zakupów w Nowym Jorku, gazeta nie miałaby o czym pisać. – Pocieram twarz. – To było okropne i upokarzające, ale w zabawny sposób przeczytanie artykułu wyszło mi na dobre. Przynajmniej uświadomiłam sobie kilka rzeczy na swój temat.

Podnoszę kieliszek, zauważam, że jest pusty, i odstawiam z powrotem.

– Chcesz jeszcze jednego? – pyta Luke.

– Nie, dziękuję.

Zapada cisza. W oddali głos informuje pasażerów lotu BA 2340 do San Francisco, by udali się do bramki numer 29.

– Wiem, że Michael zaproponował ci pracę – mówi Luke. Wskazuje moją walizę. – Rozumiem, że to oznacza, iż ją przyjęłaś. – Wpatruję się w niego w milczeniu, drżąc lekko. – Becky, nie leć do Waszyngtonu. Zaczynaj pracować dla mnie.

– Dla ciebie?

– Przyjmij pracę w Brandon Communications.

– Zwariowałaś?

Odgarnia włosy z twarzy i nagle wydaje mi się młody i wrażliwy. Widzę człowieka, który powinien odpocząć.

– Nie zwariowałem. Moja kadra została zdziesiątkowana. Potrzebuję na wyższym szczeblu kogoś takiego jak ty. Znasz się na finansach, byłaś dziennikarką, umiesz rozmawiać z ludźmi i znasz już firmę.

– Luke, z łatwością znajdziesz kogoś takiego jak ja – wtrącam. – A nawet lepszego! Kogoś z doświadczeniem w PR, kto pracował w...

– W porządku, kłamie – przerywa mi. – Kłamie. Nie potrzebuję kogoś takiego jak ty. Potrzebuję ciebie.

Nieśmiało patrzy mi w oczy i nagle gwałtownie dociera do mnie, że nie mówi jedynie o Brandon Communications.

– Potrzebuję cię, Becky. Mogę na tobie polegać. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, dopóki cię nie zabrakło. Odkąd odeszłaś, stale mam w głowie twoje słowa. Na temat

moich ambicji, naszego związku, nawet mojej matki.

– Twojej matki? – wpatruję się w niego z niepokojem. – Słyszałam, że próbowałeś umówić się z nią na spotkanie.

– To nie była jej wina. – Wypija łyk pernod. – Coś jej wypadło i nie mogła przyjechać. Ale masz rację, powinienem spędzać z nią więcej czasu, poznać ją lepiej i zawiązać bliższą relację, jaką ty masz ze swoją matką. – Podnosi wzrok i marszczy czoło na widok zaskoczenia na mojej twarzy. – To miałaś na myśli, prawda?

– Tak! – odpowiadam natychmiast. – To właśnie miałam na myśli. Dokładnie to.

– O to mi chodzi. Jesteś jedyną osobą, która powie mi to, co powinienem usłyszeć, nawet wtedy, gdy nie chcę. Powinienem od początku ci zaufać, ale byłem... nie wiem... arogancki, głupi.

Jego głos brzmi tak ponuro i sam tak srogo się ocenia, że czuję nagłe przerażenie.

– Luke...

– Becky, wiem, że masz swoją karierę i całkowicie to szanuję. Nie proponowałbym ci posady, gdybym nie uważał, że to może być dobry krok również dla ciebie. Ale... proszę. – Wyciąga rękę przez stół i kładzie swą ciepłą dłoń na mojej. – Wróć, zacznijmy od początku.

Wpatruję się w niego bezradnie, a emocje pęcznieją we mnie jak balon.

– Luke, nie mogę procować dla ciebie. – Przełykam ślinę, próbując odzyskać kontrolę nad głosem. – Muszę jechać do Stanów, wykorzystać tę szansę.

– Wiem, że to wygląda na wielką szansę, ale to, co ja ci proponuję, również może być szansą.

– To nie to samo – wyjaśniam i zaciskam mocniej dłoń na kieliszku.

– Może być tak samo. Dam ci wszystko, cokolwiek Michael ci zaproponował. – Nachyla się w moją stronę. – A nawet go przebije. Ja...

– Luke – przerywam mu. – Luke, nie przyjąłam oferty Michaela.

Podnosi głowę ze zdumienia.

– Nie? W takim razie co...

Spogląda na moją walizkę i z powrotem na moją twarz, a ja w odpowiedzi patrzę na niego i milczę stanowczo.

– Rozumiem – mówi w końcu. – To nie moja sprawa.

Wygląda na tak przygnębionego, że czuję ukłucie w piersi. Chcę mu powiedzieć, ale nie mogę. Nie mogę zaryzykować, że gdy opowiem mu o swojej decyzji, moje własne argumenty zaczną się chwiać i zaczną się zastanawiać, czy dokonałam odpowiedniego wyboru. Nie mogę ryzykować, że zmienię zdanie.

– Luke, muszę iść – mówię z zaciśniętym gardłem. – A ty... musisz wrócić na spotkanie.

– Tak – przytakuje po długim milczeniu. – Tak, masz rację. Pójdę już. – Wstaje i sięga do kieszeni. – Jeszcze jedno. Nie zapomnij o tym.

Bardzo powoli wyjmuję długi, błękitny, jedwabno-aksamitny szal przetykany opalizującymi koralikami.

Mój szal. Mój szal od Denny'ego i George'a.

Czuję, jak krew odpływa mi z twarzy.

– Jak... – Przełykam ślinę. – To ty licytowałeś przez telefon? Ale... przecież się wycofałeś. Inny licytujący dostał... – Milknę i wpatruję się w niego zdezorientowana.

– Obaj licytujący reprezentowali mnie.

Delikatnie zawiązuje szal na mojej szyi, patrzy na mnie przez kilka sekund, a potem całuje w czoło. Następnie odwraca się i odchodzi, by zniknąć w tłumie.

## Rozdział 18

### Dwa miesiące później

– Okej, dwie prezentacje, jedna dla Saatchi, a druga dla Global Bank, jeden lunch z okazji rozdania nagród z państwem McKinsey i kolacja z Merrill Lynch.

– Tak. Wiem, że to dużo.

– Będzie dobrze – mówię pocieszająco. – Będzie dobrze.

Zapisuję coś w notatniku i wpatruję się w niego, myśląc intensywnie. To jest moment mojej nowej pracy, który uwielbiam najbardziej: moment wyzwania. Dostaję łamigłówkę i muszę znaleźć rozwiązanie. Przez kilka chwil siedzę w milczeniu i rysuję niezliczone ilości małych, pięcioramiennych gwiazdek, pozwalając umysłowi rozpracować zadanie, a Lalla przygląda mi się z niepokojem.

– Okej – oznajmiam w końcu. – Mam to. Twój kostium ze spodniami od Helmuta Langa na spotkania, sukienka Jil Sander na lunch, a na kolację znajdziemy ci coś nowego. – Patrzę na nią zmrużonymi oczami. – Może coś w odcieniu głębokiej zieleni?

– Nie mogę nosić zieleni – protestuje Lalla.

– Możesz – stwierdzam stanowczo. – Świetnie ci w zieleni.

– Becky – odzywa się Erin, wtykając głowę przez szparę w drzwiach. – Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale dzwoni pani Farlow. Jest zachwycona żakietem, który jej przesłałaś, ale chciałaby dostać coś lejszego na wieczór.

– Dobrze – odpowiadam. – Oddzwonię do niej. – Patrzę na Lallę. – Znajdźmy dla ciebie suknię wieczorową.

– Co mam włożyć do garnituru?

– Koszulę – odpowiadam. – Albo kaszmirową koszulkę, tę szarą.

– Tę szarą – powtarza powoli Lalla, jakbym mówiła po arabsku.

– Kupiłaś ją trzy tygodnie temu u Armaniego. Pamiętasz?

– Ach, tak! Tak, chyba.

– Albo niebieską bluzkę bez rękawów.

– Tak – przytakuje Lalla i żarliwie kiwa głową. – OK.

Lalla jest pracownikiem wysokiego szczebla w znanej firmie konsultingowej z branży IT, posiadającej oddziały na całym świecie. Ma dwa tytuły doktorskie i IQ sięgające miliona, ale twierdzi, że cierpi na ostrą postać dysleksji ubraniowej. Z początku myślałam, że żartuje.

– Zapisz mi to – prosi i podtyka mi pod nos oprawiony w skórę notes. – Zapisz mi wszystkie kombinacje.

– Dobrze, ale miałaś sama zacząć kompletować stroje.

– Wiem, zrobię to. Kiedyś spróbuję. Obiecuję. Tylko... nie w tym tygodniu. Nie zniosę dodatkowego obciążenia.

– W porządku – przytakuję, ukrywając uśmiech. Zaczynam pisać w jej notesie i wykrzywiam twarz, próbując sobie przypomnieć wszystkie jej ubrania. Nie mam wiele czasu, skoro muszę znaleźć jej suknię na wieczór, oddzwonić do pani Farlow i znaleźć dzianinę, którą obiecałam Janey van Hassalt.

Każdy dzień przebiega gorączkowo i wszyscy się spieszą, jednak im bardziej jestem zajęta i im więcej wyzwań przede mną staje, tym bardziej praca mi się podoba.

– Przy okazji – mówi Lalla. – Moja siostra, ta która twoim zdaniem powinna nosić zgaszony pomarańcz...

– Och, tak. Była bardzo miła.

– Powiedziała, że widziała cię w telewizji, gdy mówiłaś o ubraniach. W Anglii!

– Och, tak – odpowiadam i czuję, że lekko się czerwienię. – Prowadzę niewielki segment w dziennym programie lifestyle. *Becky z Barneys*. To modowy program o nowojorskim stylu.

– Świetna robota! – stwierdza ciepło Lalla. – Segment w programie telewizyjnym! To musi być niezmiernie ekscytujące!

Zatrzymuję się z wyszywanym koralikiem żakietem w dłoni i przypominam sobie, że kilka miesięcy temu miałam dostać własny program w amerykańskiej telewizji, a teraz mam dla siebie kilka minut w czasie programu śniadaniowego, którego widownia liczy połowę liczby widzów *Porannej Kawy*. Najważniejsze jednak, że jestem na ścieżce, którą chcę podążać.

– Tak – przytakuję i uśmiecham się do niej. – To bardzo ekscytujące.

Znalezienie dla Lalli stroju na kolację nie zajmuje mi wiele czasu. Gdy wychodzi, ściskając pod pachą listę pasujących do kreacji butów, podchodzi do mnie szefowa działu Christina i uśmiecha się.

– Jak ci idzie? – pyta.

– W porządku – odpowiadam. – Naprawdę dobrze.

To prawda, ale nawet gdyby było inaczej, nawet gdybym przeżywała najgorszy dzień w swoim życiu, nigdy nie powiedziałabym Christinie niczego negatywnego. Jestem jej niezmiernie wdzięczna, iż pamiętała, kim jestem i dała mi szansę.

Nadal nie mogę uwierzyć w to, jak życzliwie odniosła się do mnie, kiedy nieśmiało zadzwoniłam do niej, zupełnie zniecka. Przypomniałam, że się poznałyśmy, i zapytałam, czy istnieje możliwość, bym pracowała dla Barneys. Odparła, że mnie pamięta i zapytała, czy jestem zadowolona z sukienki od Very Wang. W rezultacie opowiedziałam jej całą historię o tym, dlaczego musiałam sprzedać sukienkę, że moja kariera telewizyjna legła w gruzach oraz że chciałabym dla niej pracować. Zamilkła na chwilę, a potem oznajmiła, że jej zdaniem byłabym cennym nabytkiem dla Barneys.



Cenny nabytek! Udział w programie telewizyjnym to również jej pomysł.

– Schowałaś dzisiaj jakieś ubrania? – pyta z błyskiem w oku, a ja czuję, że się rumienię. Zawsze będzie mnie to prześladować.

Podczas owej pierwszej rozmowy telefonicznej Christina zapytała, czy mam jakieś doświadczenie w sprzedaży detalicznej. Jak kompletna idiotka opowiedziałam jej o pracy w sklepie Ally Smith, skąd wyrzucono mnie za schowanie przed klientką dzinsów w panterkę, ponieważ bardzo chciałam sama je mieć. Kiedy skończyłam opowiadać, po drugiej stronie linii zaległa cisza, a ja pomyślałam, że całkowicie zaprzepaściłam swoją szansę. Potem jednak usłyszałam ryk śmiechu, tak donośny, że niemal upuściłam z przerażenia telefon. W zeszłym tygodniu Christina przyznała, że w tym momencie postanowiła mnie zatrudnić.

Opowiedziała tę historię wszystkim naszym stałym klientom, co jest dość żenujące.

– A więc. – Christina posyła mi przeciągłe, oceniające spojrzenie. – Jesteś gotowa na spotkanie o dziesiątej?

– Tak. – Czerwienię się lekko pod jej wzrokiem. – Chyba tak.

– Chcesz przeczesać włosy?

– Och. – Natychmiast podnoszę dłoń, by dotknąć szyi. – Czy są potargane?

– Niespecjalnie. – Dostrzegam błysk w jej oku, którego nie potrafię zinterpretować.

– Ale chcesz przecież zaprezentować się klientowi jak najlepiej.

Wychodzi z sali, a ja szybko wyciągam grzebień. Boże, zapominam, jak schludnie trzeba wyglądać na Manhattanie. Chodzę na manicure dwa razy w tygodniu do salonu za rogiem, niedaleko mieszkania, ale czasem mi się wydaje, że powinnam to robić co drugi dzień. To przecież tylko dziewięć dolarów.

W prawdziwej walucie to... No, to dziewięć dolarów.

Powoli przyzwyczajam się do myślenia w dolarach. Przyzwyczajam się do wielu rzeczy. Moja kawalerka jest mała i dość paskudna, a przez pierwsze kilka nocy nie mogłam spać z powodu ulicznego hałasu. Najważniejsze jednak, że tu jestem. Jestem w Nowym Jorku, stoję na własnych nogach i wykonuję pracę, którą szczerze uwielbiam.

Propozycja pracy u Michaela w Waszyngtonie brzmiała wspaniale. Pod wieloma względami przyjęcie jej byłoby o wiele rozsądniejsze i wiem, że mama i tata chcieli, bym to zrobiła. Jednak słowa Michaela o tym, bym nie poprzestawała na czymkolwiek i podążała za tym, czego rzeczywiście pragnę, dały mi do myślenia. Zaczęłam zastanawiać się nad karierą, życiem i tym, czym naprawdę chcę się zajmować.

By oddać mamie sprawiedliwość, jak tylko wytłumaczyłam jej, na czym miałyby polegać praca w Barneys, popatrzyła na mnie i oznajmiła: „Kochanie, dlaczego, u licha, nie pomyślałaś o tym wcześniej?”.

– Cześć, Becky. – Podskakuję lekko, podnoszę wzrok i widzę w drzwiach Erin. Zaprzyjaźniłyśmy się, od kiedy zaprosiła mnie do domu, bym zobaczyła jej kolekcję

szminek i spędziłyśmy cały wieczór, oglądając filmy o Jamesie Bondzie. – Przyszedł klient na dziesiątą.

– Kto to jest? – pytam i sięgam po sukienkę od Richarda Tylera. – Nie widziałam nazwiska w notesie.

– Cóż... hmm... – Z jakiegoś powodu jej twarz promienieje podekscytowaniem. – Oto on.

– Dziękuję bardzo – słyszę głęboki, męski głos.

Głęboki, męski głos z brytyjskim akcentem.

O mój Boże.

Zastygam jak królik z suknią od Richarda Tylera w dłoni, a do pokoju wchodzi Luke.

– Cześć – mówi i uśmiecha się lekko. – Panno Bloomwood, słyszałem, że jest pani najlepszą konsultantką do spraw zakupów w mieście.

Otwieram usta i ponownie je zamykam. Myśli wybuchają w mojej głowie jak fajerwerki. Doszukuję się zaskoczenia i szoku, które powinnam czuć. Dwa miesiące milczenia i nagle się pojawia. Powinnam być kompletnie zbita z tropu.

Ale jakimś cudem wcale się tak nie czuję. Podświadomie zawsze wiedziałam, że przyleci.

Zdaję sobie sprawę, że podświadomie na niego czekałam.

– Co tu robisz? – pytam, starając się opanować głos.

– Jak wspomniałem, słyszałem, że jesteś najlepszą konsultantką do spraw kwestii zakupów w mieście. – Posyła mi frywolne spojrzenie. – Pomyślałem, że może pomogłabyś mi kupić garnitur. Ten wygląda już na nieco wysłużony.

Wskazuje swój nieskazitelny garnitur z Jermyn Street, który jak się akurat orientuję, ma dopiero od trzech miesięcy, a ja kryję uśmiech.

– Chce pan kupić garnitur?

– Chcę.

– W porządku.

By zyskać na czasie, umieszczam sukienkę z powrotem na wieszaku, odwracam się i wieszam ją na stojaku. Luke tu jest.

Przyjechał. Chce mi się śmiać albo tańczyć, albo płakać, albo robić coś innego. Tymczasem sięgam po notes i powoli zwracam się w jego stronę.

– Na początku zawsze proszę klientów, by opowiedzieli mi trochę o sobie. – Głos zaczyna mi drżeć, więc milknę na moment. – Może... mógłby pan zrobić to samo?

– W porządku, to dobry pomysł. – Luke zastanawia się przez moment. – Jestem brytyjskim biznesmenem, mieszkam w Londynie. – Patrzy mi w oczy. – Ale niedawno otworzyłem oddział w Nowym Jorku, więc będę tutaj spędzał dość dużo czasu.

– Naprawdę? – Czuję ukłucie zdziwienia, które próbuję ukryć. – Otworzył pan oddział w Nowym Jorku? To... to bardzo ciekawe. Miałam wrażenie, że niektórzy

brytyjscy przedsiębiorcy mieli pewne kłopoty w kontaktach z nowojorskimi inwestorami. Tak... słyszałam.

– Tak było – przytakuje Luke. – Mieli pewne kłopoty, ale potem zredukowali plany i postanowili otworzyć biznes na mniejszą skalę.

– Na mniejszą skalę? – Wpatruję się w niego. – I nie przeszkadzało im to?

– Może zdali sobie sprawę, że na początku podeszli do sprawy zbyt ambicjonalnie – odpowiada Luke po chwili przerwy. – Może uświadomili sobie, że do tego stopnia pochłonięci byli przedsięwzięciem, iż ucierpiały na tym pozostałe aspekty ich życia. Może doszli do wniosku, że muszą schować dumę do kieszeni, odłożyć na bok wielkie plany i nieco zwolnić.

– To... brzmi rozsądnie – stwierdzam.

– Dlatego opracowali nową propozycję, znaleźli sponsora i tym razem nic nie stanęło na przeszkodzie ich działaniom. Biznes już się kręci.

Twarz promienieje mu skrywanym szczęściem, a ja w odpowiedzi uśmiecham się szeroko.

– To wspaniale! – mówię. – To znaczy... – Odchrząkuję. – Ach, tak. Rozumiem. – Gryzmołę jakieś bzdury w notesie. – Ile dokładnie czasu będzie pan spędzał w Nowym Jorku? – dodaję oficjalnym tonem. – Rozumie pan, potrzebuję tej informacji do swoich zapisków.

– Oczywiście – odpowiada podobnym tonem Luke. – Mam zamiar w znaczący sposób utrzymać swoją obecność w Wielkiej Brytanii, więc będę tutaj przez dwa tygodnie w miesiącu. Tak przynajmniej planuję w tej chwili. To może być więcej lub mniej. – Następuje długa pauza i jego ciemne oczy patrzą prosto w moje. – Wszystko zależy.

– Od czego? – pytam, ledwie mogąc oddychać.

– Od... wielu rzeczy.

Zapada całkowita cisza.

– Mam wrażenie, że się tutaj zadomowiłaś, Becky – mówi cicho Luke. – Wydajesz się bardzo pozbierana.

– Tak, podoba mi się tutaj.

– Rozkwitasz. – Rozgląda się wokół z uśmiechem. – Świetnie ci w tym otoczeniu. Co mnie w zasadzie nie dziwi.

– Uważasz, że przyjąłam tę posadę tylko dlatego, że lubię zakupy? – pytam i unoszę brwi. – Myślisz, że tu chodzi tylko o... buty i ładne stroje? Jeśli tak jest, to obawiam się, że bardzo się mylisz.

– Nie to chciałem...

– Tu chodzi o wiele więcej. O wiele więcej. – Rozkładałam ręce w emfaticznym geście. – Tu chodzi o pomaganie ludziom, kreatywność, o...

Przerywa mi stukanie do drzwi i Erin wtyka głowę przez szparę w drzwiach.

– Przepraszam, że ci przeszkadzam, Becky. Chciałam ci tylko powiedzieć, że odłożyłam te pantofle bez pięty Donny Karan, które chciałaś. Szarobrazowe oraz czarne, zgadza się?

– Ekhm... tak – odpowiadam pośpiesznie. – Zgadza się.

– Och, dzwoniли też z działu księgowości, by poinformować cię, że wykorzystalaś limit zniżek na ten miesiąc.

– Rozumiem – odpowiadam, unikając rozbawionego wzroku Luke'a. – Tak, dziękuję. Zajmę się tym... później. – Czekam aż Erin wyjdzie, ale ona wpatruje się w Luke'a z czystą ciekawością.

– Jak sobie pan radzi? – pyta radośnie. – Rozejrzył się pan już po sklepie?

– Nie muszę się rozglądać – oznajmia śmiertelnie poważnym tonem Luke. – Wiem, czego chcę.

Czuję lekki ucisk w żołądku i wpatruję się usilnie w notes, udając, że robię notatki.

– Ach, tak! – mówi Erin. – Co to takiego?

Zapada długa cisza. W końcu nie jestem w stanie dłużej jej znieść i podnoszę wzrok. Kiedy widzę wyraz twarzy Luke'a, serce zaczyna mi łomotać.

– Czytałem informacje o waszych usługach – oznajmia, sięga do kieszeni i wyciąga ulotkę zatytułowaną „Usługa zakupów osobistych”. – „Dla zajętych osób, które potrzebują pomocy i nie mogą sobie pozwolić na popełnianie błędów”.

Milknie, a moja dłoń zaciska się na długopisie.

– Popełniłem błędy – przyznaje i lekko marszczy czoło. – Chcę je naprawić i nie popełniać ich ponownie. Chcę słuchać kogoś, kto mnie zna.

– Dlaczego przyszedłeś po to do Barneys? – pytam drżącym głosem.

– Jest tylko jedna osoba, której radom ufam. – Nasze spojrzenia się spotykają, a mnie przechodzi dreszcz. – Jeśli nie będzie chciała mi ich dać, nie wiem, co zrobić.

– W dziale męskim obsługuje Frank Walsh – śpieszy z pomocą Erin. – Jestem pewna, że mógłby...

– Zamknij się, Erin – rzucam, nie ruszając nawet głową.

– Co ty na to, Becky? – pyta i podchodzi do mnie. – Byłabyś zainteresowana?

Przez kilka chwil nie odpowiadam. Próbuję zebrać wszystkie myśli, które krążyły w mojej głowie przez ostatnie dwa miesiące. Ułożyć słowa tak, by powiedzieć dokładnie to, co chcę przekazać.

– Myślę... – mówię w końcu. – Myślę, że relacja pomiędzy konsultantką a klientem jest bardzo bliska.

– Na to liczyłem – oznajmia Luke.

– Musi w niej obowiązywać szacunek. – Przełykam ślinę. – Nie ma mowy o odwoływaniu spotkań. Żadne nagłe sprawy biznesowe nie mogą być ważniejsze niż ta relacja.

– Rozumiem – przytakuje Luke. – Jeśli mnie przyjmiesz, obiecuję, że zawsze

będziesz na pierwszym miejscu.

– Klient musi zdać sobie sprawę, że czasem konsultantka wie lepiej, dlatego nigdy nie może zlekceważyć jej opinii. Nawet jeśli podejrzewa, że to jedynie plotki albo... bezsensowne pogaduszki.

Kątem oka dostrzegam zdezorientowany wyraz twarzy Erin i nagle mam ochotę zachichotać.

– Klient już to sobie uświadomił – przyznaje Luke. – Jest gotów w pokorze słuchać i być korygowanym. W większości kwestii.

– We wszystkich kwestiach – poprawiam natychmiast.

– Nie przeginaj – mówi Luke i oczy błyszczą mu z rozbawienia, a ja czuję, jak na mojej twarzy bezwolnie pojawia się szeroki uśmiech.

– Cóż... – Przez chwilę bazgrołę coś z zapałem w notesie. – Myślę, że „większość” jest do zaakceptowania. Biorąc pod uwagę zaistniałe okoliczności.

– W takim razie – jego ciepłe pojrzenie napotyka moje – Becky, czy to oznacza „tak”? Czy zostaniesz moją... osobistą konsultantką?

Robi krok w przód i niemal się dotykamy. Czuję jego znajomy zapach. O Boże, jak ja za nim tęskniłam.

– Tak – odpowiadam radośnie. – Zostanę.

Poniedziałek, 28 stycznia 2002 roku, godz. 8:30

**Od:** Gildenstein, Lalla <L.Gildenstein@anagram.com

**Do:** Bloomwood, Becky <B.Bloomwood@barneys.com

**Temat:** POMOCY! PILNE!

---

Becky!

Pomocy! Zgubiłam Twoją listę. Idę dziś na ważną, oficjalną kolację z nowymi japońskimi klientami, a moja koszulka od Armaniego jest w pralni. W co mam się ubrać? Proszę, odpisz jak najszybciej.

Dziękuję, jesteś aniołem.

Lalla

PS Słyszałam najnowsze wieści. Gratuluję!

*KONIEC*

- 
- 1 Nawiązanie do skeczu Latającego cyrku Monty Pythona pt. „Martwa papuga” (przyp. tłum.).
  - 2 Piosenka Marvin Gaye’a *Heard it through the Grapevine* (przyp. tłum.).